

Dorothy Garlock

*Zapiskane w
gwiazdach*

*„Cała ta harówka zabiłaby mnie, gdybym raz na jakiś czas
nie mogła mieć nadziei, że coś się komuś zdarzy. Gdybym
nie mogła zobaczyć ptaka w locie i pomachać mu ręką.”*

Willa Cather

Pieśń skowronka, 1915

HENRY ANN

*Słyszac jej głos, otwierasz oczy,
Widzisz jej słodką twarz o świetle.
Radośnie witasz nadejście ranka.
Jesteś szczęściarzem, mój synu,
Szczęściarzem jesteś, mój zuchu,
Bo jesteś z Henry Ann.*

*Zamykasz oczy z wieczora,
A ona do snu ci śpiewa,
Do snu całuje cię w czoło.
I ulatujesz w krainę marzeń.
Mój zuchu, jesteś szczęściarzem,
Boś związał się z Henry Ann.*

*Brak mi cię, chłopcze, na farmie,
Twa matka oddala się co dzień.
Wiem, że chroni cię Henry Ann.
Dla twego dobra zostanę daleko.
Bezpieczny jesteś, mój zuchu,
Bo żyjesz z Henry Ann.*

*Wiem, że zazdrościć ci nic należy,
Żeś znalazł radość i spokój.
Ja także chcę zaznać szczęścia.
Nici zostały z mego zamęścia.
Dziś chcę, mój zuchu, u twego boku
Kochać wraz z Henry Ann.*

F. S. I.

PROLOG

POWIAT JEFFERSON, OKLAHOMA - 1919

*„Kto z nich woli tkwić na roli,
gdy zoba-aczy Paryż?
Kto z nich woli tkwić na roli dana-dana-dana...”*

Dorene, podśpiewując, spojrzała w lustro, poprawiła kołnierzyk cienkiej sukienki bez rękawów, potem pośliniła palce i przyglądała niesforny lok na czole.

- Znowu odjeżdżasz? - bosonogą dziewczynka stała w drzwiach, patrząc, jak jej młoda, piękna matka wdzięczy się do lustra.

- Uhm.

- To po co przyjeżdżałaś?

- Żeby się z tobą zobaczyć.

Dorene okręcała się z jednej strony na drugą, a frędzle od sukienki wirowały wokół jej nóg.

- Tata mówi, że przyjechałaś, bo chcesz pieniędzy.

- Twój tata jest mi coś winien. Nadal jestem jego żoną, a prawo mówi, że powinien mnie utrzymywać. Ale chciałam też zobaczyć ciebie.

- Ty naprawdę przyjechałaś po pieniądze. Wrócisz tu jeszcze?

- Może. A co, chciałabyś?

- Chyba tak - dziecko obojętnie wzruszyło ramionami. -No to jak? Wrócisz?

- Nie wiem. Może tak, może nie - Dorene pogłaskała małą po głowie i zamknęła leżącą na łóżku, przygotowaną do drogi walizkę.

- Tata kupiłby ci kucyka... gdybyś została.

- Dobry Boże! - Dorene przewróciła oczami. - Jest wiele rzeczy, urwipołciu, które chciałabym mieć, ale nie kucyka.

- Nie mów tak do mnie. Nazywam się Henry Ann.

Dorene znowu przewróciła oczami.

- Jak mogłabym zapomnieć. A gdzie jest tata?

- W polu. Chcesz się z nim pożegnać?

- Po co? Wie, że wyjeżdżam.

Głęboki filcowy kapelusz leżał na głowie Dorene jak czapka. Poprawiła go ostrożnie, aby nie naruszyć starannie ufrizowanych loków przylegających do policzków.

- Mogłabyś podziękować mu za pieniądze.

- Musiał mi je dać. Jestem jego żoną. Twój tata nie przepada za mną. Inaczej nie kazałby mi żyć w takiej dziurze: miałam szczęście, jak raz na tydzień udało mi się zobaczyć przejeżdżający samochód. Myśli tylko o pracy. To znaczy o tobie... i pracy.

- Ciebie też lubi. Tylko nie chciał, żebyś nosiła tę fryzurę jak... jak podfruwajka, pudrowała policzki i zakładała kiecki, w których widać nogi. Tata mówi, że to pachnie tandetą.

- Nie rozpoznałby tandety, nawet gdyby w nią wdepnął - zachnęła się Dorene. - Tak mnie lubi, że chciałby, żebym chodziła za plugiem, gracowała bawełnę, karmiła świnię i miała stadko dzieciaków. To nie dla mnie. Gdyby Bóg chciał, żebym była niewolnicą, stworzyłby mnie brzydką Murzynką.

- A mnie się tu podoba. Nigdy stąd nie wyjadę - odparła Henry Ann wyzywająco.

- Teraz możesz tak myśleć. Ale poczekaj, aż podrośniesz.

- Jedziesz do miasta samochodem?

- Do Ardmore jedziemy samochodem, potem pociągiem do Oklahoma City. Mam tam... trochę spraw do załatwienia. - Dorene postawiła stopę na krześle, podciągnęła obszytą wstążką podwiązkę nad kolano i wyprostowała kokardkę na pantoflu.

Dziewczynka przyglądała się jej, ale myślami była gdzie indziej.

Tak, wiem. Słyszałam, jak mówiłaś Tacie, że masz w mieście chłopczyka. Że musisz się NIM zająć. A mną zajmie się Tata.

Dorene wzięła walizkę i przeszła na frontową werandę. Na drodze przed domem czekał zaparkowany samochód. Wąsaty kierowca wszedł po walizkę. Ubrany był w czarny garnitur i białą koszulę z wysokim kołnierzykiem. Kapelusz nosił zawadiacko na bakier, a jego włosy pachniały brylantyną. Przeniósł wzrok z bosonogiej dziewczynki na Dorene.

- To twój dzieciak?

- Obawiam się, że tak, mój miły. Ma dopiero sześć lat. Urodziłam ją, zanim sama skończyłam piętnaście. Nie miałam pojęcia, jak się zabezpieczyć.

- Sześć? - Henry Ann przemówiła z oburzeniem. - Mam prawie dziesięć, a ty miałaś szesnaście, jak mnie urodziłaś. Tata mi mówił.

Dorene spojrzała na dziewczynkę, jakby chciała ją uderzyć; potem jednak zwróciła się

do mężczyzny cała w uśmiechach.

- Ten wygadany dzieciuch to Henry Henry. Słyszał kto kiedy, żeby dziewczynka tak miała na imię? Nazwałam ją Henry po jej ojcu. To był jego pomysł, żebym ją urodziła, a mój - żeby ją tak nazwać.

- Nie wątpię - wymamrotał mężczyzna.

- Zrobiłam starego Eda w konia i wstawiłam to imię na świadectwie urodzenia, zanim się połapał co i jak. - Dorene zachichotała, a jej oczy świeciły jak szklane koraliki. - Boże, jakie to było śmieszne! Wybiegł z pokoju jak poparzony. Dobiegł prawie do miasta, żeby złapać tego lekarza i na świadectwie wcisnął „Ann” między Henry i Henry. Czy to nie piękne?

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Taa, piękne.

Przenosił spojrzenie z dziewczynki na matkę, dostrzegł między nimi podobieństwo i myślał, że dla dziecka byłoby lepiej, gdyby okazało się tylko powierzchowne.

- Lubię moje imię. Nikt inny nie ma takiego.

Dziecko mówiło cicho i z taką godnością, że mężczyzna poczuł ukłucie wstydu.

Cholerny bagaż.

Zostawiłby damulkę tutaj, gdyby nie coś, co mu obiecała, kiedy dojadą do Ardmore.

- Jedźmy już - burknął zniecierpliwiony.

- Jestem gotowa, mój słodki. - Dorene nie zauważyła, że mężczyzna, słysząc to, skrzywił się, i obdarzyła go promiennym uśmiechem.

Ten spojrzał jeszcze na dziecko, potem szybko odwrócił wzrok, chwycił walizkę i ruszył do samochodu. Dorene zawahała się przed zejściem z werandy.

- Pocałujesz mnie na pożegnanie?

- Innym razem.

- Mój Boże! - zaśmiała się dźwięcznie. - Robisz się coraz bardziej podobna do taty.

Nachyliła się i pocałowała dziecko w policzek, potem pośpieszyła do samochodu, chwiejąc się na obcasach.

Henry Ann stała na werandzie i przyglądała się, jak matka wsiada do samochodu.

Nie będę taka jak ty! Przenigdy nic zostawię mojej małej dziewczynki, nawet gdybym nie wiem jak nienawidziła jej ojca. Tym razem już nie wrócisz... i wiesz co? Mam to w nosie.

Mężczyzna korbą uruchomił motor, wrzucił ją za tylne siedzenie, po czym wśliznął się za kierownicę. Dorene pomachała radośnie na pożegnanie i samochód odjechał wznosząc

obłok kurzu.

RED ROCK, OKLAHOMA - 1932

Autobus spóźniał się już godzinę, ale mężczyźni, który stał oparty o ścianę baru Millie's Diner, nie robiło to żadnej różnicy. Na nikogo nie czekał. Kiedy w końcu autobus przyjechał, pasażerowie wysypali się z niego i podążyli pośpiesznie do baru na półgodzinną przerwę na kolację. Rozsiedli się na wysokich stołkach wzdłuż lady. Przerobiony wagon kolejowy Union Pacyfic, przeniesiony przed dziesięciu laty na główną ulicę, Main Street, był jednym z dwóch takich lokali w mieście i o tej porze serwował jedynie dwie potrawy - chili i hamburgery.

Jako ostatnia wysiadła z autobusu kobieta z chudą, wlokącą się z tyłu nastolatką. Kobieta lekko pacnęła wierzch swego śmiesznie małego kapelusika ozdobionego kwiatami i przeszła na tył autobusu, gdzie kierowca wyładowywał właśnie walizkę i pudło związane sznurkiem.

Mężczyzna trzymał w dłoni fajkę i obserwował, jak sięgająca do pół łydki spódnica faluje wokół jej kształtnych nóg. Widok jej pełnego wdzięku wiotkiego ciała, jej ciemnych, kręconych włosów i czarnych brwi sprawiał mu przyjemność. Zwrócił uwagę na brwi, ponieważ większość kobiet zaczęła je teraz wyskubywać, pozostawiając jedynie cienkie linie, a to, jego zdaniem, ogołacało twarz. Wiedział, kim była - córką Eda Henry'ego. Na oko wyglądała na jakieś dwadzieścia cztery lata. Musiała być ze cztery lata młodsza od niego.

Odczekał, aż chodnik przed barem opustoszał, potem ruszył na parking za sklepem spożywczym, gdzie pozostawił swego wysłużonego forda. Własnoręcznie złożył ten samochód przed siedmiu laty i utrzymywał go w znakomitym stanie. A jak go umył i wypolerował, wyglądał jak nowy. Bardziej kochał tylko swego trzyletniego synka.

Zatrzymał się i o podeszwę buta wystukał popiół z fajki. Schował fajkę do kieszeni. Mogło się zdarzyć, że byłby zmuszony sprzedać swój samochód. Zależało to od zbiorów bawełny i cen skupu. Chwilowo oddalił konieczność podjęcia takiej decyzji, oferując właścicielowi sklepu spożywczego wymianę silnika w jego ciężarówce i przyjmując zapłatę w towarach.

Henry Ann Henry podziękowała kierowcy autobusu i podniosła walizkę.

- Możemy zostawić pudło w sklepie i wrócić po nie później. Dziewczyna

odebrała pudło z rąk kierowcy.

- Poniosę je. Jak daleko idziemy?
- Półtora kilometra za miasto.
- Tak daleko? No dobra. Nie zostawię swoich rzeczy, żeby jakiś prostak mi je

zwinął.

- Pan Anderson nie pozwoliłby na to. Ale dobrze. Chodźmy. Chcę być w domu przed zmrokiem.

Parę osób mijających je na ulicy skinęło głową Henry Ann Henry, z zaciekawieniem zerkając na towarzyszącą jej dziewczynę. Rodzina Henrych mieszkała w okolicy Red Rock od powstania miasta. Ed Henry, ojciec Henry Ann, był ciężko pracującym, powszechnie szanowanym człowiekiem, który popełnił kiedyś błąd, żeniąc się z Dorene Perry. Zdaniem tutejszych rodzina Perrych była wtedy hołotą i pozostała nią do dziś.

- Dzień dobry, panno Henry! - mała dziewczynka grająca w klasy usunęła się z chodnika, aby pozwolić im przejść.

- Dzień dobry, Mary Evelyn. Co u mamy?

- Wszystko w porządku.

Ci, którzy widzieli, jak Henry Ann idzie ulicą z młodą dziewczyną, zastanawiali się, jakiego to podrzutka przywiozła do domu tym razem. Niewątpliwie jeszcze jeden bękart Dorene. Ostatnim razem kiedy Henry Ann wyjechała z miasta, wróciła z zuchowatym czternastolatkiem.

Ledwie parę mil od Red Rock Rzeka Czerwona wyznaczała granicę między Oklahomą a Teksasem. Dzielnica handlowo-usługowa w Red Rock składała się z paru przecznic, wzdłuż których ciągnęły się sklepy. Znaczna ich część świeciła teraz pustkami. Sklep spożywczy, bank, szewc i stacja benzynowa Phillips 66 po jednej stronie ulicy, po drugiej bar Millies Diner, fryzjer i sklep Five and Dime, gdzie Henry Ann dorabiała w soboty w czasach, kiedy sklepikarze mogli sobie jeszcze pozwolić na wynajęcie pomocników. Teraz pieniędzy było niewiele, a właściciele znaleźli się na progu bankructwa.

Red Rock było miejscem zrujnowanych marzeń, gdzie żyli dobrzy ludzie, dla których nastały złe czasy. Większość gospodarstw była na skraju ruiny. Było to miasto na równinach Oklahomy ciężko doświadczone przez czteroletnią suszę i nieurodzaj bawełny. Mężczyźni nie mieli tu pracy, podobnie jak zresztą wszędzie. W miastach całe rodziny ustawiały się w kolejkach po darmową zupę. Mężczyźni, którzy rozpaczliwie potrzebowali pracy, wszczynali burdy. Głód zmuszał niektórych do wyruszenia na zachód, gdzie podobno łatwiej było o pracę na żyznych polach Kalifornii. Wzrastało poczucie, że w tym kraju nie szanuje się

podstawowych praw, skoro nikt nie był w stanie lub nie chciał zatroszczyć się o jego mieszkańców. To dlatego niektórzy stawali się kryminalistami, trudniąc się przemytem alkoholu lub rabowaniem banków.

Rząd porządných niewielkich domów, które miały Henry Ann i towarzysząca jej dziewczyna, urywał się nagle przy torach kolejowych, jakby wzniesiono tam niewidzialny płot. Przecnicę dalej w szeregu stały mniejsze, budowane ciasniej i nie tak schludne domy. Tam mieszkała czarna społeczność Red Rock.

Ńdobry, panienko. Tak i myślałam, że przyjedziesz autobusem. - Przysadzista kobieta promiennie uśmiechała się do nich z bujanego fotela na werandzie ozdobionej doniczkami kwitnących róż. Na głowie miała niebieską chustę.

- Dzień dobry, Ciociu Dozie. Jak tam twój reumatyzm?

- Jako tako. A co tam w mieście? Zimno tam?

- Tak samo jak tu.

- Bo myślałam, że u nich spadło śniegu.

- Nie o tej porze roku, Ciociu Dozie. Przepraszam, nie zatrzymamy się na dłużej. Chcę zdążyć do domu przed zmrokiem. - Henry Ann znała Dozie Jones od dziecka. Dozie wiedziała o Dorene i Johnnym. Zaspokojenie jej ciekawości na temat Isabel zabrałoby teraz zbyt wiele czasu.

- Wcale ci się nie dziwię, dziecko. Miej oczy otwarte, uważaj na tych tam, włóczęgów. Jak przyjeżdża pociąg, to więcej ich tu jak pcheł na psim grzbiecie. Słyszysz?

- Słyszę, Ciociu Dozie. Idziemy.

Minęły jeszcze dwa domy i dalej widać już było tylko zakurzoną drogę.

- Zmęczona?

- Trochę. Ta stara kobieta myśli, że niby gdzie pojechałaś? Nie wie, gdzie jest Oklahoma City?

- Dla niej to strasznie daleko.

Henry Ann zatrzymała się, postawiła walizkę na drodze i wyprostowała zeszywniałe palce.

- On mnie nie zechce, prawda? Nie chcę się pchać, gdzie mnie nie chcą - rzuciła gwałtownie Isabel. - Mama powiedziała, że to przygłup.

Na jej twarzy malował się upór.

Henry Ann przyjrzała się dziewczynie badawczo. Wiedziała, że nie miała ona normalnego dzieciństwa; że widziała rzeczy, o których jej rówieśnice nawet nie słyszały.

- Nie powinnaś tak się wyrażać, nawet jeśli mama to mówiła. Lepiej zaczekaj, aż sama

będziesz mogła ocenić Tatę.

To twój tata, nie mój. Ta kobieta z sądu chciała mnie umieścić w domu, gdzie za utrzymanie pomagałabym zajmować się sierotami. Gdyby mnie wzięła, uciekłabym stamtąd.

- Przyjechałam, jak tylko dostałam list od Mamy.
- Dlaczego nie wzięłaś i mnie, kiedy zabierałaś Johnny'ego?
- Nie mogłam cię wziąć bez zgody Mamy. Chciałam, ale ona nie pozwalała.
- Powinna była wtedy umrzeć.

Usłyszawszy te wypowiedziane półgłosem słowa, Henry Ann aż się wzdrygnęła na myśl o tym, co ta dziewczyna zdążyła zobaczyć w swoim krótkim życiu. Dziękowała Bogu, że została z tatą. Egoizm matki wyszedł jej na dobre.

- Nie powinnaś mówić takich rzeczy - rzuciła Henry' Ann.
- A czemu nie? Chciała tylko, żebym sprzątała w domu i gotowała, kiedy ona chodziła po knajpach i zadzierała kieckę.

- Ty... nigdy... nie tego, co?
- Nie, nie puszczałam się. Kazała mi wychodzić, jak przychodzili do niej mężczyźni - prychnęła Isabel. - Myślę, że bała się, że mogliby woleć mnie, a nie ją.

- Kochała cię... na swój sposób.
- Nie spodoba mu się, że noszę jego nazwisko.
- Komu, Tacie?
- Mama mówiła, że chyba by go pogięło, gdyby przysłała mu jeszcze jednego swojego dzieciaka.

- Nie chcę słuchać, co Mama mówiła o Tacie. Zostawiła nas i odeszła ze sprzedawcą samochodów. Miałam zaledwie trzy lata. Tata musiał pracować i zajmować się mną. Ona wracała od czasu do czasu... jak potrzebowała pieniędzy. Z tego, co wiem, Tata dawał jej, ile mógł. Zawsze kiedy go prosiła.

- A mówiła, że to skąpiradło.
- Isabel! Dość tego. Jej samej daleko było do doskonałości.
- Była dziwką.
- Boże, zmiłuj się!
- Wielkie rzeczy. A jak ty nazywasz kobietę, która mężczyzn zmienia częściej niż pościel, a jeszcze sypia z innymi na boku?

Henry Ann wpatrywała się w twarz młodzietkiej dziewczyny i z zalem myślała, jak ponure musiało być jej życie z ich wspólną matką. Dotąd widziała ją tylko raz, przelotnie, cztery lata temu, kiedy pojechała zabrać jej brata, Johnny'ego. Ubłagała ojca, aby pozwolił jej

to zrobić. Mieli wtedy sześć krów, w mieście sprzedawali mleko i śmietanę. Podsunęła mu myśl, że mały mógłby się przydać w gospodarstwie. Chłopiec okazał się tak opryskliwy i gburowaty, że dopiero po roku nauczył się trochę pracy na farmie.

- Musisz zapomnieć o dotychczasowym życiu. Tutaj wszystko będzie inaczej. Tu będę ja i Tata, i Johnny, żeby ci pomóc i żeby cię kochać.

- Johnny nie będzie.

- Tego nie wiesz. Nie widziałas go od czterech lat.

- Mama mówiła, że jest taki sam jak tata: pijaczyna i dupa wołowa.

- Boże drogi! Zdaję sobie sprawę, że przez całe życie używałaś tych wulgarnych słów, ale w naszym domu - teraz również twoim - są nie do przyjęcia.

- Kto tak mówi?

- Ja... I Tata też. Nie pozwolimy na to. Musisz zerwać z tym nawykiem, zanim pójdziesz do szkoły, o ile w ogóle chcesz mieć jakichś przyjaciół.

- Nie będą mnie tam lubić. Ja ich też nie - Isabel podniosła pudło i ruszyła przed siebie.

Henry Ann nie widziała matki od ponad czterech lat, kiedy nadszedł list, że umiera. Bez chwili zwłoki wyruszyła do miasta, aby zobaczyć jeszcze raz niegdyś tak piękną matkę. Ujrzała wrak kobiety. W wieku trzydziestu dziewięciu lat jej matka wyglądała jak staruszka. Niecałe sześć godzin po przyjeździe Henry Ann, umarła.

Ed Henry uwielbiał swoją młodziutką żonę, ale nigdy nie umiał jej uszczęśliwić. Szczerze pogardzała statusem żony i matki. Dała upust swej goryczy nazywając córeczkę Henry Henry. Bądź co bądź to było jego dziecko; ona jej nie chciała. Dorene zostawiła ich parę lat później. Ed nie wystąpił o rozwód, a urzędowe potwierdzenie ich rozstania nie miało znaczenia również dla niej.

Henry Ann przyzwyczaiła się do swego imienia, nawet je polubiła, chociaż, prawdę mówiąc, swego czasu musiała znosić z jego powodu sporo docinków. Dzieciakom w szkole wydawało się dziwne. Odgłos nadjeżdżającego samochodu wyrwał ją z zamyślenia. Kazała Isabel zejść na pobocze. Samochód zwolnił, w końcu zatrzymał się przy nich. Henry Ann widziała parę razy, jak przejeżdżał przed ich domem, ale nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że należał do sąsiada.

- Podwieźć was? - Mężczyzna był wysoki, śniady i trzymał w zębach fajkę. Miał kruczoczarne, gęste i lekko zwichrzone włosy. Jego ciemne oczy wpatrywały się w nią badawczo. - Jesteś córką Eda Henry'ego. Nazywam się Thomas Dolan. Mieszkam zaraz za waszą farmą.

- Pamiętam, jak się pan wprowadzał. Poznałam pańską żonę.
- Mogę was podzucić, jeśli chcecie. Jak nie, to jadę.
- Będziemy wdzięczne.
- Proszę położyć walizkę z tyłu i wejść od tej strony. Tylko ostrożnie. Mam z

tyłu szklaną lampę.

Mam nadzieję, że posłuży nam dłużej niż ta ostatnia. Szklane lampy źle znoszą rzucanie nimi o ścianę.

Isabel odczekała, aż Henry Ann wsiądzie pierwsza, nie chciała siadać obok mężczyzny. Jak tylko obie się usadowiły, Thomas Dolan uruchomił silnik i ruszył. Biodro Henry Ann przylegało ściśle do jego biodra. Aby na niego nie patrzeć, spoglądała prosto przed siebie.

- Jak się miewa pani Dolan?
- Dziękuję, dobrze.
- Jest bardzo piękna.

Odchrząknął, ale nie odpowiedział. Zapadło krępujące milczenie.

- Dwa razy w miesiącu spotykamy się na szyciu w kościele. Chętnie zabrałabym z sobą panią Dolan, gdyby miała ochotę.

- Obawiam się, że nie. - A po dłuższej przerwie dodał: -Nie chodzi do kościoła.

Kłopotliwa cisza, skończyła się, kiedy stanęli na drodze przed domem Henrych, a Isabel zapytała:

- Czy to tu?
- Tak, to tu. Dziękuję panu, panie Dolan. Proszę powiedzieć żonie, że będzie mi miło, jeśli nas odwiedzi.
- A to czemu? Nie przywitała pani mile, kiedy pani do niej wpadła.
- Skąd pan wie? O ile dobrze pamiętam, pana wtedy nie było - spojrzała na

niego. Jego ciemne oczy uchwyciły i wytrzymały to spojrzenie.

- Znam swoją żonę.

Czarne włosy opadły na czoło Dolana. Ciężkie, czarne bokobrodów nadawał jego twarzy nieco złowrogi wyraz. Jego oczy wnikliwie badały jej twarz. Gdyby tylko uwierzyła w to, co zobaczyła w jego oczach - że była w nich samotność... i ból. Wielkie dłonie pokryte kępami czarnych włosów zaciskały się na kierownicy, kiedy czekał aż ona wsiądzie.

Ale najeżony i...,kruchy, pomyślała i rzekła:

- W takim razie będzie nam miło... jeśli pan zechce wpaść z wizytą.
- Będę już jechał.

- Dobrze. Dziękuję za podwiezienie. - Henry Ann zeszła na skraj drogi i samochód ruszył, wznosząc tuman kurzu.

Dom wyglądał dobrze. Zawsze miała takie wrażenie, kiedy tu wracała, nawet po niedługim czasie. Całe życie spędziła w tym porządnym białym domu z dwoma pokojami od frontu, dwoma z tyłu i ogrodzonym gankiem służącym za kuchenny taras. Strome schody wiodły na stryszek, gdzie spał Johnny. Weranda z żelazną poręczą otaczała dom z dwóch stron. Pół tuzina orzechowców ocieniało podwórze. Nieopodal stała średniej wielkości stodoła, szopa i obora. Był tu też niewielki wybieg dla zwierząt, a za stodołą chlew. Między domem a zabudowaniami gospodarskimi była kamienna studnia z wiadrem wiszącym na wale korby, a dalej - schron przeciwburzowy z zatraskiwanymi drzwiami w ziemi.

- Aaa - pisnęła Isabel, kiedy zza domu wyłonił się wielki włochaty pies, machając radośnie ogonem.

- To Shepa. Nie zrobi ci krzywdy - Henry Ann nachyliła się, aby podrapać wielki skołtuniony łeb. - Tęskniłaś za mną, Shepa? To Isabel. Na pewno się zaprzyjaźnicie, jak się już poznacie.

- Nie lubię psów. On mnie zaraz... pogryzie.

- Ona gryzie tylko wtedy, kiedy się broni. Albo żeby mnie obronić. Ale dobrze już, wejdźmy do domu.

Isabel weszła za Henry Ann, zerkając z obawą na psa. W domu było chłodno i cicho.

- Wygląda na to, że Taty nie ma.

- Jestem.

Głos dobiegł z niewielkiego pokoju. Henry Ann podeszła do drzwi i zobaczyła ojca leżącego w ubraniu na łóżku.

- Jesteś chory? - zapytała marszcząc z niepokojem brwi i stanęła przy jego łóżku.

- Nie. Tylko brzuch mnie boli. Ale przejdzie. - Podniósł się i opuścił stopy na podłogę.

Ed Henry nie był mocno zbudowany. Był raczej szczupły, a od ciężkiej pracy nabrał czerstwego wyglądu. Henry Ann, która rzadko widywała go chorego, odnotowała teraz z niepokojem, że mimo opalenizny jego twarz była wyraźnie zaczerwieniona, a dłonie zaciśnięte w pięści. Rzadkie posiwiałe włosy wyglądały, jakby przeszedł przez nie teksański wichur.

- Może napijesz się wody sodowej? Jakbyś zwymiotował, może poczułbyś się lepiej?

- Już to zrobiłem. Zostaw mnie teraz, zdejmij kapelusz. Przywiozłaś

dziewczynę?

- Tak. Wejź, Isabel.

Dziewczyna weszła do pokoju, trzymając w rękach swe pudło. Stała blisko Henry Ann i spoglądała na siedzącego na łóżku mężczyznę, jakby spodziewała się, że ten skoczy zaraz, żeby ją ugryźć.

- Witaj - Ed przyglądał się jej spokojnie. - Wyglądasz trochę jak twoja mama, kiedy zobaczyłem ją pierwszy raz.

Isabel wbiła wzrok w podłogę.

- Jest nieco zmęczona. Obie jesteśmy zmęczone. - Henry Ann zdjęła kapelusz. - Miałyśmy postój w Ardmore, a potem pół drogi z miasta szłyśmy na piechotę, zanim nie podwiózł nas pan Dolan.

- Pokaż jej, gdzie będzie spała, a ja za chwilę się pozbieram.

- Nie wstawaj. Przyniosę ci kolację.

- Nie chcę jeść.

- Gdzie Johnny?

- Nie widziałem go ze dwa dni.

- Nie pomógł ci taszczyć tych pniaków?

- Wybrał się gdzieś z Petem Perry.

- A niech go diabli! - wykrzyknęła Henry Ann. - Mówiłam mu, żeby się trzymał z dala od Perrych, bo skończy w więzieniu.

- Ma prawo, kochanie, spotykać się z krewnymi.

- Mówiłam ci - Isabel opuściła pokój tuż za Henry Ann. - Mama mówiła, że z niego taki sam nicpoń jak z jego ojca.

Henry Ann przeszła do pokoju przy kuchni.

- To mój pokój. Będziemy tu spały. Włóż swoje rzeczy do szafy. - Zdjęła podróżną sukienkę i powiesiła ją na wieszaku. Siedząc na łóżku w halce, zdjęła buty i pończochy.

- Mama... była kiedyś ładna. Czy chciał przez to powiedzieć, że ja też jestem ładna?

- Oczywiście. Ale być ładną to jeszcze nie wszystko. Trzeba mieć trochę zdrowego rozsądku. Popatrz tylko, co stało się z naszą matką.

- Była latawicą, ale mężczyźni szaleli za nią.

- Była niemądra, samolubna i całkowicie niemoralna. To, że była ładna, tylko jej zaszkodziło. Niewłaściwi mężczyźni kręcili się wokół niej.

- Dobrze! Nie zapominaj, że mówisz o mojej mamie, a ona... nie żyje. Tak nie wolno!

Henry Ann pokręciła głową. Nie tak dawno to Isabel nazwała ich matkę dziwką. A teraz jej broniła. Henry Ann włożyła sukienkę, której używała do pracy, zapięła ją i sięgnęła po noszone na co dzień buty.

- Nie chciałam być niemila, ale każde słowo, które powiedziałam to prawda. Możesz pójść w jej ślady i skończyć jak ona, a możesz żyć uczciwie. Jedyne, co ja i Tata możemy dla ciebie zrobić, to dać ci dom, tak jak daliśmy go Johnny'emu. Reszta zależy od ciebie.

- Może powinnam była pójść do tego domu dziecka.

- Jeśli tego chcesz, Tata da ci pieniądze na bilet. Skończyłaś niedawno piętnaście lat. Mama była w tym wieku, kiedy wyszła za Tatę. Chcielibyśmy, żebyś została z nami, skończyła szkołę i miała lepsze życie niż Mama. Ale to zależy tylko od ciebie.

- Przecież przyjechałam z tobą, nie? A mogłam znaleźć pracę i zostać w mieście,

- Na przykład jaką pracę? Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nie łatwo dzisiaj o pracę. - Henry Ann odwróciła się, żeby nie okazać, że coraz trudniej jej utrzymać nerwy na wodzy.

- Mogłabym pracować w barze albo sklepie - upierała się Isabel.

- Załóż jakąś starą sukienkę. Mamy trochę roboty przed kolacją.

- Jakiej roboty? Nie najęłam się tu za służącą.

- A co? Myślałaś, że będziesz tu gościem? Teraz to twój dom. Dzielimy się pracą.

- Założę się, że Johnny nic nie robi - mruknęła pod nosem, zdejmując sukienkę przez głowę.

Henry Ann wyszła. Musiała znosić humory Isabel przez całą drogę z Oklahoma City i nie była pewna, ile tego będzie w stanie wytrzymać, zanim straci panowanie nad sobą. Przystanąła na chwilę w drzwiach pokoju ojca, który znowu się położył.

- Co zostało do zrobienia, Tato?

- Zagoń kurczaki, kochana, i rzuć trochę siana krowom. Nie najlepiej mi poszło z dojeniem, ale to, co nadoiłem, stoi na werandzie. I... jeszcze nie odlałem mleka na rano.

- W porządku. Zrobię to rano. Martwię się o ciebie. - Henry Ann podeszła do łóżka i położyła mu rękę na czole. - Masz gorączkę.

- Niewielką. Nic mi nie będzie.

- Przyniosłam ci gazetę. Prezydent Hoover grozi, że wyśle wojsko, aby przegonić weteranów, którzy pomaszzerowali na Waszyngton. Domagają się dodatku do renty.

Koczują tam od kilku miesięcy, zbudowali nawet miasto z namiotów. Okazałby się niewdzięcznikiem, gdyby wysłał na nich uzbrojone oddziały. To przecież oni uchronili nas przed Kaiserem.

- Taak, pewnie. Czy złapali już człowieka, który porwał dziecko Lindbergha?

-Jeszcze nie, ale trochę o tym piszą. Chcesz sobie poczytać? Podam ci gazetę i włączę światło.

- Jutro przeczytam - jego głos brzmiał obco i słychać było, jak ciężko oddycha.

- Odebrałeś już lampę do radia?

- Nie, kochanie, zupełnie o tym zapomniałem. Zostaw mnie teraz. Już prawie ciemno.

Ed Henry miał wiele rzeczy na głowie. Leżał na łóżku, poprzez gęstniejący mrok wpatrując się w sufit, przypominając sobie dzień, w którym tu przybył. W wieku dwudziestu pięciu lat odziedziczył to miejsce po bezdzielnym wuju, który zginął w powodzi. Ed często odwiedzał wuja i zakochał się w farmie od pierwszego wejrzenia - sto akrów wspaniałej ziemi pod uprawę bawełny, dwieście akrów pastwisk i solidny dom. Całość nie była zadłużona nawet na centa. Przyrzekł sobie, że nigdy nie odda tej ziemi w dzierżawę. Jak dotąd udało mu się dotrzymać przyrzeczenia.

Marzył o tym, by dochować się tu dużej rodziny, kupić więcej ziemi i pomagać własnym dzieciom. Nie wyszło. Młoda dziewczyna, którą wybrał sobie na żonę, była wprawdzie piękna, ale wkrótce to piękno miało się okazać bardzo powierzchowne. Miała paskudną duszę, co dotarło do niego niedługo po ślubie. Dała mu Henry Ann i ten dar sprawił, że nie znienawidził jej do szczętu.

Kiedy Henry Ann dorosła, przepisał ziemię na nią, bojąc się, że gdyby jemu coś się stało, majątek odziedziczyłaby Dorene, w świetle prawa będąca nadal jego żoną. Teraz, na szczęście, nie było już obawy, że mógłby wyniknąć tego typu kłopot. Tyle że w świetle prawa jej dzieci były jego dziećmi.

Panie Boże, czemu się z nią nie rozwiódł?

Przed miesiącem doktor Hendricks powiedział mu, że w jego brzuchu rozwija się rak. Już niedługo jego kochana Henry Ann będzie musiała sama zajmować się dwójką dzieci Dorene. Chciał, żeby sprowadziła tu Isabel, mając nadzieję, że dziewczyna posiadać będzie niektóre z dobrych cech Henry' Ann. Mogłaby jej pomóc. Z Johnnym rzeczy miały się inaczej. Wiedział, że coś najwyraźniej gryzie chłopaka. Wiedział też, że jeśli się nie uspokoi, najpewniej skończy za kratkami w McAlester.

Ed miał nadzieję, że dożyje chwili, kiedy Henry Ann znajdzie sobie jakiegoś dobrego

mężczyznę i będzie miała z nim własne dzieci. Teraz zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie nie będzie mu to dane. Jego Henry Ann była silna, rozsądna i nie w ciemnie bita. Chciał, żeby poszła do college[^], ale to oznaczałoby konieczność wydzierżawienia gruntów, a ona nawet słyszeć o tym nie chciała. W ciągu ostatnich paru tygodni poczynił pewne kroki, aby ułatwić jej, co się da. Po swojej śmierci.

Ed sporządził w głowie listę znanych sobie samotnych mężczyzn. Większość z nich przychodziła od czasu do czasu w zaloty, ale żaden jakoś nie wpadł Henry Ann w oko. Niedługo wielu będzie chciało ją poślubić. Czasy były ciężkie i nawet jeśli ten głupiec, Hoover, przegra w wyborach, nie wiadomo było, czy coś się polepszy. Kobieta z trzystu akrami wolnymi od długu będzie smacznym kąskiem.

Pozostawiał córkę w całkiem dobrej sytuacji. Ostrożnie wydawał pieniądze, ostrożnie, żeby nie popaść w długi.

Szykowałby się dobry zbiór bawełny, gdyby jakiś mądrała nie spowodował niewielkiego wytrysku ropy, która zalała wszystko oleistą mazią. Zdążył jednak zaoszczędzić trochę twardej gotówki. Umysł Eda pogalopował do zbioru bawełny. Przyszło mu do głowy, że może go już nie zobaczyć.

Nowego sąsiada spotkał raz czy dwa. Thomas Dolan nie był zbyt przyjazny, ale wyglądał na uczciwego. Kupił farmę Perdiego, kiedy stary umarł. Wyglądało na to, że żyją tam z dnia na dzień. Ludzie mówili, że jego żona pochodzi z bogatej rodziny w Teksasie i jak mogła sprzeciwiała się przeprowadzce na farmę. Ed wiedział, jak trudno prowadzić farmę i zajmować się dzieckiem bez pomocy kobiety.

Ciotka Dozie mówiła, że słyszała, że pani Dolan rzadko wychodzi z domu, a jak już wychodzi, to tylko siedzi na werandzie ubrana, jakby wybierała się do kościoła. Raz na jakiś czas Dolan proponował jakiejś dziewczynie ćwierć dolara, żeby przyszła posprzątać; ale dziewczyna, choćby nie wiem jak chciała dostać te ćwierć dolara, nie chciała tam iść, bo bała się pani Dolan. Dziewczyna mówiła, że pan Dolan robi wszystko sam, nawet pranie, a ostatnio zaczął zabierać małego synka w pole.

Sytuacja ta przypominała Edowi te parę lat, które spędził z Dorene. Jemu i Henry Ann było lepiej bez niej, ale wtedy, gdy odchodziła, nie wiedział, jak poradzi sobie z gospodarstwem, skoro będzie musiał zajmować się małym dzieckiem.

Tom Dolan może zgodziłby się pomóc w polu w zamian za pożyczanie mu mułów do obrobienia jego pola. Dolano-wie kiepsko razem wyglądali za pługiem.

Johnny miał do tego smykałkę i przez moment zdawało się nawet, że trochę się uspokoił. Potem jednak zgadał się z kilkoma krewniakami matki, znanymi w okolicy

przemytnikami alkoholu i koniokradami. Wyglądało na to, że przekonali go, że istnieją szybsze i łatwiejsze sposoby zarabiania pieniędzy niż powożenie parą mułów. Henry Ann nie będzie mogła na nim polegać.

Pierwsze, co zrobi rano, postanowił Ed, to pojedzie do miasta. O ile uda mu się uruchomić samochód. Zobaczy się z doktorem Hendricksem, żeby dowiedzieć się, ile czasu mu jeszcze zostało. Potem porozmawia z szeryfem i poprosi, by miał oko na to, co dzieje się u Henry Ann.

Rano Edowi wydawało się, że oszaleje z bólu. Czuł się tak, jakby ktoś wiercił mu w brzuchu rozpalonym żelazem.

Jego stłumione jęki ściągnęły do sypialni zaniepokojoną Henry Ann.

- Tato! Tato!

- Kochana. Daj... tę butelkę... z górnej szuflady. Wyjęła butelkę i przerażona spojrzała na naklejkę.

- Tato, to laudanum!

- Tak, tak. Dodaj trochę do wody.

- Od jak dawna to bierzesz?

- Pośpiesz się. Potrzebuję tego.

Henry Ann pobiegła do kuchni po wodę. Wróciła, zatkała butelkę palcem i wpuściła parę kropeł do szklanki.

- Więcej.

Dodała jeszcze kilka kropeł i podtrzymała mu głowę, żeby mógł to wypić.

- Od jak dawna to bierzesz? Butelka jest prawie pusta.

- Muszę się zobaczyć z doktorem Hendricksem. - Oddychał z trudem przez otwarte usta. - Kiedy minie ból... wstanę z łóżka.

- Tato, ty byłeś chory, kiedy wyjeżdżałam do miasta! Czemu mi nic nie powiedziałeś?

- Córeczko - jego oczy przyćmione bólem rozglądały się za nią. - Jeśli coś mi się stanie...

- Nic się nie stanie, Tato - powiedziała prędko. - Zabieram cię do doktora, a potem do szpi... tala w Wichita Falls. - Głos się jej załamał. Była przerażona.

- Kochanie, słuchaj - obrócił ku niej głowę. - Daj mi chwilkę odpocząć.

Henry Ann uklękła przy łóżku.

- Co mogę zrobić, Tato? Czy to brzuch?

- Nic się nie da zrobić, kochanie. Jest coś, co musisz wiedzieć. Ukryłem pieniądze. Dobrze zrobiłem. Myślę, że bank zbankrutuje - chwycił ją za ramię, przyciągnął do siebie i wyszeptał: w starej zardzewiałej bańce w chwastach przy oborze. Bańka ma plamę od czarnej farby. Nie pozwól, by cię ktoś zobaczył, jak będziesz szukać. Ani dziewczyna... ani

Johnny.

- Przerażasz mnie.
- Słyszysz mnie, córeczko?
- Słyszę, Tato.
- Kochanie, byłaś całym moim życiem. - Jego dłoń zsunęła się po jej ramieniu i opadła na łóżko.

- Wiem. A ty jesteś najlepszym tatą, jakiego znam.

Łzy napłynęły jej do oczu. Jego powieki opadły. Odgarnęła włosy spadające mu na czoło. Zawsze były trochę przerzedzone. Ale Boże! Czemu nie zauważyła wychudłych policzków, kościstego czoła i podkrążonych oczu?

- Co się z nim dzieje? - do pokoju cicho weszła Isabel.
- Jest bardzo chory - Henry Ann była niezadowolona z jej nadejścia. Chciała zostać z Tatą sama.

- Co tak szeptał?
- Nic ważnego.
- Szeptał, bo nie chciał, żebym usłyszała.
- Słuchałaś?
- Nie...

Kłamiesz. Słyszałam, jak w łóżku zaskrzypiały sprężyny, kiedy wstawiałaś. Słyszałam, jak skrzypiała podłoga, kiedy wyszłaś z pokoju i podeszłaś do drzwi. Ile usłyszałaś?

- Ubierz się. Mamy sporo do zrobienia, kiedy on odpoczywa. Potem napiszę ci parę słów do doktora, zanieśiesz mu kartkę.
- Do miasta? Jak się tam dostanę?
- Możesz się przejść. Chyba masz dwie nogi, co?

W głosie Henry Ann słychać było zniecierpliwienie. Spoglądała na człowieka, który ją kochał i który zajął się nią po odejściu matki.

Kiedy upewniła się, że ojciec śpi, Henry Ann wyszła wydoić krowy. Zeszłego wieczora pokazała Isabel, jak się karmi kurczęta, i teraz pozostawiła ją samą w kurniku. Wychodziła z obory z wiadrem mleka, które niosła na werandę, kiedy usłyszała silnik samochodu. Postawiła gwałtownie wiadro i pobiegła do drogi. Zamachała obiema rękami i czarny coupe, którym jechała zeszłego popołudnia, zatrzymał się. Podbiegła do samochodu od strony kierowcy.

- Panie Dolan, mój ojciec ciężko zachorował. Czy nie mógłby pan przekazać doktorowi Hendricksowi, żeby szybko przyjechał?

- Z przyjemnością, proszę pani.

- Nie jedziemy przez Red Rock - mówiąc to pani Dolan wychyliła się przez okno. Była drobna, miała jasne blond włosy i wielkie, niebieskie oczy. Mały ciemnooki chłopiec stał na siedzeniu pomiędzy Dolanami, opierając się o ramię ojca. - Jedziemy do Wichita Falls i dalej do Conroy. Moja matka zaprosiła nas na kolację.

- Cóż, w takim razie... - twarz Henry Ann poczerwieniała.

- Będzie pani musiała znaleźć kogoś innego do załatwiania swoich spraw.

Pani Dolan cofnęła się w głąb samochodu i dała ręką znak mężowi, żeby jechał.

- Zawiadomimy lekarza - Dolan zignorował protesty żony. - Powiedzieć mu, że to pilne?

- Proszę powiedzieć, że Tata ma straszne bóle.

- Thomas, nie mamy czasu jechać do Red Rock. Mama chce, żebyśmy byli przed południem. No i... Jay chce zobaczyć swoją babcię. Prawda, Jay? - jej głos podniósł się o ton i zabrzmiał wręcz piskliwie. - Powiedz, że tak! - jej ręka schwyciła chłopca i potrząsnęła nim.

Mężczyzna nie okazał żadnych emocji na widok wybuchu żony. Wziął dziecko i posadził je sobie na kolanach. Oczy chłopca pojaśniały. Uśmiechnął się promiennie do Henry Ann, a jego drobne rączki chwyciły kierownicę i jęły poruszać nią, jakby prowadził.

- Przekażę wiadomość lekarzowi - powiedział spokojnie Dolan.

- Dziękuję panu - Henry Ann odsunęła się na skraj drogi.

Pani Dolan zwróciła się do męża, nie czekając nawet aż samochód ruszy. Mówiła głośno i gniewnie.

- Nie jedziemy do Red Rock!

- Uspokój się, Emma-Jean. To zajmie tylko parę minut.

- Jedziemy prosto do mamy. Obiecałeś. Ale ty nigdy nie dotrzymujesz obietnic. Wolisz sprawić przyjemność głupiej chłopce niż mnie. Prawda?

Henry Ann przyglądała się, jak samochód znika w tumanie kurzu. Ta kobieta była najbardziej samolubną istotą, jaką kiedykolwiek widziała.

Drugie spotkanie z panią Dolan nie było wcale przyjemniejsze od pierwszego.

Nic dziwnego, że pan Dolan chodził z kwaśną miną.

Jakiś tydzień albo dwa po tym, jak się Dolanowie sprowadzili, Henry Ann przeszła przez pola, żeby odwiedzić sąsiadów. Był gorący majowy dzień. Nie zaproszono jej do środka ani nie zaproponowano nic do picia. Pani Dolan ubrana w piękną sukienkę z różowej organdy przepasana atłasową wstęgą wyszła na ganek i poinformowała ją, że odwiedziny

przyjmuje tylko w niedzielne popołudnia. Henry Ann odeszła zdumiona i zawstydzona.

Teraz stała na drodze i patrzyła na samochód wiozący tę dziwną parę dopóki nie zniknął za zakrętem.

Tom Dolan myślał, że już przestał się wstydzić rzeczy, które jego żona mówiła bądź robiła. Ale widok zdumionej twarzy Henry Ann, kiedy Emma-Jean tak obcesowo odmówiła zawiadomienia lekarza, nie tylko go zawstydził, lecz i rozgniewał. Gotów był udusić żonę.

Boże Wszechmogący! Czy do końca życia będzie płacił za tę jedną noc, kiedy po alkoholu zachciało mu się kobiety? Jedyna dobra rzecz, jaka z tego wynikła, to Jay. W ciągu ostatnich paru lat zaczął już wierzyć, że jest w stanie znieść zachowania Emmy-Jean i jej rodziny ze względu na dziecko: porzucenie Emmy-Jean oznaczałoby zostawienie dziecka. Jej rodzina dała mu to wyraźnie do zrozumienia.

Tom był jednym z szóstki dzieci wychowanych na farmie w okolicach Dunlap w Nebrascie. Mówiono o nich „ci dzicy Dolanowie”. Dzicy i grzeszni! „Picie, karty i tańce zaprowadzą ich prosto do piekła” - mawiał o nich szalony stary kaznodzieja Holy Roller. Rzecz jasna, dla starego kaznodziei wszyscy katolicy byli poganami skazanymi na ogień piekielny.

Może i byli poganami, ale Dolanowie byli też szczęśliwą rodziną. Mike, jeden ze starszych chłopców, poszedł na wojnę i przeżył ją, a potem wrócił, by odnaleźć Letty Pringle, córkę starego kaznodziei. Ojciec wyrzucił ją z domu, kiedy odkrył, że jest w ciąży z Mike'em. Duncan, starszy brat Mike'a, zginął w katastrofie kolejowej w Montanie. Jedna z jego sióstr zmarła jako dziecko podczas epidemii grypy. Inna siostra poślubiła kolejarza i przeniosła się do Lincoln. Hod, rok młodszy od Toma, był agentem federalnym. Kiedy Tom ostatnio o nim słyszał, pracował gdzieś w okolicach Kansas City. Rodzice Toma już nie żyli, a ich dzieci rozpierzchły się po świecie.

Smykałka Toma do silników wszelkiego rodzaju przywiodła go do ośrodka wydobywania ropy naftowej Healdton w Oklahomie. Znalazł pracę w pobliżu Wirt, znanego powszechnie jako Szmaciane Miasto. Było to bowiem na prędcie zbudowane miasto namiotowe, w którym mieszkali przybyli z całego kraju robotnicy, pracujący przy wydobywaniu ropy. Szmaciane Miasto stało się siedliskiem hazardzistów, przemytników alkoholu i prostytutek dybiących na robotnicze wypłaty.

Praca Toma polegała na obsłudze silników w miejscach odwiertów, gdzie wydobywano gaz i ropę. Kiedy nie było już tylu odwiertów, co wcześniej, powędrował na południe. Pracował przy samochodach, ścigał się na motocyklu i odkładał wszystkie

pieniądze, jakie wpadały mu w ręce. Marzył, że uda mu się otworzyć salon sprzedaży samochodów. Teraz myślał, że to pech przywiódł go do Wichita Falls, gdzie poznał Emmę-Jean. Pochodziła z Conroy, miasta nazwanego tak na cześć jej dziadka, sędziego Jasona P. Conroya.

- A to nie wszystko. Tacie nie spodoba się, że żyję w tej szopie bez światła. Zaczekaj aż mu powiem, że u tych Henrych jest prąd. To niesprawiedliwe.

- Pan Henry zapłacił za instalację i wszystkie druty, które tu podłączono. A ja zapłaciłem wszystko, co mogłem wskrobać, żeby dostać tę farmę - po tym komentarzu Tom pozwolił Emmie-Jean kontynuować jej tyradę. Nauczył się „wyłączać” dźwięk jej głosu, kiedy w żaden sposób nie dawało się przemówić jej do rozsądku.

- Tata napisał w liście, że Marty jest w domu i będzie z nim pracował. Będą kopać studnię wiertniczą i zarobią mnóstwo pieniędzy. Marty skończył szkołę, gdzie uczył się o minerałach i górnictwie. Ty nie masz bladego pojęcia, jak zarabiać pieniądze. Znasz się tylko na Starych zasmarowanych silnikach i... oraniu w zakurzonej ziemi.

Słowa Emmy-Jean przepływały nad głową Toma. Myślni był przy pannie Henry. Z tego, co słyszał, to miła kobieta. Ma najpiękniejsze brązowe oczy, jakie kiedykolwiek widział. Nie było w nich ani krztyny udawania czy przebiegłości. A jej włosy, w kolorze skorupki orzecha, spadały naturalnymi falami na ramiona. Nie to co starannie ufrizowane włosy Emmy-Jean z przylizany mi lokami na czole i na policzkach.

Nie musiał być długo w tym mieście, aby usłyszeć opowieść o Dorene Henry, należącej do otoczonego złą sławą klanu Perrych. Henry Ann wyjechała do Oklahoma City, żeby pochować tę kobietę i przywieźć jej drugie dziecko. Chłopca ani dziewczyny nie można było winić za grzechy matki. Przyszło mu do głowy, że panna Henry też tak musiała myśleć.

- Ale jeśli... będziesz tam siedział dłużej niż pięć minut, zacznę krzyczeć i trąbić klaksonem.

Tom zaparkował przy budynku, w którym mieścił się gabinet doktora. Sięgnął pod kierownicę, rozłączył klakson, wysiadł z samochodu i wyciągnął ręce po synka. Usadowił go sobie na biodrze i ruszył do drzwi.

Doktor Hendricks był jasnowłosym, przyjaźnie uśmiechniętym mężczyzną tuż po pięćdziesiątce. Wychylił się z gabinetu, kiedy Tom otworzył drzwi.

- Dzień dobry, Tom.

- Cześć, doktorze.

- Co dobrego, Jay? Ciągłe jesteś na mnie zły za tamtą szczepionkę? - Jay ukrył twarz w ramieniu ojca. - Wcale ci się nie dziwię. Bolało, co? Co z nim, Tom?

- Z nim wszystko w porządku. Panna Henry zatrzymała mnie, kiedy przejeżdżałem. Pan Henry ma potworne bóle.

- Oho, obawiałem się tego. Wezmę trochę morfiny i zaraz do niego pojadę.

Doktor Henry jął wyjmować jakieś rzeczy z szafki i pakować do torby. Patrząc na jego twarz Tom odgadł, że Ed Henry jest poważnie chor)'.
-

Przykro mi, że z nim tak źle. Spotkałem go tylko parę razy, ale wydawało mi się, że poczciwy z niego facet.

- Był... jest najlepszy z najlepszych. Sól ziemi - doktor Hendricks odwrócił się, aby zdjąć płaszcz z wieszaka.

- Daj mi znać, jeśli będę mógł jakoś pomóc.

- Dzięki, żeś mnie zawiadomił. Lepiej już pojadę.

Henry Ann zdołała powiedzieć tylko „dzień dobry”, gdy doktor się pojawił. Ten od razu wszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi.

Czekała teraz, siedząc na krześle w saloniku i wpatrywała się pustym wzrokiem w oprawioną fotografię. Ona na kucyku, obok stoi Tata, trzymając wodze. Nie myślała jednak o obrazku. Myślni była przy Tacie i z niepokojem wyczekiwała, co powie lekarz. Dzięki Bogu pan Dolan pojechał prosto do jego gabinetu mimo obiekcji swojej opryskliwej żony.

Isabel w tym czasie łuskała groszek na ganku od podwórza. Henry Ann wolałaby, żeby dziewczyny tu nie było - żałowała, że przywiozła ją i Johnny'ego do domu. Żałowała, że nie jest z ojcem sama, jak w tych latach, kiedy dorastała.

Jej Tata umierał. Wyczytała to z twarzy lekarza, kiedy tylko ten stanął w drzwiach. Tata był chory, może od paru miesięcy, ale nic jej nie powiedział, żeby się nie martwiła. Jak zawsze dźwigał brzemień samotnie. Zajmował się nią bez żadnej skargi, bez narzekania na kobietę, która ich opuściła.

Co by bez niego zrobiła!

Otworzyły się drzwi i doktor przesunął sztabkę, która je przytrzymała, aby powietrze mogło krążyć.

- Śpi. Wyjdźmy na podwórze - pchnął drzwi z siatki i wyszli na dwór. Ze ściśniętym sercem zeszła po schodach werandy i oparła się o potężny pień orzechowca, na którym wciąż wisiał kawałek liny, pozostałość po jej dziecinnej huśtawce.

- On umiera, prawda? - te słowa z najwyższym trudem przeszły jej przez usta.

- Tak. To już nie potrwa długo.

- Czy nie może pan... czegoś zrobić? - mówiąc to przetykała łyzy, ale trzymała głowę w górze i patrzyła mu prosto w oczy.

- Mogę tylko sprawić, żeby tak nie cierpiał. Ma raka żołądka. Kiedy przyszedł do mnie dwa miesiące temu, powiedział, że pluje krwią. Myślałem, że to zwykły wrzód. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że to rak. Przepisałem mu laudanum. To lek uzależniający, ale wiedziałem, że pozostało mu niewiele czasu. Teraz musi dostawać coś mocniejszego. Dałem mu morfinę.

Henry Ann odwróciła się i pozwoliła, by łyzy spływały jej po policzkach.

- Straciłam w mieście cały tydzień, kiedy mogłam być tutaj, przy nim.

- Chciał, żebyś pojechała. Mówił mi. Powiedział, że musisz zrobić, co można, dla swojej matki. Przez wzgląd na siebie, nie na nią.

- On jest... właśnie taki.

- Czy chciałabyś, żeby ktoś z tobą zamieszkał? Jest ktoś taki?

- Jest tutaj moja przyrodnia siostra.

- Nie masz tu żadnych innych krewnych?

- Nikogo, kogo bym chciała widzieć.

- Jest jeszcze coś, co muszę ci powiedzieć. W zeszłym tygodniu Ed przyjechał do miasta. Wyjął trochę pieniędzy z banku. Poprosił, żebym wyliczył, ile do końca wyniesie moje honorarium i zapłacił mi. Opłacił też Elmera z zakładu pogrzebowego. Powiedział, że jego zdaniem bank niedługo zbankrutuje, a chciał opłacić swoje rachunki do końca.

Henry Ann zakrztusiła się od płaczu.

- Wiedział, że to już niedługo, prawda?

- Tak. Martwił się, że zostaniesz sama z Johnnym i tą dziewczyną, gdybyś ją przywiozła. Widzę, że tu jest.

- Muszę mu powiedzieć, żeby się nie martwił.

- Musisz pójść do adwokata, Henry Ann. Tych dwoje dzieci nosi nazwisko Eda, mimo że ich nie wychowywał. Może się okazać, że będziesz musiała podzielić się z nimi spadkiem.

- Tata już o tym pomyślał, doktorze. Już dawno przepisał ziemię na mnie. To, co miał w banku, było na jego nazwisko. Wątpię, czy cokolwiek z tego zostało.

- Chciał ci wszystko jak najbardziej ułatwić. Dobry człowiek był z twego Taty.

- Wiem.

- Muszę teraz jechać. Na jakiś czas.

- Dobrze, ale...

- Wrócę za parę godzin. Będzie w tym czasie spał.
- Czy uda mi się z nim jeszcze... porozmawiać?
- Nie jestem pewien, czy powinnaś próbować. Rak w ciągu nocy... nie będę wchodził w szczegóły. Jego stan znacznie się pogorszył. Bez morfiny krzyczałby z bólu. Mogę utrzymać go na morfinie do końca, jeśli sobie tego życzysz.

- Nie chcę, żeby cierpiał.
- Zajrzę do gabinetu i zaraz wracam - doktor położył jej dłoń na ramieniu i lekko uściskał.

Henry Ann siedziała na werandzie i przyglądała się, jak jego samochód zawraca na drodze i odjeżdża w kierunku miasta. Było to takie... nierealne. Powinna teraz przetrząść kartofle w ogrodzie albo zbierać fasolę. Zamiast tego siedzi tu, wykręcając dłonie i czekając, aż umrze jej ojciec. Nic nigdy nie będzie już takie jak dawniej. Zawsze mogła na nim polegać. A wkrótce zostanie sama. Przez głowę przepływały J^e) wspomnienia z dzieciństwa.

Huśtaj mnie, Tato. Huśtaj wyżej.

Trzymaj się mocno, kochanie.

Tato, wiesz co? Panna Brown powiedziała, że mam głos jak ptak. Wybrała mnie, żebym śpiewała na przyjęciu bożonarodzeniowym.

Mówiłem ci to od dawna.

Przepraszam, że dałam za dużo soli do chleba.

W porządku, złotko. Daj ten chleb kurom, to nie będziemy już musieli solić jajek.

Ach, Tato, jaki ty jesteś śmieszny.

Nie tak śmieszny jak ty, piegusku.

Dziękuję, Tato, za nowe pantofelki. Nikt w całej szkole nie ma czerwonych.

Trzaśnięcie drzwi wyrwało Henry Ann z zamyślenia.

- Starczy już groszku? - Isabel pokazała garnek.
- Nie trzaskaj drzwiami!
- Skąd mogłam wiedzieć, że tak trzasną? Wystarczy groszku?
- Chyba tak - Henry Ann wstała.

Samochód doktora znowu zaparkował przed domem i wysiadła z niego kobieta pokaźnych kształtów. Głowę miała obwiązaną niebieską chustą.

- Dzięki za podwiezienie - zawołała Ciotka Dozie i weszła przez furtkę, a doktor ponownie zawrócił i odjechał do miasta.

Henry Ann zeszła po schodach, aby ją powitać. Dozie upuściła pakunek na ziemię i szeroko otworzyła ramiona.

- Wiedziałam, dziecko, wiedziałam. Wiedziałam zaraz, jakem zobaczyła samochód doktora. Już miałam się sama ruszyć, ale doktor zawrócił i przywiózł mnie tu.

Przycisnęła Henry Ann do swej obfitej piersi i przytrzymała, a wtedy ona pierwszy raz rozplakała się, jakby jej serce miało pęknąć. Po chwili odsunęła się.

- Skąd wiedziałaś Ciociu Dozie?

- Złotko, twój Tata przyszedł raz i powiedział, że będziesz mnie potrzebować. Potem powiedział to jeszcze raz tydzień temu po wizycie u doktora. To okropne, dziecko, ale taka jest wola boska. Jakoś musimy to przetrzymać.

- Powiedział ci, że...

- Powiedział: zajmij się moim dzieckiem, jakby co. Ona cię kocha i będzie cię potrzebować, kiedy mnie zabraknie. I oto jestem, dziecko, i będę, jak długo będziesz mnie potrzebować.

- Potrzebuję cię, Ciociu Dozie. Ty i Tata jesteście najbliższymi ludźmi, jakich mam.

- Ze wszystkim damy radę, dziecko. Z bożą pomocą damy sobie radę.

Podtrzymując się wzajem weszły na werandę. Isabel podejrzliwie zerkała na krągłą czarną twarz kobiety.

- To Dozie Jones, Isabel. Znam ją od dziecka. Opiekowała się mną, kiedy byłam mała.

- Masz szczęście. Ja opiekowałam się sama sobą.

- Cześć. Co tu masz, dziewczyno? Ha, świeży groszek. Będzie pyszny, jak ugotuje się go z kartoflami.

- To ugotuj - Isabel wcisnęła garnek w rękę Dozie.

- Wejdzmy, Ciociu Dozie - Henry Ann wzięła garnek z rąk zaskoczonej kobiety.

- Doktor Hendricks powiedział, że Tata pośpi parę godzin.

W kuchni postawiła garnek na stole, chwyciła Isabel za ramię i wypchnęła ją na ganek od podwórza. Gdy wyszły, obróciła ją twarzą do siebie.

- Powiem to tylko raz. Jeśli jeszcze kiedykolwiek będziesz niegrzeczna dla Ciotki Dozie, ani się obejrzyz wsadzę cię do autobusu i odeślę stąd na zawsze. Rozumiesz?

Isabel szarpnięciem uwolniła ramię.

-Jest kolorowa, nie? Możesz się jej przymilać, jeśli chcesz. Ja nie zamierzam się zniżyć do żadnej kolorowej hołoty.

- To dyskusyjne kto jest, a kto nie jest hołotą. Przyszła tu jako przyjaciel. Ostrzegam cię. Jedno nieuprzejme słowo i wynosisz się stąd.

- Nie jestem taka pewna, czy możesz mnie wygonić - jej twarz przybrała chytry wyraz, aż trudno było uwierzyć, że ma dopiero piętnaście lat. - Nazywam się Henry tak samo jak ty. Chociaż fakt: ty nazywasz się Henry podwójnie. Mama powiedziała, że dała ci Henry na imię, żeby odplacić staremu, że zaszła z nim w ciążę. A kto powiedział, że stary nie odwiedzał mamy jeszcze później od czasu do czasu. Byli nadal małżeństwem, no nie?

Henry Ann spojrzała na dziewczynę, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy. Na twarzy Isabel igrał przebiegły uśmiech. Henry Ann musiała użyć całej siły woli, by jej nie uderzyć. Przypomniała sobie wymamrotane słowa ostatniego kochanka swej matki. Wypowiedział je w dniu pogrzebu, gdy Isabel nie okazywała nawet krztyny żalu.

Ta dziewczyna to kłopot. Ona nie ma za grosz sumienia.

Wtedy nie zwróciła na to uwagi. Teraz żałowała, że nie porozmawiała z tym mężczyzną.

- Tak, byli małżeństwem, Isabel. Papa uważał, że powinien dotrzymać małżeńskiej przysięgi. Mama nie. I niech to lepiej od razu do ciebie dotrze... nic ci się tu nie należy.

- Zobaczymy. Ja i Johnny mamy tu takie samo prawo jak ty.

Zeszła z ganku i wyszła na podwórze.

Ciotka Dozie cicho i sprawnie przejęła wszystkie obowiązki Henry Ann, aby ta mogła posiedzieć przy łóżku ojca. Wysprzątała kuchnię, wstawiła chleb do pieca, zaczęła gotować groszek i ziemniaki, oddzieliła śmietanę od mleka. Cicho śpiewała przy pracy, a jej śpiew niósł Henry Ann pociechę. Kiedy była mała, Ciotka Dozie często siadała w starym fotelu na biegunach, brała ją na kolana i śpiewała różne pieśni. Była wtedy młodą kobietą, owdowiała, zanim mogła urodzić własne dzieci. Całą matczyną miłość przelała na Henry Ann, a ta odplacała jej równie gorącym uczuciem.

Kilka miesięcy wcześniej, kiedy umarła matka Dozie, Ed Henry zaniósł wędzoną szynkę i kosz kartofli, aby nakarmić rodzinę w żałobie. Henry Ann i jej ojciec byli jedynymi białymi na pogrzebie. Nie zdziwiło jej więc, że powierzył swój sekret Ciotce Dozie.

Wyszła z sypialni i przeszła do kuchni, gdzie jej droga przyjaciółka ubijała właśnie śmietanę na masło. Położyła dłoń na ramieniu Dozie.

- Dobrze, że jesteś ze mną, Ciociu Dozie.

- A gdzie miałabym być, kiedy mnie potrzebujesz, dziecko?

- Co mam teraz począć? Nie wiem, czy będę w stanie poradzić sobie z Isabel i Johnnym.

- Poradzisz sobie. Będiesz wiedziała, co zrobić, kiedy przyjdzie pora.
- Isabel jest przebiegła i cwana, a Johnny nieodpowiedzialny. Boję się pomyśleć, co będzie, kiedy się skuma z Perrymi. To najwięksi przemytnicy alkoholu w całym powiecie. Nie mam pojęcia, czemu szeryf czegoś z nimi nie robi.
- Nie jesteś matką tego chłopaka. To już mężczyzna. Ma dość lat, żeby walczyć na wojnie, gdyby jakaś wybuchła. Postępuj najlepiej, jak umiesz, ale nie pozwól im wejść sobie na głowę. Jeśli pozwolisz, zjedzą cię żywcem. Nie raz widziałam takie rzeczy.

Henry Ann usłyszała rzenie i podeszła do drzwi. Johnny i Pete Perry zostawiali konie w zagrodzie przylegającej do obory. Parę miesięcy po przybyciu chłopca Ed dał Johnny'emu srokosza. Wkrótce chłopak jeździł konno, jakby się w siodle urodził. Henry Ann przyszło do głowy, że ów koń był jedyną istotą na całym świecie, którą Johnny kochał.

Kiedy Henry Ann przyglądała się młodym mężczyznom, zza domu wyłoniła się Isabel i ruszyła w ich kierunku. Stali oparci o zagrodę, kiedy ją zobaczyli. Pod ich spojrzeniem zaczęła kołysać biodrami. Podniosła dłoń do włosów, kilka kosmyków założyła za ucho. Nie ulegało wątpliwości, że męska uwaga sprawia jej przyjemność. Henry Ann przypomniała sobie słowa kochanka matki. *Ta dziewczyna to tylko kłopot.*

Henry Ann wróciła do środka, żeby zajrzeć do ojca. Leżał tak cicho, że ze strachu coś ścisnęło ją w dołku. Potem zauważyła, że jego pierś lekko unosi się i opada, jego dłoń drgnęła. Usiadła w fotelu przy łóżku, a po chwili zaczęła się modlić.

- Miłosierny Boże, pozwól mu odejść w pokoju. Był takim dobrym człowiekiem. Ciężko pracował. Nigdy nikogo nie oszukał, nigdy nie złamał prawa. Był życzliwy dla innych...

Głośna rozmowa i donośny śmiech przerwały ciszę. Henry Ann zerwała się gwałtownie i pośpieszyła do kuchni. Na werandzie Pete Perry i Johnny przepychali się i mocowali, a Isabel przyglądała się im rozbawiona.

- Będę ci musiał pokazać indiańskie zapasy. Na pewno ci się spodoba, bo masz w sobie tę dziką krew. Donośny głos Pete'a rozlegał się w całym domu.

- Wiesz, co mi możesz pokazać. Nic!

Johnny uciekł do kuchni pozwalając, by drzwi z moskitierą głośno trzasnęły. Rozejrzał się wokół i wyszczerzył zęby do Henry Ann. Był szczupłym, przystojnym młodzieńcem o czarnych, prostych włosach i czarnych oczach. Można było podejrzewać, że jego nieznaną ojciec był Indianinem.

- Ależ ta Isabel wyrosła. Nie wiedziałem, kim jest, póki mi nie powiedziała.
- Mów ciszej, Tata śpi.

- Isabel mówiła, że niezadługo kopnie w kalendarz. To prawda? Nie był ostatnio za żwawy, ale nic przyszło mi do głowy...

Henry Ann zrobiła dwa szybkie kroki, zamachnęła się i trzasnęła go po twarzy. Ogarnął ją niepohamowany gniew.

- Nie waż się więcej mówić o nim bez szacunku - syknęła przyciszonym głosem. - Mój Tata dal ci dach nad głową, żywił cię i dał pracę, żebyś miał trochę pieniędzy. Zrobił to, ponieważ uważał, że tak należy, nie dlatego, że musiał.

Johnny zaniemówił ze zdumienia. Podniósł dłoń do policzka i spojrzał na nią zaskoczony.

- Ty niewdzięczny kundlu! On był chory! - Henry Ann ciągnęła oburzona. - Był chory, a ty go zostawiłeś samego na gospodarstwie z całą robotą. Obiecałeś mi, że pomożesz mi ściągnąć pniaki z lasu. Nie ma w tobie ludzkich uczuć Wstydzę się, że w moich żyłach płynie część tej samej krwi, co w twoich.

Johnny stał jak skamieniały. Ostatnio urósł i był o jakieś pięć centymetrów wyższy od Henry Ann, ale ona była zbyt zagniewana, żeby to zauważyć.

- Gdzie byłeś, kiedy on leżał tu chory? - zapytała stanowczo.

- U Perrych.

- Rozwoziłeś bimber?

Puszczając to pytanie mimo uszu, chłopiec zapytał cicho:

- Chcesz, żebym sobie poszedł?

- To zależy od ciebie. Ale jeśli zostaniesz, będziesz odpracowywał swoją działkę i przestaniesz zadawać się ze złodziejami i bimbrownikami takimi jak Pete Peny. Nie chcę go tu więcej widzieć.

- Pewnie żałujesz teraz, żeś mnie przywiozła.

- Tata i ja chcieliśmy dać ci szansę na uczciwe życie. Jeśli chcesz wrócić do miasta, wracaj. Jeśli chcesz zadawać się z Perryami, proszę bardzo, ale tutaj już nie będzie dla ciebie miejsca.

Johnny wyszedł prędko na dwór, zszedł z ganku i ruszył w stronę zagrody. Pete, który słuchał przy drzwiach, podążył za nim.

- Co mu powiedziałaś? - zapytała Isabel wchodząc do kuchni.

- To sprawa moja i Johnny'ego, nie twoja. - Henry Ann była bliska płaczu. Czuli się, jakby niebo się otwarło i wylało na nią całą swą żalność.

- Mylisz się, to także moja sprawa. Jest moim bratem.

- Nie drażnij się ze mną, Isabel - ostro odparła Henry Ann. - Tobie też mogę dać

po twarzy.

- Tylko spróbuj, a zaraz ci oddam - lekceważąco zagrała jej palcami na nosie, po czym wypadła na dwór, zatrzasnęła za sobą drzwi i pobiegła w kierunku zagrody.

Pete Perry miał dwadzieścia parę lat; był to wysoki, kościsty mężczyzna o jasnych jak słoma włosach, opadających w gęstych kędziorach na tył głowy. Miał piwne oczy, zdrowe, mocne zęby i głęboki dołek w brodzie. Uważał, że cieszy się sporym powodzeniem u kobiet. Henry Ann nie wiedziała, czy gdzieś na stałe pracował, ale zawsze zdawał się mieć jakieś pieniądze w kieszeni.

- Chce, żebyś się zaharował? - zapytał Pete, kiedy Johnny wyszedł z domu i usiadł na górnej belce ogrodzenia.

Nie odpowiedział ani słowem.

- Dobrze by jej zrobiła godzina, dwie na wznak z mężczyzną między nogami. Prawdziwy mężczyzna, taki wiesz, z długim drągiem, sprawiłby, że przestałaby joczyć. – Pete lubił pieprzne rozmowy o tych sprawach.

Ciemne oczy Johnny'ego spojrzały na Perry'ego, po chwili odwrócił wzrok. Nikt nie wiedział, co myśli, kiedy jego twarz przybierała ten nieprzenikniony indiański wyraz.

- Słuchaj, chłopaku. Po śmierci starego Eda będzie ci się należał kawałek tej ziemi. Z tego co wiem, nie jest zadłużona. Do diabła. To niesprawiedliwe, żeby ta zadzierająca nosa kobieta zgarnęła wszystko. Mógłbyś pojechać do Dallas albo do Nowego Jorku. Kto wie, może nawet do Kaliforni.

Johnny raz jeszcze spojrzał na twarz Pete'a i znowu odwrócił wzrok.

- Ty i ta dziewczyna macie tu takie same prawa jak Henry Ann. Stary Ed był przecież mężem twojej matki. Założę się, że nie sporządził żadnego testamentu.

Johnny zsunął się z ogrodzenia, osiodłał kuca i wskoczył na jego grzbiet. Nie mówiąc nic do Pete'a pchnął bramę i odjechał ścieżką w kierunku lasu.

- Johnny! Czekaj - krzyknęła Isabel. - Gdzie go poniosło? - podeszła do Pete'a.

- Pojeździć.

- Ale gdzie? Mówił, co ona zrobiła?

- Nie - Pete spojrzał na dziewczynę i wyszczerzył zęby. - Nic się nie martw. On taki czasem jest. Przemyśli sobie to i owo i wróci.

- Naprawdę jesteś moim krewnym?

- Nazywam się Perry. Twoja matka była z Perrych.

- Jesteśmy bliskimi krewnymi?

- Ja i Dorene mieliśmy wspólną babkę. Tak mówi Tata.

- Ach, kurde!
- Można wiedzieć, o co ci chodzi?
- Wolałabym, żebyś nie był... krewnym.
- Czy ty, złotko, ze mną nie flirtujesz? Ile ty masz lat? Wyglądasz, jakbyś nie tak dawno wylazła z pieluch.

- Siedemnaście - skłamała.
- To chyba dosyć - lekko trącił ją pięścią w brodę, potem jego palce przesunęły się powoli po jej drobnych piersiach. Odwrócił się i schwycił swego konia za uzdę, - Muszę jechać do domu. Do zobaczenia... ślicznotko.

- Nie masz samochodu? - zapytała Isabel.
- Mam, a co?
- To czemu jeździsz konno?
- Żeby dotrzeć do miejsc, do których nie dotarłbym samochodem, słodka mordko. I żeby małe ładne dziewczynki mnie o to pytały - mówiąc to kończył siodłać konia. - Gdybym wiedział, że nie zaproszą mnie tu na kolację, nie zdejmowałbym siodła.

Isabel rzuciła okiem na dom, potem na Pete'a, który siedząc na koniu związał skręta.

- Ja zapraszam cię... na kolację.

Nie spuszczając oka z jej twarzy liznął brzeżek bibułki, żeby zakleić w niej tytoń, skręcił jeden koniec, a drugi wetknął w usta. Zanim odpowiedział, przypalił skręta.

- Coś mi się wydaje, że nie masz tu wiele do gadania, ślicznotko. Może innym razem, co? - mówiąc to spiął konia.

Isabel patrzyła za nim, dopóki nie zniknął w lesie. Później, z bijącym sercem, pobiegła w stronę domu.

3

CONROY W TEKSASIE

Tom Dolan siedział w jednym z białych wiklinowych foteli na długiej werandzie i słuchał, jak jego teść i Marty próbują przegadać jeden drugiego. Zignorowali Toma, jakby rozmowa go przerastała. Młody Conroy próbował zaimponować ojcu swoją znajomością przemysłu naftowego.

- Nie musielibyśmy wydzierżawiać całej działki, tato. Wystarczy ustawić studnię wiertniczą z trzydzieści metrów od granicy działki i wiercić skosem. Wszyscy to robią.

- A ja myślę, że gość, co próbuje ciągnąć ropę spod cudzej ziemi, może tylko napytać sobie biedy.

Marty zaśmiał się.

- Musieli by cię najpierw złapać, tato. Jak myślisz, jak Tom Slick zarobił swoje pieniądze. Wszystko wiercił na ukos. Brał w dzierżawę sto tysięcy akrów, zbierał dwieście tysięcy dolarów i stawiał z tuzin wież wiertniczych. Możemy zrobić to samo znacznie taniej. Od tych chłopków dostalibyśmy dzierżawy za grosze.

- To się jeszcze zobaczy - starszy Conroy uśmiechnął się do syna pobłaźliwie, jakby ten był uczniakiem.

- Otwieramy biuro po drugiej stronie rzeki - Marty rzucił szybkie spojrzenie na Toma. - Stary wyga Rigger Haines zaczął tam odwierty. Ten stary sukinsyn od dawna jest już milionerem, ale wciąż nie przestaje wiercić. Widziałem mapę jego odwiertów: zmierza prosto na południe od pól w Healdton.

- Słyszałem o Riggerze Hainesie.

- Wywołał wytrysk ropy na starych polach Marlowe'a i zarobił kupę forsy.

- Mówią, że twardy z niego gość.

- Nie tak twardy, żeby nie przydała mu się jakaś... no... ochrona od czasu do czasu, co tato? - Marty uśmiechnął się i zerknął na Toma.

Po każdym z pól tuzina spotkań z Martym Conroyem Tom odchodził z wrażeniem, że człowiek ten myśli wyłącznie o wielkiej forsie i o tym, jak ją zarobić bez szczególnego wysiłku.

Marty zaczął opowiadać o chicagowskim gangsterze, Alu Capone.

- Zarabiał sto milionów rocznie, tato. Więcej niż Henry Ford. Miał dwadzieścia sześć lat, to znaczy rok więcej niż ja, kiedy przejął przemysł alkoholu i hazard w Chicago. Musiał być sprytny, żeby tak długo zwodzić Federalnych. Nic mu nie mogli przypiąć.

- Nie powiedziałbym, że ich zwodził - zauważył sucho Tom. - Siedzi w więzieniu za niepłacenie podatków.

- Co z tego! Wyjdzie przed końcem roku. Jest za sprytny...

Krzyk Jay'a i przenikliwy głos Emmy-Jean udzielającej mu ostrej reprimendy, odwróciły nagle uwagę Toma od toczącej się rozmowy. Wstał i bez słowa wyjaśnienia wszedł do domu. Emma-Jean trzymała dziecko za ramiona trzęsąc nim energicznie.

- Mówiłam ci, żebyś niczego nie dotykał. Matka nie pozwoli nam więcej przyjechać. Jesteś niedobry... - jej ostatnim słowem towarzyszyło uderzenie otwartą dłonią w policzek.

Tom zrobił trzy szybkie kroki i wziął syna na rękę. Zapłakane dziecko objęło ojca za szyję i wtuliło się w jego ramię.

- Mówiłem ci, żebyś nigdy nie biła go po twarzy!

- Widzisz, mammo? Widzisz, ile muszę znosić? - zwróciła się do kobiety, która z marsem na czole oglądała zniszczoną atlasową poduszkę. - Kiedy próbuję go nauczyć, czego nie wolno, Tom go rozpieszcza. Już sama nie wiem, co robić. Doprowadza mnie do... szaleństwa - głos Emmy-Jean podniósł się o oktawę i brzmiał jeszcze bardziej przenikliwie.

- Cicho, cicho, Emma-Jean. Przestań krzyczeć, bo sąsiedzi cię usłyszą - pan Conroy, a za nim Marty, weszli do pokoju.

- To on doprowadza mnie do szaleństwa - powtórzyła Emma-Jean. - Pozwól mi tu zostać, tato. Nienawidzę tej jego farmy. Pozwólcie mi wrócić do domu. On może zatrzymać Jaya. Nic mnie to nie obchodzi. Mammo? Tato? Proszę! Tam nie ma ani światła, ani radia, a wodę trzeba wyciągać ze studni. I on chce, żebym mu gotowała i prała jego brudy. Proszę... pozwólcie mi zostać.

- Już o tym mówiliśmy - powiedziała cierpliwie pani Conroy. - Twoje miejsce jest przy mężu i dziecku.

- Ale... ale... ja go nienawidzę! - głos Emmy-Jean brzmiał histerycznie. - Mammo - zwróciła się błagalnie do szczupłej, eleganckiej kobiety, która nadal przyglądała się poduszce. - Nie każ mi tam wracać.

- Matko - poprawiła ją pani Conroy. - „Mammo” brzmi tak pospolicie.

- Uspokój się - Conroy potrząsnęła głową w stronę Marty'ego, kiedy ten parsknął z niesmakiem. - Uspokój się, jesteś już dorosłą kobietą, Emma-Jean. Dorosłą i zamężną.

- Wiedziałam, że tak będzie, jak przyjadą - pani Conroy spojrzała z pretensją na swego męża, a potem znów na córkę. - Emma-Jean, opanuj się natychmiast - powiedziała stanowczo.

Tom wyniósł syna na dwór. Takie sceny powtarzały się za każdym razem, kiedy odwiedzali teściów, co dzięki Bo. gu, nie zdarzało się często. Wstydił się za Emmę-Jean, ale nie dlatego, że nie chciała wracać do jego domu, ale dlatego że zebrała i błagała, by pozwolono jej zostać, chociaż było oczywiste, że rodzice nie chcieli jej u siebie.

Już tamtego ranka, kiedy odprowadził ją do domu, a ona wypaplała, że spędziła z nim noc, uzmysłowił sobie, że ci ludzie są niepodobni do nikogo, kogo dotąd znał. Nie było żadnego oburzenia. Zabrali się po prostu za planowanie szybkiego ślubu. Dopiero później,

kiedy zdał sobie sprawę z niestosownych zachowań swojej narzeczonej, zrozumiał, że rodzina Conroyów znalazła cywilizowany sposób pozbycia się przynoszącej im wstyd córki. To, co dotąd było ich problemem, spadło teraz na jego barki.

Pół godziny później, kiedy zmierzali do Red Rock, Emma-Jean wciąż płakała. Jay spał na siedzeniu pomiędzy nimi z głową opartą o udo ojca.

Tom milczał. Ależ zabagnił sobie życie!

Henry Ann siedziała przy łóżku ojca i wachlowała go tekturowym wachlarzem z reklamą drogerii White'a w Red Rock. Doktor wrócił, dał Edowi kolejny zastrzyk morfiny i obiecał zajrzeć przed zmierzchem. Popołudnie ciągnęło się niemiłosiernie i nawet lekki powiew, który dotąd poruszał firankami, ucichł. Powietrze w pokoju było gorące i ciężkie.

- Co się dzieje z tym radiem? - zapytała Isabel stając w drzwiach.
- Potrzebna nowa lampa.
- A niech to! Chciałam czegoś posłuchać. Nie ma tu co robić.

Henry Ann nie chciało się na to odpowiadać. Isabel z kwaśną miną postąpiła jeszcze chwilę, potem odeszła podśpiewując melodię z popularnego słuchowiska radiowego.

Jak to możliwe, żeby w tej dziewczynie nie było odrobiny współczucia. Ból w sercu Henry Ann powodował, że czuła się tak, jakby między nią a światem rozciągała się szeroka przepaść.

Stara Shepa wśliznęła się do domu, a potem pod łóżko ojca, jakby przeczuwając, że wkrótce nastąpi coś niejasnego i straszego.

Minuty ciągnęły się jak godziny. Późnym popołudniem przed domem zatrzymał się samochód.

Ciotka Dozie stanęła w drzwiach sypialni.

- Dziecko, przyjechał pan Dolan.

Henry Ann niechętnie opuściła pokój i wyszła na werandę. Mężczyzna stał przed domem z kapeluszem w dłoniach.

- Dziękuję, że zawiadomił pan lekarza.
- Miło mi, że mogłem pomóc. Czy jest coś jeszcze, co mógłbym dla pani zrobić?
- Nie, ale dziękuję za dobre chęci.

Ich oczy spotkały się. Obawiała się, że jeśli wypowie jeszcze choć słowo, wybuchnie płaczem. Nie wolno do tego dopuścić. Duma nie pozwalała jej opuszczać głowy, wstrzymywała też potok łez.

- Doktor Hendricks powiedział mi o panu Henrym. Bardzo mi przykro. Jeśli będę mógł jakoś pomóc, proszę posłać po mnie chłopca.

- Dziękuję.

Co za duma. Co za godność. Odwrócił się. Kiedy szybkim krokiem szedł do samochodu, w jego umyśle utrwalił się obraz cudownej zatroskanej twarzy tej kobiety. Emma-Jean była na skraju jednego ze swoich wybuchów. Kiedy była w takim stanie, bał się zostawiać z nią Jaya. Poza tym chciał odjechać przed domu Henrych zanim zacznie na niego wrzeszczeć.

Ed Henry o zmierzchu. Fakt, że jego życie dobiegło kresu w złocistej porze dnia, kiedy słońce już zaszło, a ptaki przed nocą sadowiły się na drzewach, miał symboliczny wymiar: Ed Henry odszedł w porze, kiedy lubił wynieść na werandę gitarę, zagrać parę akordów i zaśpiewać którąś ze swych ulubionych piosenek. Śpiewał dla własnej przyjemności i żeby sprawić przyjemność córce.

Zanim Ed wydał ostatnie tchnienie, Ciotka Dozie weszła do pokoju i zamknęła drzwi przed nosem zaciekawionej Isabel, aby Henry Ann mogła zostać z nim sama. Kiedy już było po wszystkim, Ciotka Dozie zamknęła mu usta i ułożyła jego ręce na piersiach. Henry Ann położyła głowę na poduszce obok jego głowy i zapłakała. Tego wieczora Ciotka Dozie zaśpiewała przejmującą murzyńską pieśń gospel. Stała u wezgłowia z Biblią rodziny Henrych w dłoniach.

O świcie Henry Ann weszła do kuchni. Ciotka Dozie rozpalala właśnie ogień pod kuchnią.

- Ten stary, władczy kogut podszedł dziś rano pod same drzwi - powiedziała Ciotka Dozie kręcąc głową. - To dziwne, że tak piał na całe gardło, jakby chciał pożegnać pana Henry'ego.

- Ja też go słyszałam. Dziwnie jest, jak nie ma już Taty. Zawsze wstawał przede mną.

Henry Ann otarła łzy z opuchniętych oczu i wyszła na ganek. Postąpiła tam chwilę drapiąc starą Shepę za uchem, po czym ruszyła w stronę stodoły by zacząć obrządki. Ku jej zaskoczeniu wszystko było już zrobione. Johnny wyciągał właśnie wodę ze studni i napelniał koryto. Nie słyszała jak wrócił zeszłej nocy, zauważyła go dopiero w kuchni, kiedy przyjechał grabarz. Potem wyszedł na werandę i stał w milczeniu, kiedy Eda Henry'ego po raz ostatni wynoszono z jego domu.

- Johnny, muszę jechać do miasta... załatwić parę spraw - odwrócił głowę, kiedy do niego mówiła. - Chciałabym, żebyś mnie zawiózł.
- Czemu? Przecież umiesz prowadzić.
- Nie mogę uruchomić samochodu. Masz tu klucze od szopy. Podała mu klucze, które wyjęła z kieszeni.
- Nie musiał go zamykać. - Chłopiec spojrzał jej prosto w oczy. - Nie miałem zamiaru go kraść.
- On to wiedział, ale nie był pewien Pete'a Perry'ego.
- W lesie znalazłem zarżniętego wołu.
- Zarżniętego? Chcesz powiedzieć, że ktoś go zabił dla mięsa?
- Na to wygląda.
- Wzięli wszystko?
- Nie. Tylko tylnie i przednie ćwierci. Psy i wilki rozszarpały resztę.
- To znaczy, że wzięli mięso na sprzedaż, nie do zjedzenia. Zostały jakieś ślady?
- Samochodu.
- Poznałeś, czyj to wóz?
- Nie.

Henry Ann spojrzała swemu przyrodniemu bratu w twarz i wiedziała, że mówi prawdę. Dziś rano wydał się jej jakiś inny, nie taki wrogi. Może istotnie coś czuł do jej ojca.

- Możemy o tym powiedzieć szeryfowi, ale wątpię, czy coś zdziała. Będę gotowa za parę minut.

Edowi Henry'emu nie zależało specjalnie na samochodzie. Kupił go, żeby odwozić Henry Ann do szkoły w dniach, kiedy była za mała, by chodzić na piechotę. John-ny był jednak zachwycony, kiedy zamieszkał z nimi i okazało się, że mają samochód. Ed nauczył go prowadzić i pokazał, jak obchodzić się z silnikiem. Entuzjizm przeszedł mu jednak w dniu, w którym Ed podarował chłopcu kuca.

Początkowo silnik Modelu T nie dawał się uruchomić. Johnny kazał Henry Ann wyciągnąć dławik, sam zaś kręcił korbą dopóki silnik nie zakaszłał i nie zaczął pracować.

Kiedy dotarli do zakładu pogrzebowego za sklepem z meblami, Henry Ann zapytała Johnny'ego, czy zechce wejść. Potrząsnął przecząco głową, więc poszła tam sama. Przedsiębiorca pogrzebowy potwierdził to, co usłyszała od doktora Hendricksa. Ed poczynił przygotowania do swego pogrzebu i za wszystko zapłacił. Nie interesowały go usługi, które miały poprzedzić sam pogrzeb, pozostawił to Henry Ann.

Odwiedziła Wielebnego Wessona, pastora, który miał poprowadzić ceremonię. Jego

córka, Karen, była jej najlepszą przyjaciółką. Okazało się, że przed chwilą właśnie Karen wyruszyła do niej.

Po zameldowaniu zastępcy szeryfa o zabitym wole Henry Ann i Johnny ruszyli z powrotem. Na podwórzu stały dwa samochody. Jeden z nich należał do ich sąsiada, Toma Dolana, drugi do Karen Wesson.

- Wybierasz się na ceremonię? - spytała Henn' Ann, kiedy Johnny zatrzymał samochód przed drzwiami szopy, aby mogła wysiąść.

- Chcesz, żebym poszedł?

- Tylko jeśli ty chcesz.

- Nie mam... odpowiedniej koszuli.

- Upiorę ci jedną z koszul Taty.

- Co mam tam robić? Nigdy nie byłem na...

- Nic nie musisz robić.

- Pójdę.

Z tylnych drzwi domu na spotkanie Henry Ann wybiegła dziewczyna. Jej piwne oczy były podkrążone od płaczu.

- Och, Henry, nie wiedziałam, że twój Tata był chory.

Objęła Henry Ann i mocno przytuliła.

- Ja też nie wiedziałam. Zrozumiałam to dopiero przedwczoraj, kiedy wróciłam do domu. On nic mi nie powiedział, Karen. Nie powiedział mi nawet słowa i pozwolił, żebym pojechała do Oklahoma City.

- Ja się dowiedziałam wczoraj wieczorem na próbie chóru. Gdybym usłyszała wcześniej, przyjechałabym jeszcze wczoraj.

- Dobrze, że jesteś. Spotkałam się z twoim ojcem. Powiedziałam mu, że chcę, żebyś to ty śpiewała w czasie nabożeństwa.

- Oczywiście, że zaśpiewam.

Objęte weszły do domu. Na stole kuchennym było sporo jedzenia przyniesionego już przez sąsiadów. Ciotka Dozie biegała od stołu do piekarnika, a w wysokim krześle Henry Ann siedział mały chłopiec z kromką chleba z dżemem w dłoni.

- Wszystko w porządku, dziecko? - spytała z niepokojem w głosie Ciotka Dozie.

- Tak mi się wydaje. To synek pana Dolana?

- Czy to nie najśliczniejszy mały brzdąc, jakiego widziałas?

- Pewnie, że tak. Był wczoraj w samochodzie, kiedy...

- Pan Dolan zjawił się zaraz jak wyjechałaś. Przyniósł torbę kawy. Powiedział,

że zwałiło się wasze ogrodzenie i że naprawi je, żeby się krowy nie wydostały. Powiedział, że wyglądało, jakby ktoś wjechał w nie samochodem. Chciał zabrać chłopca ze sobą, ale powiedziałam mu, żeby go zostawił. Mały brzdąc jest jak sto pociech. Uwielbia ten dżem śliwkowy.

- Cześć mały - Henry Ann przykucnęła przy krześle. Chłopiec odwrócił od niej głowę i nie chciał na nią spojrzeć. - Jak masz na imię? - nadal nie chciał na nią patrzeć. Jego usta wykrzywiły się, jakby miał się rozplakać i zerknął wystraszony na Ciotkę Dozie. Ta szybko wzięła go na rękę, przytuliła do pokaźnej piersi, nie zważając na to, że jego twarz umazana była dżemem.

- Cicho, cicho, maleńki. Nie musisz się bać. Ta pani lubi małych chłopców - mówiła śpiewnym głosem. Potem do Henry Ann: - Zabrało trochę czasu zanim pozwolił się wziąć na rękę. To synek tatusia. - I dodała szeptem: - Lepiej przejdź do saloniku. Ta dziewczucha miele jęczorem z panią Austin.

- Zostanę i pomogę Cioci Dozie - rzekła Karen i wzięła od Henry Ann jej kapelus. - Idź. Ten wścibinos chce z niej wszystko wyciągnąć.

- Nie będzie tego za dużo - parsknęła Ciotka Dozie. -Tyle ona wie, co zje.

Pani Austin objęła Henry Ann, kiedy ta weszła do pokoju.

Biedne, drogie dziecko. Tak nam wszystkim przykro z powodu pana Henry'ego. Chris-to-pher też chciał przyjść, ale wynajął dwóch kolorowych do pracy przy bawelnie, a jak się im płaci pięć centów za godzinę, trzeba stać nad nimi i pilnować, żeby to uczciwie zarobili. - Pani Austin zawsze przeciągała imię syna jakby recytowała wiersz albo śpiewała hymn.

- Wiem, że pan Austin jest zajęty...

- Nie Percy, kochanie. Chris-to-pher.

- Byłabym wdzięczna, gdyby pan Austin zechciał pójść w komży.

- Chris-to-pher bardzo chętnie...

- Tato przez wiele lat znał się z panem Austinem. Jeśli uzna pani, że to niemożliwe, ja to zrozumieję i poproszę kogoś innego.

- Ależ będzie mu bardzo miło, kochanie. Czy Chris-to-pher też będzie potrzebny?

- Nie, dziękuję.

Henry Ann wyplątała się z ramion pani Austin i poszła porozmawiać z inną sąsiadką.

- Bardzo mi przykro, Henry Ann. Twój ojciec był takim dobrym człowiekiem.

- Dziękuję pani Whalem. I dziękuję za marynowane buraczki.

W fotelu przy drzwiach z nogą założoną na nogę w taki sposób, że widoczny był spory kawałek ciała nad kolanem, siedziała Isabel, lekko kiwając stopą w przód i w tył. Miała na sobie swoją najlepszą sukienkę, a usta wymalowała szminką. Włosy zaczesła do tyłu i przewiązała żółtą wstążką. Henry Ann spojrzała na nią przelotnie, po chwili przyjrzała się jej uważnie. Isabel wyskubała brwi w taki sposób, że tworzyły cienką, łukowatą linię, którą podkreśliła jeszcze kredką.

Wygląda, jakby pojawiła się tu z South Reno Street w Oklahoma City, ulicy znanej z tanich barów i spelunek.

Pani Austin i pani Whalen zbierały się już do wyjścia. Henry Ann odprowadziła je na werandę.

- Szkoda, że Isabel nie zdążyła poznać swojego ojca. Biedne dziecko. Strasznie jest teraz roztrzęsiona, płakała, że matka nie chciała jej do niego dopuścić.

Henry Ann zapatrzyła się przez chwilę na panią Austin, potem obejrzała się na stojącą w drzwiach Isabel. Spotkały się wzrokiem. Dziewczyna wygięła usta w ledwo widocznym uśmiešku.

Henry Ann odwróciła się słysząc, że pani Austin przekazuje mężowi jej prośbę.

- To był dla mnie zaszczyt być jednym z przyjaciół Eda.
- Ceremonia rozpocznie się jutro o dziesiątej rano w kościele.
- Będziemy tam - powiedziała pani Austin. Na użytek pani Whalen dorzuciła, kiedy obie szły w kierunku wozu: wzięlibyśmy samochód, ale Chris-to-pher go potrzebował.

Pani Austin od paru już lat próbowała skojarzyć syna z Henry Ann, która nawet lubiła Chrisa, ale nie na tyle, by dostrzec w nim materiał na męża. Wszyscy w powiecie, poza panią Austin, wiedzieli, że jej syn składa regularne wizyty u Opal Hastings, dziewczyny, która mieszkała z dziadkiem nad samą rzeką. Opal miała dziecko, ale nigdy nie wyszła za mąż. Niektórzy twierdzili, że jest dziwką, inni, że została zgwałcona. Henry Ann uważała ją za piękną kobietę, która wpadła w poważne tarapaty.

Koło południa ludzie przestali przychodzić z podarkami i kondolencjami. Henry Ann cieszyła się z tej chwili wytchnienia. Inni pojawiają się późnym popołudniem. Ciotka Dozie wyprała koszulę, w której Ed miał zostać pochowany i drugą dla Johnny'ego. Henry Ann zdjęła je ze sznura i skierowała się do kuchni, mijając stos drewna naciętego przez Toma Dolana. Kiedy zbliżyła się, układał je w równą stertę. Ich oczy spotkały się, oboje wytrzymali swoje spojrzenia. Jej - pomyślał - były jak puste gwiazdy. Ten wyraz pustki na jej twarzy był dla niego czymś nieskończenie smutnym.

Henry Ann zatrzymała się trzy kroki przed nim. Coś jakby nagły paraliż

przygwoździło ją do miejsca, w którym stała. Świadomość obecności tego dużego mężczyzny o czarnych kręconych włosach nie opuszczała jej ani na chwilę. W końcu się odezwała.

- Dziękuję, że naprawił pan ogrodzenie i narąbał drewna.
- Przynajmniej tyle mogę zrobić dla sąsiada.
- Obiad gotowy. Byłoby nam miło, gdyby pan do nas dołączył.
- Nie musi mnie pani żywić.
- Nalegam, i to wcale nie dlatego, że wykonał pan tę pracę. Po prostu nie sądzę,

by Ciocia Dozie pozwoliła panu zabrać Jaya. Obiecała mu kurze udko.

- Przyłgnał do niej od razu i... to dziwne. Nie znał zbyt wielu kolorowych.
- Ja wcale się nie dziwię. Dzieci lgną do Ciotki Dozie. Mamy mnóstwo jedzenia,

panie Dolan.

- Jeśli jest pani pewna, że nie sprawimy kłopotu.
- Żadnego kłopotu. Może się pan umyć przy studni. Widział pan Johnny'ego?
- Poszedł zapędzić wasze woły na to pastwisko za stodołą. Pokazał mi tego,

którego zarznięto. Zdjęliśmy z niego skórę. Chłopak potrafi obchodzić się z nożem.

- To pierwszy wół, któregośmy stracili... w taki sposób. Whalenowie i Cookmanowie stracili już po kilka sztuk.

- Ktokolwiek go zabił, podjechał samochodem, żeby załadować mięso. Rozejrzę się za oponami, które zostawiły te ślady. Johnny twierdzi, że blisko domu jest dość trawy dla wołów na jakiś dzień czy dwa.

- Nie będziemy czekać na niego z obiadem. Zje, kiedy wróci.

Tom przyglądał się, jak Henry Ann idzie do domu. Jego oczy przyciągnął widok prostych pleców i kołyszających się bioder. Cóż to za kobieta! Poczul uderzającą go falę ciepła. Jezu Chryste! Co się z nim dzieje? Jego serce waliło jak oszalałe, a na ramionach pojawiła się gęsia skórka.

Kiedy tylko Tom wkroczył do kuchni, jego oczy odszukały Jaya. Mały siedział w wysokim krześle przysuniętym do stołu.

- Tato, patrz! - roześmiane dziecko ścisnęło dłonią gumową piłkę a zielona gumowa żabka przymocowana rurką do piłki podskoczyła i zarechotała.

- No popatrz. Ale żaba! - Tom podszedł do syna i położył dłoń na jego głowie. - Uważaj. Nie zepsuj tego.

- Ciocia! - wzrok Jaya odszukał Ciotkę Dozie.

- Nic tej żabie nie zrobi. Jest tu od czasu, kiedy Henry Ann była mała. Tak samo jak to krzesło.

- Czy poznał pan już Karen Wesson, panie Dolan? - zapytała Henry Ann, kiedy jej przyjaciółka wraz z Isabel weszła do kuchni.

- Nie. Nie mieliśmy okazji się spotkać. Miło mi.

- Mnie również - Karen zrobiła krok do przodu i wyciągnęła rękę.

Henry Ann nie miała zbytniego apetytu, ale próbowała coś zjeść, żeby nie urazić Ciotki Dozie. W przeszłości Ciotka Dozie siadała do stołu razem z nią i Tata, ale w obecności Isabel, Karen i Dolanów znalazła sobie zajęcie - rozstawiła deskę do prasowania i zajęła się koszulą dla Eda Henry'ego, którą Karen miała zabrać do zakładu pogrzebowego. Isabel jadła, zachowując cierpkie milczenie, ale Karen prowadziła swobodną rozmowę z Tomem.

- Nie widziałyśmy pana w kościele, panie Dolan. Mamy tu szkółkę niedzielną dla takich brzdąców jak Jay... Jestem tam nauczycielką.

Tom włożył małemu łyżeczkę do ręki, aby ten nie jadł palcami pure z ziemniaków. Podniósł swoje ciemne oczy najpierw na Henry Ann, potem na Karen.

Urodziłem się i zostałem wychowany jako katolik, panno Wesson.

- A, rozumiem. Tu jest kraj baptystów. Najbliższy kościół katolicki jest w Wichita Falls. Czy to tam brał pan ślub?

- Nie, proszę pani. Wzięliśmy ślub u sędziego pokoju w Conroy.

Karen, obawiając się, że wraca na drażliwe terytorium, zmieniła temat.

- Ktoś mówił tacie, że jest pan mechanikiem samochodowym.

- Między innymi.

- Ale woli pan pracę na gospodarstwie?

- Nie. Rzecz w tym, że trzeba jakoś zarobić na życie. Nie ma tu dość pracy dla mechanika, żeby dało się utrzymać rodzinę, więc robię trochę tego, trochę tamtego.

Jego oczy spotkały się na chwilę z oczami Henry Ann. Dostrzegła drgający mięsień na jego szczęce.

- Mamy stary model Whippeta, który nie jeździ już od paru ładnych lat - ciągnęła Karen całkowicie nie zdając sobie sprawy, że Tom Dolan nie lubi mówić o sobie. - Tata prosił paru mechaników, żeby do niego zajrzeli, ale jest tak zepsuty, że wszyscy sugerowali, by go sprzedać na złom.

- Więcej dostałby za części.

- Nie sądzę, by ojciec zniósł widok swojego samochodu rozbieranego na części.

Ta sama historia, co z jego starym powozikiem - zaśmiała się Karen.

Henry Ann była tak przyzwyczajona do swojej przyjaciółki, że czasem zapominała o jej urodzie. Była bez skazy. Jej piwne oczy ocienione były gęstymi długimi rzęsami tylko o ton ciemniejszymi od jej ciemnoblonde włosów. Nawet jej imię było szczególne. Większość znajomych dziewcząt nosiła imiona w rodzaju Betty Jo, Flossy Mae czy Sadie Irene. Karen to było szczególne imię dla szczególnej dziewczyny.

Czy pan Dolan pomyślał, że jest ładna?

Karen interesowała się absolutnie wszystkim i robiła to z zadziwiającą energią. Kiedy ktoś mówił, słuchała z taką uwagą, jakby to było dla niej strasznie ważne. Była przyjazna, pogodna i szczęśliwa, ale nie mniej często niż Henry Ann myślała o sprawach poważnych.

- Każda opona jest w nim dziurawa. I chyba wszystkie przegniły.

- Whippet to dobry samochód - Tom przeniósł wzrok z Karen na Henry Ann i zauważył, że ta patrzy na niego.

Ciekawe, co by było, gdyby wiedziała, od jak dawna nie siedziałem w takiej przyjaznej kuchni przy stole nakrytym serwetą, jedząc posiłek, który nie ja przyrządziłem. Mojemu synowi nigdy się to nie zdarzyło. Nie pozwalano mu jadać przy stole jego babki, żeby nie rozdał czegoś na obrus.

Boże Drogi! Muszę się stąd zabierać, zanim tak mi się tu spodoba, że nie będę chciał wyjść.

- Nie znoszę jeść w pośpiechu, ale muszę już uciekać, panno Henry. Mam parę rzeczy do zrobienia u siebie. - Tom wstał i spojrzał na syna. - Podziękujesz paniom za posiłek, berbeciu? - pochylił się i wziął małego na rękę.

Jay schował twarz w ramieniu ojca.

- Dziękuję za naprawienie ogrodzenia.

- Drobiazg.

- Nigdzie stąd malucha nie puścimy, dopóki nie weźmie garści ciasteczek - Ciotka Dozie włożyła Jayowi do ręki parę okrągłych ciastek. - Wrócisz tu jeszcze zobaczyć się z Ciocią Dozie?

- I żaba. Cieszę się, że Teddy, bo tak ją kiedyś nazwałam, ma się wreszcie z kim bawić. - Henry Ann podała dziecku zieloną żabkę. Jedna ręka Jaya pełna była ciastek, ale po zabawkę szybko wyciągnął drugą.

- Jesteś pewna, że chcesz się z nią rozstać? - zapytał Tom. Na jego twarzy igrał uśmiech rozbawienia.

- Jestem pewna.

Trzymałam ją dla własnego dziecka, ale wygląda na to, że polubiło ją twoje.

Henry Ann wyszła za Tomem na dwór i stała na werandzie, kiedy on wsadzał synka do samochodu. Wsiadł do środka, podniósł dłoń na pożegnanie i odjechał. Po powrocie do kuchni Henry Ann poprosiła Ciotkę Dozie do stołu.

- Razem z Isabel zmyjemy naczynia, a potem wrócę do miasta - powiedziała Karen.

- Ja mam co robić. A poza tym od czego jest tu o n a? -Isabel ruszyła w stronę drzwi na podwórze.

- Isabel! - zatrzymał ją głos Henry Ann. - Ciotka Dozie pracowała od rana, a Karen wcale nie musi zostawać, kiedy ty i ja możemy pozmywać.

- Och, dobra, już dobra. Ależ ten dzieciak narobił bałaganu.

- To jeszcze mały chłopiec. Jak na dzieciaka nie jest tak źle.

- Widziałam sporo żonatyh mężczyzn i potrafię poznać, kiedy któremuś nie spieszo do żony - rzekła złośliwie Isabel. - Ten wskoczyłby do łóżka z każdą z was w okamgnieniu, taki jest ochotny, mówię wam.

- Uszom własnym nie wierzę! - Henry Ann stała z rękami na biodrach, ze zdumieniem patząc na dziewczęcą twarz swej przyrodniej siostry. - Zupełnie cię nie rozumiem, Isabel. To nasz sąsiad, po prostu po sąsiedzku trochę nam pomógł. Poza tym... jest żonaty.

- I co z tego, że sąsiad? Co z tego, że żonaty? To bez znaczenia. Jest mężczyzną, ma fiuta, może nie?

Henry Ann aż poczerwieniała z zażenowania. Zerknęła na Karen, która wzięła się za znoszenie naczyń, potem na drzwi, w których stanął Johnny.

Johnny zatrzymał się, jakby wyczuwając napięcie.

- Siądź przy stole, Johnny. Nie czekałyśmy na ciebie, ale Ciotce Dozie udało się zachować trochę kurczaka. I chleb jest jeszcze ciepły.

- Siadaj, chłopcze. Zaraz ci nałożę - Ciotka Dozie wzięła z półki czysty talerz i podeszła do kuchni.

Johnny spojrzał na skwaszoną twarz Isabel. Zauważył makijaż i wyskubane brwi.

- Jeezu - gwizdnął przez zęby. - A ty coś się tak odstawiła? Wyglądasz, jakbyś przyjechała prosto z ulicy Reno.

- A ty... ty wyglądasz, jakbyś przyjechał prosto... prosto z rezerwatu. - Isabel wypadła na dwór i pozwoliła, żeby trzasnęły za nią drzwi.

- Nie widzę nic złego w rezerwacie - Ciotka Dozie postawiła przed Johnnym pełen talerz. - Indianie byli tu na długo przed przybyciem białych.

Emma-Jean siedziała na werandzie, kiedy Tom wjechał na podwórze. Miała na sobie jedną ze swych wyjściowych sukienek i kapelusz z miękkim rondem. Wiedząc, że dojdzie zaraz do przykrej sceny, Tom zostawił śpiącego na przednim siedzeniu chłopca i ruszył w kierunku domu.

- Gdzie do diabła byłeś? Czekam już parę godzin.

- Wiesz, gdzie byłem. Pan Henry zmarł zeszłej nocy, więc poszedłem złożyć wyrazy szacunku i kondolencje.

- Cztery godziny. Czy powiedzenie, że ci przykro, zabrało aż cztery godziny?

- Naprawiłem przewrócone ogrodzenie, a one zaprosiły mnie i Jaya na obiad.

- No i sam powiedz, czy to nie piękne? Wyście jedli obiad, a ja czekałam, aż sobie przypomnisz, że masz żonę.

- Czekałaś na co? Byłaś jeszcze w łóżku, kiedy wyjeżdżałem. - Tom starał się nie stracić panowania nad sobą.

- Na to, żeby pojechać do miasta! - krzyknęła. - Mówiłam ci wczoraj wieczorem, że skończyła mi się włóczka. No co? Nie mówiłam?

- Więcej byśmy zapłacili za benzynę niż za tę twoją włóczkę. Trzeba było sobie o tym przypomnieć wczoraj, kiedyśmy byli w mieście.

Tom wszedł do domu, a Emma-Jean za nim. Łóżko było nie zaścielone, ubrania, które wyciągnęła z szuflad komody, wały się po podłodze nie zamiecionej od czasu, kiedy on sam ją ostatnio zamiótł. Panował tam niepojęty bałagan.

Boże drogi. Ona robi się coraz bardziej nieodpowiedzialna.

- A ty dokąd? - Emma-Jean zapytała gwałtownie. - Powiedziałam, że chcę jechać do miasta.

- Teraz mam robotę. Ty zresztą też. Rany boskie, dlaczego nic posprzątasz tego bałaganu? Nie wezmę cię do miasta, dopóki tego nie zrobisz - podniósł głos i patrzył na nią zagniewany, próbując się pohamować.

- Jeśli mówię, że masz mnie zabrać do miasta, to masz mnie zabrać. Za kogo ty się uważasz? Zwykły chłopiec-roz-tropek. A to jest cholerna zakurzona farma. Ja jestem z Conroyów. Miasto Conroy w Teksasie zostało nazwane na cześć mojego dziadka. Żadne miasto nie zostało nazwane na cześć t w o j e g o dziadka.

- Posprzątaj dom, Emma-Jean.

- Już się zwąchałeś z tą łajzą. Od razu wiedziałam, co to za jedna, jak tylko przyszła taka grzecznitka przywitać nowych sąsiadów. To nie ze mną przyszła się zobaczyć, tylko z wielkim Tomem Dolanem, co jurny jest jak stary kozioł - jej twarz zniekształcona

była wściekłością, a w głosie pobrzmiewała nienawiść. - Ze mną już nie sypiasz! Ale pieprzysz ją, może nie?

- Ucisz się, Emma-Jean! - Tom był rad, że zostawił śpiącego Jaya w samochodzie.

- Ucisz się, Emma-Jean - zaczęła go przedrzeźniać. - Nic innego nie słyszę: ucisz się, powtarza matka, ojciec a teraz jeszcze ty. Pewnego dnia pożałujesz, że mnie tak traktowałeś. Chciałabym, żeby matka umarła. Nienawidzę jej. Nienawidzę ciebie. Nienawidzę tego śmierdzącego bachora, którego mi zrobiłeś! - wołała piskliwie.

- Opanuj się! Zgrzejesz się i złapiesz przeziębienie.

Ledwo wypowiedział te słowa, a kolo jego głowy przeleciał talerz i rozbił się na kawałki o ścianę. Wiedząc, że za chwilę nastąpi napad płaczu, który potrwa parę godzin, Tom wyszedł z domu, podszedł do studni i zaczął napełniać żłób wodą.

Czy można sobie wyobrazić gorsze piekło?

4

Henry Ann zdawało się, że dobre pół miasta pojawiło się na pogrzebie. W kościele były tylko miejsca stojące, a za czarnym karawanem wiozącym ciało ojca podążał sznur samochodów.

To nie mojego tatę składają do ziemi. To tylko dom, w którym żył. Ta myśl pomagała Henry Ann przebrnąć przez ten dzień.

Johnny stał obok niej, milczący, z kamienną twarzą. Kiedy później o tym myślała, ze zdziwieniem dostrzegła, że tego dnia jego obecność była dla niej podporą. Isabel natomiast dąsała się, bo Henry Ann zasugerowała stanowczo, by zmyła z twarzy makijaż i żeby zamiast zielonej atłasowej sukienki po matce założyła odprasowaną wełnianą sukienkę w kratkę.

Doziewołała zostać na farmie, mimo że Henry Ann zapraszała ją na pogrzeb.

- Pan Henry i tak wie, jak mi przykro po jego odejściu. Zostanę tu i przygotuję wszystko na przyjęcie gości.

- Mam nadzieję, że ta kobieta przygotowała lemoniadę - powiedziała Isabel, kiedy opuścili już cmentarz i zmierzali drogą w kierunku farmy. - Strasznie jestem zgrzana.

Henry Ann wysłała rano Johnny'ego do miasta po blok lodu. Włożył go do wanny i nakrył parą starych kołder. Kamionkowy gar na lemoniadę miał stać przy końcu stołów ustawionych na werandzie.

Z bólem w sercu i pragnieniem, żeby ten dzień wreszcie się skończył, Henry Ann

pomagała Ciotce Dozie w kuchni, a potem wyszła na werandę, by powitać przybywających przyjaciół ojca. Dziękowała tym, którzy przynosili gotowe potrawy, a wszystkich namawiała, by brali talerze z końca stołu i nakładali sobie jedzenie. Ukrywając ból, przyjmowała ich kondolencje.

Podwórze szybko wypełniło się samochodami i powozami. Wszyscy tu znali i poważali Eda Henry'ego. Później Henry Ann porównywała liczbę przyjaciół ojca, którzy przyszedli na jego pogrzeb z tymi kilku osobami obecnymi na pogrzebie jej matki przed tygodniem.

Johnny porąbał lód i przeniósł go na półmisku do chłodziarki dla Ciotki Dozie. Wyglądało na to, że nie podziela uprzedzeń Isabel. Przeciwnie, stale kręcił się po kuchni, oferując swą pomoc. Isabel zniknęła, jak tylko Pete Perry wjechał na podwórze i wpuścił konia do zagrody. Wielu ludzi zdążyło przejść wzdłuż stołów napełniając talerze, kiedy Isabel w końcu pojawiła się trzymając Pete'a pod rękę. Podprowadziła go do stołów i podała talerz.

Gniew, jaki poczuła Henry Ann, powstrzymał jej łzy. Pete Perry nigdy nie był mile widziany w domu jej ojca, i teraz nic się pod tym względem nie zmieniło. Jak ta mała idiotka śmie przyprowadzać go tutaj, jakby był członkiem rodziny! Wykrzywił się, kiedy spostrzegł piorunujące spojrzenie Henry Ann, odstawił talerz i podszedł do niej.

- Przykro mi z powodu wuja Eda, Henry Ann - odezwał się na tyle głośno, że ludzie siedzący na werandzie musieli go usłyszeć. Ujął jej ramię w geście współczucia. Henry Ann wyrwała się z jego uścisku jak oparzona.

- Zjedz i odejdz stąd - powiedziała zniżając głos do szeptu. - Nie jesteś tu mile widziany.

- Z przyjemnością - odrzekł głośno. - Wpadnę jutro, żeby pomóc. - Odszedł zanim jego słowa w pełni do niej dotarły i nie zdążyła zapytać, o czym on mówi. Stała w odrętwieniu, a osoby siedzące w pobliżu spoglądały na nią zdumione.

Henry Ann zacisnęła usta i zgrzytnęła zębami. W obecności sąsiadów nie będzie robiła sceny, ale ona już sobie porozmawia z Isabel. Przeniosła spojrzenie na mężczyznę stojącego na skraju werandy i trzymającego syna na rękach. Ich oczy spotkały się, żadne z nich nie odwróciło wzroku. Patrzył na nią ze zrozumieniem.

Usłyszał całą rozmowę! I co on teraz, na Boga, pomyśli?

- Wezmę tego słodziutkiego malucha, panie Dolan. - Ciotka Dozie przeszła przez werandę i sięgnęła po Jaya.

- Chodź do Cioci Dozie, żeby tata mógł sobie nałożyć na talerz. Ciocia zrobi maluszkowi coś dobrego do jedzenia. - Jay chętnie przesiadł się na ręce Ciotki Dozie i

zniknęli w domu.

- Mały naprawdę lgnie do niej - zauważył Tom, próbując jakoś nawiązać rozmowę.

- Nie znam dziecka, które by nie polubiło Ciotki Dozie -mruknęła Henry Ann. - Proszę się częstować, panie Dolan.

- To była wspaniała ceremonia. Pan Henry miał wielu przyjaciół.

- To prawda.

Tom przyjrzał się uważnie jej twarzy, zanim znów się odezwał. Zauważył podkrążone oczy i inne oznaki zmęczenia.

- Chciałbym z panią pomówić... w najbliższych dniach.

- Pomówić? O czym? - między jej brwiami pojawiła się zmarszczka zdziwienia.

- O wzajemnej pomocy.

- No cóż, nie miałam jeszcze czasu pomyśleć o tym, jak poradzę sobie z pracą.

- A więc zostaje pani tutaj.

- A jakże. To mój dom.

- Słyszałem, jak ktoś mówił, że może zechce pani oddać ziemię w dzierżawę towarzystwu naftowemu.

- Niech pan nie wierzy plotkom. Mam zamiar zostać i pracować na gospodarstwie... jak tata - spojrzała na niego, a potem odwróciła się, by powitać świeżo przybyłych sąsiadów. - Dzień dobry, pani Bradshaw.

- Dzień dobry. Tak mi przykro z powodu biednego pana Henry. Cóż teraz poczniesz, dziecko? - Na pomarszczonej twarzy malowało się z troskanie. - Zostałaś całkiem sama, prawda? To niedobrze, że nie masz przy sobie jakiegoś dobrego człowieka, który by się wszystkim zajął.

- Poradzę sobie - Henry Ann wyprostowała się. - Johnny i ja damy sobie radę ze wszystkim.

- Nie sądzę, byś mogła na nim polegać.

- Poradzimy sobie, pani Bradshaw. Zechce pani wziąć talerz i poczęstować się jedzeniem. - Obracając się, Henry Ann zauważyła, że Tom Dolan wciąż przy niej stoi, a talerz, który mu wręczyła, pozostaje pusty. Zeszła z werandy i ruszyła na podwórze, by powitać Karen i jej ojca.

Czasy były ciężkie. Pogrzeb stawał się nie tylko zgromadzeniem sąsiadów ku czci zmarłego, ale też okazją, by dowiedzieć się co nowego, porozmawiać o katastrofalnym stanie gospodarki i o tym, jak politycy zamierzają temu zaradzić.

Wiele dyskutowano o nadchodzących wyborach prezydenckich. Franklin Roosevelt, były gubernator Nowego Jorku, obiecywał Amerykanom „new deal”, nową umowę, jeśli zostanie wybrany na kontrkandydata prezydenta Hoovera. Ludzie w większości nie wiedzieli, co oznacza określenie „nowa umowa”, ale większość obecnych deklarowała, że będzie nań głosować, jeśli uzyska nominację.

- Wydaje mi się, że nie może pogorszyć sytuacji, do jakiej doprowadził Hoover - powiedział człowiek, który przez pięć lat żył w ziemiance, żywiąc się fasolą i chlebem kukurydzianym w oczekiwaniu na urodzaj bawełny, co pozwoliłoby mu zbudować dom dla rodziny. - Czy ktoś z was gadał już o dzierżawie z towarzystwem naftowym?

- Jeden z tych cwaniaków przyszedł węszyć na moje pole. Obiecywał, że będę bogaty. Gadanie! - prychnął pan Whalen. - W pobliżu mojego pola była jedna nic nie warta studzienka pompująca z pięćdziesiąt baryłek w ciągu dnia. Piętnaście centów za baryłkę - wielkie mi bogactwo, dostałbym wszystkiego ze dwa dolce dziennie. Po mojemu ci faceci od nafty mogą tylko tak spaprać ziemię, że nic już na niej nie urośnie.

- Święta prawda - pan Austin przytaknął energicznie. - Starczy popatrzeć, co zrobili z polem Marlowe'a. Wygląda jakby przeszedł po nim cyklon. Najgorszy widok, jaki może być, to stare zużyte pole. Nafciarze przychodzą, rozbabrzą i odchodzą.

- Teraz jakaś nowa grupa przyjeżdża do Red Rock. Są powiązani z tym gościem, który przyjechał z pokazem lotniczym do Wichita Falls. Boże drogi. Nie wiem, jak można być takim głupcem, żeby włączyć na skrzydła samolotu.

- A ja wiem. Czego to ludzie dzisiaj nie zrobią, żeby zarobić trochę grosza. Do diabła. Zapisałbym się na ten maraton tańca, co to przyjeżdża niedługo do miasta, gdybym nie był tak cholernie stary.

- Żaden z ciebie tancerz, Wilbur. Słyszałem, że Pete Perry już się zapisał.

- Taki z tego pożytek, że jak tańczy, przynajmniej bimbru nie pędzi.

- Ten maraton ściągnie do miasta kupę ludzi. Będzie na co popatrzeć, to pewne.

Tom uważnie się przysłuchiwał. Jako nowo przybyły niewiele miał do dodania w tej rozmowie. Słyszał już w mieście różne rozmowy na temat Pete'a Perry. Doszedł do wniosku, że to typek spod ciemnej gwiazdy. Cóż to była za gierka z panną Henry? Wpadnie w kłopoty, jeżeli nie przypilnuje tej małej, którą przywiozła z miasta i która, o ile go wzrok nie mylił, miała niezłe zadatki na latawicę.

Parę kobiet zapytało go o żonę. Miał na podorędziu wypróbowane wytłumaczenie, że żona źle się poczuła. Może i rzeczywiście nie najlepiej się czuła. Była w łóżku, kiedy z Jayem wychodził z domu. Zresztą, gdyby nawet chciała przyjść, znalazłby jakąś wymówkę, żeby jej

nie zabierać.

Tom był zdania, że Emma-Jean w coraz większym stopniu traci nad sobą kontrolę. Zeszłego wieczora chlusnęła Jayowi w twarz warząchwią wody, a później, kiedy próbowała posadzić go sobie na kolanach, chłopiec zaczął krzyczeć. Doprowadziło ją to do furii. Trzymała go tak mocno, że Tom siłą musiał uwolnić przerażonego chłopca z jej ramion.

W świetle dnia Tom zwykle czuł się bardziej na siłach, by poradzić sobie z problemami, jakie życie przed nim stawiało. To nocą, kiedy leżał na posłaniu w kuchni, z całą ostrością zdawał sobie sprawę, że nie tylko jego syn pozbawiony jest matki, ale też on sam pozbawiony jest żony.

Henry Ann wydawało się, że to popołudnie nigdy się nie skończy. Została wypędzona z kuchni przez Ciotkę Dozie oraz parę sąsiadek, które same zajęły się myciem pustych mis i półmisek, ustawiając je na stole w taki sposób, by ich właściciele mogli je zabrać wychodząc. Kiedy Ciotka Dozie szepnęła, że chłopiec powinien skorzystać z nocnika, Henry Ann zdjęła go z wysokiego krzesła. Poszedł za nią bez protestów.

Zabrała go do swojego pokoju i zamknęła drzwi. W chwili, gdy wyjęła nocnik, chłopiec spojrzał na nią i powiedział:

- Psi, psi.

Henry Ann rozpięła mu spodenki.

- Potrafisz załatwić się sam?

- Duży chłopiec.

- No pewnie, że duży - ustawiła go nad nocnikiem i była zdziwiona, jak dobrze sobie poradził. Skończył i spojrzał na nią z uśmiechem zadowolenia, najwyraźniej oczekując pochwały. - Jesteś naprawdę dużym chłopcem.

- Dużym chłopcem Taty.

- Przecież widzę - zapięła mu spodenki. - Wracamy? Chłopiec spojrzał na nią wielkimi ciemnymi oczami, jak u ojca. Nagle uświadomiła sobie podobieństwo między swoim życiem, a życiem tego dziecka. Jej ojciec był dla niej ojcem i matką po tym, jak jej własna matka odeszła. Pan Dolan także próbował matkować synkowi. Cóż to za historia z tą jego matką?

Gdyby ten chłopczyk był mój, nie spuszczałabym z niego oka.

Owładnęło ją pragnienie, by mieć męża i własne dzieci. Miała dwadzieścia cztery lata. Przez niektórych uważana była za starą pannę. Poza Karen większość jej rówieśnic miała

już mężów i przynajmniej po jednym dziecku.

- Panie Dolan? Pastor, który odprawił nabożeństwo, wyrwał Toma z zamyślenia. Wyciągnął dłoń do niskiego, siwowłosego mężczyzny.

- Tom Dolan.

- Wielebny Wesson - jego dłoń była miękka, ale uścisk mocny. - Moja córka opowiadała mi o panu... i pańskim synku.

- Słyszałem jej śpiew dziś rano. Ma piękny głos.

Obaj mężczyźni usiedli na ławie.

- To prawda. Pięknie śpiewa - w głosie pastora pobrzmiewała duma. - Mówiła, że jest pan mechanikiem.

- Między innymi.

- Mam starego Whippeta...

- Whippet 6 to był dobry wóz. Jako jeden z pierwszych miał hamulce na cztery koła. Nie jestem pewien, czy jeszcze je robią.

- Widzę, że sporo pan wie o samochodach. Mój to model z 1916 roku.

- Od lat nie widziałem tego modelu. Trudno będzie znaleźć części.

- Bardzo chciałbym naprawić staruszka.

- Czemu? Naprawa będzie bardzo kosztowna.

- Chyba jestem sentymentalny. Dobrze mi służył. Nie chcę oddawać go na złom - jego niebieskie oczy błysnęły. - Nie zechciałby pan na niego spojrzeć i powiedzieć, czego mu trzeba?

- Chętnie rzucę okiem. Tyle że obecnie nie bardzo mogę ruszyć się z domu.

- Rozumiem. Jeśli podjąłby się pan tej pracy, moglibyśmy go przeholować na pańską farmę.

- Dobrze. Następnym razem, kiedy będę w mieście, obejrzę go sobie.

- Będę wdzięczny.

Toma dobiegł dźwięk szczęśliwego dzieciennego śmiechu i odruchowo obejrzał się przez ramię. Jego syn obejmował kudłatą szyję starego psa. Przy nich klęczała panna Henry. Pies potrząsnął głową i polizał Jaya po twarzy. Chłopiec zaśmiał się i dzieciennymi rączkami klepnął zwierzę po pysku. Tom nie był w stanie oderwać oczu od tej kobiety, od chłopca i psa. Przeraziła go siła ogarniającego go uczucia. Nigdy nie słyszał, żeby jego syn śmiał się tak bez troski.

Kiedy tak patrzył, Henry Ann podniosła się z klęczek i wzięła Jaya za rękę. Powędrowali do zagrody dla kur, a pies ruszył ich śladem. W zagrodzie wielki nakrapiany kogut, niezadowolony, że przyszło mu spędzić dzień w zamknięciu, chodził z nastroszonymi piórami. Nagle piejąc i łopocząc skrzydłami pogonił za jakąś leniwą kurą. Jay zaśmiał się dźwięcznie. Klasnął w dłonie.

W oczach Toma, kiedy tak patrzył na pannę Henry i swego chłopca, pojawił się cień bólu.

Ileż ten chłopiec traci przy takiej matce jak Emma-Jean.

- Henry Ann ma podejście do dzieci - spojrzenie Wielebnego Wessona także podążyło ku parze za ogrodzeniem. - Powinna być nauczycielką.

- Dlaczego nie jest? - Tom obrócił wzrok ku niemu.

- Nie jestem pewien. Gdyby tylko chciała, Ed mógł posłać ją do college'u. Teraz czeka ją trudny okres. Wszyscy samotni mężczyźni w okolicy zaczną ją oblegać, żeby położyć łapy na tej farmie.

- Nie ma nikogo... na stałe?

- Nikogo w szczególności.

- To dziwne. Jest ładną kobietą.

- Ale niezależną. Nie zwiąże się z mężczyzną, jeśli nie pokocha go całym sercem. - Pastor podniósł się z ławy. - Lepiej zabiorę już Karen. Pora wracać do miasta. Dziś wieczorem jest próba chóru. Proszę do nas wpaść, panie Dolan.

- Dziękuję, na pewno wpadnę. Na mnie też pora. Pójdę pożegnać się z panną Henry.

Henry Ann przyglądała się, jak Jay biegnie do swego ojca, jak ten porywa go na ręce i wyrzuca w górę. Dziecko zachichotało i objęło rączkami ojcowską szyję. Kochające spojrzenie, jakie dostrzegła na twarzy mężczyzny, gdy obejmował synka, poruszyło Henry Ann tak głęboko, że poczuła mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

- Musimy wracać do domu, synku. Powiesz pannie Henry do widzenia?

- Do widzenia.

- Do widzenia, Jay. Odwiedź nas znowu.

- Chciałbym porozmawiać o tym, jak moglibyśmy pomagać sobie w pracy, ale teraz nie będę zawracał pani głowy.

- Nie jestem pewna, czy ja w czymkolwiek mogłabym panu pomóc.

- Gdyby Johnny mi pomógł, na pewno bym się zrewanżował.

- Johnny?

- Z tego, co widziałem, jest bardzo pojętny.
- Nie jestem pewna, czy będzie chciał.
- W najbliższych dniach będę tędy przejeżdżał, więc wpadnę. Wtedy go zapytamy - przycisnął głowę syna do ramienia. - Ten kolega miał męczący dzień. Zaśnie zanim dojadę do domu. Proszę dać mi znać, gdyby mnie pani potrzebowała.

Zatrzymał na niej wzrok. Wiedziała, że nawiązuje do Pete'a Perry.

- Dziękuję, ale wydaje mi się, że sobie poradzę.
- Proszę pamiętać o tym, co powiedziałem. Wiem sporo o oponach samochodów i nadal rozglądam się za samochodem, który wjechał na wasze pole i zabrał mięso tamtego wołu.

- Zameldowałam o tym szeryfowi Watsonowi, ale nie oczekuję z jego strony wielkiej pomocy. On ma na głowie cały powiat - Henry Ann obserwowała, jak Tom sadowi swego syna na siedzeniu, wycofuje samochód z podwórza i wolno odjeżdża.

Jako ostatni zaczęli wychodzić Austinowie i rodzina Newmanów. Kiedy Christopher zjawił się po Austinów, Henry Ann musiała znieść jeszcze wylewność pani Austin i podziękować jej za propozycję, że Christopher przyjedzie jej pomóc. Christopher stał z kapeluszem w dłoni, matka mówiła za niego. Henry Ann przyglądała mu się z politowaniem.

Czy on nie ma dość oleju w głowie, żeby mówić za siebie?

- Ależ, kochanie, wasze pole zarasta chwastami. Christopher przyjdzie z parą parobków i zajmą się tym.

- Nie, dziękuję pani. Z Johnnym i Isabel prędko sobie z tym poradzę.
- Cóż, jeśli tak uważasz, kochanie.

Henry Ann odetchnęła z ulgą, kiedy odjechali. Johnny zaczął znosić stoły z werandy.

- Bardzo mi dzisiaj pomogłeś, Johnny. Wszystko poszło tak, jak Tata by sobie życzył. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Gdzie jest Isabel?

- Nie wiem - wzruszył ramionami.
- Pete Perry ciągle tu jest?
- Widzę jego konia.
- To już szczyt beczelności!

Henry Ann zeszła z werandy, przeszła dokoła domu i ruszyła do stodoły. Odrzwia były zamknięte. Otworzyła je na oścież. Isabel tam nie było, podobnie jak w szopie, w której trzymali samochód. Pete Perry był o dobre dziesięć lat starszy od Isabel. Nie powinna zostawać z nim sama. Henry Ann przeszukała skraj lasu za strumykiem, potem zawróciła w stronę domu.

Kiedy tak szła, zaczęły się otwierać drzwi piwnicy. Wszedł z nich Pete i wyciągnął za sobą chichoczącą Isabel, która w jasnym słońcu zmrużyła oczy. Żadne nie zauważyło Henry Ann, dopóki ta nie przemówiła. Mówiła głośno i gniewnie.

- Isabel! Czyś ty na głowę upadła?

Pete odwrócił się i wyszczerzył zęby.

- Cześć, kuzynko Henry Ann. Liczyliśmy właśnie słoiki z przetworami.

- Akurat, ty... ty paskudniku. Trzymaj się od niej z daleka, słyszysz? Ona ma dopiero piętnaście lat.

- To nieprawda! - krzyknęła Isabel.

- Moja mama miała czternaście, kiedy mnie urodziła, kuzynko Henry Ann. Twoja miała niewiele więcej, kiedy urodziła ciebie. A poza tym tylko się trochę całowaliśmy. Zazdrościsz? - nadal zaczepnie szczerzył zęby.

- Prędej bym pocałowała zad muła. - Zwróciła się do Isabel: - Ostrzegam cię. Trzymaj się z dala od tego typu, albo stąd odejdziesz. Wrócisz do sierocińca w Oklahoma City.

- Nie pójdę do żadnego sierocińca. Mam brata i siostrę i część tej farmy. Prawda, Pete?

Pete uniósł ramiona w geście, który oznaczał, że woli się w to nie mieszać.

- Nie masz żadnych praw do tej farmy. Wbij to sobie do głowy. Jeśli chcesz się poprawić, jeśli będziesz zachowywać się przyzwoicie, to możesz tu zostać. A jak nie, to... wynoś się.

- Czy nie jesteś aby za surowa dla tej dziewczyny, kuzynko? Nic złego nie zrobiła, tylko pomogła mi liczyć słoiki z przetworami.

Henry Ann była tak zagniewana, że oddychała z najwyższym trudem. Wzięła kilka głębokich wdechów zanim znów się odezwała.

Weź swego konia i zabieraj się z mojej ziemi. Jeśli wrócisz, pójdę do szeryfa i powiem mu, żeby cię aresztował.

- Za co? Że przyszedłem pomóc kuzynce?

- Nie chcę twojej pomocy.

- Może przychodzić, kiedy tylko zechce - Isabel przytuliła się do Pete'a i otarła policzkiem o jego ramię. - Ja i Pete weźmiemy udział w maratonie tańca. Zdobędziemy główną nagrodę.

- W jakim maratonie tańca?

- Tym w Red Rock - Pete potarł knykciami policzek Isabel. - Chcą zbudować

platformę na Main Street. Na pewno zjedzie się mnóstwo ludzi. Już zapisało się dziesięć par. Poprosiłbym ciebie, kuzynko Henry Ann, ale Isabel jest taka drobniutka... więc sobie pomyślałem, że będę mógł ją podtrzymać, jak zaśnie.

- Znajdź sobie kogoś innego. Ona nie zrobi nic tak idiotycznego. Isabel, idź do domu.

- Nie pójdę. Nie możesz mi rozkazywać.

- Lepiej idź, złotko. Na razie musimy uspokoić starą Henry Ann.

- Wrócisz?

- Nie wróci - Henry Ann wpadła w słowo, zanim Pete zdążył odpowiedzieć.

- Och, doprowadzasz mnie do szaleństwa - Isabel nadepnęła jej na stopę. - Jesteś sztywna jak stara panna.

- Stara panna czy nie, wiem, co wypada. Jesteś za młoda, żeby zadawać się z takimi typkami jak Pete Perry.

- Jeszcze zobaczymy - twarz dziewczyny przybrała przebiegły wyraz. - Mam tu swoje prawa tak samo jak ty.

Johnny przeszedł przez podwórze i zbliżył się do nich.

- Siemasz, chłopcze! - zawołał Pete. - Dwoileś się i troileś pomagając paniom w kuchni. Ja i Isabel musieliśmy zejść do piwnicy, bo nie było gdzie się trochę pocałować. - Jego jasnoniebieskie oczy błysnęły, kiedy zerknął na Henry Ann.

Johnny minął Pete'a bez słowa. Poszedł do zagrody dla koni. Pete ruszył za nim.

- Jedziesz, Pete? - w głosie Isabel brzmiał niepokój.

- Tak, już jadę. Do zobaczenia, złotko.

- Do zobaczenia, Pete. - Isabel zwróciła się do Henry Ann jak fukająca kotka. - Mam nadzieję, że jesteś zadowolona. Wygoniłaś go. Powiedział, że będziesz zazdrosna, jeśli poświęci mi więcej uwagi niż tobie. Jesteś zupełnie jak ona. Nie chciała, żebym się kręciła w pobliżu, kiedy robiła to z nowym facetem. Nienawidzę cię. Nienawidzę cię bardziej niż nienawidziłam ją. - Isabel wbiegła do domu pozostawiając zaszokowaną Henry Ann.

Tom pozostał u Henrych do czasu, kiedy musiał wrócić do obrządków. Wyglądało na to, że nie spieszyło się też Austinom i Newmanom. Koń Pete'a Perry wciąż był w zagrodzie, ale Pete'a nie było widać. Ani tej młodej dziewczyny, którą panna Henry przywiozła z Oklahoma City.

Jaya ominęła popołudniowa drzemka, więc zdążył zasnąć, zanim Tom dojechał do

szopy. Postanowił, że go tam zostawi, żeby zorientować się, w jakim nastroju jest Emma--Jean. Kiedy zbliżał się do domu, ona wyszła na werandę.

- Gdzie Jay? - zawołała.
- Śpi w samochodzie. Zabiorę go, jak skończę obrządki.
- Mam dla ciebie niespodziankę.

O Boże, co znowu?

Przytrzymała dla niego drzwi i weszła za nim do środka. Nie mógł uwierzyć własnym oczom: żadnych porzrzuconych ciuchów, łóżko pościelone, podłoga zamieciona. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- To jeszcze nie wszystko - rzuciła Emma-Jean. - Chodź do kuchni. - Chwyliła go za rękę i pociągnęła za sobą.

Blat zmyty, stół nakryty czystą serwetą, a na środku wazon z kwiatami. Coś gotowało się na kuchni. Przyglądał się uważnie. Jego posłanie zniknęło, ale łóżeczko, które zbudował dla Jaya, ciągle jeszcze tam stało.

- No i? - Emma-Jean czekała jak dziecko, które spodziewa się pochwały.
- Na pewno tak jest lepiej.
- Pracowałam cały dzień - podeszła do niego, objęła w biodrach i przytuliła twarz do jego ramienia. - Nie byłam dobrą żoną - szepnęła smutno, potem dodała rozjaśniona. - Ale to już za nami. Zobaczysz. Utrzymam dom w porządku, będę gotować i zostanę najlepszą żoną, jaką kiedykolwiek miał mężczyzna.

- Teraz tak mówisz. Słyszałem to już wiele razy - chwycił jej ramiona i uwolnił się z uścisku. - A co z naszym synem, Emma-Jean? Co z Jayem? Nie wspomniałaś o nim ani słowa. Kto będzie się nim opiekował?

- Ja. Ja będę. Tak za nim dzisiaj tęskniłam. Taka by lam samotna i za nim tęskniłam - wielkie niebieskie oczy patrzyły na niego błagalnie.

Tom chciałby jej wierzyć, ale nie mógł. Przyglądał się badawczo żonie. Umyła włosy i nałożyła makijaż, myśląc, że to poprawi jej urodę. Była bardzo ładna. Musiał to przyznać. Była ładna, dopóki nie otworzyła ust.

- Gotuję fasolę. Zjemy sobie miłą kolację, potem wyjdziemy posiedzieć na werandzie.
- Muszę iść do obrządków.
- Dobrze, idź. Ja przygotuję kolację.

Tom wyszedł z domu i ruszył w stronę stodoły. O ścianę domu stało oparte jego łóżko; materac i pościel zsunęły się na ziemię. Wiedział, o co chodzi Emmie-Jean. Próbowwała

zmusić go, aby z nią spał. Choćby nie wiem jak czuł się samotny, nigdy do tego nie dopuści. Za nic w świecie nie dopuści, by mogła, choćby przypadkiem, zająć z nim w ciąży i urodzić mu jeszcze jedno dziecko.

5

W ciągu następnego tygodnia Henry Ann musiała nie tylko radzić sobie z żalem po śmierci ojca, ale też przystosować się do nowej sytuacji. Teraz to na niej spoczywała odpowiedzialność za farmę. Był też problem Isabel. Ciotka Dozie została na trzy dni po pogrzebie. Gdyby nie Isabel, zostałyby dłużej. Henry Ann zapytała o to starą przyjaciółkę.

- Ciociu Dozie, odchodzisz przez Isabel, prawda?

- Dla tej dziewczyny jestem jak skaleczony palec u nogi w za ciasnym bucie.

Będzie lepiej, jeśli przynajmniej na razie się wyniosę.

- Tak mi przykro. Martwię się o ciebie. Jak teraz zarabiasz?

- Jakoś sobie radzę. Robię trochę tego, trochę tamtego. Mam kury, mam ogródek. Mam dach nad głową. Mam więcej niż wielu innych.

- Tu zawsze znajdzie się dla ciebie miejsce. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

- Wiem, dziecko.

- Jak będziesz gotowa, Johnny zabierze cię do domu.

Henry Ann nie raz żałowała, że pojechała do Oklahoma City. Żałowała, że nie było jej przy ojcu podczas jego ostatnich dni, a z podróży przywiozła do domu poważny kłopot. Parę dni po tym, jak Ciotka Dozie wróciła do siebie, Henry Ann obudziła o świcie Isabel. Nalegała, by ta włożyła starą kapelusz i poszła z nią i Johnnym na pole bawełny. Dziewczyna zaczęła się dąsać, że to niesprawiedliwe, by wykonywała „pracę czarnuchów”. Robiła obrażoną minę przez całe śniadanie i w drodze na pole. Henry Ann cierpliwie pokazała jej, jak odchwaszczać krzaki bawełny. Przez kilka minut przyglądała się pracy Isabel, potem zaczęła usuwać chwasty w swoim rzędzie. Po jakimś czasie znowu obejrzała się na dziewczynę i z przerażeniem spostrzegła, że Isabel wrywała wszystko: i chwasty i krzewy bawełny. Sześć metrów bawełnianych krzewów wyrwała z korzeniami.

- Isabel! Przestań!

- Nijak nie da się ciebie zadowolić, co? - Oparła się o trzonek motyki i patrzyła na Henry Ann.

- Nie potrafisz odróżnić chwastu od krzewu bawełny?
- Nie. Nie potrafię odróżnić chwastu od krzewu bawełny - odpowiedziała jak echo.

- Więc się naucz.
- Nic jestem parobkiem.
- Isabel, zaczynam mieć powyżej uszu tych twoich fochów. Czemu za wszelką cenę starasz się być niemila?

- Nie znoszę tego miejsca. Rozumiem już, czemu mama odeszła.
- Nawet nie próbowałaś go polubić.
- I nie zamierzam próbować. Idę do domu.
- Nie, nigdzie nie idziesz. Siądź w cieniu, żebym mogła mieć cię na oku.
Zobacz. Johnny już zrobił pół rzędu.

- Zna się na dłubaniu w kurzu. Ma to we krwi, co?
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Jego ojcem był stary brudny Indianin. Mama tak mówiła.
- Nie chcę tego nigdy więcej słyszeć. Jesteś taka pyskata po Perrych. Zaczynam myśleć, że i zepsuta jesteś jak oni.

- Traktuję to jak komplement. Pete zabierze mnie, żebym ich poznała.
Powiedział, że mnie polubią, bo wyglądam zupełnie jak mama.

- Nigdzie nie pójdziesz z Petem Perry. Koniec dyskusji.

Na twarzy Isabel pojawił się chytry uśmiezek.

- Coś mi się zdaje, że już niedługo przestaniesz być taka mądra.

Henry Ann zajęła się pracą. Umiejętnie usuwała motyką chwasty wokół wysokich na jakieś trzydzieści centymetrów krzewów bawełny. Nigdy nie miała do czynienia z kimś takim jak jej przyrodnia siostra i nie wiedziała, jak z nią postępować. Zastanawiała się, czy nie poprosić Johnny'ego o pomoc. Wziął wprawdzie na siebie obrządki i pracę poza domem, ale trudno było się z nim porozumieć, zwłaszcza że odpowiedzi na pytania ograniczał do „tak” i „nie”.

Johnny wyprzedził ją znacznie. Skończył swój rząd, po czym zaczął nowy, powoli zbliżając się do niej. Kiedy się zrównali, Henry Ann pod wpływem impulsu zatrzymała go.

- Johnny, zaczekaj chwilę.

Johnny wytarł rękawem czoło. Zdjął filcowy kapelusz i strząsnął go uderzając o udo, po czym naciągnął mocno na głowę. Dopiero wtedy obrócił ku niej twarz bez wyrazu i głębokie ciemne oczy.

- Co ja mam zrobić z Isabel? - Henry Ann wyjęła z kieszeni chustkę i otarła pot z twarzy. - Nie chce pomagać, a przy tym jest tak pyskata, że któregoś dnia mogę stracić cierpliwość i przyłożyć jej.

Ciemne oczy Johnny'ego ożywiły się, a w kącikach ust na mgnienie oka pojawił się uśmiezek.

- Ze mną to pomogło.

- Och, Johnny. Było mi potem tak przykro. Nigdy w życiu nikogo nie uderzyłam.

- Prosiłem się o to.

- Proszę, pomóż mi z Isabel. Naprawdę wpadnie w kłopoty, jeśli będzie zadawać się z Petem Perry.

- Dziś w nocy wyszła z domu i spotkała się z nim.

- O nie! O Boże! Byłam taka zmęczona, że spałam jak kamień. Pogadam z szeryfem i powiem mu, że Isabel jest nieletnia.

- To nic nie da. Isabel jest taka jak ona. Pozwól jej odejść.

Zaszokowana Henry Ann trwała w milczeniu przez parę chwil, opierając się o trzonek motyki. Przez te cztery lata, kiedy Johnny był z nimi, ani razu nie wspomniał o swojej matce.

- Isabel daje do zrozumienia, że coś się wkrótce wydarzy. Przed chwilą powiedziała, że niedługo nie będę taka mądra. Chcę, żebyś wiedział, Johnny, że kiedy stałam się pełnoletnia, Tata przepisał farmę na mnie. Myślę, że domyślasz się, czemu to zrobił. Bał się, że gdyby coś mu się stało, Marna by ją przejęła.

- Z całą pewnością.

- Pomóż mi z farmą, Johnny. Wprawdzie przepisana jest na mnie, ale podzielę się z tobą.

- Nie jestem żadnym krewniakiem Eda. "Wiedziałem o tym od małego. Ona nieraz mi powtarzała, że mój ojciec był gołodupcem.

- Nie lubię tego słowa. To oczywiste, że mój ojciec nie był twoim ojcem, ale powinienes być dumny ze swego pochodzenia. Nigdy się tego nie wstydz.

Spojrzał w dal na skraj lasu i nie odpowiedział.

- Jesteś moim bratem, Johnny. Czy nam się to podoba, czy nie, ona była naszą matką. Naszą i Isabel. Chciałabym pomóc Isabel, ale nie wiem, czy mi pozwoli.

- Pozwól jej odejść - powtórzył. - Narobi ci tylko kłopotów. - Na nowo zaczął gracować bawełnę i więcej się nie obejrzał.

Przez cały następny tydzień Isabel dąsała się zawsze, kiedy miała iść w pole. Zwykle brała ze sobą koc i spała w cieniu. Henry Ann zaproponowała jej książkę do czytania. Odmówiła. Pewnego ranka Johnny wręczył jej motykę i powiedział, że do jego powrotu ma odchwalić cztery rzędy bawełny, bo inaczej spierze ją na kwaśne jabłko. Groźba poskutkowała.

Johnny pracował od świtu do zmierzchu, robiąc przerwy jedynie po to, by zrobić obrządki lub przegnać bydło na pastwisko. Henry Ann żałowała, że nie zachowywał się tak, kiedy żył ojciec. Tata zawsze chciał mieć syna.

Nie mogli doczekać się deszczu. Ziemia w niektórych miejscach była twarda jak skała, w innych sucha i sproszkowana. Wiedzieli, że jeśli wkrótce nie spadnie deszcz, krzewy bawełniane skarłowacieją albo zaczną obumierać.

Któregoś wieczora, kiedy zmęczeni po dziesięciu godzinach pracy w polu wracali do domu, zobaczyli, że przy studni stoi mężczyzna i pije wodę z cynowego kubka.

- Kto to? - Isabel podniosła brzeg spódnicy, żeby oderwać przyczepione do niej osty.

- Nie wiem, ale opuść spódnicę.

- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że nalałem sobie wody.

- Oczywiście, że nie mamy nic przeciwko temu.

Jedno spojrzenie wystarczyło Henry Ann, żeby poznać, że człowiek był nietutejszy. Na zapadniętych policzkach jaśniał mu tygodniowy zarost, a tobolek, który leżał na ziemi u jego stóp, stanowił prawdopodobnie cały jego dobytek. Kiedy ją zobaczył, zdjął z głowy czapkę. Jego jasne włosy lepiły się od potu.

Johnny wyciągnął ze studni wiadro wody i przelał ją do innego wiadra stojącego na ławie i do miednicy stojącej na ziemi. Henry Ann zdjęła słomkowy kapelusz z szerokim rondem, zakasała rękawy ojcowskiej koszuli, którą zakładała na sukienkę bez rękawów, i chlusnęła sobie na twarz wodą nabraną rękoma z miednicy. Woda ociekała jej z twarzy, mokrymi dłońmi przeczesła do tyłu włosy. Jej skóra nabrała od słońca złocistej barwy.

- Chciałbym, szepani, pomówić z pani mężem. Mógłbym popracować tu parę dni w zamian za posiłki.

- Ona nie ma męża - prychnęła Isabel. - A taka z niej sztywniaczka, że pewnie nigdy nie będzie miała.

- Zamkniesz ty się! - syknął Johnny i pociągnął ją za ramię.

Henry Ann puściła to mimo uszu.

- Z zasady nie bierzemy nikogo z nietutejszych. Poczestujemy pana posiłkiem i może

pan ruszać w drogę.

- Będę wdzięczny za posiłek, ale chciałbym na niego zapracować.
- Johnny? - Henry Ann pozostawiła decyzję bratu.
- Może napelnić zbiorniki, kiedy ja będę mieszał pomyje dla świń.
- Dobrze. Wydoję krowy, potem zrobię kolację. Ty nakarm kury, Isabel.
- Proszę pani, mam dobrą rękę do dojenia krów.

Henry Ann spojrzała w jego poważne niebieskie oczy.

Na oko mógł mieć około trzydziestu lat. Mówił jak człowiek wykształcony. Czyżby jakiś pech sprawił, że znalazł się w takim położeniu?

- Bardzo dobrze. Ale niech pan pamięta, żeby się umyć. Postawię bańkę na mleko na werandzie.

Henry Ann położyła mydło obok miednicy, podeszła do Johnny'ego i ruszyła w stronę domu. Kiedy odeszli kawałek, szepnęła:

- Miej na niego oko.
- Czemu szepczecie? - spytała głośno Isabel.
- A ty co? Miałaś iść do kur - Johnny obrócił się na pięcie i odszedł.

Isabel pokazała mu język.

- Karmić kury, poić kury, zebrać jajka - zanuciła. – Co go ugryzło? Zachowuje się jakby to miejsce było już jego.

Henry Ann powiesiła kapelusz i koszulę na kołku przy drzwiach i zapaliła dwupalnikową kuchenkę gazową, której używali w gorące dni. Obrała kartofle i pokroiła na plasterki do ciężkiego żelaznego rondla. Po dodaniu smalcu i skrojonej cebuli postawiła rondel na ogniu. Nakryła stół dla trojga, potem dodała czwarty talerz.

Johnny jest w domu, więc ten człowiek nie musi jeść na werandzie.

- Ta cholerna stara kura znowu mnie udziobała. - Isabel weszła i rzuciła koszyk na jajka. - Któregoś dnia łeb jej ukręcę.

Henry Ann wzięła koszyk z blatu, przy którym przygotowywała jedzenie i postawiła go na podłodze.

- Pokazywałam ci jak podbierać jajka, żeby nie niepokoić kury.
- Pozwolisz temu włóczędze jeść z nami? - Isabel zobaczyła cztery nakrycia na stole.
- Masz coś przeciwko temu? - Henry Ann odkręciła cynkowe wieczko ze słoja i widelcem wyjęła przyprawione brzoskwinie do miseczki.
- Słowo daję! Nie masz za grosz dumy. Najpierw pozwalasz, żeby jadła z nami

czarna kobieta, a teraz ten włóczęga.

- Możesz wziąć swój talerz na werandę, jeśli chcesz.

- Dzięki. Dziękuję ci bardzo. - Isabel wpatrywała się w lustro nad zlewem. - Spójrz tylko na moją twarz - jęknęła. -Zobacz jakich dostałam piegów.

Henry Ann wyszła na werandę, kiedy Johnny wraz z nieznajomym wracali ze stodoły z mlekiem.

- Postawcie to na werandzie. - Nakryła pełne wiadro mleka czystą ściereczką. - Po kolacji przepuszczę to razem z porannym mlekiem przez separator.

- Proszę pozwolić, ja to zrobię, panno... - mężczyzna szybkim ruchem zdjął czapkę z głowy.

- Henry. Potrafi pan obsługiwać separator?

- Tak, proszę pani. Z konieczności musiałem nauczyć się wielu rzeczy. Coś, czego człowiek uczy się zwykle latami, ja musiałem opanować w rok - uśmiechnął się ukazując niezwykle białe i równe zęby. Mimo niechlujnego wyglądu budził zaufanie. - Nazywam się Grant Gifford, proszę pani.

- Wejdźcie obaj. Kolacja gotowa.

Johnny wszedł na werandę. Mężczyzna zawahał się.

- Wdzięczny jestem, że mnie pani zaprasza, panno Henry. Dawno już nie siedziałem przy stole.

Henry Ann była zbyt zmęczona, żeby jeść. Isabel jadła narzekając, że nie lubi smażonych na surowo kartofli i czemu nie jedzą pomidorów z makaronem. Johnny pałaszował, aż mu się uszy trzęsły. Podobnie jak pan Gifford.

- Jak to się stało, że zostałeś włóczęgą? - zapytała Isabel przypatrując się uważnie przybyszowi. - Wiele nie osiągniesz szwendając się po okolicy i żebrząc u ludzi.

- Isabel! Nie zadawaj niegrzecznych pytań - bardzo zmęczona Henry Ann powiedziała to ostrzejszym niż zwykle tonem.

- Pewnie wydaje ci się, że ty coś osiągniesz - mruknął Johnny z oczami utkwionymi w talerzu.

Isabel usłyszała. - Więcej niż ty, tłuku!

- Proszę, spokój - zmęczonym głosem zareagowała Henry Ann.

- W porządku, panno Henry. Odpowiem młodej damie. Jestem włóczęgą, ponieważ chcę nim być. Nie mam nikogo, kim musiałbym się zajmować, prócz siebie samego. Ciągnie mnie do włóczęgi. Przewędrowałem kraj od wybrzeża do wybrzeża, od granicy do granicy. Dowiedziałem się takich rzeczy, jakich nigdy bym się nie dowiedział,

gdybym został w jednym miejscu. I... nigdy nie prosiłem o nic, nie proponując wpierw, że na to zapracuję.

- Nie mówisz jak włóczęga.
- A jak powinien mówić włóczęga?
- Nie wiem. Ale nie tak jak ty.
- Dokąd pan się stąd udaje, panie Gifford? - zapytała Henry Ann.
- Miałem nadzieję przez jakiś czas zostać w pobliżu Red Rock.
- Dobra. Może pomóc odchwaszczać bawełnę - powiedziała Isabel jakby

decyzja należała do niej.

Grant spojrział na Henry Ann.

- Mogę to zrobić, proszę pani. Za posiłki i miejsce do spania.

Na polu został nam tydzień pracy.

- Nie, jeśli będziecie pracowali w trójkę.
- Zamknij się, Isabel! - cierpliwość Johnny'ego w końcu się wyczerpała. - Już

byśmy skończyli, gdybyś zrobiła swoją działkę.

- Będzie pan musiał spać w stodole albo w szopie. - Henry Ann zignorowała oboje rodzeństwa.

- Tam są węże - powiedziała Isabel.
- Wrzucę moje koce do furmanki.

Człowiek ten miał najbardziej niebieskie oczy, jakie Henry Ann w życiu widziała, i najsmutniejsze. Zdawała też sobie sprawę, że jej tata nie pozwoliłby nikomu nietutejszemu pozostać dłużej niż trzeba, by odpracować posiłek albo dwa. W tym mężczyźnie dostrzegła coś odmiennego. Jego ubranie było wprawdzie obszarpane, ale dosyć czyste i w dobrym gatunku. Nie mogła nic zarzucić jego manierom i wyglądało na to, że potrafi dobrze pracować.

Może to przestępca? Może się ukrywa?

Henry Ann zwróciła wzrok na Johnny'ego, chcąc się zorientować, co o tym sądzi. On jednak patrzył wyczekująco na nią.

- Boże drogi! - Isabel przełamała milczenie. - Nie ma nad czym się zastanawiać.
- Spojrzała na Grant a. - Zostałeś przyjęty. Do mnie należy jedna trzecia tej farmy i...
- Zamknij się!

Henry Ann podskoczyła. Pierwszy raz usłyszała, jak Johnny krzyczy. Zerwał się na równe nogi, chwycił Isabel za ramię i ściągnął z krzesła. Zanim zdążyła zaprotestować, wypchnął ją przez drzwi na ganek od podwórza. Zaczęła piszczeć.

- Przestań! Ty... głupi... tłuku! Nie masz zamiaru upomnieć się o swoje? Będziesz kłaniał się i lizał jej buty, aż... – reszta słów została stłumiona, kiedy Johnny zasłonił jej usta dłonią.

Henry Ann poczerwieniała z zażenowania.

- Moja... przyrodnia siostra to niezłe ziółko – wyjaśniła łamiącym się głosem.

- Właśnie widzę. Ale chłopak jest łebski. To też widać -w jego oczach znowu pojawił się cień smutku.

- Jestem jedyną właścicielką farmy.

- Chłopak powiedział mi to w stodole, kiedy zapytałem, czy będzie tu można zostać na jakiś czas. Mówił, że niedawno umarł pani ojciec.

- Tak - przytaknęła cicho. A po chwili: - Stać mnie, by zapłacić panu niewielką pensję.

- Będę pracował za posiłki. Jak dotąd nigdzie nie zostawałem dłużej niż tydzień. Może się zdarzyć, że obudzi się pani któregoś ranka i zobaczy, że mnie już nie ma.

- Mężczyzna, który pracuje, zasługuje na zarobek - powiedziała. - Zapłacę panu tygodniówkę.

Bladożółtawe chmury gromadziły się na zachodzie, a Henry Ann przyglądała się, jak Johnny i Grant z motykami na ramionach i dzbankami wody studziennej pod pachą oddalają się od zabudowań. Dziwaczne półświatło ocieniło podwórze. Gdzieś w oddali, w jakichś wyschłych korytach rzek, zbierała się burza piaskowa.

O świcie zapaliła pod kuchnią i przygotowała placki drożdżowe i sos. Kiedy Johnny i nowy pracownik zeszli na śniadanie, obrządki były zakończone, a mleko stało na werandzie.

- Zostanę dziś rano w domu, Johnny, i popracuję w ogrodzie. Trzeba zebrać zieloną fasolę i wykopać młode ziemniaki - powiedziała.

Teraz, kiedy wstawiła w miedzianym garnku wodę na sterylizację weków, zapukała do drzwi swojego dawnego pokoju, żeby obudzić Isabel.

- Isabel, wstawaj. Masz gorące placki drożdżowe w duchówce. Ja idę do ogrodu. Zjedz i przyjdź do mnie.

Cisza. Isabel zwykle mruczała i przewracała się w łóżku, kiedy ją budziła.

- Isabel - Henry Ann nastawiła ucha, ale nie usłyszała skrzypienia sprężyn. Podniosła rękę, żeby znów zapukać, ale zaraz opuściła ją na klamkę, bo nagle przecucie kazało jej otworzyć drzwi.

Pokój był pusty.

Henry Ann przekroczyła próg i weszła, by zajrzeć do szafy na ubrania. Wiedziała, że będzie pusta. I była. Spojrzała pod łóżko, gdzie Isabel trzymała walizkę. Walizki tam nie było. Stała w cichym pokoju, w którym spała przez całe życie z wyjątkiem ostatniego tygodnia, kiedy to przeniosła się do pokoju ojca. Omiotła oczami każdy szczegół. Isabel zabrała wszystko, co z sobą przywiozła i jeszcze parę innych rzeczy. Ręczne lustro oprawione w kość słoniową, które zostawiła tu Henry Ann, zniknęło, podobnie jak sznur długich szklanych koralików, który wisiał na kołku przy lustrze toaletki.

Henry Ann wróciła do kuchni. Nie bardzo wiedziała, czy powinna się cieszyć, czy martwić zniknięciem Isabel. Brakowało jej spokoju, jaki panował tu przed pojawieniem się przyrodniej siostry, ale niepokoiła ją myśl, że prawdopodobnie dziewczyna odeszła do Perrych.

Dołożywszy do ognia i sprawdziwszy w popielniku, czy może bezpiecznie wyjść z domu, założyła swój stary słomkowy kapelusz i wyszła do ogrodu.

Isabel szła zakurzoną drogą niosąc walizkę. Wyszła z domu na palcach, kiedy upewniła się, że Henry- Ann jeszcze śpi.

Johnny usłyszałby pierdnięcie kury i ma sokoli wzrok. Zaśmiała się do siebie. Ale gdyby nawet usłyszał, że wychodzi, nic by go to nie obeszło. Powiedział jej to wczoraj wieczorem - powiedział, że nic nie jest warta, jak ich matka.

Biedny czerwonodupy ciemniak! Uwierzył we wszystko, co mówiła Panna Sztynniaczka, zamiast pójść pogadać z prawnikiem. Oni też nazywali się Henry, może nie? A niech mu tam! Może sobie nawet usiąść na gorącej patelni, nic jej to nie obchodzi. Pete obiecał, że jej pomoże. Powiedział, że rodzina Perrych chętnie ją przyjmie do czasu aż dostanie, co jej się prawnie należy, nawet jeśli nie jest dzieciakiem Eda.

Miała przy sobie wszystko, co chciało jej się zabrać od panny Sztynniaczki Henry i czerwonodupego Johnny'ego. Postawiła walizkę na ziemi i siadła na niej, żeby odpocząć. Była za ładna, żeby rujnować swoją urodę pracą przy bawelnie. Pete jej tak powiedział. Pozwoliła mu się dotknąć między nogami tej nocy, kiedy wyslizgnęła się z domu. Potem przestał, jak kazała mu przestać, chociaż wcale nie chciał. Wściekły był jak osa. Zachichotała. Dobrze było mieć coś, czego chciał taki przystojniak jak Pete. Zrozumiała teraz ciut z tego, jak ważna musiała się czuć jej mama, kiedy jakiś mężczyzna uganiał się za nią.

Godzinę po opuszczeniu farmy i po kilku postojach Isabel dotarła wreszcie do

skrzyżowania dróg, o którym mówił jej Pete. Przecinały się tu trasa furmanek i bita droga. Nikt oprócz Perrych nie mieszka na końcu trasy furmanek - powiedział. A tych Perrych jest tyłu, że mogliby założyć własne miasto i nazwać je Perrysburgiem.

Idąc po trakcie furmanek wyobrażała sobie, jakby to było, gdyby poślubiła Pete'a. Wygraliby maraton tańca i przenieśli się do miasta. Pete był zbyt sprytny i zbyt przystojny, żeby spędzić resztę życia w takiej pipidowie.

W swoich najlepszych latach jej mama natychmiast by go przygadała, nawet gdyby był jej krewnym. Może zresztą okazałoby się, że zbyt bliskim krewnym jest dla mamy. Ale na pewno nie dla niej.

Wzdłuż drogi rosły zarośla i dęby. Spiesząc się, omijała od czasu do czasu końskie łajna. Na drodze przed nią prześlizgnął się zielony wąż. Omal nie krzyknęła z przerażenia. Zastygła bez ruchu, czekając aż zniknie w krzakach po drugiej stronie drogi. Odczekała, czy aby nie pojawi się znowu. Po dłuższej chwili przebiegła dobre dwadzieścia metrów, a potem zatrzymała się, by złapać oddech.

W końcu dotarła do polany i zobaczyła przed sobą dom. Z komina unosił się dym. Nie pomalowany dom stał na podwyższeniach. Pod skośnym dachem była weranda z parą otwartych drzwi. Po podwórzu szwendało się trochę rudych kur, szukających jakiegoś pożywienia.

Nagle wielki czarny pies wybiegł spod domu, zaszczekał wściekle i ruszył w jej kierunku. Isabel pisnęła i objęła walizkę, aby się nią obronić. Nie przestawała piszczeć, kiedy pies zbliżał się do niej. Nagle od strony domu doleciał ostry gwizd i pies ślizgając się na tylnych łapach zahamował.

- Ucisz tę kocią muzykę! - usłyszała chrapliwy głos zza pleców.

Okręciła się na pięcie i zobaczyła, jak z lasu wychodzi bardzo gruby mężczyzna z gęstą czarną brodą. Jego ogrodniczki zapięte były tylko na jednym ramieniu, a koszula, najwyraźniej stanowiąca górną część jego kalesonów, była poplamiona i przepocona. W dłoniach trzymał strzelbę. Pies, machając ogonem, podbiegł do mężczyzny. Ten nachylił się i podrapał go po łbie.

- Czego tu szukasz? - jego głos był nieprzyjemny. Isabel bała się go nie mniej niż jego kudłatego psa.

- Przyszłam tu... spotkać się... z Petem.

- Z Petem? Jezu! Jego kobiety robią się coraz młodsze. Założę się, że jeszcze nie przestałaś srać na żółto. Co, Pete cię bzyknął?

- Nie! Jestem... Isabel Henry. Tego... córka Dorene.

- Założę się, że nie, bo pewnie jeszcze nie próbował. Ha, ha, haa. - Kiedy się śmiał, jego brzuch podrygiwał w górę i w dół. - Jesteś tak soczysta jak przejrząła brzoskwinka.

Isabel uznała, że znaczy to, iż jest ładna. Wyprężyła się i postawiła walizkę na ziemi. Jedną ręką poprawiła włosy, przekładając je za ucho. Żałowała, że nie miała czasu nakręcić włosów na wałki. Oczy tego człowieka, pomniejszone przez tłuste policzki, przyglądały się jej łakomie.

- On tutaj mieszka, co?

- Kto, Pete? Nie, do diabła. On mieszka bliżej rzeki, w chacie. Z ojcem i Jude. Rzecz jasna tak się szwenda, że nie sposób powiedzieć, gdzie teraz jest. Mówiłaś, że jesteś córką Dorene?

- Tak. Mama umarła.

- Niezła laska była z tej Dorene. Jeszcze zanim zakrwawiła, każdy facet tutaj, nad Błotnistym Potokiem, krewny czy nie, uganiał się za nią. Potem uciekła stąd i wyszła za Eda Henry'ego. Wszyscy wiedzieli, że z nim nie zostanie. Zachciało jej się tylko tych ładnych sukienek, które jej kupował. Z tego, co ostatnio słyszałem, w mieście żyła jak wielka pani.

Isabel już otworzyła usta, żeby zapytać, czy jego zdaniem życie w zapluskwionych pokojach do wynajęcia i przechodzenie od jednego mężczyzny do drugiego to życie „wielkiej pani”, ale się rozmyśliła. Lepiej niech myślą, że jej mama była kimś. Bo przecież była. Udało jej się uciec od smrodu Błotnistej Potoku i dłubania w kurzu na farmie.

- Dobra, wejdźmy do domu. Mama stoi na werandzie i zastanawia się, coś ty za jedna. Nie mam już po co polować na wiewiórki. Twój pisk wszystkie wypłoszył, już ich tu nie ma.

Mężczyzna poprowadził ją w kierunku domu, gdzie kobieta czekała na nich w drzwiach. Jej rzadkie siwe włosy związane były na czubku głowy w ścisły kok, a jej twarz pomarszczona była jak skóra na zasuszonym jabłku. Nosila bezkształtną bawełnianą sukienkę, a w kąciu jej ust tkwiła cygarniczka.

- Kogo tu masz, Gruby?

- Mamo, ta tutaj to córka Dorene.

- A czego tu szuka?

- Ona nie przyszła do nas, tylko do Hardy'ch.

- A po co?

- Chyba szuka Pete'a.

- A niech mnie! Co on wyprawia? Jak sobie nawarzy piwa i wmiesza się w to prawo, Hardy wyłoi mu skórę.

- Ta tutaj to krewna, Mamo.
- Krewna czy nie, dla Pete'a to bez różnicy.

Do tej chwili kobieta nawet nie spojrzała na Isabel. Dopiero teraz zwróciła na nią wzrok. Jej oczy były zadziwiająco niebieskie na szarej zniszczonej twarzy.

- Dzień dobry - powiedziała Isabel nieśmiało.
- Uważaj na siebie u Hardy'ch. Ani się obejrzysz, a zrobią ci bachora, jak się nie będziesz pilnować. Twoja matka chętnie rozkładała nogi: wystarczyło, że ktoś zdjął kapelusz. Uważaj, masz to we krwi.

- A... kto to jest Hardy?

- Hardy Perry to ojciec Pete'a - odpowiedział mężczyzna zwany Grubym. - Hardy to najgroźniejszy sukinsyn nad Błotnistym Potokiem, jeśli mu wejdiesz w drogę. Ale jeśli Pete cię zaprosił, to przyjmą cię dobrze. Poza tym chłopakiem Hardy świata nie widzi.

- Ale musi chyba widzieć, że chłopak jurny jest jak stary cap.

- Ale i łebski.

- Pete przyprowadził tu raz chłopaka Dorene - starsza pani splunęła sokiem z żutego tytoniu, potem wytarła niemal bezzębne usta o brzeg fartucha. - Niewiele pomagał Edowi przy bawelnie. 2 Indian nie ma żadnego pożytku. A to Indianin. Na pierwszy rzut oka widać. Po mojemu z tego pieprzenia z czerwonoskórym Dorene miała tylko bachora albo i dwa.

- Mój ojciec nie był Indianinem - odparła prędko Isabel.

- Przecież widzę, że nie. Oczy mam.

- Chodź do środka. - Gruby chwycił za słupek i wtaszczył się na werandę. - To jak mówiłaś się nazywasz?

- Isabel. A ty... jak masz na imię?

Na pewno ma jeszcze inne imię niż... Gruby.

- Gruby jestem i nazywają mnie Gruby - odparł zadziornie. - Wejdz Issy. Wrzucimy coś na ruszt, a potem odprowadzę cię do Hardy'ego. - Oparł strzelbę o ścianę domu i wsunął obie dłonie pod ogrodniczki, aby podrapać się po brzuchu. - Już nie mogę się doczekać, żeby ujrzeć jego twarz, jak cię zobaczy. Na pewno go ruszy, że taki młodziutki kawałek ciała kręci mu się po domu.

- Nie wchodź Hardy'emu do łóżka. Słyszysz? Nigdy nie ma takich kłopotów, jak kiedy dwa psy gonią za jedną suką. Lepiej, żeby ci dwaj nie walczyli ze sobą.

- Mógłby zabić jeden drugiego. - Gruby drapał się teraz po swoich intymnościach. - Raz czy dwa widziałem coś takiego. Pamiętasz, mama, jak u Powellów

Perry pokłócili się o córkę Minnie Mae?

- Pamiętam. Nigdy nie doszli, kto dorwał się do niej pierwszy. Ale teraz to chyba już każdy Perry nad Błotnistym Potokiem ją miał.

Gruby drapał się teraz obiema rękami po całym ciele. Isabel utkwiała wzrok w podłodze.

- Co z tobą, synu? Wszy cię oblażyły? Może powinieneś się wykapać i wyszorować mydłem?

- Dobra, dobra. Wyszoruję się.

6

Kiedy Henry Ann powiedziała Johnny'emu, że Isabel zabrała swoje rzeczy i odeszła, on tylko wzruszył ramionami.

- Martwię się, co się z nią stanie u Perrych.

- Co ma się stać? Albo będzie ich miała powyżej uszu i wróci, albo spodoba się jej i zostanie.

- Nie licząc Pete'a, od lat nie widziałam żadnego z nich.

- Pozostali do pięt mu nie dorastają.

- Boże drogi!

Po drugim śniadaniu Johnny i Grant na nowo napełnili swoje słoiki wodą i przygotowali się do ponownego wyjścia w pole.

- Założę się o dyszkę, że zrobię dwa rzędy w czasie, kiedy ty zrobisz jeden. - Grant ostrzył oselką motykę.

- Jak już mam się zakładać, to o coś więcej niż dyszkę.

- To powiedz o co.

Grant wyszczerzył zęby i niebieskimi oczami łypnął na Henry Ann, kiedy ta pokazała się na ganku. Pomyślała, że to naprawdę miły człowiek, a w dodatku dosyć przystojny.

- Jeśli przegrasz, przetniesz tego czyraka, co go stary Stanley ma pod ogonem. Nie będzie można go zaprzęgać, póki się nie zagoi.

- Fiu, fiu. Za czyrakami nie przepadam... ani za mułami, zwłaszcza tak narowistymi jak ten. Dziś rano próbował mnie ugryźć. No ale dobra. Tego zakładu na pewno nie przegram. - Grant żartobliwie klepnął Johnny'ego po ramieniu, jakby znali się od lat.

Henry Ann patrzyła za nimi, kiedy opuszczali podwórze. Dobrze było wiedzieć, że Johnny ma kogoś takiego jak Grant, z kim może pogadać. Widziała jak bardzo się zmienił. Wyglądało na to, że z dnia na dzień dojrzał o lata całe.

Kiedy popołudniem siedziała na werandzie, łuskając fasolę, zajrzał do nich Chris Austin.

- Siadaj, Chris. Przyniosę ci coś zimnego do picia.

- Nie zwracaj sobie głowy. Napiję się ze studni. Przejeżdżałem tędy i pomyślałem, że pewnie jeszcze nie wiesz, a w przyszłą sobotę będzie w mieście pokaz lotniczy. Nafciarze otwierają nowe biuro i ten pokaz to taki ich prezent dla miejscowych.

- Akurat nafciarze są tym, czego Red Rock potrzebuje najbardziej.

Henry Ann poszła za nim do studni. Włosy Christophera wyblakły od słońca, oczy miał jasnozielone, twarz opaloną. Był krępy, miał masywną klatkę piersiową i silne ramiona.

- Też tak sądzę, ale tym dwóm zachciało się hucznie obwieścić otwarcie biura. Ludzie w mieście o niczym innym nie mówią.

- Byłam raz z Tatą na takim pokazie parę lat temu w Ardmore.

- Z plakatu wynika, że będzie dwóch pilotów-akrobatów, kaskader, który w locie chodzi po skrzydłach i paru skoczków spadochronowych. Będzie też można przelecieć się samolotem.

- To nie dla mnie. Nawet nie umiałabym wyobrazić sobie, że lecę samolotem.

- A ja chciałbym spróbować - odrzekł w zadumie.

- Na pewno do miasta zjedzie mnóstwo ludzi.

- A jeszcze jest przecież ten maraton tańca. Domyślam się, że masz zamiar się zapisać - Christopher wyraźnie zaczynał się z nią przekomarzać.

- Tak, jeszcze czego. A może chciałbyś być moim partnerem? - Henry Ann znała Christophera od dziecka i naprawdę go lubiła. Był od niej o rok czy dwa starszy. Zupełnie nie rozumiała, dlaczego mężczyzna w tym wieku pozwala matce mieszać się w swoje sprawy.

- Zdziwiłabyś się, gdybym chciał, co? - uśmiechnął się jednym z tych swoich rzadkich uśmiechów i opuścił wiadro do studni. - Widziałem dziś w mieście Karen. Prosiła, żebym ci przekazał, że niedługo wpadnie. - Odczekał aż wiadro napelni się wodą.

- Ach, Christopher! Wybrałeś się do miasta tylko po to, żeby zobaczyć się z Karen?

- Wcale nie. Spotkałem ją w sklepie.

Ona jednak swoje wiedziała, nie rozumiała tylko, czemu zadała to pytanie. Na jego

czole pojawiła się gniewna zmarszczka. *Henry* Ann poczuła się głupio, że tak się z nim drażni. Przyszło jej do głowy, że zapyta o *Opal Hastings*, zaraz jednak zmieniła zdanie. Dość miał kłopotów z własną matką, więc postanowiła nie dręczyć go kłopotliwymi pytaniami. Widząc jednak, jak bardzo jest przygnębiony, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Od dawna jesteśmy przyjaciółmi, *Chris*. Jeżeli coś cię dręczy, możemy o tym porozmawiać.

Przyjrzał się jej uważnie, zanim odpowiedział.

- Bardzo to sobie cenię, *Henry Ann*.

- Czy jest ktoś, kim jesteś zainteresowany?

- Można tak powiedzieć.

- Nie przejmuj się, wszystko jakoś się ułoży.

- Nie ma na to wielkiej nadziei - w jego głosie pobrzmiwała tęsknota, której nie był w stanie ukryć. Prędko zmienił temat. - A, zapomniałbym. W nocy znowu zabito nam wołu. Zameldowałem o tym zastępcy szeryfa. Zwykle siedzi w *Red Rock*.

- Podejrzewacie kogoś? Wyście stracili już dwa, my - jednego i *Whalenowie*, z tego co wiem, jednego.

- To nie jest nic na większą skalę. Ktoś zabija dla mięsa. Ludzie mówią, że to ci znad *Błotnistej Potoku*, ale jak dotąd nie ma dowodów.

- *Dolan* widział na naszym polu ślady opon. Rozgląda się teraz za samochodem, który je zostawił.

- Z tego co wiem, ślady opon to tylko ślady opon.

- Większość ludzi wie, że rodzina *Perrych* pędzi bimber i przemycza alkohol. Nie rozumiem, czemu szeryf czegoś z tym nie robi.

- Cieszę się, że nie jestem szeryfem. Ludzie ciągle siedzą mu na karku, żeby coś zrobił z tym albo z tamtym. A co u *Johnny'ego*?

- Wszystko w porządku. Najęliśmy człowieka, żeby mu pomógł oczyścić pole bawełny. Przydałaby się teraz jakaś porządna ulewa, w przeciwnym razie będziemy mieli kiepskie zbiory.

- Kiedy przywiozłaś go z miasta, bałem się, że bierzesz na siebie zbyt wielki ciężar.

- Na początku nie bardzo wiedział co i jak. A teraz się zmienił. Nie przypuszczałam, że tak bardzo przeżyje śmierć *Taty*. I przez te ostatnie parę tygodni był dla mnie prawdziwym oparciem.

- Jeżeli mógłbym ci w czymkolwiek pomóc, daj mi znać, słyszysz?

- Słyszę. I wzajemnie, Chris.

Wiedział, że myślała o Opal. Dobrze było mieć świadomość, że ktoś kogo podziwiał i szanował, nie widzi nic zdrożnego w fakcie, że kocha taką dziewczynę jak Opal. Tak naprawdę ludzie nic o niej nie wiedzieli. Jego matka nigdy by się z tym nie pogodziła. Nawet nie dałaby jej szansy.

- Jestem ci wdzięczny. Naprawdę - objął ją i po bratersku uściskał. - Powinienem już jechać, Henry Henry - nazwał ją tak dla żartu, by rozładować napięcie. Chwilę później ruszył w stronę samochodu.

- Trzymaj się, Chris. Wpadnij znowu.

Emma-Jean była niezwykle miła - miłsza niż kiedykolwiek od dnia ślubu z Tomem. Przez pięć dni gotowała i sprzątała, przytulała Jaya i bawiła się z nim. Czasami nawet śpiewała przy pracy. Nie okazała irytacji, kiedy Tom odmówił powrotu do małżeńskiego łóżka. Flirtowała z nim wesoło, parę razy zdołała go nawet rozśmieszyć. Jay przestał się jej bać do tego stopnia, że przez dwa ostatnie dni Tom mógł zostawiać go na parę godzin pod opieką matki.

Pewnego ranka, kiedy Tom musiał wyjść z domu o świcie, Jay jeszcze spał w kołysce. Tom załadował kołki i kłęby drutu na furmankę i ruszył na tyły posesji, aby naprawić zniszczone ogrodzenie.

Zanim zdał sobie z tego sprawę, słońce stało już w zenicie. Zostały mu jeszcze trzy kołki do postawienia. Wyliczył, że trzeba mu godziny, może dwóch, żeby uporać się z robotą. Pracował więc dalej. Kiedy wreszcie skończył, rzucił narzędzia na furę, chwycił lejce i ruszył w stronę domu. W drodze powrotnej poczuł nagły niepokój, który kazał mu pogonić muły i przyspieszyć.

Tom wjechał do zagrody za stodołą, wyprzągnął muły i zanim udał się do domu, sprawdził jeszcze, czy w zbiorniku jest woda. Kiedy zbliżał się do drzwi, usłyszał przenikliwy głos Emmy-Jean.

- Przestań wrzeszczeć ty obrzydliwy zwierzaku!

Dobiegł go płacz Jaya, więc ruszył biegiem. Wskoczył na werandę i wbiegł do kuchni akurat w chwili, kiedy dłoń Emmy-Jean wylądowała na twarzy chłopca z taką siłą, że jego głowa uderzyła w oparcie krzesła.

- Przestań! - krzyknął. - Czyś ty zwariowała? Przecież to jeszcze dziecko na miłość boską.

Jay, nadal w koszuli nocnej, przywiązany był do krzesła ścierkami do naczyń. Tom rozwiązał zapłakane dziecko i wziął je na ręce. Chłopiec krzyknął, kiedy Tom spróbował go przytulić.

- Boże! Coś ty mu zrobiła? - Tom wsunął ramię pod małe nóżki i próbował kołysaniem uspokoić syna. Malec nie przestawał krzyczeć z bólu.

- Coś ty mu zrobiła? - domagał się odpowiedzi, przestraszony jak nigdy w życiu.

- Zmoczył się w łóżko i...

- I co? Jeśli zrobiłaś mu krzywdę, przysięgam, że spiorę cię na kwaśne jabłko.

Jay wyprostował nóżki, jakby popadał w konwulsje. Krzyczał z bólu. Tom ułożył go na łóżku i klęknął obok. Chłopiec obrócił się na bok, rączkami wczepiając się w koszulę Toma, a jego oczy spoglądały błagalnie na ojcowską twarz.

- Co się dzieje, synku? Gdzie cię boli?

Tom podciągnął jego koszulę nocną do pasa odkrywając dziecienny tyłeczek. W poprzek pośladków biegły nabrzmiałe czerwone pręgi.

- Ty cholerna suko! Stłukłaś go pasem do ostrzenia brzytwy.

- Zsikał się do łóżka. Mówiłam mu, co zrobię, jeśli jeszcze raz się zsika. I zrobiłam - dodała z dumą. Nadal ubrana w nocną koszulę, stała z rękami na biodrach, a z jej oczu wзираła nieklamana nienawiść.

- Ona już nigdy więcej cię nie uderzy, synku. Dopilnuję tego.

- Jak zasłuży, to uderzę.

- Wynoś się stąd do diabła! - krzyknął Tom, a potem, zduszonym głosem: - O mój Boże!

Niewielka rączka Jaya zsunęła się w kierunku siusiaczka. Tom po raz pierwszy zauważył, że jego dziecienny organ był spuchnięty do dwukrotnie większego niż zwykle rozmiaru. Skóra na nim była ciemnosina.

- O mój Boże! - Nic więcej nie był w stanie z siebie wydusić. Nie mógł oderwać oczu od sznurka, którym obwiązany był malutki penis. - Ty suko! Ty suko! - krzyczał, przekrzykując płacz dziecka. Sznurek był niemal niewidoczny z powodu opuchlizny. Nie sposób go było usunąć z członka bez przecinania, ale chłopiec za bardzo się kręcił. Tom nie mógł poprosić Emmy-Jean, by przytrzymała dziecko.

- Nasikał do łóżka, zlał się - powtarzała Emma-Jean.

Owładnęła nim nieopisana panika. Chwytał syna na ręce. Chciał wyjść, ale Emma-Jean stanęła w drzwiach.

- A ty dokąd?

- Zejdź mi z drogi!
- Nie! Nie zabierzesz go do n i e j! Powiedział mi, że to ona dała mu tę żabę.

Wrzuciłam ją do pieca.

- Zejdź mi z drogi! - krzyknął raz jeszcze i zanim zdołał się powstrzymać, uderzył ją otwartą dłonią. Nawet nie zaczekał aż upadnie na podłogę. Wybiegł i w wielkim pośpiechu wsiadł do samochodu. Delikatnie posadził malca na siedzeniu, uruchomił silnik i bez chwili zwłoki wyjechał z podwórza. Miał wrażenie, że drogę, której pokonanie zwykle zabierało mu parę minut, tym razem przebywa godzinami. W końcu skręcił na podwórze Henrych.

Dzięki Bogu, że panna Henry jest na werandzie!

- Niech mi pani pomoże - krzyknął, obiegając samochód, aby wziąć zapłakane dziecko na ręce.

Zaniepokojona gwałtownością jego krzyku Henry Ann wybiegła mu naprzeciw.

- Wnieśmy go do środka. Co się stało? - Podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież.

- Ta suka obwiązała mu siusiaka sznurkiem. Nie mogę tego zdjąć.

- Tutaj. - Henry Ann poprowadziła ich do kuchni i szybkim ruchem usunęła solniczkę ze środka stołu. - Co mam robić?

- Przytrzymaj go w bezruchu. Ja muszę przeciąć ten sznurek, jeśli w ogóle go znajdę.

- Ach... biedne dziecko... - wykrzyknęła, kiedy Tom podciągnął małemu koszulę i zobaczyła opuchnięty członek.

- Przyniosę brzytwę Taty. Jest ostrzejsza - powiedziała, kiedy Tom wyciągnął z kieszeni scyzoryk.

- Pośpiesz się, proszę. Nie wiem, jak długo był obwiązany.

Chwilę później Henry Ann jedną ręką przytrzymywała nogi chłopca, drugą jego tułów. Mówiła coś szeptem do Jaya, aby go uspokoić. Odwróciła oczy, żeby nie widzieć, co robi Tom. Wydawało się, że upłynęła wieczność, zanim się odezwał.

- Gotowe. Zdjąłem to. - Tom jęknął, bo na stół zaczęła kapać krew. Malec wciąż płakał. - Będzie go bardzo bolało, kiedy znowu napłynie tam krew. Dobry Boże, nie wiem, co robić.

- Zabierz go do lekarza.

- Jedź ze mną. Będziesz go trzymała.

- Jasne. Jedźmy.

Henry Ann nawet nie pomyślała o zdjęciu fartucha. Bez chwili zwłoki pospieszyła do samochodu. Tom próbował oddać jej dziecko, ale Jay nie chciał puścić taty i trzymał go mocno za koszulę.

- Muszę prowadzić, synu. Henry Ann weźmie cię na ręce.

- Chodź tu do mnie, mały - Henry Ann wzięła malca na kolana i przytuliła. - Niedługo przestanie boleć - pocieszyła go, odgarniając ciemne mokre loki z jego twarzy. - Biedne maleństwo, słodkie maleństwo. - Głowa dziecka była mokra od potu, a na policzku widniał czerwony odcisk dłoni.

- Ta szalona dziwka stłukła go też pasem do ostrzenia brzytwy - Tom zaciskał zęby, kiedy samochód gnał szosą. - To moja wina, bo zostawiłem go z nią samego. Ale wyglądało na to, że się jej... polepszyło.

- Nie płacz, złotko - mruzczała do malca Henry Ann, tylko jednym uchem słuchając gniewnych słów Toma. - Twój tata spieszy się, jak może. Doktor Hendricks coś wymyśli, żeby tak nie bolało. Nie płacz...

- Niech ją diabli porwą! Niech diabli porwą wszystkich cholernych Conroyów!

- Już niedługo - Henry Ann kołysała dziecko w ramionach i całowała w czoło. - Już prawie jesteśmy. Zaraz będzie po bólu i pójdziesz spać. Jak ona mogła to zrobić? - zwróciła się do Toma i spojrzała na jego zagniewaną twarz. - Jak matka może tak ranić swoje dziecko?

- Ona jest szalona. - Zerknął na nią. - Wiedziałem, że coś z nią jest nie tak już w dniu ślubu, ale nie mogłem nic zrobić. - Nie zdejmując nogi z gazu, wjechał do miasta i skręcił w ulicę, przy której stał dom doktora. - Dzięki Bogu samochód doktora stoi przed domem.

Henry Ann poszła przodem i przytrzymała dla Toma drzwi do gabinetu. Ten okrzykiem wezwał doktora, jak tylko znalazł się w środku. Doktor Hendricks ruszył do gabinetu, jak tylko usłyszał podjeżdżający samochód.

- Co się stało, Tom?

- Niedobrze z nim, doktorze.

- Tutaj.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Henry Ann przyjrzała się dwóm kobietom w poczekalni. Obie siedziały z otwartymi ustami i patrzyły na nią pytająco.

- Co jest Henry Ann? Co się stało? Dziecko coś sobie złamało? - kobieta, która ją zagadnęła, miała na głowie czepkę. Henry Ann nigdy nie spotkała jej bez nakrycia głowy. Karen mówiła, że to z powodu tak rzadkich włosów, że widać przez nie gołą skórę ta nieszczęsna kobieta musi chodzić w czepku.

Ciekawe, czy również śpi w tym czepku?

- Nie jestem pewna, czy coś sobie złamał. Jak się pani miewa, pani Miller?
- Jako tako. Jak to się stało, że przyjechałaś z panem Dolanem?
- Ktoś musiał trzymać dziecko, żeby mógł prowadzić. Dawno pani nie widziałam, pani Overton. - Henry Ann zwróciła się do drugiej kobiety, która wachlowała się kapeluszem.

- Byłam na pogrzebie twojego taty, ale był taki tłum i zamieszanie, że nie mogłam wszystkich widzieć. Radzisz sobie jakoś, Henry Ann?

- Tak mi się zdaje. Ostatnio jest sporo pracy.

- Dobrze, że masz przy sobie brata i siostrę - rzuciła pani Miller. - Niezbadane są wyroki boskie. Kiedy Pan zabrał do siebie Dorene, przysłał ci Isabel, żebyś nie została sama. - Spojrzała chytrze na Henry Ann, czekając na odpowiedź, którą mogłaby powtórzyć przyjaciółkom na robótkach.

Henry Ann nie powiedziała, co myśli.

Bóg nie po to przysłał do mnie Isabel, by oszczędzić mi samotności. Prędzej już po to, by mnie ukarać, że tak mało myślałam o matce.

- Z tego co słyszałam, w sobotę mają tu być pokazy lotnicze - zwróciła się do pani Overton.

Kobieta skrzywiła się nieznacznie.

- Zwykła głupota. Mówią, że każdy lot tych samolotów spala benzyny za dziesięć dolarów. Po mojemu to ten nafciarz powinien raczej wziąć te pieniądze i nakarmić jakichś biednych.

- Może wydawać swoje pieniądze, na co tylko zechce, Myrtle. Jeśli ma ochotę wydać je na dobrą rozrywkę dla mieszkańców Red Rock, to już nie nasza sprawa.

- Założę się, że nie robi tego z dobrego serca. Ma nadzieję, że przekona do siebie ludzi, a potem za pół darmo wydzierzawi ich ziemię i tak ją rozbabrze, że nie nada się już ani pod uprawę, ani na wypas. Wiercą tu od lat i wszystko na nic.

- Niedaleko stąd do Healdton. A to miasto aż wrze.

- A niech mnie! To szmaciane miasto, ot co. Wszyscy poszukiwacze ropy tam zjechali. Co z tego zostanie, kiedy się złoża wyczerpią?

W ciszy, która zapadła, Henry Ann uświadomiła sobie, że Jay przestał płakać. Słyszała tylko pomruk przyciszonych męskich głosów. Odetchnęła z ulgą, jakby zrzuciła z ramion ciężar.

- Czy pani Dolan jest chora? Pewnie dlatego nie mogła przyjechać? - głos pani Miller przerwał ciszę.

Na szczęście Henry Ann nie musiała odpowiadać. Doktor otworzył drzwi, aby wypuścić Toma, niosącego chłopca na rękach.

- Myślę, że wszystko będzie z nim dobrze, Tom. Ale na wszelki wypadek pokażcie się jeszcze za dzień czy dwa. Witaj, Henry Ann. To szczęście, że byłaś w pobliżu i mogłaś pomóc Tomowi.

Henry Ann wiedziała, że ta uwaga przeznaczona była dla uszu pani Miller, niekwestionowanej królowej plotek w Red Rock. Doktor dostarczył wiarygodnego wyjaśnienia jej obecności z Tomem Dolanem.

- Cieszę się, że mogłam pomóc.

- Co z nim, doktorze? - Pani Miller wstała, aby przyjrzeć się śpiącemu chłopcu.

- W mieście było parę przypadków dyfterytu. Nie chcę zabrać do domu jakichś zarazków.

- Nic pani nie grozi. Dzieciak skaleczył sobie fiutka i jąderka. Malcy powinni uważać na swój mały skarb. - Doktor Hendricks mówił rzeczowym tonem do nagle poczerwieniałej kobiety. - To przecież źródło naszych przyszłych pokoleń.

- Dzięki, doktorze. Proszę wystawić rachunek to wpadnę zapłacić - Tom ruszył do drzwi, a Henry Ann podbiegła, żeby je otworzyć.

- Nie ma sprawy. Jeśliby pan zauważył coś z tych rzeczy, o których mówiłem, proszę natychmiast z nim przyjechać.

Kiedy Tom znalazł się za drzwiami, Henry Ann odwróciła się i powiedziała „Do widzenia” paniom Overton i Miller, dopiero potem poszła za nim do samochodu. Posadził jej Jaya na kolanach, obszedł samochód i siadł za kierownicą.

- Lepiej wyjedźmy z miasta. Ludzie i tak będą gadać. -Zawrócił i ruszył w kierunku farmy.

- Doktor usadził panią Miller. Stara plotkara! Na co kazał uważać? - Henry Ann dobrze się czuła z chłopcem w ramionach.

- Na gorączkę, ból brzucha, krew w moczu. Dał mu coś na sen. Przez jakiś czas będzie go bolało. Niech ją wszyscy diabli!

- Uderzyła go, prawda? - Henry Ann odgarnęła chłopcu włosy z policzka.

- I to jak! Włała mu w tyłek pasem. Doktor powiedział, że gdyby sznurek pozostał tam jeszcze dłużej, mały nie tylko straciłby ptaszka, ale też, nie mogąc opróżnić pęcherza, mógłby umrzeć. Nawet teraz może jeszcze dostać zapalenia pęcherza. Jestem głupcem, że zostawiłem go z nią samego. Myślałem, że ją zabiję, jak zobaczyłem, co mu zrobiła.

Za miastem zatrzymał samochód pod dużym orzechowcem rosnącym przy samej

drodze.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy zatrzymali się na chwilę? - ciemne, przepełnione bólem oczy spoczęły na spokojnej twarzy Henry Ann. - Muszę zebrać myśli. - Potaknęła głową. Oparł czoło o ramiona, które ułożył na kierownicy.

Chwile upływały jedna za drugą. Było cicho i upalnie. Sukienka Henry Ann przykleiła się do pleców, pot ściekał drobną strużką pomiędzy jej piersiami. Czekając, wachlowała małemu twarz gazetą znaną na siedzeniu i zastanawiała się, jak wielka rozterka musi targać sercem siedzącego obok niej mężczyzny. Chciałaby móc znaleźć jakieś słowa otuchy. Nie miała żadnych wątpliwości, że kochał swe dziecko. Czy kochał także matkę chłopca? Czy to dlatego z nią zostawał?

W końcu Tom podniósł głowę, obrócił się na siedzeniu i spojrzał na swego syna śpiącego na kolanach Henry Ann. Jego ciemne, zmęczone oczy napotkały jej wzrok.

- Nie mogę go zabrać do domu - szepnął z rozpaczą w głosie. - Będzie przerażony na sam jej widok.

- A jak ona zareaguje, jeśli go nie przywieziesz?

- Nic mnie to nie obchodzi, byle go nie dotykała. Mogła go zabić.

- Trudno wyobrazić sobie matkę, która robi swemu dziecku takie rzeczy. Czy ona... naprawdę jest...?

- Powiedz to. Myślałem tak milion razy. Ona jest szalona albo... bliska szaleństwa - powiedział zmęczonym tonem. - Nie jestem w stanie jej pomóc. Próbowałem. Teraz muszę myśleć, co będzie najlepsze dla Jaya,

- Ciotka Dozie mogłaby się nim zająć.

- Jay ją lubi. Czy ona mieszka u was?

- Wróciła do siebie. Isabel była dla niej niemiła, kiedy mnie nie było w pobliżu.

Ale już jej nie ma... - Przerwała jakby się obawiała, że powiedziała za dużo.

- Dziewczyna odeszła?

- Poszła do Perrych.

- Co o tym myślisz?

- Myślę, że to nie najlepsze miejsce dla młodej dziewczyny, ale nic nie mogę na to poradzić. To jej krewni.

- Przykro mi, że masz przez nią takie zmartwienie - rzekł łagodnie Tom.

- Moje zmartwienie to nic w porównaniu z twoim. Ja nie muszę się nikim opiekować.

- Biedny maluch. - Poprawił chłopcu włosy z jakąś niezdatną czułością. - Nigdy

nie miał prawdziwej matki. Ona go nienawidzi.

- Co ty mówisz? Jak to możliwe?

- Jak już mówiłem, nie jest normalna. Poznałem ją w czasie karnawału w Wichita Falls. Czułem się samotny i sporo piłem. A ona była urocza i chętna. Następnego ranka odwiozłem ją do domu. Od razu wypaplała, że spędziła ze mną noc. Tego samego dnia, po południu, wzięliśmy ślub. - Sam nie wiedział, dlaczego jej to mówi. Latami z nikim nie rozmawiał tak swobodnie. - Jej rodzina znalazła pretekst, żeby się jej pozbyć.

- Może należało by się nad nią litować.

- Początkowo było mi jej żal. Po tygodniu wiedziałem, że sam sobie zgotowałem piekło. Spałem z nią... tylko dwa razy - szepnął. Nagle wydało mu się ważne, żeby wyjaśnić Henry Ann, że to nie jest prawdziwe małżeństwo. - Chyba nawet nie wiedziała, że jest w ciąży, dopóki nie zaczęło to być widoczne. Wtedy wpadła w furję. Sądziłem, że oszaleje. Próbowałem wymyślić jakiś sposób, żeby jej rodzina ją zabrała. Tyle to dało, że zapowiedzieli mi, że jeśli ją zostawię, oni odbiorą mi dziecko. Mają dość pieniędzy i wpływów, żeby to zrobić. Nie mogłem do tego dopuścić. Próbowałem jakoś to wszystko ułożyć. Ale z nią jest coraz gorzej. Staje się coraz bardziej nieprzewidywalna. Teraz zwyczajnie boję się o Jaya.

Henry Ann milczała przez chwilę, myśląc o tym, co jej powiedział.

- Porozmawiaj z Ciotką Dozie.

- Nie mogę jej teraz zapłacić gotówką.

- Chyba nie będziesz musiał.

Opuścił oczy pod jej pewnym spojrzeniem i był niesłuchanie wzruszony widząc, jak trzyma i przytula jego syna, jakby przytulała swoje dziecko. Nigdy nie zdarzyło się, żeby jakaś kobieta tak go zaintrygowała. Od dnia, kiedy podwiózł ją do domu, często o niej myślał. Nocą pod powiekami nie raz widział powracający obraz jej twarzy.

Obok przejechał samochód wznosząc spory obłok kurzu. Tom był tak zajęty swoimi problemami, że tylko kątem oka zarejestrował fakt, że samochód ten, mijając ich, zwolnił.

- Pogadamy z Ciotką Dozie? - zapytał.

Kiwnęła głową. Ani Tom, ani Henry Ann nie zwrócili uwagi, że wspólnie podjęli decyzję. Była tylko częścią tego niesamowitego popołudnia, które miało wpłynąć na całe ich dalsze życie.

Tom zatrzymał samochód przed niewielkim domkiem Ciotki Dozie. Parę osób siedziało na werandzie, a po podwórzu ganiały dzieciaki. Dozie wstała z fotela i podeszła do samochodu.

- Boziu, dziecko, a czemu ty jeździsz w samochodzie pana Dolana.
- Dzień dobry, Ciociu Dozie.
- Ten mały jest chory? - sięgnęła do środka przez otwarte okno i położyła dłoń na czole Jaya.

- Był... Skaleczył się. Właśnie wracamy od lekarza.
- Boże zmiłuj się. Bardzo się skaleczył?
- Wydaje się nam, że wszystko będzie w porządku - odrzekł Tom. - Byłem ciekaw, czy mógłbym go z tobą zostawić na kilka dni.

Oczy Ciotki Dozie wędrowały tam i z powrotem z twarzy Henry Ann na twarz Toma. Tom uświadomił sobie, że wciągnął Henry Ann w swoje problemy z żoną, przez co narażał na szwank jej reputację.

Henry Ann zerknęła na jego posępną twarz i powiedziała cicho:

- Jaya skaleczyła jego matka. - Następnie zwróciła się do Toma: - Ciotka Dozie nikomu nie powie.

- Jego mama? Boziu! Boziu! A to dopiero!
- Nie może go teraz zabrać do domu - wyjaśniła Henry Ann.
- Rzeczywiście, teraz to nie najlepsze miejsce dla dziecka, złotko. Zgodziłam się, żeby syn mojej siostry wprowadził się do mnie. Nie miał gdzie się podziać z żoną i dziećmi, bo ich dom się spalił.

- Zostaną tu?
- Zostaną, bo nie mają gdzie pójść. Nie mogę tej dzieciarni zostawić bez dachu nad głową.

- Zamieszkać ze mną, Ciociu Dozie - szybko rzuciła Henry Ann. - Wiesz przecież jak bardzo jesteś mi bliska. Pamiętasz, jak zajmowałaś się mną, kiedy miałam odrę, koklusz i wietrzną ospę? Byłaś dla mnie jak matka. Zamieszkać w moim pokoju. Ja śpię u taty. Isabel wyślizgnęła się z domu w środku nocy i poszła do Perrych.

- Obawiam się, że jeśli teraz opuszczę swój dom, to go stracę. - Zwykle pogodna twarz Dozie wyrażała głębokie zatroskanie.

- A niech tam! I tak może go zdmuchnąć byle podmuch. Oszalejesz, żyjąc w dwóch pokojach z tymi wszystkimi dziećmi. Nie możesz pracować bez końca. Jak już nie będziesz sobie radzić, zajmę się tobą, tak jak ty zajmowałaś się mną, kiedy byłam mała. Chcę tego. A i Tata właśnie tego by chciał.

Oczy Dozie powoli napęłniały się łzami. Chwyciła rękę Henry Ann.

- Weźmiesz tę starą kobietę jakby należała do rodziny?

- A co w tym dziwnego, Dozie Jones? Zawsze byłaś dla mnie rodziną.
- Któregoś dnia wyjdiesz za mąż.
- Chyba tylko dzięki twoim biszkoptom - przekomarzała się z nią Henry Ann.

Tom nie wierzył własnym uszom. Ta słodka, szczupła kobieta uosabiała wszystko, o czym marzył, wyobrażając sobie przed laty swoją życiową partnerkę. Los jednak spletał mu okrutnego figła. Dziś zmuszony był grać takimi kartami, jakie mu przypadły.

- Są rzeczy, których wolałabym tu nie zostawiać.
- Oczywiście. Weź z sobą wszystko, co chciałybyś zatrzymać. Wiem, że zależy ci na tym bujanym fotelu.

- Moj" mama kołysała mnie w nim.

- A ty kołysałaś mnie. To kiedy będziesz gotowa? - Henry Ann promieniała. - Muszę cię stąd zabrać, zanim zmienisz zdanie.

- Nie zmienię, złotko. Raz dwa się uwinę - Dozie uśmiechała się od ucha do ucha. - To prawda, że już zaczynało mi się mieszać w głowie od tego ciągłego trzaskania drzwiami. Ta dzieciarnia bez przerwy kręci się w tę i nazad.

Henry Ann zwróciła się do Toma:

- Wygląda więc na to, że Jay będzie mógł pozostać u mnie tak długo, jak długo nie będziesz mógł zabrać go do domu.

- Ale co ludzie powiedzą? Nie chciałbym narobić ci jakichś kłopotów.
- Możemy mówić, że twoja żona jest chora... o ile ktoś będzie pytał.
- Bo jest... w pewnym sensie.
- Będzie bardzo zła, jeśli nie przywieziesz go do domu?
- Tylko dlatego, że wolałaby, aby nie był z tobą.
- Czemu nie ze mną?

Bo jesteś młoda i piękna, i... ona wie, że nie dorasta ci do pięt.

- Cóż, pewnie dlatego, że... akurat na ciebie padło - odrzekł w końcu, bo oczekiwała jakiejś odpowiedzi.

Na Boga! Jeśli nie będę uważał, zakocham się w niej bez pamięci.

Uśmiechnęli się oboje, patrząc sobie w oczy.

Jest naprawdę miły, mimo marsa na czole i tej burzy włosów.

- Zabiorę Henry Ann do domu i wrócę po ciebie, Ciotko Dozie.
- Będę gotowa, panie Tom.

Emma-Jean leżała na podłodze dokładnie w tym samym miejscu, na które się przewróciła po uderzeniu Toma. W pierwszej chwili zaczęła litować się nad sobą, płakać i tłuc głową o podłogę. Potem ogarnęło ją uniesienie. Dreszcz emocji, który ją przeszył, osadził się w okolicy genitaliów. Powędrowała tam jej dłoń i oto leżała na podłodze pieszcząc się. Często to robiła leżąc samotnie w łóżku i pragnąc, by jej mąż przyszedł do niej i robił znowu to, co robił tamtej nocy, kiedy się poznali. Przedtem tylko wyobrażała sobie te cudowne rzeczy, jakie dzieją się między mężczyzną a kobietą.

Podobał jej się ten ból, jaki odczuła, kiedy Tom pozbawił ją dziewictwa. Podobało jej się, że obszedł się z nią nader szorstko, a był zbyt pijany, by zdawać sobie z tego sprawę. Tak bardzo jej się to podobało, że zdecydowała, iż chce Toma za męża. Wiedziała, że jeśli powie o wszystkim rodzicom, oni już znajdą sposób, by nakłonić go do ożenku.

Więc powiedziała.

I nakłonili.

Ale tylko jeszcze w noc poślubną zrobił jej znowu tę cudowną rzecz. A był przy tym tak delikatny, że rozjuszyło ją to nie na żarty. Następnego dnia patrzył na nią jak na jakiegoś kundla przybłądę! Była pewna, że w końcu skłoniłaby go do pozostania we wspólnym łóżku, gdyby nie ten cholerny dzieciak, który zaczął rosnąć jej w brzuchu.

Prawie natychmiast po tym, jak wzięli ślub, zachorowała, potem zaczął wystawać jej brzuch, a jej stopy i nogi spuchły tak bardzo, że nie była w stanie nosić swoich szpilek. Stała się nieprzyjemna, łatwo wpadała w gniew i miała ataki nerwowe, które ciągnęły się niekiedy godzinami.

Po urodzeniu dziecka nie chciała mieć nic wspólnego z tym *brzydkim, pomarszczonym, wrzeszczącym bachorem*. Pomysł, żeby to-to ssało jej piersi, wydał jej się odpychający. Kiedy akuszerka chciała przystawić jej niemowlę do sutka, Emma zaczęła krzyczeć. Szczerze go wtedy nienawidziła, a jeszcze bardziej nienawidziła go potem, kiedy Tom skierował na niego całą swą uwagę. Kiedy oświadczyła, że nie będzie się nim zajmować, zabrał go do kobiety, która miała się nim opiekować w ciągu dnia. Wieczorem to on poświęcał mu każdą wolną chwilę.

Emma-Jean leżała na podłodze, myśląc o tym wszystkim i pieszcząc się, kiedy na podwórzu zajechał samochód. Po odgłosach wydawanych przez silnik poznała, że to nie Tom. Wstała z podłogi i podeszła do frontowego okna. Wtedy usłyszała trzaśnięcie drzwi.

Obok czarnego lśniącego samochodu stał mężczyzna z rękami na biodrach i przyglądał się posesji. Jej brat, Marty. Podbiegła do drzwi i wypadła na werandę.

- Marty! Marty! Tak się cieszę, że przyjechałeś! – zaczęła płakać i załamywać ręce. - Zobacz, co on mi zrobił! Pobił mnie - jej oczy były zapuchnięte, policzek czerwony od uderzenia, które wymierzył jej Tom, poza tym widać było zadrapania od leżenia na chropowatej podłodze. Podniosła włosy, żeby pokazać guza i zadrapania na czole.

Marty wszedł na werandę. Dobrze znał swoją siostrę i wiedział, że jeśli mąż ją uderzył, to na pewno na to zasłużyła. Ale wiedział też, że niewiele by dało, gdyby jej to powiedział. Postanowił więc rozegrać sytuację na swoją korzyść.

- Dlaczego on cię uderzył, Emmy?

- Chciał wyjść, a ja nie chciałam, żeby szedł. Zastąpiłam mu drogę, a on... a on... uderzył mnie tak, że upadłam na podłogę.

- A dokąd to się wybierał?

- Nie wiem.

- Widziałem go. Zatrzymał samochód przy drodze. Ktoś z nim był.

- To o n a! - płacz Emmy-Jean ustał tak nagle, jakby w jakimś kranie zabrakło łez. Na jej twarzy pojawiła się nieklamana furia. - Jeździ tam cały czas. Naprawia jej ogrodzenie, zawiadamia lekarza, zabiera ją... i te rzeczy.

- Kogo?

Marty nigdy nie lubił swej nieprzewidywalnej siostry. Od dziecka była dziwna i przynosiła wstyd całej rodzinie. Kiedy znaleźli pretekst, żeby wydać ją za mąż i pozbyć się jej, skorzystali z niego, mając nadzieję, że ten człowiek zabierze ją do Nebraski. Ale on nie był tak skłonny do ustępstw, jak się rodzina spodziewała.

- Ta dziwka Henry. Mieszka po sąsiedzku. Nie byliśmy tu nawet tygodnia, a ta już przylazła mizdrząc się, żeby go zobaczyć. Zabiera do niej Jaya, a ona daje mu zabawki.

- Dlaczego nie jesteś ubrana? Toż to środek dnia. - Marty wiedział, że jego siostra często kłamała. Mawiał, że nie poznałaby prawdy nawet wtedy, gdyby ta podskoczyła, żeby ją ugryźć.

- On... on mi nie pozwala. Chce, żebym cały dzień chodziła w szlafroku, żebym była do tego gotowa, kiedy on przyjdzie.

- Do tego?

- No wiesz... w łóżku. On tego chce trzy albo cztery razy dziennie.

- Trzy albo cztery razy... dziennie? Dobry Boże! To musi być z niego niezły ogier.

- On... ja tak nie mogę - głos Emmy-Jean drżał.
- A co robicie z dzieckiem?
- Och, jemu nie przeszkadza nawet, kiedy dziecko patrzy.
- Dobry Boże - powtórzył Marty.
- Wejdz - Emma-Jean złapała rękę brata. - Nie będzie chciał tego robić, jak ty tu będziesz.
- Idź się przebrać. Zaczekam na werandzie.
- Nie pójdziesz sobie?
- Nie. Zaczekam tu na ciebie.

Jay spał w łóżku Henry Ann, w łóżku, w którym się urodziła, w tym samym, w którym umarł jej ojciec. Wyjęła ceratę i włożyła ją pod prześcieradło na wypadek, gdyby malec się zmoczył.

- Normalnie nie było z nim takich problemów. Zwykle zabieram go do ubikacji wieczorem i rano, jak tylko się obudzi.
- Mógł na jakiś czas stracić kontrolę - Henry Ann przykryła chłopca. - Nie martw się tym.
- Nie wiem, jak mam ci dziękować. - Spojrzeli na siebie nad śpiącym dzieckiem.
- Nie musisz mi dziękować. Sąsiedzi powinni sobie pomagać.
- Jeszcze nie mieliśmy okazji tego omówić. Chciałbym pomóc Johnny'emu. Nauczyć go wszystkiego, co sam potrafię.
- A co my moglibyśmy zrobić dla ciebie?
- Sam nie dam sobie rady ze zbiorami. Zabierałem Jaya w pole. Jezu, czemu nie wzięłem go dziś rano?
- Coś wymyślimy. Człowiek, którego najęłam, nie oczekuje za swoją pracę niczego poza jedzeniem i miejscem do spania.
- Nie mogę zaoferować mu nawet tego. Mężczyzna, który pracuje, powinien siadać do stołu trzy razy dziennie.
- Kolacja gotowa. Zostanie pan, panie Tom? - Dozie stanęła w drzwiach sypialni. - Johnny i ten drugi wrócili już z pola. Poszli jeszcze wydoić krowy. Mówili, że później wezmą się za obrządki.
- Bardzo chętnie bym został, ale sam mam jeszcze obrządki do zrobienia.
- Proszę się nie martwić o Jaya. Zajmiemy się nim. - Henry Ann wyszła z

pokoju. Tom podążył za nią. - Jeśli znowu trzeba będzie pójść do lekarza, wyślę Johnny'ego, żeby pana zawiadomił.

- Zajrzę jutro - nie chciało mu się iść, ale wiedział, że musi. - Zanim pojedę, powinienem wlać wodę do chłodnicy.

Henry Ann wyszła na werandę, wzięła wiadro i podeszła z Tomem do studni. Od strony stodoły doleciało ją łupnięcie, a potem usłyszała śmiech Johnny'ego. Pierwszy ze stodoły wyłonił się Grant, niosąc wiadro z mlekiem.

Boże! Zapomniała o wydojeniu krów.

- Kto wygrał zakład, Grant? - zawołała Henry Ann.

- Miała pani wątpliwości panno Henry? Dałem mu jeszcze szansę na dwa dodatkowe rzędy, a i tak pobitem go cztery do pięciu.

- Wziął najłatwiejsze - zakrzyknął Johnny ze stodoły.

- Proszę mu nie wierzyć. Jest wściekły, bo nie pomożę mu z tym mułem.

Tom stał trzymając w ręce wiadro z wodą. Wynajęty człowiek nie zachowywał się jak obcy. Czyżby Henry Ann znała go od dawna? Toma ogarnęło nieznane mu uczucie. Poczul nagłą niechęć do tego przyjaznego mężczyzny, który z taką łatwością rozmawiał z Henry Ann.

Mój Boże! Jestem zazdrosny!

- Postawię mleko na werandzie, panno Henry.

- Grant, pozwól: to nasz sąsiad, Tom Dolan. Tom, Grant będzie nam pomagał przez jakiś czas.

Mężczyźni podali sobie ręce, a Henry Ann wyjaśniła, że posiadłość Toma graniczy z nimi od południa.

- Pan jest stąd, panie Gifford? - zapytał Tom.

- Można tak powiedzieć. Podziwiałem ten samochód. Należy do pana?

-Tak.

- Nie widuje się już tego modelu na drogach.

- Utrzymuję go w dobrym stanie. Muszę już jechać, Henry Ann. Będę rano.

Henry Ann podeszła z Tomem do samochodu i przyglądała się, jak odkręca chłodnicę i wlewa wodę.

- Od dawna znasz Gifforda? - zapytał.

- Tydzień. Może trochę dłużej. Zatrzymał się, żeby napić się wody ze studni i spytał o pracę.

- Włóczęga? - Tom spojrzał na nią z marsem na czole, który sprawił, że jego

ciemne brwi niemal się złączyły.

- Na to wygląda. Pracuje z Johnnym.
- Nic o nim nie wiesz. Może to zbiegły więzień.
- Wątpię.
- Śpi w domu?
- W stodole.
- Zamykasz drzwi na noc?

Henry Ann zaśmiała się:

- Nawet nie mamy kluczy. Wydaje mi się, że kiedyś tata je miał. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio musieliśmy zamykać drzwi na klucz.

- Teraz jest inaczej. Jedna trzecia ludności nie ma pracy. Nie dość że kupa mężczyzn włóczy się po drogach w poszukiwaniu jałmużny, to jeszcze przestępcy tylko czekają na okazję, żeby komuś coś podebrać. Prawie codziennie zdarza się napad na bank. Możesz mi wierzyć, wielu gotowych jest na wszystko. A ty przecież jesteś samotną kobietą.

- Nie jestem sama. Mam Johnny'ego.

- To jeszcze dzieciak.

- Nawet nie podejrzewasz jak wspaniałym jest mężczyzną. Potrafi sobie radzić - powiedziała z lekką irytacją w głosie.

- Skąd wiesz? Przyjechał tu z miasta, prawda?

- Martwi cię, że Jay tu zostaje?

- Nie o to chodzi. Ja tylko... no. Ten facet, Gifford...

- Nie miałby żadnych szans ze mną, Johnnym i Ciotką Dozie - na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi, nawet się uśmiechnęła. - Ty też wolałbyś nie zadzierać z Ciotką Dozie, kiedy trzyma rondel w dłoni. A mnie nauczono, jak o siebie zadbać. Strzelam lepiej niż Tata.

Tom mimowolnie wyszczerzył zęby.

Zatknęła za ucho pasmo włosów i sięgnęła po puste wiadro. Uświadomił sobie nagle, że wystarczyłoby, aby podniósł rękę, a mógłby ją dotknąć. Była piękna i tak naturalna, jak kobieta powinna być. Chciał na nią patrzeć, ale obawiał się, że mógłby ją wprowadzić w zakłopotanie. I siebie też. Zamiast tego otworzył drzwi samochodu.

- Przykro mi, jeśli przekroczyłem...
- Nie przekroczyłeś. Będziemy na niego uważać.
- Dzięki za Jaya.
- Mówisz to już dziesiąty raz.

Uśmiechnął się. Łatwo mu to przychodziło, kiedy był z nią.

- Na to wygląda.

Stała na podwórzu, kiedy cofał samochód i wykręcał na drogę. Nie pomachała mu, po prostu stała tak, dopóki nie zniknął za zakrętem.

Chciał czegoś, chciał tego bardzo.

Już od dłuższego czasu spragniony był ciepła, czułości i kobiecej słodyczy. Pragnął normalnego życia i rodziny, takiej, jaką miał jego brat, Mikę, w Nebrasce. A co najdziwniejsze, *chciał tego z Henry Ann Henry.*

Kiedy jego farma znalazła się w polu widzenia, przygotował się na starcie z Emma-Jean. Zwolnił, kiedy zobaczył na podwórzu czarny samochód z teksańską rejestracją. Powoli go wyminął i zatrzymał się przed szopą. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie pójść prosto do stodoły, by zrobić obrządki, ale co u licha, w końcu to jego dom i miał prawo wiedzieć, kto przyjechał.

- Jesteś wreszcie - powiedziała Emma-Jean, kiedy wszedł do pokoju. - Marty czeka już od dawna.

Tom zobaczył swą żonę i jej brata siedzących przy kuchennym stole.

- Muszę zrobić obrządki.

- Obrządki! - Emma-Jean wykrzywiła usta z niesmakiem. - Ten zawsze ma jakieś obrządki.

- Jak się miewasz, Tom?

- A jak myślisz? - Tom spojrzał posepnie na swego szwagra.

- Powiedziałam Marty'emu, co mi zrobiłeś - Emma-Jean rzuciła ze złością. - Pokazałam mu, gdzie mnie uderzyłeś.

- Powiedziałas mu też dlaczego?

- Bo chciałeś wyjść i nie chciałeś zabrać mnie z sobą.

- Dobry Boże! - mruknął nie wierząc własnym uszom i sięgnął pod stół po wiadro na mleko. W drzwiach przystanął i obejrzał się na swoją żonę i jej brata. Potem bez słowa wyszedł z domu.

Emma-Jean nawet nie zapytała o syna.

Tom skończył dojenie i wrócił do domu z wiadrem wypełnionym tylko do połowy. Jego krowa traciła mleko. Żeby na nowo zacząć je produkować potrzebowała świeżej zielonej trawy. A on nie miał czasu, by wygnać ją na pastwisko i nie miał pieniędzy, żeby kupić jej paszę. Emma-Jean i Marty nadal siedzieli przy stole. Nawet nie zaczęła robić kolacji. Tom postawił wiadro na ławie i nakrył je ściereczką, żeby do środka nie wpadły muchy. Potem

wyszedł pozbierać jajka.

Kiedy wyszedł z kurnika, Marty już czekał na niego. Koszulka w paski, mucha, filcowy kapelusz przechylony lekko na bakier.

Co za wymoczek, pomyślał Tom z niechęcią.

- Gdzie jest dzieciak?

- U przyjaciół.

- Emma powiedziała, że ją uderzyłeś.

- Żeby zeszła mi z drogi, ale to nie twoja sprawa. Marty wzruszył ramionami.

- Jest moją siostrą.

- Masz szczęście, że nie twoją żoną - Tom postawił na ziemi koszyk z jajkami i podniósł widły.

- Wiem, że czasami jest trochę dziwna...

- Dziwna?! - Tom spojrzał mu prosto w oczy. - Ona jest szalona i dobrze o tym wiesz. Wasi rodzice też o tym wiedzą. Znaleźli frajera, który zabrał im ją z oczu.

- Posłuchaj. To że jest dziwna to jeszcze nie powód, żeby ją bić.

- Powiedziała ci, czemu tak się spieszyłem?

- Spieszyło ci się do tych Henrych.

- A to dobre!

- Powiedziała mi także, że każesz jej zostawać w koszuli nocnej, żeby była gotowa w każdej chwili, kiedy zachce ci się ją pieprzyć. - Marty zaśmiał się. - Nie powiem, całkiem niezły pomysł.

Tom wbił w niego wzrok i patrzył tak długo, że Marty poczuł się nieswojo i zaczął przestępować z nogi na nogę. W końcu się odezwał zmieniając temat.

- Mój... tego... partner i ja otworzyliśmy biuro w Red Rock. Na dobry początek ściągnęliśmy pokaz lotniczy, który odbędzie się w sobotę.

- Byczo. - Tom zaczął rzucać mułom siano.

- Będziemy oferować dzierżawy naftowe. Pod tą ziemią płynie rzeka ropy.

- Kto tak mówi?

- Geologowie.

- A to dopiero!

- Do diabła, nie chcesz zarobić kupy forsy?

Tom zatrzymał się i popatrzył na niego.

- Dla kogo? Nie widziałem tu zbyt wielu farmerów, co by się wzbogacili na ropie. Jaka jest wasza oferta, dwadzieścia pięć centów za akr?

- Jesteśmy gotowi zaproponować pięćdziesiąt.
- Ropa idzie po piętnaście centów za baryłkę, jeśli w ogóle ją znajdziecie. I właścicielowi ziemi będziecie z tego płacić jedną szesnastą. Zgadza się?
- Nie. Zapłacimy jedną ósmą.
- Ale jeśli wywiercicie suchą dziurę i rozbebeszycie ziemię, to zakopiecie to na powrót? - zapytał Tom z sarkazmem.

Na twarzy Marty'ego pojawił się wyraz niesmaku.

- Żadne przedsiębiorstwo na świecie nie pójdzie na taki układ.
- A więc biedny frajer, który wydzierżawi wam swoje sto akrów za pięćdziesiąt dolców z obietnicą jednej ósmej z piętnastu centów za baryłkę ropy, ma się twoim zdaniem wzbogacić? To już wolę postawić na zbiór bawełny.

Marty był zdumiony, że Tom aż tyle wie o branży naftowej.

- Do diabła, człowieku, jak będziesz miał szczęście, to zarobisz na tym poletku bawełny dwadzieścia dolców. Ile teraz za to płacą? Pięć centów za funt? Do czasu, kiedy odstawisz to do skupu, cena spadnie do trzech za funt.

- Nie twoje zmartwienie.
- Pewnie, że nie moje. Ja tylko próbuję pomóc.
- Wypchaj się! Sam sobie próbujesz pomóc. Chcesz położyć łapę na tej ziemi, żeby wmawiać innym, że wieża na mojej ziemi wyciągnie całą ropę spod ich pól. Skłonisz ich, żeby podpisali dzierżawę za grosze i uzyskasz kontrolę nad ich ziemią.

- To jest biznes, a jeśli jesteś za tępy, żeby wiedzieć...
- Nie jestem aż tak tępy, żeby podpisywać dzierżawę, o ile w ogóle miałbym ją podpisać, zanim nie obejrzę raportu geologa. To że ropa jest na południe i na północ stąd, nie znaczy jeszcze, że i tu można ją znaleźć.

- Myśl sobie, co chcesz. Jak jesteś taki sprytny, to czemuś został małym chłopkiem?

- Gdybyś nie miał ptasiego mózdzka, sprawdziłbyś najpierw, kto posiada prawa mineralne do tej ziemi.

- Jezu Chryste! Ty ich nie posiadasz?

- Nie.

- Cholera! Czemuś mi tego od razu nie powiedział?

- A czemu miałbym ci cokolwiek mówić?

- Sprzedałeś prawa?

- Były w posiadaniu spadkobierców, kiedy kupowałem tę ziemię, a ci

spadkobiercy są teraz gdzieś w Chinach.

- Co robią w Chinach?
- Wydaje mi się, że nawracają pogan na chrześcijaństwo.
- Jak mogę ich znaleźć?
- A skąd mam wiedzieć? - Tom wszedł do stodoły, podniósł długi kij, otworzył

wrota i przegnał bydło, żeby zabrać je nad strumień, gdzie rosła dobra trawa.

Marty wytarł pot z twarzy śnieżnobiałą chustką, wszedł do samochodu i odjechał nawet nie pożegnawszy się z siostrą. Nie podobała mu się myśl, że wróciwszy do miasta będzie musiał powiedzieć Walterowi, że nie udało mu się zawrzeć umowy z własnym szwagrem.

Johnny był wyraźnie zadowolony z powrotu Ciotki Dozie. Kiedy wzięła się za mycie naczyń, wręczyła mu ścierkę i przykazała, żeby nie kapał na podłogę, on uśmiechnął się do niej jednym z tych swoich rzadkich uśmiechów.

- Dobrze, proszę pani - odrzekł i zwrócił się do Granta:

- Zaczyna zrzędzić, jak tylko coś nie układa się po jej myśli.

- A pewnie, że tak - odparła Dozie, a jej ciemna twarz cała była w uśmiechach, choć w jej głosie pobrzmiwała gderliwa nuta. Było jasne, że lubi tego miedzianoskórego chłopaka.

- Nie pozwolę na żadne chlapanie na podłogę ani roznoszenie po domu krowiego łajna. I nie pozwolę, żeby taki młodzik jak ty, Johnny Henry, za wiele sobie pozwalał.

- Mówiłem - Johnny zwrócił się do Granta. - Nie wolno roznosić po domu krowiego łajna - powtórzył i sprawdził podeszwę najpierw jednego potem drugiego buta.

- Siadaj do stołu. Wyglupiasz się tak długo, że placek kukurydziany już całkiem wystygł.

- Jay jeszcze śpi. - Henry Ann weszła do kuchni i skierowała kroki do kredensu po słoik przecieru pomidorowego. - Koniec zeszłorocznego przecieru, Ciociu Dozie.

- Mam nadzieję, że to dziecko będzie spało całą noc.

- Siądź i wypowiedz błogosławieństwo - powiedziała Henry Ann. - Johnny za chwilę wgrzyzie się w stół.

Dozie zawahała się. Spojrzała na Granta, który stał grzecznie za swoim krzesłem czekając, aż Henry Ann usiądzie.

- Siądź, proszę - powtórzyła Henry Ann, potem spojrzała znacząco na Granta.

Jeśli okażesz w jakikolwiek sposób, że obraża cię jedzenie przy jednym stole z kolorowymi, możesz ruszać dalej.

Grant uchwycił jej spojrzenie, ale jego twarz nie zmieniła wyrazu.

Kiedy błogosławieństwo zostało wypowiedziane, a talerze z potrawami zaczęły krążyć z rąk do rąk, Henry Ann zapytała, ile czasu zajmie jeszcze odchwaszczanie pola.

- Nie powinno to potrwać dłużej jak kilka dni, pod warunkiem jednak, że uda mi się nakłonić tego dzieciaka do roboty - zażartował Grant. - Ale nie chcę skończyć za szybko, bo stracę pracę. Proszę pani - zwrócił się do Dozie - jadłem placki kukurydziane w wielu miejscach w kraju, ale tak dobrego nie pamiętam.

- Pan Henry także lubił moje placki. Dozie, mawiał, możesz używać tylu jajek, ilu zechcesz. Ale nijak nie mógł przytyć. Za ciężko pracował, żeby przytyć.

Henry Ann nabrała trochę masła i podała maselnickę wzdłuż stołu.

- Mam miskę zielonej fasolki gotowej do zawekowania.

- Widziałam. I jest sporo kartofli do wykopania. Boziu, ten ogród dobrze sobie radzi bez deszczu.

- Podlewałem go, kiedy byłaś w mieście. I jeszcze raz w tę noc, kiedy umarł Ed - powiedział Johnny.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś!

Wzruszył ramionami, wbijając wzrok w talerz.

- Widziałam bruzdę wykopaną między rzędami. Myślałam, że może Tata...

- Pokazał mi, jak nawadniać ziemię. Zrobiłem to nocą.

- Czemu?

- Żeby ziemia dłużej była wilgotna.

- Johnny, zaskakujesz mnie.

- Dzieciak może i zna się na ogrodzie, ale nie ma pojęcia jak odchwaszczać bawełnę. - Grant uchwycił spojrzenie Henry Ann i mrugnął do niej.

- Nie popuścisz mi, co? - zapytał Johnny.

- Nigdy w życiu. Będę tam stał i patrzył, jak spłacasz dług.

- Musicie o tym mówić przy jedzeniu? - Henry Ann odłożyła widelec na talerz.

- Przepraszam panią. Zapomniałem się.

Dozie milczała. Biały mężczyzna ją także nazwał panią. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Johnny go lubił. Wyglądało na to, że Henry Ann także go lubi. Dozie miała nadzieję, że pozostanie z nimi na dłużej. Ten Dolan mógł dla dziewczyny oznaczać kłopot. Był żonaty, a patrzył na Henry Ann jak ktoś, kto pragnie czegoś, czego nie może mieć.

- No, to jesteśmy na miejscu, śliczna ptaszynko. Tu właśnie mieszka Hardy Perry. - Grube palce nagle schwyciły Isabel za łokieć i ścisnęły. Wyrwała ramię z uścisku tłuściocha, postawiła walizkę i przeszła na jej drugą stronę.

- To tutaj mieszka Pete?

- Tak. Z zewnątrz nie ma na co popatrzeć, ale w środku mają jedną z tych lodówek i nakręcany gramofon, z którego śpiewa gość o nazwisku Rudy Vallee. Hardy lubi muzykę. Czasami każe Jude'owi tańczyć ze sobą. Ha, ha, ha -oczy tłuściocha błyszcząły jak szklane paciorki, kiedy zerkał na Isabel. - Ciebie też polubi, śliczna ptaszynko.

- Kto to jest Jude?

- Jego dzieciak. Jedyny oprócz Pete'a, do którego się przyznaje. Ha, ha, ha. Nikogo nie nabierze. Nad całym Błotnistym Potokiem mieszkają kobiety Perrych, a on ma dzieciaki z większością z nich.

- To krewni?

- Diabła tam. Kuzynki i ciotki to nie są bliscy krewni. Ten Hardy to niezły numer. Jurny jak łoś - zapewnił. - Ja też, rzecz jasna, nie wypadłem sroce spod ogona - dodał z dumą.

Przed nimi stał niewielki, nie pomalowany domek. Osadzony był na kamiennych blokach pośród chwastów i krzewów wyrastających z piaszczystej gleby. Za nim stała szopa z nowym blaszanym dachem. Obok widać było ukośne drzwi piwnicy i studnię. Po podwórku szwendały się kury rozgrzebujące śmieci i odpadki w poszukiwaniu pożywienia. Było tu jeszcze gorzej niż u Grubego. Isabel aż zatkało.

Niemożliwe, żeby Pete tu mieszkał!

Panowała cisza, jeśli nie liczyć bzyczenia owadów i nawoływania lelka. Z oddali słychać było wyciszone pobrzękiwania krowich dzwonek. Potem od strony domu dobiegła muzyka.

- Hardy jest w domu. Oprócz niego nikt nie tyka gramofonu. Słuchaj. Piękne, co?

*„Zobaczę cię we śnie,
przytulę cię we śnie...”*

- To śpiewa ten Rudy Vallee. Potrafi ładnie śpiewać. Któregoś dnia zdobędę sobie jakiś gramofon.

- Czemu sobie nie kupisz? - spytała Isabel, myślami błądząc gdzie indziej.

- Bo jeszcze... nie jestem gotów - odparł zaczepnie. - Nie musisz być niegrzeczna. Przyproceedziłem cię tu, choć mogłem łowić ryby albo polować na wiewiórki.

- Chodźmy. Chcę zobaczyć Pete'a.

- Chodźmy. Chcę zobaczyć Pete'a - powtórzył zgryźliwie i odszedł, zostawiając ją z walizką stojącą w piachu. Psy uwiązane od strony podwórza oszalałym szczekaniem oznajmiły ich przybycie. Muzyka ustała i na ganek wyszedł mężczyzna. Był rosły, miał gęste siwe włosy i dłonie jak łopaty. Choć nie był zbyt otyły, nad paskiem podtrzymującym jego spodnie zwisał pokaźny brzuch. Rozpięta koszula ukazywała siwe owłosienie na piersi, a zarost zdradzał, że nie golił się od dobrych paru dni.

- Cicho tam! - krzyknął na psy, które przestały szczekać tak nagle, jakby im poderżnięto gardła.

- Siemasz, Hardy. Przyproceedziłem ci gościa.

- Siemasz, Gruby. Jak tam twoja mama?

- Jako tako. A jak twoi?

- Nikt się nie skarży. - Oczy Hardy'ego badały Isabel. -A to kto?

- Córka Dorene Perry. Przyjechała z miasta. Chce się widzieć z Pete'em.

- Czy to nie piękne? Cały Pete. Kobiety lecą do niego jak muchy do syropu. Jak ci na imię, dziewczyno?

- Isabel. Czy Pete jest w domu?

- Niedługo będzie. Wejdz do środka. Napij się, Gruby, ze studni, zanim pójdziesz do siebie.

Nawet jeśli grubas poczuł się urażony, że splawiono go tak bezceremonialnie, nie okazał tego. Poczłapał w kierunku studni. Isabel postawiła walizkę na werandzie, zanim weszła po schodach i podążyła za Hardym do środka.

Usłyszała człapanie ciężkich kroków po drewnianej podłodze, potem trzaśnięcie drzwi. Weszła tylko na krok do pokoju, w którym panował nieopisany rozgardiasz. Na posłaniu piętrzył się stos ubrań i pościeli, a pośrodku tego wszystkiego stała para zabłoconych butów. Łóżko i krzesło były jedynymi meblami w tym pomieszczeniu, jeśli nie liczyć wypolerowanego na wysoki połysk gramofonu firmy Victorla. Otwarta wierzchnia pokrywa ukazywała obrazek małego białego pieska, który słucha głosu płynącego z tuby.

- Wejdz tutaj. Wejdz - potężne ciało Hardy'ego Perry zdawało się wypełniać pokój.

- Kiedy wróci Pete?

- Niedługo. Jesteś głodna? Jest trochę mięsa na kuchni.

- Jadłam u pani Perry.

- Spałaś już z Pete'em?
- Nie! - to pytanie całkiem ją zatkało.

-Jeżeli nie bujasz, to znaczy, że Pete spowolniał. Nie widziałem, żeby kiedykolwiek odpuścił sobie kawałek dupy, jeśli już miał ją pod ręką - zaśmiał się ukazując żółte zęby i puste miejsce na samym przodzie.

- Dawno go nie ma?

Hardy zignorował pytanie. Ostrożnie pokręcił korbką w Victorli i nastawił igłę na wirującą płytę. Pokój wypełniła muzyka.

*„Dziewczyno moich snów, kocham cię.
Naprawdę kocham cię. Jesteś taka słodka...”*

- Potrafisz tańczyć, co? - zapytał Hardy, a potem, zanim zdążyła odpowiedzieć: - Pewnie, że potrafisz. Dorene już o to zadbała. Chodź tu maleńka. No chodź. - Chwyił ją za rękę, przyciągnął do siebie i zaczął się kołysać w takt muzyki.

Hardy przycisnął ją do siebie tak mocno, że guziki jego koszuli zaczęły uwierać ją boleśnie w piersi. Brodą umiejscowioną na czubku jej głowy przyciskał jej twarz do swoich włosów na piersi, kołysząc się przy tym w takt wolnej muzyki.

Serce Isabel waliło jak młotem. Z trudem łapała oddech. Kiedy doszła do siebie, zaciekawilo ją, czemu nie czuje podłogi pod stopami. Kilka chwil później dokonała szokującego odkrycia: ten włochaty brutal trzymał ją parę centymetrów nad podłogą!

8

Isabel poczuła tak wielką ulgę, że omal się nie rozplakała, kiedy po blisko godzinie tańca z Hardym na podwórko zajechał samochód. Ktoś, starając się przekrzyczeć oszalałe szczekanie psów, wykrzykiwał imię Hardy'ego.

- Kurde! Zupełnie zapomniałem, że przyjeżdża Sandy. Muszę lecieć, dziewczyno! - Hardy ostrożnie podniósł igłę z płyty gramofonowej i zamknął pokrywę Victorli. Podszedł do drzwi. - Czekaj chwilę! - krzyknął słysząc trąbienie klaksonu. Potem do Isabel: - Jeszcze wieczorem sobie potańczymy. Pa, złotko.

Isabel stała na środku pokoju tak długo, jak długo dawał się słyszeć silnik odjeżdżającego samochodu. Potem przysiadła na brzegu posłania, zdjęła pantofle i wysypała z

nich piasek. Pokój był tak brudny i zagracony jak te, w których dorastała. Dorene nigdy nie dbała o porządek w mieszkaniu. Byle tylko było gdzie usiąść i gdzie się położyć, nie miało znaczenia, że gdzieś leży sterta ciuchów, a na stole piętrzą się brudne naczynia. Isabel nie przeszkadzał więc rozgardiasz, ale była rozczarowana, że Pete mieszka w takim zdezelowanym domu bez dywanów na podłogach.

Ojciec Pete'a też był inny, niż się spodziewała. Po tym, co mówił Gruby i jego matka, bała się, że rzuci ją na łóżko i zgwałci. Zatańczył z nią i to wszystko. Po tym, jak zmienił płytę, nie trzymał jej już tak mocno, pozwolił nawet stanąć na ziemi. Isabel nauczyła się tańczyć będąc jeszcze dzieckiem. Dorene nauczyła ją walca, a nawet trochę charlstona.

Isabel usłyszała skrzypnięcie siatki na drzwi. Nie zakładając pantofli pospieszyła do pokoju wychodzącego na podwórze.

- Pete?

- Nie jestem Pete.

Do kuchni wszedł chłopak w wieku Johnny'ego. Był młodszą, szczuplejszą wersją Pete'a. Miał długie blond włosy i spoglądał spode łba.

- Wyglądasz jak on.

- Cóż mogę na to poradzić? - zdjął szmatkę z patelni stojącej na stole, odkroił kawałek mięsa i zaczął jeść.

- Jesteś Jude?

- Tak się nazywam.

- Jesteś dużo młodszy od Pete'a.

- I bystrzejszy.

- Ale nie wyglądasz tak dobrze. Pete jest przystojny.

- Skoro tak mówisz.

- Gruby powiedział mi, że twój ojciec każe ci ze sobą tańczyć - zachichotała.

- Teraz ma ciebie. Lubi takie młódki z małymi piersiątkami.

- Jesteś niedobry. Wcale mi się nie podobasz.

- Łamiesz mi serce.

- Wiesz, kiedy wróci Pete?

- Jak mu przyjdzie ochota. Czasami znika na dwa albo trzy dni.

- Dokąd chodzi?

- Jego zapytaj. Nie jesteś za młoda, żeby być jedną z jego kobiet?

- Mam siedemnaście lat - skłamała.

- Wyglądasz na jakieś czternaście.

- Nie moja wina - odparła. - Ja i Pete wygramy ten maraton tańca.
- Słyszałem, jak mówił o tym tacie. Pete zrobi wszystko, żeby nie pracować.

Zatrzymasz się tu?

- Pete powiedział, że mnie przyjmiecie. Jestem z Perrych.
- Szczęściara z ciebie.
- Czemu tak mówisz?
- Czy aby nie nazywasz się Henry?
- Dorene Perry była moją matką.
- A kto był twoim ojcem? Załóż się, że nie wiesz. Jeśli Dorene była jak reszta

kobiet Perrych, to była z niej zwykła dziwka.

- A kim ty jesteś, żeby mówić takie rzeczy o mojej matce? Wiem przynajmniej, kim była moja matka - rzuciła szyderczo.

- Podobnie jak ja.
- W takim razie gdzie ona jest?
- Na cmentarzu. Czemu odeszłaś od Henrych?
- Bo ta sztywniaczka nie chciała przyznać, że część farmy należy do mnie. Pete pomoże mi odzyskać moją część. Sprzedam ją i pojedziemy do Kaliforni.

- Akurat! Ed Henry nie był twoim ojcem. Wszyscy to wiedzą.
- On i Dorene byli małżeństwem. W świetle prawa noszę jego nazwisko.
- Kto tak mówi?
- Pete.

Jude tylko prychnął z niesmakiem.

- Pete powie wszystko, żeby złapać dolara albo dobrać się do kobiety.
- Czemu tak go nie lubisz?
- Bo to kawał gnoja.

Otworzył drzwi i wyszedł. Isabel podążyła za nim.

- O co ci chodzi? Gdzie idziesz? Nie chcę tu zostać sama.
- Więc wracaj do Grubego. Będzie zachwycony.
- Jesteś złośliwy i okropny i... nienawidzę cię!
- Posprzątaj tu, Issy. Stary będzie chciał z tobą zatańczyć, jak wróci - w jego

głosie pobrzmiwała nieskrywana pogarda.

- A może zechce zatańczyć z tobą, panno Jude Perry.

Zaśmiał się.

- Kiedy ty tu jesteś, to tak samo prawdopodobne jak to, że ja pogryzę psa.

- Zazdrościsz! - krzyknęła, kiedy zniknął za szopą.

Popołudnie wlokło się niemiłosiernie. Chcąc zwrócić na siebie uwagę Pete'a, kiedy ten wróci do domu, i żeby jakoś odreagować swój gniew na jego młodszego brata, Isabel zmyła naczynia i zmiotła podłogę w pokoju od frontu i w kuchni. Pozostałe dwa pokoje, gdzie ci mężczyźni sypiali, były zagracone do tego stopnia, że do łóżka prowadziła tylko wąska ścieżka. Za całą pościel służyły koce rzucone na zabłocone materace. W pokojach tych unosił się smród niemytych nóg.

Isabel umyła się w miednicy, zmieniła sukienkę, nakręciła włosy na lokówkę, którą podgrzała na lampie naftowej. Rezultat tych działań sprawdziła w oprawionym w kość słoniową ręcznym lusterku, które zabrała z domu Henry Ann. Potem szminką podróżowała policzki, a zakręcone włosy związała wstążką. Za każdym uchem musnęła się kroplą perfum Blue Waltz i wyszła na werandę, gdzie postanowiła czekać na Pete'a.

Nie przyszedł. Nie tej nocy. Hardy i Jude zdawali się tego nie zauważać. Po kolacji Hardy nakręcił Victorlę i przyciągnął do siebie Isabel. Znowu chciał tańczyć. Jude zniknął.

Tańczyli w rytm płaczliwych melodii Rudy'ego Vallee. Hardy pachniał potem i dymem z ogniska. Isabel próbowała trzymać się od niego jak najdalej. On zdawał się wniebowzięty.

Później Isabel leżała ubrana na posłaniu z niepokojem wsłuchując się w odgłosy dochodzące z sąsiedniego pokoju. Hardy przyglądał się jej z zainteresowaniem podczas kolacji, a kiedy tańczyli nachylał się parę razy, aby powąchać jej perfumy. Gruby twierdził, że to najgorszy nędznik nad całym Błotnistym Potokiem, co zawsze bierze sobie to, na co ma ochotę.

Nawet nie próbował rozmawiać z nią w czasie tańca. Nie zapytał, jaki rodzaj tańca lubi albo jak długo zna Pete'a. Po prostu tańczył, a potem wyłączył Victorlę i wyszedł. Usłyszała, że sika po drugiej stronie werandy. Kiedy wrócił, zdmuchnął lampę i przeszedł do drugiego pokoju zostawiając ją w ciemności.

Czyżby nie musiała się go obawiać, bo myślał, że jest dziewczyną Pete'a?

Isabel zaczynała się właśnie odprężyć, kiedy usłyszała skrzypnięcie siatki na drzwi. Ktoś wszedł do kuchni. Podskoczyła.

- Pete? - zapytała głośnym szeptem.

- Nie jestem Pete - głos, który odezwał się w ciemności, należał do Jude'a. -

Potrzebny mi koc. Zajęłaś moje łóżko. Położę się na werandzie, chyba że ty wolisz.

- Nie chcę - odparła z irytacją, kiedy stanął w drzwiach.

- Natańczyłaś się? - szepnął złośliwie, przechodząc na werandę.

Wyszła za nim na dwór. Księżyc świecący przez rozrzedzone chmury pograżał wszystko dokoła w jakimś chorobliwym świetle. Zobaczyła, jak Jude rzuca koc na gołe deski.

- Dlaczego mnie nie lubisz? - szepnęła.

- Bo nie ma w tobie nic, co dałoby się lubić.

- Co według ciebie jest ze mną nie tak?

- Jesteś smarkatą, która myśli, że pozjadała wszystkie rozумы. I uganiaś się za dwa razy starszym od siebie facetem. Nie minie rok, a wygrzmocą cię i skończysz, żyjąc nad Błotnistym Potokiem z gromadką bachorów, które też będą mieszkać nad Błotnistym Potokiem i też zafundują sobie gromadkę bachorów.

- Co ty możesz wiedzieć. Nigdzie nie byłeś, nic nie widziałeś.

- Myśl sobie co chcesz.

- Co ja ci zrobiłam?

- Nic. I nic nie zrobisz. Wracaj do łóżka.

- Powiem Pete'owi jaki niedobry byłeś.

- Zrób to.

- On da ci wycisk.

- Wracaj do łóżka.

Wróciła do domu i po omacku dotarła do posłania. Niech go szlag! Co on sobie myśli, żeby tak się na nią wypiąć. Kiedy dostaną się jej pieniądze za farmę, już ona mu pokaże. Inaczej będzie śpiewał.

Jay prędko wracał do siebie i czuł się świetnie u Henry Ann. Ciotka Dozie świata poza nim nie widziała. Była bardzo szczęśliwa, że znowu może zająć się takim maluchem. Za jej troskę dziecko odpłacało śmiechem i dziecinnym szczebiotem. Ku zdziwieniu Dozie i Henry Ann, Johnny uwielbiał bawić się z chłopcem. Często brał go na barana i szli do zagrody przyglądać się kucykowi.

Malec ani razu nie wspomniał o matce czy powrocie do domu. Ale kiedy przyjeżdżał ojciec, był zachwycony, że go widzi. Podbiegał do niego, a ten brał go na ręce i całował w oba policzki. Aż miło było na to patrzeć. Tom wcale się nie wstydził uczuć okazywanych synowi.

Przez pierwszych kilka dni Jay spał wygodnie w łóżku Henry Ann. Budził się po parę razy w nocy, a Henry Ann tuliła go w ramionach i śpiewała kołysanki, póki znowu nie zasnął. Tak przywiązała się do malca, że bała się nadejścia dnia, kiedy Tom zabierze go do domu.

Johnny i Grant skończyli odchwaszczanie bawełny. Grant zajął się teraz ogrodem i dojeniem krów. Był czysty, pogodny i przyjazny. Czasami jednak Henry Ann dostrzegała w

jego oczach smutek. Zastanawiała się wtedy, co też musiało się wydarzyć, że taki porządny i wykształcony człowiek stał się włóczęgą.

Tom nadal odnosił się do niego podejrzliwie i unikał rozmowy. Henry Ann usiłowała dociec, dlaczego tak jest. Pomoc Granta warta była więcej niż ta niewielka pensja, jaką mu płaciła. Dzień po odejściu Isabel do Perrych odszukała w chwastach starą zardzewiałą puszkę z plamą farby i znalazła pieniądze, o których mówił ojciec. Była zdumiona, kiedy okazało się, że jest tego trzysta dolarów, prawdziwa fortuna. Przełożyła to zaraz do słoika, który następnie zakopła w piasku w piwnicy.

Któregoś wieczora po kolacji, kiedy siedzieli na werandzie, a Jay spał na kolanach u Ciotki Dozie, Johnny spytał Henry Ann, czy może wziąć gitarę Eda.

- Grant mówi, że umie grać i może nauczyć mnie akordów.
- Boże! Nie mów, że jeszcze potrafisz grać na gitarze. Będziemy musieli dodać to do naprawy radia i przewodów elektrycznych i do przecinania czyraków.
- Cóż, musiałem przeciąć tego czyraka. Co z tego, że wygrałem zakład? Ten dzieciak odciąłby ogon staremu Stanleyowi, a na to nie mogłem pozwolić.

On lubi Johnny'ego. Z wzajemnością.

Henry Ann przyglądała się, jak ze sobą żartują. Była rada, że Johnny nie jest już pod wpływem Pete'a Perry. Sprawy przybrały zadziwiający obrót. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że stosunek jej przyrodniego brata do niej i do farmy może ulec tak gwałtownej zmianie. Było w nim teraz więcej pewności siebie, częściej się odzywał i wyraźnie cieszył z przyjaźni, jaką obdarzył go Grant.

- Jedyne, co mogę zrobić z gitarą, to spowodować, że psy zaczną wyć.

Grant przeciągnął palcami po strunach, przestroił dwie z nich i wypróbował kilka akordów. Początkowo nucił coś niewyraźnie pod nosem, potem, gdy wkoło zapadał już zmierzch, zaśpiewał:

*„W taki dzień jak dziś nie robię nic a nic,
tylko w piasku do ciebie piszę miłosny list.”*

- Grant, to było piękne - rzekła Henry Ann, kiedy skończył. Była bliska łez, bo przypomniała sobie te wszystkie letnie wieczory, kiedy to siadywała z ojcem na werandzie, a on grał na tej gitarze i śpiewał takie pieśni jak „Dolina Rzeki Czerwonej” i „Żółta róża Teksasu”.

- Mogę tylko powiedzieć, że rad jestem, że nie muszę zarabiać na życie

śpiewaniem. Umarłbym chyba z głodu - rzucił Grant i zaśmiał się z cicha. Wręczył gitarę Johnny'emu. - W porządku, kowboju, możesz zaczynać. Kto wie, może okażesz się następnym Genem Autry i będziemy cię słuchać w radio. - Ułożył palce Johnny'ego w akord, a do drugiej ręki włożył mu kostkę.

Emma-Jean niemal przestała odzywać się do Toma. Raz tylko spytała, gdzie się podział *ten bachor*. Tom odrzekł, że jest w dobrych rękach. Więcej już nie pytała. Zaczęła chodzić na spacerzy wzdłuż strumienia aż do lasu, który należał do Henrych. Kilka razy Tom widział ją pod wielkim orzechowcem nad brzegiem strumienia, gdzie siadywała na zawieszanej tam huśtawce. W ciągu paru ostatnich dni widywał ją chodzącą po podwórzu w koszuli nocnej, na bosaka, z włosami w nieładzie.

Tego wieczora, zmęczony całodzienną pracą w polu i nie mogąc doczekać się chwili, kiedy uda się do Henrych i zobaczy Jaya, Tom usmażył kartofle i otworzył puszkę brzoskwiń. Kiedy nakrył do stołu, poszedł zawołać Emmę-Jean. Leżała na niezasłanym łóżku.

- Kolacja gotowa, Emma-Jean.

Żadnej odpowiedzi. Oczy jej nieruchomo patrzyły w sufit, ręce miała pod głową.

- Zjedz coś, bo się rozchorujesz.

Wydawała się nieobecna. Daleka. Tak samo jak zeszłej nocy. Tom wrócił do kuchni i zjadł zostawiając na talerzu porcję dla niej. Potem zmył naczynia. Zanim wyszedł z domu, jeszcze raz zajrzał do jej pokoju. Oczy miała zamknięte, ale nie był pewien, czy śpi.

Nie miał pojęcia, co z nią zrobić. Była matką jego syna, jego żoną. Zapewnienie jej bezpieczeństwa należało do jego obowiązków, ale, dobry- Boże, jak miał utrzymać rodzinę, opiekować się synem i stale pilnować tej nieźrównoważonej kobiety?

Martwił się, że jej rodzice dowiedzą się, że ona popada w szaleństwo i zechcą powierzyć ją jakiejś instytucji. W takim wypadku spróbują odebrać mu syna.

Na to nie pozwoli. Zabierze Jaya i ucieknie z nim z kraju.

Było jednak jasne, iż nie będzie mógł zabrać Jaya do domu, jak długo będzie w nim Emma-Jean. Tego wieczora Tom zamierzał powiedzieć Henry Ann, że gotów jest zapłacić za utrzymanie Jaya, jeśli tylko zechce zatrzymać go u siebie jeszcze przez jakiś czas.

Henry Ann. Czasami nie był w stanie myśleć o niczym innym. Starał się myśleć o czymś innym, naprawdę próbował, ale kiedy przychodził wieczór, zdawał sobie sprawę, że spieszy się nie tylko, by zobaczyć syna, ale by zobaczyć j ą. Czuł, że to nie było w porządku. I niech Bóg broni, by kiedykolwiek dowiedziała się o jego marzeniach, że pragnąłby któregoś

pięknego dnia objąć ją i... kochać. W myślach sam siebie karcił za takie pomysły, zaraz jednak usprawiedliwiał się, że i jemu wolno marzyć. Tak długo jak długo zachowuje te marzenia dla siebie. Podświadomie widział w Grancie Giffordzie zagrożenie. Przyznał się już przed sobą, że zazdrości temu mężczyźnie jego codziennych kontaktów z Henry Ann. Niech to szlag! Nie miał prawa czuć do panny Henry niczego prócz wdzięczności. Grant przyszedł prosto z drogi i zadomowił się u Henrych. Tom osobiście nie miał nic przeciwko niemu. Pracował ciężko. Był dobry dla Johnny'ego. Chodziło po prostu o to, że tam był, mimo że najprawdopodobniej miał jakieś swoje ciemne sekrety i sprawy, które sprawiły, że został włóczęgą; a także o to, że mógł się wkraść do serca Henry Ann. Ta myśl nie dawała Tomowi spokoju. Był wściekły na siebie i przeklinał własną głupotę. Myślenie o niej było zwykłym szaleństwem.

Był przecież związany z Emmą-Jean. Na całe życie.

Dojechawszy do farmy Henrych, Tom zatrzymał się chwilę przy szopie, żeby zobaczyć, co dzieje się na podwórzu. Gifford bawił się piłką z Jayem. Stary kudłaty pies przyglądał się im, leżąc z głową opartą na łapach. Dziecinny śmiech Jaya mieszał się z wypowiedzianymi męskim głosem słowami zachęty, odgłosami ptaków, które sadowiły się na noc wśród gałęzi drzew, i cichym skrzypieniem korby u studni, bo Johnny niespiesznie napełniał właśnie zbiornik. Jakaż spokojna scena, nasuwająca myśli o domu. Tom odczuł bolesną pustkę w sercu. Stał tam pogrążony w smutku, dopóki Jay go nie zauważył.

- Tato! Tato! - w jednej chwili zapomniał o zabawie i podbiegł do ojca. Tom porwał malca na ręce, a ten mocno objął go za szyję dziecinnymi rączkami.
- Jak się miewasz, mały? Tęskniłem za tobą. - Jay był ostrzyżony i miał na sobie nowe ogrodniczki.
- Patrz, tato! - Jay wypiął przód ogrodniczek. - Ciocia robiła.
- Świetnie. - Postawił chłopca na ziemi i wziął za rękę. - Podziękowałaś cioci?
- Uhm. - Jay pociągnął jego dłoń. - Ciocia robiła ciasto.
- Kolacja gotowa - Dozie pojawiła się na ganku od podwórza. - Niech pan wejdzie, panie Tom. Dziś jemy później. Henry Ann była w mieście.
- Zaczekam na werandzie.
- A po co? Wejdzie pan do środka. Nie zabraknie.
- Dziękuję, ale już jadłem kolację.
- To niech pan zje drugą. Jadł pan kiedy placek z zielonych pomidorów? A surówkę z rzepy i placek kukurydziany?
- Nie masz co się klócić, Tom. - Johnny minął go niosąc wiadro wody. - Z nią

nie wygrasz.

- Ty też nie, łapserdaku. Tylko nie rozlewaj mi wody na linoleum.

Kiedy Tom wszedł do kuchni, Henry Ann kładła dodatkowe nakrycie na ceratowej serwecie.

- Witaj, Tom. Nakryłam ci obok Jaya.

- Dobry wieczór. Ja... nie przyszedłem na kolację.

- Wiemy, wiemy. A ty musisz umyć łapki, brzdącu -zwróciła się do Jaya. - Potem usiądziesz sobie obok taty.

W czasie kolacji Henry Ann słuchała wzajemnych przycinków Granta i Johnny'ego i ich przekomarzań z Jayem. Dziecko chichotało, a jego ciemne oczy często spoglądały na rosnącego, kudłatego mężczyznę obok. Była zadziwiona delikatnością, z jaką duże ręce Toma kroїły jedzenie na talerzu Jaya i tym jak czule spoglądał na twarz swego syna spod krzaczastych brwi.

- Niedługo będzie można pozrywać brzoskwinie - rzuciła Henry Ann przerywając milczenie. - Za tydzień albo dwa będziemy je wekować.

- Mam u siebie dwa ładne drzewa brzoskwiniowe, ale zdaje się, że ktoś już się połasił na owoce. Wątpię, czy z tego co zostało, zbierze się choć koszyk.

- Z tego co pamiętam, tata mówił, że zawsze ktoś podbiera owoce z tych drzew.

- Po chwili ciszy Henry Ann powiedziała: - Byłam dzisiaj w mieście. Ludzie są bardzo podnieceni tym pokazem lotniczym. My też się wybieramy. Nie masz nic przeciwko temu, że weźmiemy Jaya?

- Nie. Będę bardzo wdzięczny. Myślałem o tym, żeby wybrać się z Emmą-Jean. Od czasu do czasu powinna wyjść z domu.

- Wolałbyś, żeby Jay poszedł z wami?

- Jeśli... - Tom przerwał. Rozejrzał się wokół lekko zmieszany. - Myślę, że lepiej będzie mu z tobą. Jego matka nie bardzo może się nim zająć.

- W takim razie cieszymy się, że będzie z nami. Ciotka Dozie urządzi nam piknik. Będzie miło, jeśli wraz z żoną dołączycie do nas. Będzie też moja przyjaciółka, Karen.

Henry Ann przyglądała się, jak Tom nakłoniony przez Ciotkę Dozie po raz drugi napelnia talerz. Był głodny! Czy jego żona mu nie gotowała? Henry Ann zadawała sobie to pytanie podczas kolacji i potem, kiedy przenieśli się na werandę. Jay siedział u niej na kolanach.

Podbiegła Shepa i polizła Jaya w stopę.

- Cześć Shepa! - malec wyciągnął rękę i poklepał kudłaty łeb psa. Shepa

zaskamlała cicho, spojrzała w górę i ułożyła się na podłodze koło krzesła. Siedzieli tak w zapadających ciemnościach, a wszędzie wokół panowała cisza.

- Wygląda na to, że ten facet robi się senny - powiedział Tom parę chwil później i wstał biorąc malca na rękę.

- Jeszcze nie - Jay objął ojca za szyję.

- Oj, chyba już, synku.

- Chyba rzeczywiście zaraz zaśnie - Henry Ann sięgnęła po dziecko. - Położę go.

Henry Ann weszła do domu, a Tom podążył za nią. Zapaliła światło w pokoju. Tom zobaczył starannie zasłane łóżko, z którego właśnie zdejmowała narzutę, składając ją w taki sam sposób, w jaki robiła to jego matka. Ten pokój, z obrazkami na ścianach i kwiatami, przypomniał mu, jak ponury jest jego własny dom.

Położył Jaya na łóżku i zdjął mu buty. Henry Ann wyjęła spod poduszki koszulkę nocną i podała ją Tomowi.

- Zwykle załatwia się do nocnika, który stoi pod łóżkiem. Jeśli się tym zajmiesz, przyniosę ciepłą ściereczkę, żeby przemyć mu twarz i ręce. - Wyszła nim zdążył zauważyć rumieniec zakłopotania na jej policzkach. Tom nakładał właśnie Jayowi koszulkę nocną, kiedy Henry Ann wróciła. Delikatnie wytarła twarz dziecka, potem rączki i naciągnęła kołdrę.

- Ciepło dzisiaj. Na pewno chcesz, żebym cię przykryła?

- Uhm.

- Choćby nie wiem jak było gorąco, on zawsze chce być nakryty. Pewnie czuje się bezpieczniej. Dobranoc, brzdącu. Jak będziesz coś chciał, zawołaj mnie. Ciotka Dozie i ja jesteśmy blisko. - Pocałowała go w czoło i wyszła, żeby zostawić Toma na parę minut z synem.

Chwilę potem Tom wyłączył światło w sypialni i przeszedł do kuchni, gdzie Henry Ann pila właśnie wodę z kubka. Spojrzała na niego. Czyżby tylko zdawało się jej, że w jego oczach dostrzegła cień tęsknoty?

- Nie wiem, jak ci dziękować. Nigdy nie był tak... szczęśliwy - powiedział lekko ochryplym szeptem.

- Znowu to przerabiamy? - odpowiedziała drocząc się z nim. Nagle jej dłonie zwilgotniały i poczuła w sobie dzikie pragnienie, żeby położyć ręce na jego zmartwionej twarzy, pocieszyć go i wygładzić zmarszczki.

- Na to wygląda. Muszę już wracać, ale najpierw chciałbym z tobą porozmawiać. Przejdziesz się ze mną? Tylko do końca podwórza?

Zaczekał, aż kiwnęła głową. Potem otworzył drzwi z siatki i wyszli na podwórze.

Henry Ann nie zauważała bezchmurnego nieba, jasnych gwiazd i księżyca rozpoczynającego właśnie nocną podróż po niebie. Wiedziała tylko, że została sam na sam z tym roslym mężczyzną, który mógłby złamać ją na pół gołymi rękami, a przecież był tak delikatny dla swego syna.

Szła obok Toma do miejsca, gdzie kończyło się podwórze, a zaczynało pole bawełny. Zatrzymali się pod ogromnym dębem, najstarszym drzewem na całej farmie.

- Mój tata mówił, że to drzewo rosło tu już w czasie bitwy pod Alamo i walk o niepodległość Teksasu pod San Jacinto. - Henry Ann położyła dłoń na szorstkiej korze i odnalazła swoje imię wyryte na pniu w czasach, kiedy była małym dzieckiem. - W miejscu, gdzie stoi dom, kiedyś obozowali Indianie. Znaleźliśmy tu krzemienne groty strzał i kamienne toporki. Miasto Red Rock (czerwona skała) zostało tak nazwane po jakimś kowboju, który tam umarł i postawiono mu nagrobek z czerwonej skały.

- Zabili go Indianie?
- Nie. Ukąsił go grzechotnik.

Henry Ann umilkła, bo zdała sobie sprawę, że papie o czymś, co pewnie wcale go nie interesuje. Skrzyżowała ręce na piersi i zapatrzyła się w milczeniu na odchwaszczone rzędy bawełnianych krzewów.

Nie mogła wiedzieć jak bardzo, wpatrując się w jej twarz, Tom żałuje, że nie może jej dotknąć i wyznać, jak wiele znaczy dla niego, że jest z nią tu sam na sam. Usłyszała kojota wyjącego do księżyca, a potem innego, który mu odpowiadał z oddali. Spoglądając na mężczyznę stojącego obok, Henry Ann pomyślała, że nigdy nie widziała kogoś równie smutnego i wyglądającego na tak samotnego.

- Jak długo jeszcze... - głos Toma zabrzmiał ochryple. Odchrząknął i dokończył: - pozostanie tu Gifford?

- Nie jestem pewna. Czemu?
- Chciałem poprosić o wypożyczenie mi waszych mułów na parę dni, ale masz tu dwóch mężczyzn i nie potrzebujesz mojej pomocy w rewanżu.
- Nie musisz się rewanżować.
- Nie mogę tylko brać. I tak zaciągnąłem już spory dług wdzięczności.
- Chcesz powiedzieć, że wolałbyś nie zaciągać długów wdzięczności?
- Nie o to chodzi. Już i tak cię wykorzystałem, a zmuszony jestem poprosić o

jeszcze. Nie masz nic przeciwko temu, żeby Jay został u ciebie trochę dłużej?

- Oczywiście, że nie. Zaczynam z niechęcią myśleć o dniu, kiedy zechcesz zabrać go do domu - odparła z cichym śmiechem.

- O Boże... o Boże... - oparł czoło o szorstką korę.

To westchnienie zdumiało ją.

- Co się dzieje? Coś nie tak?

- To po prostu ulga, że mały jest w bezpiecznym miejscu. Tak się cieszę, że go... lubisz.

- Jest słodkim malcem. Nie rozumiem, jak ktoś mógłby go nie kochać... nie chcieć - pożałowała tych słów w tym samym momencie, w którym je wypowiedziała. Tom mówił, że matka Jaya go nie chce. - Przepraszam. Na chwilę zapomniałam, że pani Dolan jest chora.

- Henry Ann... Mogę tak do ciebie mówić?

- Oczywiście.

- Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy, że Jay jest w dobrych rękach. Że jest z ludźmi, którzy go lubią. Jesteś... jesteś... ja... Jeśli kiedykolwiek będę mógł coś dla ciebie zrobić... - zanim zdał sobie z tego sprawę, położył rękę na jej ramieniu.

Ona zaś w spontanicznym geście przykryła jego dłoń swoją.

- Nie mów już o tym.

- Ona wrzuciła tę żabę, którą mu dałaś, do pieca - powiedział cicho.

- Jay mówił mi, że żaba poszła do nieba - Henry Ann nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Nie mogłaby oddalić się od niego, nawet gdyby od tego zależało jej życie. - Teraz bawi się klaunem zrobionym ze skarpety.

- Też bawiłaś się nim w dzieciństwie?

- Nie. Kupiłam go na targu przy kościele, kiedy miałam szesnaście lat - zaśmiała się i opuściła rękę. - Byłam już trochę za stara na lalki, ale dostałam pierwszą wypłatę w sklepie, w którym pracowałam i chciałam od razu coś za to kupić.

Dłoń na jej ramieniu była ciepła i szorstka. Poczowała mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Jej wzrok prześlizgnął się po jego twarzy. Dostrzegła jego podkrążone oczy. Pragnęła objąć go i pocieszyć. Powiedzieć mu, że zrobiłaby wszystko, żeby pomóc mu chronić jego syna.

Grant wołający „Dobranoc” wyrwał ją z zamyślenia. Przypomniała sobie, gdzie jest. Cofnęła się o krok i ręka Toma obsunęła się z jej ramienia.

- Chcesz, żeby Johnny pomógł ci przez kilka dni?

- Myślałem już, żeby machnąć ręką na plon bawełny. Jeszcze tydzień i zrobi się

za wysoka dla zaprzęgu. Jeśli chciałbym ją uratować, musiałbym odchwaścić ją już teraz.

- Pozwól, żebyśmy ci pomogli.

- Nie mogę o to prosić. Nie mam...

- Nie mam jak się zrewanżować - dokończyła za niego. - Zbliża się moment, kiedy nasz samochód będzie potrzebował przeglądu i...

- Powiedz tylko słowo.

- Porozmawiam z Johnnym, żeby wybrał się do ciebie w poniedziałek - starała się, by brzmiało to beztrudnie. - Nie wiem, jak będzie z Grantem.

- Nic będę miał czym ich poczęstować.

- Ciotka Dozie zapakuje lunch. Co się tyczy pokazu lotniczego, to zaparkujemy na polu na północ od miasta. Będzie nam miło jeśli razem z panią Dolan...

- Nie - odparł prędko. - Ale dziękuję. Nawet nie wiem, czy zechce się ze mną wybrać. Zachowuje się dziwnie. Dziwniej niż dotąd. Chcę zaprowadzić ją do doktora Hendricksa.

- Cóż, gdybyś zmienił zdanie... - rękę trzymał na jej łokciu, prowadząc ją w kierunku domu. Sama nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

- Lepiej będę już wracał - Tom dostrzegł jakiś ruch w krzakach rosnących na skraju pola. Niewyraźny biały zarys. Zatrzymał się przy schodach na ganek i nagle zaczął sprawiać wrażenie, jakby zaczęło mu się bardzo spieszyć. -Czy Johnny śpi w domu?

- Oczywiście. Czemu?

- Ktoś kradnie brzoskwinie, zabija woły. Wygląda na to, że mamy do czynienia z nocnymi rabusiami. - Puścił jej ramię. - Dobranoc, Henry Ann. Dziękuję za kolację.

- Było nam miło, Tom. Dobranoc.

Zachowując ostrożność, Tom pospieszył wzdłuż miedzy. Nie widział więcej tego białego zarysu, który wcześniej tak go zaniepokoił. Kiedy dotarł do domu, zapalił lampę w kuchni i otworzył drzwi do pokoju Emmy-Jean.

Leżała w łóżku przykryta aż po uszy. Nie zdejmując ubrania, Tom wyciągnął się na posłaniu z rękami pod głowę, nasłuchując odgłosów z sąsiedniego pokoju. Usłyszał skrzypienie podłogi. Co ona tam robiła? Wychylił się, by zobaczyć, czy w jej oknie pali się światło. Było ciemno. Nie zapaliła lampy. Mimo że leżała w łóżku, kiedy wrócił od Henrych, był prawie pewien, że nie spała.

Odtworzył w umyśle niemal każdą chwilę, którą spędził z Henry Ann.

Boże! Byłoby lepiej, gdyby przestał o niej myśleć. Nie powinien myśleć o niczym prócz tego, jak żyć z szaloną lub bliską szaleństwa kobietą i jak zarobić na życie i wychować

syna.

Kiedy zobaczył biały zarys postaci poruszającej się wzdłuż miedzy, był niemal pewien, że to Emma-Jean, która poszła za nim do Henrych. Po tym jak omal nie zabiła Jaya, Tom często zastanawiał się, do jakich jeszcze okrucieństw jest zdolna. Niekiedy, tuż przed zaśnięciem, myślał o czekających go długich latach samotności i nie był pewien, czy starczy mu sił, żeby to wytrzymać.

Zasnął, ale spał niespokojnie.

Nadszedł ranek. Tom rozpalił pod kuchnią i nastawił kawę. Potem wyszedł do obrządków. Kiedy wrócił, Emma-Jean siedziała przy stole, pijąc kawę. Uśmiechała się. Jej włosy były uczesane, miała na sobie jeden ze swych plisowanych szlafroków.

- Miałabyś ochotę wybrać się na ten pokaz lotniczy? - zapytał Tom, kiedy już się umył.

- O tak. I mogłabym zobaczyć się z Martym.

- Pójdziemy koło południa. Muszę najpierw załatać dziurę w zbiorniku na wodę.

- Nie mogę się doczekać. Muszę świetnie wyglądać, żeby Marty był ze mnie dumny. Założę tę białą sukienkę z koronkowymi rękawami i kapelusz z szerokim rondem. Ciekawe, czy będzie dobrze, jeśli do sukienki przypnę atlasową różę. I włożę pantofle na wysokich obcasach. Zdążę umyć włosy?

- Myślę, że tak.

Tom zobaczył, jak podniosła dłoń do twarzy, a potem opuściła ją na kołnierz. Patrząc mu w oczy zaczęła rozchyłać górną część szlafroka, aż ukazały się piersi. Nagle zerwała się, obiegła stół i objęła go od tyłu, tuląc się do jego pleców. Czuł jej oddech na policzku.

- Jest tak, jak było kiedyś, prawda kochany? Tylko ty i ja. Będiesz ze mnie dumny. Jak będziemy szli ulicą, ludzie będą mówić: „Spójrzcie na panią Dolan, czyż nie jest piękna? Szczęściarz z tego Toma Dolana”. Pójdziemy do restauracji i...

- Lepiej zjedzmy coś przed wyjściem. Restauracje na pewno będą zatłoczone.

Tom czuł, że się dusi. Dotykała jego szyi i policzka wilgotnymi wargami i musiał użyć całej siły woli, żeby jej z siebie nie zrzucić. Siedział nieruchomy jak kamień. Nagle zatopiła ostre zęby w jego ucho, gryząc go złośliwie z całej siły. Krzyknął i zerwał się na równe nogi. Ona cofnęła się roześmiana.

- Zawsze chciałam to zrobić.

Krew zaczęła kapać mu na koszulę. Zmoczył ręcznik i przyłożył do ucha.

- Mam nadzieję, że zostanie blizna - zachichotała uszczęśliwiona. - Zostawiłam ślad na wielkim Tomie Dolanie. - Podeszła do niego. - Pokaż to ucho.

Tom obrócił się na pięcie i wyszedł na dwór.

Red Rock zdawało się pękać w szwach, kiedy usiłowali precyzyjnie się samochodem na miejsce pokazu. Johnny i Grant jechali z przodu, Henry Ann, Ciotka Dozie i Jay na tylnym siedzeniu. Minęli miasto i zaparkowali na skraju płaskiego pastwiska, które dziś miało zamienić się w lotnisko. Ludzie zjeżdżali z odległych zakątków i więcej było tam powozów niż samochodów. Konie wyprzęgano, na trawie rozkładano koce, między którymi biegała roześmiana dzieciarnia. Ludzie spieszący od strony miasta, nieśli koce i parasolki, które miały ich chronić przed rozpalonym słońcem Oklahomy.

Grant wyniósł z samochodu Jaya, a Johnny, w czystej białej koszuli i słomkowym kapeluszu z szerokim rondem, podał rękę Henry Ann. Jego czarne oczy błyszczały z podniecenia. W ciągu kilku krótkich tygodni bardzo go polubiła.

- Ja się stąd nie ruszam - oznajmiła Ciotka Dozie, kiedy Johnny podał jej ramię. Rozłożyła nad głową wielką czarną parasolkę. - Nie chcę, żeby mnie zjadły muchy. Uważaj na dziecko. Założyłam mu spodenki, żeby gzy nie pogryzły mu nóg.

W mieście zatrzymali się przy składzie lodu i kupili pięć kilo do chłodziarki napojów. Grant przyniósł chłodziarkę z samochodu i nakrył ją kocem, aby zasłonić przed słońcem. Kiedy Henry Ann rozkładała na ziemi koc, żeby posadzić na nim Jaya, obok zaparkowała rodzina Austinów. Christopher siedział za kierownicą, obok niego pani Austin, pan Austin z tyłu.

- Witaj, Henry Ann - zawołała pani Austin.

Henry Ann jęknęła. Dlaczego z wszystkich ludzi, których знаła, właśnie Austinowie musieli zaparkować obok? Podniosła dłoń i pomachała do nich, potem uśmiechnęła się do Christophera.

- Przeleć się samolotem?

- Sam jeszcze nie wiem.

- To nie dla mnie. Nawet kiedy wchodzę na krzesło, kręci mi się w głowie - powiedziała ze śmiechem. *Bogu niech będą dzięki*, pomyślała, kiedy ktoś zaparkował po drugiej stronie Austinów i odwrócił uwagę pani Austin.

Johnny i Grant dołączyli do grupy mężczyzn zgromadzonych wokół jednego z samolotów. Henry Ann posadziła Jaya na powrót w samochodzie, z przodu, gdzie mógł

siedzieć za kierownicą, udając, że prowadzi.

- Ta stara kura gapi się na dziecko - Ciotka Dozie nachyliła się i mówiła przyciszonym głosem. - Co jej powiesz?

- Prawdę. Nic nie powiem, jeśli nie będę musiała. A jeśli już to tylko tyle, że pani Dolan jest chora, więc pomagamy sąsiadowi.

- Lepiej się przygotuj. Pani Austin właśnie tu idzie.

- Jak się masz, Henry Ann? - pani Austin zignorowała Dozie. - Radzisz sobie jakoś? - Potrząsnęła głową ze smutkiem. - Boże, Boże. Nadal nie mogę uwierzyć, że Ed umarł.

- Radzę sobie. Była już pani kiedyś na pokazie lotniczym?

- Nie. Nie chciało mi się iść, ale młody chciał to obejrzeć. Co miałam robić?

Mogłaś zostać w domu.

- A co my tu mamy? - pani Austin klepnęła Jaya po głowie. - To mały Dolan, prawda?

- Tak, to mały Dolan. Ma na imię Jay.

- No proszę. Czy Dolanowie dołączą do was na piknik?

- Nie jestem pewna. O, witaj Karen. Ciekawa byłam, czy nas znajdziesz.

Karen w słomkowym kapeluszu z wielkim rondem i w lekkiej spódnicy, która wirowała jej wokół nóg, podeszła do nich szybkim krokiem.

- Dzień dobry, pani Austin. Witaj, Ciociu Dozie. Cześć, brzdącu - pocałowała Jaya w policzek. - Prowadzisz ten samochód?

- Tata pozwala - Jay zakręcił kierownicą. - Pi-biip, pi-biip - zawołał naśladowując klakson.

Karen roześmiała się dźwięcznie. Ileż w niej było pogody! Przez te wszystkie lata Henry Ann rzadko widywała ją bez uśmiechu na twarzy. Karen zwróciła się teraz do Ciotki Dozie i ścisnęła ją serdecznie za ramię.

- Nie mogłam się doczekać twojego pikniku, Ciociu Dozie. Wystarczy i dla mnie?

- Starczy, starczy. Zrobiłam te diabelskie jajka, które tak lubisz i sałatkę z kartofli. A gdzie twój ojciec?

- Jest z Andersonami. Zaproсили go na piknik. Widziałam, jak jechaliście. Gdzie Johnny?

- Poszedł z Grantem popatrzeć na samolot.

- Słyszeliśmy, żeście kogoś najęli - pani Austin skorzystała z okazji i prędko włączyła się do rozmowy. - Jest pracowity? Większość z nich to leniwe nieroby. Jedliby tylko

i nic nie robili. Czy ktoś go polecił?

Henry Ann zignorowała to pytanie.

- Grant to bardziej przyjaciel niż najęty robotnik. - Odwróciła się i wyjęła Jaya z samochodu. - Pójdziemy do samolotu, Ciociu Dozie. Do zobaczenia, pani Austin.

Karen i Henry Ann odeszły trzymając Jaya za ręce. Przeszły przez pole i zbliżyły się do samolotu, który wystawiono ludziom na pokaz. Drugi samolot stał po przeciwnej stronie pola i pracowała przy nim grupa mechaników.

- Ta kobieta sprawia, że w kieszeni scyzoryk mi się otwiera.
- Właśnie widziałam - Karen zaśmiała się perliście.
- Czy to było aż tak oczywiste?
- Tylko dla mnie i Ciotki Dozie.
- Musiałabyś chyba walnąć panią Austin młotkiem, żeby to do niej dotarło.
- Johnny, Johnny - krzyknął Jay, kiedy zobaczył Johnny'ego i Granta.

Podbiegłby do nich, ale Henry Ann trzymała go mocno za rękę.

Johnny obrócił się, gdy usłyszał swoje imię. Na widok Karen uchylił kapelusza, po czym podniósł Jaya i posadził go sobie na barana.

- Siemasz, kowboju.
- Siemasz, kowboju - jak echo odpowiedział Jay i zachichotał.

Johnny przeniósł Jaya do miejsca, skąd malec mógł dotknąć ogona samolotu.

- Czy to nie piękny pomysł? - Karen zwróciła roześmiane oczy na Henry Ann. - Zmienił się.

- Tak, zmienił się. Jestem z niego dumna. - Spojrzała na Granta i zobaczyła, że ten patrzy na Karen. - Nie znasz Granta. Grant Gifford, Karen Wesson.

- Miło mi - Karen podała rękę. - Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali? Pańska twarz wydaje mi się znajoma.

Grant zaśmiał się i uścisnął jej dłoń.

- To ja powinienem to powiedzieć. Ale nie, nie sędzę. Może być pani pewna, że panią bym zapamiętał.

- O której zaczyna się pokaz? - zapytała Henry Ann.
- Za jakąś godzinę. Po tym jak kilkoro chętnych przeleci się samolotem.
- Ma pan zamiar polecieć? - zapytała Karen.
- Ja nie, ale Johnny tak.
- Johnny? - zapytała z niepokojem Henry Ann. - Sama nie wiem...
- Nie bądź taką „mamušką” - zaśmiał się Grant. - Niech chłopak skorzysta z

okazji.

- Leciał już pan samolotem? - Karen uniosła twarz, żeby na niego spojrzeć.
- Parę razy. Przegrałem zakład z Johnnym i spłacam go tą przejażdżką.
- O co tym razem się założyliście? - Henry Ann patrzyła na Johnny'ego,

niosącego Jaya na barana.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała - oczy Granta przeniosły się na moment na Henry Ann, a potem znowu na Karen.

- Zapytam Johnny'ego.

- Zrób to - Grant zaśmiał się.

- Może lepiej tego nie rób, Henry Ann - rzuciła Karen. - Coś mi się zdaje, że w grę tu wchodzi jakieś męskie sprawy. - Karen uśmiechnęła się do Granta. - Wygląda na to, że znasz się na samolotach. Czy to takim samolotem Amelia Earhart przeleciała przez ocean?

- Całkiem możliwe. Przeleciała samotnie tydzień temu.

- Słyszałam o tym w radiu.

- Nie wiem, jakim samolotem leciała.

- Coś takiego! Mamy tu mężczyznę, który nie wie wszystkiego!

Przeszli z powrotem przez pole obok namiotu, przed którym stał maszt z amerykańską flagą. Wewnątrz jakiś człowiek przed wielką mapą tłumaczył coś grupie mężczyzn, którzy zgromadzili się wokół niego. Był tam też młodszy mężczyzna, który wskazywał konkretne miejsca na mapie drewnianą wskazówką.

-Jest całkiem pewne, że nadchodzi tu boom naftowy. Ropa przepływa w podziemnych rzekach, tak jak woda płynie w rzekach na powierzchni. Jest wielce prawdopodobne, że taka rzeka ropy przepływa z Healdton na południe do Wichita Falls i płynie właśnie tędy lub bardzo blisko stąd. Teraz możecie albo sami dobrać się do tej ropy, albo pozwolić, żeby ktoś ją wam wyciągnął spod waszej ziemi.

- To się nazywa wciskanie kitu - powiedział Grant, kiedy zmierzali w stronę samochodu. - Mam nadzieję, że ludzie, zanim podpiszą jakikolwiek kontrakt, dadzą go do przejrzenia prawnikowi.

- Czy jest pan nafciarzem, panie Gifford? - zapytała Karen.

- Nie. Jestem włóczęgą.

Karen zaśmiała się perliście, jakby to był żart.

- Nafciarz płaci ryzykując, że pod ich ziemią nie ma ropy.

- Tak. Pięćdziesiąt centów za akr.

- Pięćdziesiąt dolarów za sto akrów to dzisiaj mnóstwo pieniędzy. - Potem

zwróciła się do starszego człowieka w wytartych ogrodniczkach, idącego o lasce: - Dzień dobry panie Jacobs. Widzę, że szybko wraca pan do zdrowia. Niedługo będzie pan tańczył.

- Dzień dobry, panno Wesson. Radzę sobie jako tako.

- Miło mi to słyszeć. - Szli dalej i Karen rzekła: - Przepraszam, że przerwałam.

Ten człowiek był bardzo chory.

- Chciałem tylko powiedzieć, że oni od nikogo nie wydzierżawią stu akrów. Wydzierżawią pewnie jakieś dziesięć akrów za pięć dolarów. I zrobią to tak, żeby te dziesięć akrów przylegało do dwóch innych posiadłości, co pozwoli im nie płacić za ich dzierżawę. Potem sprzedadzą te dzierżawy z wielkim zyskiem, jak tylko ruszy eksploatacja na wielką skalę. Jeśli nie, sami zrobią kilka odwiertów, o ile uda im się zebrać pieniądze. Jeśli ropy jest tu niewiele, nie warto niszczyć ziemi wierceniami.

- Myśli pan, że to oszuści?

- Pod osłoną prawa.

- Skąd pan tyle wie o branży naftowej?

- Z gazety - wyszczerzył do niej zęby.

Zdjęła kapelusz i przeczesła palcami pofalowane blond włosy. Nosiła krótką, praktyczną fryzurę, jak ktoś, kto nie lubi bezsensownie tracić czasu. Prawie nie miała makijażu, jeśli nie liczyć odrobiny szminki. Była ładna i miała dociekliwy umysł. *Zdrowy okaz dziewczyny z małego miasteczka*. Ale właściwie skąd mógł wiedzieć. Kobiety z zasady są jak kameleony.

- Nie widzieliście pana Dolana? - zapytała Henry Ann, kiedy zbliżyli się do samochodu i Johnny postawił Jaya na ziemi.

- Nie. A ty, Grant?

- Nie widziałem.

- Zaprosiłam go z panią Dolan na piknik. Nie był pewien, czy przyjdą.

Ciotka Dozie wygrzebała się z samochodu, a Johnny przeniósł koszyk z żywnością na koce rozłożone przed samochodem. Po rozstawieniu potraw Dozie wróciła do samochodu.

- Co ty tu robisz? - zapytała Henry Ann.

- Nie będę jadła na ziemi - odparła i rozłożyła parasolkę. - Nawet siłą mnie tam nie zaciągniecie. Zostaję tutaj i tyle!

- Przyniosę ci talerz - Henry Ann nachyliła się i pocałowała starą przyjaciółkę w policzek. - Należysz do mojej rodziny, Ciociu Dozie.

- Tej pani Austin wcale to nie obchodzi. Zaraz zaczniesz gadać, jak tylko zobaczy, że siedzę i jem z białymi.

Henry Ann nałożyła Dozie na talerz smażonego kurczaka, sałatkę z kartofli i marynowane buraki. Grant napełnił szklanekę lemoniadą, do której wrzucił kawałek lodu i postawił na podłodze samochodu, tak aby Dozie miała napój w zasięgu ręki.

Wzdłuż skraju pola rozkładano pikniki, wokół biegała podniecona dzieciarnia, sąsiedzi wymieniali najnowsze plotki.

- Halo, Henry Ann. Widziałaś Chris-to-phera? Pan Austin już chce jeść - zawołała pani Austin.

- Nie widziałam - odparła Henry Ann i zawiązała Jayowi śliniak, żeby nie pobrudził nowego ubranka.

- Ja go widziałam - rzuciła półgłosem Karen. - Szedł na drugą stronę pola, gdzie Opal Hastings i jej dziadek siedzą przy swoim wozie.

- Chris jest w niej zakochany - Henry Ann zerknęła przez ramię, żeby sprawdzić, czy pani Austin jest w bezpiecznej odległości.

- Więc czemu nie stawi czoła matce i o wszystkim nic powie? - szepnęła Karen. Jej bystre, niebieskie oczy przeniosły spojrzenie z Austinów na Granta, który właśnie zamocował parasol, żeby osłonić panie i Jaya przed słońcem. - No proszę, ależ nam się pan dziś przydaje!

- Staram się jak mogę.

Granta zdumiewała ta pozbawiona afektacji dziewczyna. Nie było w niej cienia zalotności. Nie upłynęła godzina od kiedy się poznali, a zachowywała się jakby znała go od lat. Nie pochlebiał sobie, że było w tym coś osobistego. Tak samo otwarta i przyjazna była wobec ludzi, którzy nadchodzili od strony samolotu.

Henry Ann wycierała dżem z buzi Jaya, kiedy zobaczyła Pete'a Peny'ego z uczeponą jego ramienia Isabel zmierzających w jej stronę.

- Dzień dobry, kuzynko Henry Ann. Przepraszam za spóźnienie - Pete kucnął i poczęstował się kawałkiem kurczaka. - Dolan i ta jego brzytwa zapraszali nas, byśmy zostali z nimi, ale wiedziałem, że będziesz chciała żebyśmy z wami coś przekazali.

- O ile wiem, nie zostaliście zaproszeni.

- Ależ tak! Trzymaj, złotko - nadział faszerowane jajko na widelec i podał Isabel. - Jesteśmy krewniakami, moja droga. Odmówisz jedzenia własnej siostrzyczce?

- Owszem. Odeszła z mojego domu. Teraz ty za nią odpowiadasz.

- Słodka i soczysta to odpowiedzialność - Pete kilkakrotnie znacząco uniośł brwi.

Isabel zachichotała. Johnny prychnął.

Pete odwrócił się i walnął Johnny'ego w plecy tak mocno, że lemoniada, którą ten trzymał, wylała mu się na koszulę.

- Nie widziałem cię od czasu, kiedy świnie pożarły mojego młodszego brata, wodzu. Ciągle jeszcze na wojennej ścieżce? - zaśmiał się z ustami pełnymi jedzenia.

Johnny zjeżył się.

- Trzymaj ręce przy sobie.

- Oho. Już się wystraszyłem - Pete wstał i spojrzał z góry na Jaya. - Czy to nie dzieciak Dolana? Czyżbyście z Dolanem mieli się ku sobie, kuzynko?

- Uważaj, co mówisz - Grant wolno podniósł się z ziemi.

- Co znowu A ty kim niby jesteś? - Potem do Isabel: - To ten włóczęga, o którym mówiłaś, złotko? - I nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Henry Ann: - Jesteś bardziej kobietą niż myślałem, jeśli potrafisz obsłużyć i tego włóczęgę i Dolana...

Błyskawicznym ruchem Grant uderzył go mocno w twarz. Pete zachwiał się jakby miał upaść, po chwili jednak odzyskał równowagę. Ku ogólnemu zdziwieniu roześmiał się.

- Nieźle jak na włóczęgę. Musiałaś dobrze go żywić, kuzynko. - Strząsnął z siebie rękę Isabel i przyłożył wierzch dłoni do rozciętej wargi. - Jak tylko zechcesz wyjść ze mną za stodołę, włóczęgo, dam ci szansę.

- Czemu za stodołę, gaduło? Boisz się, że twoja reputacja ucierpiałaby, gdyby ludzie zobaczyli, jak wielki chojrak dostaje wycisk?

- Przestańcie! - Henry Ann wstała. - Ludzie patrzą.

- Powiedz im - Isabel z umalowaną twarzą, włosami ufryzowanymi lokówką, wczepiła się w ramię Pete'a. - Powiedz im, Pete, że mamy prawnika, który zmusi ją, żeby oddała mnie i Johnny'emu to co nasze.

- Mnie w to nie mieszaj - powiedział Johnny. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersi. - Ja w tym nie wezmę udziału.

- Myślisz, że dostaniesz więcej, jeśli będziesz z nią trzymał? W życiu nie spotkałam Indianina z kręgosłupem - szydziła Isabel.

- Ed nie był ani moim ojcem ani twoim. Dobrze o tym wiesz.

- Trzeba być ślepym, żeby nie zauważyć, że twoim nie był na pewno. Twój był gołodupcem. Mama mówiła, że był wysoki, tępy i leniwy...

- A twój był kulawym pijaczną.

- Ale miał pieniądze, a twój miał tylko dużego fiuta.

- Czyli dokładnie to, czego ona chciała. A ty jesteś taka jak ona.

- Ona też jest taka - Isabel przeniosła spojrzenie na Henry Ann. - Trzyma

dzieciaka Dolana i jeśli Dolan dotąd nie ściągnął jej majątek, to i tak to zrobi. Mama mówiła, że te miłe paniusie są jak suki w cieczce, kiedy już jakiś facet się do nich dobierze.

- Lepiej stul pysk - powiedział Johnny.

- Odejdź stąd - serce Henry Ann łomotało w piersi, w uszach jej dzwoniło, mówiła podniesionym tonem. - I zabieraj ją z sobą.

- Ten prawnik już znajdzie na ciebie kruczek - Isabel była tak zadowolona z siebie, że Henry Ann chciała ją spoliczkować, ale zwróciła się do Pete'a.

- A niby czym zapłacicie temu prawnikowi, bimbrem?

- Waluta dobra jak każda inna. Chodź, złotko - powiedział kładąc rękę na ramieniu Isabel. - Poszukamy jakiegoś miejsca w cieniu i obejrzymy pokaz. Jeszcze jedno, kuzynko. Jak już wychodzisz za dom z Dolanem, lepiej zostańcie w cieniu, bo nigdy nie wiadomo, kto na was patrzy. Może to być nawet sama pani Dolan. Zazdrosne żony bywają niebezpieczne.

Kiedy odeszli, Isabel obejrzała się przez ramię i pokazała język.. Henry Ann mogłaby jej nawet współczuć, gdyby nie ta złośliwa uwaga o niej i Tomie Dolanie. Czowała ogień na policzkach i żeby ukryć upokorzenie, opuściła głowę i spojrzała na Jaya, którego teraz obejmowała Karen. Malec chował twarz w jej ramieniu.

- O mój Boże!

- Wyczuwał napięcie, zanim jeszcze doszło do... do czegoś, co z grubsza można by uznać za bójkę. - Karen wpatrywała się w Granta. - Skoro już się do tego zabrałeś, czemu nie wybiłeś mu wszystkich zębów?

- Obiecuję, że następnym razem się poprawię - Grant uśmiechnął się do niej szeroko, a w jego oczach widać było błyski rozbawienia.

- Nie pozwólmy, żeby ta przykrość popsowała nam cały dzień - głos Henry Ann drżał jeszcze. - Ciociu Dozie, podać ci coś jeszcze? Jeśli nie, możemy odstawić jedzenie.

- Już się najadłam. Zaraz się wygramolę i wszystko spakuję.

- Zostań w samochodzie. Możemy zrobić to z Karen.

Kiedy koszyk z resztkami pikniku został złożony w samochodzie, jeden z samolotów zaczął się przygotowywać do startu. Henry Ann szepnęła coś do Jaya i zabrała go za samochód, żeby malec mógł się załatwić. Grant i Johnny gdzieś odeszli; Henry Ann i Karen usadowiły się z Jayem na kołdrze. Zaraz miał się zacząć pokaz.

Samolot wystartował, okrążył pole wypuszczając czerwony dym, potem wzniósł się i zaczął wykonywać beczki i pętle. Na oczach tłumu zszedł tuż nad ziemię, po czym wystrzelił prawie pionowo w górę. Po kolejnej pętli pilot wyprostował lot maszyny i wtedy wyskoczył z

niej mężczyzna. Tłum wstrzymał oddech do chwili, w której otworzył się spadochron, a wtedy ludzie zaczęli bić brawo. Człowiek zawieszony na spadochronie, czerwonym w białe paski, spłynął bezpiecznie na ziemię.

Podczas oczekiwania na start drugiego samolotu, ktoś przemówił przez megafon, ale trudno było zrozumieć, co mówi. Henry Ann próbowała skupić się na pokazie, ale w głowie wciąż jej dźwięczały pełne nienawiści słowa Pete'a i Isabel.

- Nie przejmuj się - powiedziała Karen, zupełnie jakby słyszała, o czym myśli Henry Ann.

- Nic nie mogę na to poradzić.

- Rozmawiałaś z prawnikiem?

- Z O. B. Phillipsem. Mówił, że nie powinno być problemu.

- O. B. Phillips to już starszy pan, Henry Ann.

- Tata mu ufał. To on zasugerował, żeby przepisać farmę na mnie. Złości mnie co innego.

- To co powiedzieli o panu Dolanie?

- To bardzo miły człowiek, Karen, i ma poważny kłopot ze swoją żoną.

- Kłopot kłopotem, ale to nadal jego żona - Karen uścisnęła dłoń Henry Ann.

- Wiem.

- Isabel chciała zależeć ci za skórę. Nie zawracaj sobie tym głowy.

Wystartował drugi samolot. Jay leżał z głową na kolanach Henry Ann, która chłodziła go wachlarzem z tektury. Jeden z akrobatów wyszedł teraz na skrzydła samolotu. Publiczności zaparło dech w piersi. Potem przyszła kolej na przejażdżki. Johnny i Grant stanęli w kolejce po bilet.

Henry Ann dziękowała później Bogu, że nie była pewna, czy Johnny jest w samolocie, który wystartował, czy nie. Przejazdżki trwały około dziesięciu minut. Najpierw wystartował jeden samolot, chwilę po nim drugi.

Samochody odjeżdżały już z pola i na powrót zaprzęgano konie do wozów, kiedy Johnny i Grant wrócili. Johnny był wyraźnie podniecony.

- Leciałeś? Och, niepotrzebnie pytam - powiedziała Henry Ann.

- To było wspaniałe, siostrzyczko. Naprawdę wspaniałe.

Nigdy dotąd nie nazwał jej siostrą, rzadko nawet zwracał się do niej po imieniu. Henry Ann poczuła, że bardzo lubi tego chudego chłopaka i żałowała, że jej ojciec nie widział, jak dzisiaj stanął po jej stronie.

- Bałeś się, kiedy patrzyłeś w dół?

- Ani trochę. Któregoś dnia będę latał w takim samolocie.
- Czuł się tam w górze jak ryba w wodzie - powiedział Grant.
- Nigdy bym tego nie zrobił, gdyby nie zakład - przyznał Johnny, a uśmiech nie schodził mu z twarzy. - Chciałem zobaczyć, jak płacisz te dwa dolary.
- Dwa dolary? Aż tyle to kosztowało? Grant, nie powinieneś być...
- Powinien, powinien - Karen wachlowała twarz rondem kapelusza. - Dżentelmen płaci swoje długi.
- A słyszał kto, żeby włóczęga był dżentelmenem? -w oczach Granta widać było wesołe błyski.
- Albo żeby dżentelmen był włóczęgą - skontrowała.
- Lepiej ruszajmy - powiedziała Henry Ann. - Ciotka Dozie się zgrzała. Podrzucimy Karen do domu.

Johnny przeniósł śpiącego malca do samochodu, gdzie umieścił go na kolanach Ciotki Dozie. Henry Ann strząsnęła koc, złożyła go i siadła na tylnym siedzeniu pozostawiając Karen na przednim, między Johnnym a Grantem.

- Od dawna nie siedziałam tak blisko przystojnego mężczyzny - Karen uśmiechnęła się do Johnny'ego.
 - Dziękuję pani uprzejmie.
 - Johnny, chłopcze, ona mówiła o mnie - powiedział Grant.
- W powietrzu rozległ się pogodny śmiech Karen.

10

Przez całą drogę do miasta Tom żałował, że zdecydował się zabrać Emmę-Jean na pokaz lotniczy. Była bardzo spięta. Nawet nie spojrzała na dom Henrych, kiedy go mijali. Jej ręce poruszały się nerwowo, stopy wystukiwały jakiś rytm, ani na chwilę nie przestawała mówić.

- Czy opowiadałam ci o Bobie Crainie? Bardzo się we mnie zadurzył, kiedy chodziłam do szkoły. Co tam zadurzył! Wprost szalał na moim punkcie. Włóczył się za mną jak bezpieczni szczeniak. Ależ on mnie drażnił! Któregoś wieczora pozwoliłam mu ze sobą zatańczyć w takiej sztywnej sali balowej w Wichita Falls, a potem - bo cały czas był taki miły - pozwoliłam mu nawet dotknąć się przez sukienkę. Bardzo mnie wtedy zaskoczył!

Dokładnie wiedział co i jak. Więc kiedy odkryłam, że jest taki... doświadczony, pozwoliłam, żeby zrobił, co tylko zechce. Nigdy nie przeżyłam czegoś takiego, do domu wróciłam dopiero o świcie. Tata był zły jak osa, a mama! Wołę nie mówić! - zachichotała Emma-Jean.

Kłamstwa, kłamstwa. Tomowi żal było tej kobiety. Cała we wstążkach i koronkach, jakby szła na przyjęcie, obficie skropiła się wodą toaletową; twarz mocno umalowała, rzęsy pokryła warstwą tuszu, brwi podkreśliła ciemną kredką. Raz na jakiś czas musiał sobie przypominać, że to jego żona, matka jego syna.

Emma-Jean paplała bez wytchnienia. Opowiadała mu, jak to będąc jeszcze w szkole, poszła na kościelny piknik, a tam wyslizgnęła się z jednym z diakonów i dyrygentem chóru. I w trójkę kochali się przez całe popołudnie, a później powiedzieli jej, że jeszcze żadna dziewczyna tak ich nie podnieciła. Potem zaglądała Tomowi w oczy, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywarły na nim jej słowa.

- Ciebie też podnieciłam, drągalu, co?

Spojrzał na nią i szybko odwrócił wzrok. *Znowu kłamstwa.* Zaniepokoiło go, że tak swobodnie mówi o seksie, opowiadając mu swoje fantazje. Zanim go poznała, nigdy nie była z mężczyzną. Czuł się winny, że to z nim utraciła dziewictwo. W przeciwnym razie nigdy nie poczułby się w obowiązku, by ją poślubić.

Miasto było zapchane samochodami i wozami. Pomędzy nimi przeciskali się jeźdźcy na koniach. Tom podjechał do gabinetu doktora. Nigdzie nie było widać jego samochodu, a tabliczka na drzwiach informowała, że gabinet jest nieczynny. Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, wzdłuż pola stał już sznur zaparkowanych samochodów. Tom niemal od razu wypatrzył samochód Henrych. Na tylnym siedzeniu, w cieniu czarnej parasolki siedziała Ciotka Dozie. Skręcił w przeciwnym kierunku i zatrzymał się na drugim końcu pola, tak manewrując, by znaleźć się możliwie najbliżej namiotu, w którym spodziewał się znaleźć Marty'ego Conroya. Nie chciał, aby Emma-Jean przypadkiem natknęła się na Henrych.

Zerknął na nią, żeby się przekonać, czy aby nie dostrzegła Henry Ann i Johnny'ego z Jayem na barana, bo właśnie wracali przez pole do samochodu. Serce ścisnęło mu się na widok syna. To on powinien pokazywać mu samolot. Położył rękę na ramieniu Emmy-Jean, by odwrócić jej uwagę.

- Zobacz. Myślę, że to ten człowiek będzie skakał z samolotu. Właśnie zakłada spadochron.

- Czyż nie byłoby zabawne, gdyby spadochron się nie otworzył? - uniosła rondo kapelusza, żeby mu się przyjrzeć.

- Nie wydaje mi się, żeby to mogło wydać się zabawne. Przecież musiałby się

zabić.

- A co to ciebie obchodzi? Przecież go nie znasz. A może... może znasz?
- Nie. Nie znam.
- Cóż, myślę, że to by wprowadziło trochę ożywczego zamętu. Przynajmniej

niektórym popsulo dzień. Myślę, że to mogłoby być naprawdę podniecające.

O Boże. Co JA mam zrobić, żeby nie oszaleć?

Kiedy grupa z Henry Ann minęła namiot, Tom zdjął rękę z ramienia Emmy-Jean. Otworzyła drzwiczki i wyskoczyła z samochodu.

- O cholera! - pochyliła się i wyciągnęła jeden ze swych pantofli na wysokich obcasach z krowiego placka. Łzy napłynęły jej do oczu. - Co ja teraz zrobię?

- Zostań przy samochodzie. Wytrę go.

Tom przeszukał skrzynkę z narzędziami. Znalazł jakąś szmatkę, dokładnie wytarł obcas i podał pantofel Emmie-Jean.

- Musisz trochę bardziej uważać. Grunt miejscami jest grząski.

- Jesteś dziś słodki - łzy zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, na twarzy Emmy-Jean pozostały jednak czarne smugi tuszu. Wczepiła się w ramię męża obiema rękami. - Czemu nie możesz być tak słodki przez cały czas? - zaśmiała się piskliwie. - Nie musisz odpowiadać. Wiem. To dlatego, że wreszcie zostaliśmy sami. Jak wtedy, kiedy jeszcze nie było na świecie tego nieproszonego dodatku.

- Nie jesteśmy sami - Tom ugryzł się w język, by nie zapytać jej, jak może tak mówić o swoim dziecku. Zamiast tego powiedział tylko: - Musi tu być kilka setek ludzi.

- Wiesz, o czym mówię - zachichotała i wczepiła palce w jego rozporek.

- Przestań! - usunął jej rękę.

- Jesteś taki pruderyjny. Przecież i tak nikt nie widzi. Nie masz za grosz poczucia humoru. Lepiej poszukajmy Marty'ego.

- Na pewno jest teraz zajęty. Chodź, najpierw popatrzymy na samolot.

Tom strząsnął z siebie wczepione w niego ręce, chwycił ją mocno za łokieć i pokierował w stronę samolotu. Tłum nieco się rozrzedził. Tom miał nadzieję, że uda im się uniknąć spotkania z kimś, z kim musieliby porozmawiać. Pierwszą osobą, na jaką się natknęli, był Christopher Austin. Zerknął na Emmę-Jean, skinął Tomowi, ale wzrokiem przeszukiwał okolicę.

- Witaj, Dolan. Przyjechaliście popatrzeć?

- Myślę, że warto to obejrzeć.

- Na pewno. Jeżeli szukacie...

- Idziemy do samolotu. Do zobaczenia.
- Zobaczymy się później - rzuciła Emma-Jean. - A jak się nazywasz?

Christopher zatrzymał się i odwrócił.

- Christopher Austin.
- Ja jestem Emma-Jean. Christopher uniósł kapelusz.
- Bardzo mi miło.
- Czemu nas nie odwiedzisz? Zerknął na Toma i odrzekł:
- Cóż, eh... może któregoś dnia...
- Chodźmy - Tom próbował ją ruszyć z miejsca, ale zaparła się.
- Jesteś milutki... jak na miejscowego chłopka.

Tom wyczytał zdumienie w twarzy Christophera, zanim ten zdążył odwrócić się i odejść.

- Gdzie on mieszka?
- Nie bardzo wiem.
- Gdzie go spotkałeś? Czy kiedykolwiek nas odwiedzi?
- Nie pamiętam, gdzie go spotkałem i nie sądzę, by miał nas odwiedzić.
- Szkoda. Jest taki... milutki.

Mocno trzymała się jego ramienia, kiedy powoli szli w stronę samolotu. Trudno było iść po pastwisku w pantoflach na wysokim obcasie. Toma coraz bardziej niepokoiło jej dziwaczne zachowanie. Przez tydzień prawie nie odzywała się do niego, a teraz, jakby pękła jakaś tama, trąkotała bez przerwy. Miał nadzieję, że ten dzień obędzie się bez żadnej sceny.

Dotarli do samolotu, kiedy ostatni oglądający zbierali się już do odejścia. Natknęli się na Pete'a i Isabel.

- No proszę, kogo my tu mamy. Wielki człowiek i jego pani - Pete patrzył z podziwem na Emmę-Jean. - Witaj, śliczna pani.

- W... itaj. - Emmie-Jean aż dech zaparło w piersiach, pożerała wzrokiem twarz Pete'a. -Już cię gdzieś widziałam.

- Nieee. To raczej niemożliwe.

- Ależ tak, widziałam - powtórzyła cicho. - I wiem gdzie. Ale... nie powiem.

- Chodźmy już - Tom chwycił ją za ramię.

- Zaczekaj, Dolan - powiedział Pete zastępując im drogę. - Chodźcie z nami na piknik Henry Ann. Przynajmniej będziecie mogli spędzić trochę czasu z własnym dzieckiem, może nie? Będzie smażony kurczak i sałatka z kartofli. Zaprosiła mnie. Gdyby nie to, wolałbym obejrzeć pokaz z tą tutaj śliczną panią - pogłaskał Emmę-Jean pod brodą.

- Łapy trzymaj przy sobie i zejź mi z drogi - gniewnie wycedził przez zęby Tom.

- Pete - Isabel pociągnęła go za ramię. - Lepiej już chodźmy.

- Chwileczkę, złotko. Nie musisz się zaraz wkurzać, Dolan. Masz najładniejszą kobietę w całym powiecie. Czy to nie dosyć? Ale wygląda na to, że jedna kobieta to mało dla jurnego Irlandczyka. He? - Pete odsunął się i uniósł kapelusz patrząc na Emmę-Jean. - Do zobaczenia, ślicznotko.

- Myślę, że jesteś naprawdę miłutki - rzuciła Emma-Jean przez ramię, kiedy Tom odciągał ją w przeciwnym kierunku, bo pięść zaczynała go swędzieć i jeszcze chwila, a przyłożyłby Pete'owi w zęby. Plotkowano by o tym miesiącami.

- Lepiej nie flirtuj z Perrym.

- A to czemu? Widziałam go któregoś dnia, jak wyszłam na spacer. Jechał konno.

- On też cię widział?

- Schowałam się. - Zaczęła marudzić: - Czemu nie możemy z nim zostać? Jesteś zazdrosny, bo on uważa, że jestem ładna. Następnym razem nie będę się przed nim chować, chętnie sobie z nim pogawędzę. Przestań mnie popychać. On mi się podoba. Ja jemu też. Widać to na pierwszy rzut oka. On nigdy by nie powiedział: „Przestań, Emma-Jean. Nie dotykaj mnie tam, Emma-Jean”. Ależ ty mnie wkurzasz - uniosła się gniewem, coraz bardziej podnosząc głos. - Nie mam ochoty oglądać starego samolotu. Chcę zobaczyć się z Martym. Czemu nie mogę pójść do Marty'ego?

- Pójdziemy do Marty'ego. - Tom zaklął pod nosem.

To był wielki błąd, że zabrałem ją do miasta, myślał, kiedy zawrócili i skierowali się w stronę namiotu w czerwono--białe paski. Tłum zdążył się już rozrzedzić, tak że przed namiotem stało tylko kilka osób. Marty był wśród nich.

- Marty! - krzyknęła Emma-Jean dostrzegłszy brata i próbując wyrwać się z uścisku Toma.

Marty energicznym krokiem ruszył w ich stronę, najwyraźniej po to, by jak najszybciej pozbyć się ich.

- Witajcie.

Emma-Jean chwyciła go za ramię i próbowała pocałować. Rondo jej kapelusza nadziało się na jego policzek, kapelusz spadł na ziemię. Marty schylił się i podał kapelusz siostrze, starał się trzymać przy tym na dystans.

- Przyszliście obejrzyć pokaz?

Glupie pytanie pomyślał Tom. Po cóż innego mieliby się tu znaleźć?

- Chciałam się z tobą zobaczyć, Marty - Emma-Jean trzymała go mocno za ramię.

- Zaraz zaczyna się pokaz. Lepiej zabierz ją z tego słońca, Tom.

- Nie chcę wracać do tego starego samochodu. Zostaję z tobą.

- Nie możesz zostać ze mną. Mam jeszcze sporo pracy.

- To ci pomogę. Kogo tu mamy, Marty? Przedstaw mnie swoim przyjaciołom.

Dobrze ubrany mężczyzna w jasnym garniturze stanął obok nich. Miał wydatny nos, nieregularne rysy i rude włosy. Jego jasne oczy zatrzymały się na Emmie-Jean.

- Dzień dobry. Jestem Emma-Jean - uśmiechnęła się do niego.

- Witam. Jestem Walter Harrison.

- Będę mówiła do ciebie Walt. Ty możesz mówić do mnie Emma. - Przeniosła rękę z ramienia Marty'ego na ramię poznanego właśnie mężczyzny. - Jestem siostrą Marty'ego.

- Kto by pomyślał. Nigdy mi nie mówiłeś, Marty, że masz taką ładną siostrzyczkę. - Wypuścił dym z papierosa, a jego oczy bez wyrazu pełzały po Emmie-Jean niczym żuki.

- To jej mąż, Tom Dolan - dodał pospiesznie Marty. Harrison zerknął na Toma.

- Siemasz - rzucił.

Tom nic nie odpowiedział. Przyglądał się Emmie-Jean z rosnącym niepokojem. Marty też na nią patrzył. Próbował odwrócić uwagę Walta.

- Walt, powiedziałem panu Callahanowi, że przyjdziemy do...

- Nie musisz nigdzie iść, prawda Walt? - Emma-Jean flirtowała na potęgę z dopiero co poznanym mężczyzną. Głaskała jego rękę, opierała się o niego. Kiedy położyła głowę na jego ramieniu, Marty spojrzał zaniepokojony na Toma.

- Lepiej wracajmy do samochodu, Emma-Jean. Zaraz zacznie się pokaz - Tom wyciągnął rękę, by wziąć ją za ramię.

Odrzuciła jego rękę.

- Ja zostaję.

- Mam jeszcze sporo pracy, Emma-Jean - powiedział Marty, próbując oddać jej kapelusz, który wciąż trzymał w dłoni. - Lepiej idź z Tomem. - Wytrąciła mu z ręki kapelusz.

- Idź, Tom. Ja zostaję. Powiedz, Walt, że chcesz, żebyśmy została. Proszę, proszę, bardzo słodko proszę. Przecież ci się podobam, nie zaprzeczysz przecież? Możemy pójść do namiotu. Nikt nas tam nie będzie widział i... - sugestywnie zawiesiła głos i położyła

mu rękę na piersi.

Harrison, patrząc na Marty'ego, uniósł brew, jakby chciał zapytać: *Co się właściwie dzieje?*

- Strasznie gorąco na tym słońcu - Marty próbował oderwać rękę siostry od ramienia Walta.

- A co mi tam.

Marty zwrócił się do Toma i głosem obniżonym niemal do szeptu powiedział:

- Zabierz ją stąd.

Tom siłą oderwał ją od Harrisona.

- Chodźmy, Emma-Jean.

- Niecee! Niech cię szlag trafi! - wybuchła w przypiływie furii. Próbowała uderzyć Toma, ale jej szpilki zaryły się w piachu i omal nie upadła. - Chcę tutaj zostać. Nigdy mi na nic nie pozwalasz. Nienawidzę cię! - zawyla przenikliwie. Jej nieco nieśmiały wyraz twarzy zmienił się w jednej chwili w histeryczny grymas. Tom wiedział, że nie przemówi jej do rozsądku, kiedy machnęła pięścią i uderzyła go w twarz. Wziął ją na rękę i zaniósł do samochodu, pozostawiając Marty'emu wyjaśnienia.

- Gnojek! Palant! Skurwysyn! - Każde przekleństwo, jakie kiedykolwiek usłyszała, wybuchało teraz w jej ustach. - Postaw mnie na ziemi! - próbowała go ugryźć i rozdrapać mu twarz.

Ludzie patrzyli w zdumieniu.

Tom modlił się, żeby Henry Ann nie zobaczyła jego upokorzenia.

Marty z opuszczoną głową szedł szybkim krokiem za Tomem niosąc kapelusz siostry. Pierwszy doszedł do samochodu i otworzył im drzwiczki. Tom posadził Emmę-Jean na siedzeniu, chwycił za ramiona i mocno potrząsnął.

- Emma-Jean! Natychmiast się uspokój! Nie rób z siebie widowiska.

- Obrzydliwy, głupi, stary... klocu! Ty śmierdzące gównu! - Próbowała uderzyć go pięścią w krocze, a kiedy zbił jej cios, napluła na niego. Ślina wylądowała na policzku. - Jestem Conroy. Mama mówiła, że każdy Conroy to coś specjalnego, nie taki śmieć jak ty. Poskarżę się na ciebie tacie. - Pod załzawionymi oczami miała smugi tuszu. - Marty! - Spojrzała nad ramieniem Toma. - Pozwól mi zostać z tobą - prosiła. - Będę dobra. On zrobi mi krzywdę. Zwiąże mnie i będzie gwałcił.

Litość, jaką odczuwał Tom została zagłuszona przez gniew na całą tę sytuację, w jakiej się znalazł. Miał ochotę potrząsnąć nią, aż by jej zęby wypadły. Zamiast tego trzymał ją łagodnym, chociaż mocnym chwytem i zwrócił się do Marty'ego:

- Nie mogę jednocześnie trzymać jej i prowadzić.

Marty popatrzył na siostrę ze wstrętem, po chwili spojrzął na Toma. Wrzucił do samochodu jej kapelusz i cofnął się.

- To twoja żona. Poślubiłeś ją tak szybko, bo myślałeś, że uwijesz sobie niezłe gniazdko za forse taty. Po prostu zabierz ją stąd i trzymaj z dala ode mnie.

Emma-Jean wybuchnęła płaczem. Szlochając rzuciła się na siedzenie, Tom zamknął drzwiczki samochodu.

- Z dnia na dzień jest coraz gorzej. Lepiej powiedz rodzicom, że być może już niedługo sam nie dam sobie z nią rady.

- Jestem pewien, że powiedzą, że to twój problem, nie ich. - Marty odwrócił się i odszedł.

Tom stał przez chwilę obok samochodu, aby się upewnić, że Emma-Jean pozostanie na miejscu. Popatrzył na tłum gapiów, którzy usłyszeli słowa Marty'ego.

Do diabła z nimi. Niech sobie myślą, co im się żywnie podoba.

Obszedł samochód i siadł za kierownicą. Cofnął i wyjechał z pola, okrążył miasto i z ciężkim sercem skierował się do domu.

Emma-Jean przestała szlochać mniej więcej w połowie drogi. Siadła prosto, skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła przed siebie. Gdy dojechali na farmę, nie wykonała najmniejszego ruchu, żeby wysiąść. Tom obszedł samochód i otworzył drzwiczki.

- Chodźmy. Umyj twarz, a ja przygotuję coś do jedzenia.

Kiedy wysiadała, jej kapelusz z szerokim rondem znów znalazł się na ziemi. Umyślnie na niego nadepnęła, aby szpilki przedziurawiły słomkowe rondo, ale tak się przy tym zaczęły, że upadłaby, gdyby Tom jej nie przytrzymał. Wyrwała mu się i spojrzęła tak, jakby chciała go zabić. Zrzuciła pantofle na wysokich obcasach i poszła do domu w pończochach. Tom przyglądał się jej przez chwilę, potem ruszył za nią. Weszła do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

W drodze powrotnej Henry Ann uważnie rozglądała się za starym fordem Toma. Nigdzie go nie widziała i poczuła dziwną mieszaninę ulgi i rozczarowania. Nie była w stanie przestać myśleć o zeszłej nocy, kiedy to stała z Tomem pod starym dębem. Potrząsnęła głową, aby pozbyć się tych wspomnień, ale one uparcie wracały: wspomnienie jego dłoni na jej ramieniu, delikatność, z jaką ją prowadził, zatroskanie, z jakim prosił, by była ostrożna.

Jest żonaty, jest żonaty, jest żonaty. Nie masz prawa o nim myśleć.

Samochód zatrzymał się przed plebanią. Grant wysiadł pierwszy i podał rękę Karen.

- Do zobaczenia jutro, Henry Ann. Przyprowadź Jaya do szkoły niedzielnej -

powiedziała Karen, kiedy już znalazła się na chodniku.

- Będę musiała zapytać jego tatę, czy mogę zabierać go do kościoła baptystów. Jest katolikiem. Jutro zostanę w domu, żeby Ciotka Dozie mogła pójść do kościoła.

- Jay może przecież zostać ze mną i Grantem, to obie będziecie mogli iść - zaproponował Johnny.

- A zatem problem rozwiązany - Karen spojrzała na Granta. - Czy pan nie chodzi do kościoła, panie Gifford?

- Kto to jest pan Gifford? - Grant rozejrzał się po ulicy. - Tak. Od czasu do czasu chodzę, Karen.

-Jeśli zamierzasz dołożyć temu chojrakowi, lepiej, żebyś miał Boga po swojej stronie. Lepiej, żebyś chodził do kościoła częściej niż od czasu do czasu.

- Gdybym wiedział, że twoja wiara w moje siły okaże się tak krucha, mocniej bym przyłożył Wielkiemu Gadule. A ja po prostu nie chciałem, żeby na naszym pikniku krew się poląła.

Karen przewróciła oczami.

- Henry Ann, chcę zostać zaproszona na Drugą Rundę. Przyniosę zestaw do pierwszej pomocy.

- Dopilnuję, żebyś dostała miejsce w pierwszym rzędzie.

- Zlitujcie się. O czym wy młodzi mówicie.

- O następnej walce w wadze ciężkiej, Ciociu Dozie. - W powietrzu rozległ się wesoły śmiech Karen. - Pete Perry nie zapomni tego ciosu. Uważaj na siebie bokserze. Cześć. Dzięki za lunch, Ciociu Dozie. Do jutra.

Grant przyglądał się jej, jak wbiega po schodach na werandę i zaczekał, aż odwróci się i pomacha ręką, zanim wsiadł do samochodu. W drodze na farmę Henry Ann nie mogła pozbyć się niepokoju. Karen nie była obojętna Grantowi, a i on wyraźnie ją pociągał. Boże. Przecież nic o nim nie wiedzą. Tom mógł mieć rację, ostrzegając przed nim. Grant był miłym kompanem, ale ludzie mówili to samo o Alu Capone.

Jedno było pewne: Grant Gifford nie był zwyczajnym włóczęgą.

- Dlaczego mu nie oddałeś?

Isabel była naprawdę zmartwiona. Pete nie zachowywał się tak, jak się spodziewała, kiedy zdecydowała się na opuszczenie domu Henry Ann i zamieszkanie u Perrych nad Błotnistym Potokiem. Zdarzało się, że nie wracał do domu przez trzy dni, a jak już wrócił, nie wydawał się szczególnie uradowany na jej widok. - „Co ty tu robisz, złotko? Powiedziałem ci, żebyś została tam jeszcze trochę. Wiedzielibyśmy przynajmniej, co się dzieje u Henrych. Musisz jakoś namówić Johnny'ego, żeby do nas dołączył.”

„Na pewno nie dołączy. Przecież nazwał mnie łajzą. Naprawdę nie mogłam tam zostać, Pete. Dlatego przyszłam tutaj, do swojej prawdziwej rodziny.”

„W porządku, złotko. Możesz zostać tu... albo u Grubego.”

Potem słyszała, jak kłóci się z Hardym.

„Synu, nijak nie mogę pojąć, czemu sobie z nią nie użyjesz. Ma dokładnie tyle lat, ile trzeba. I wszystko na swoim miejscu. Już raz albo i dwa mogłem mieć ją pod sobą, gdybym tylko spróbował. Ma w sobie krew Dorene, może nie?”

„Trzymaj się od niej z daleka, Hardy. Nie chcę, żeby jej się coś stało. Poczekam, aż będzie wiadomo, czy coś jej przypadnie z tej farmy. Jeśli tak, ożenię się z nią. Póki co, wystartuję z nią w maratonie tańca. Bardzo by mi się przydały te dolce. ”

„Diabła tam. Musiałbyś tańczyć ze dwa miesiące, żeby je dostać. Daj sobie spokój, lepiej weźmy jedną czy dwie roboty, wyjdzie na to samo.”

Isabel zwróciła uwagę wyłącznie na słowa Pete'a o ślubie i o wspólnym starcie w maratonie tańca. Martwiła się, że tak często wychodził z domu, a ona nie wiedziała dokąd. Czasami wychodził razem z Hardym i nie było go cały dzień, kiedy indziej znikali na całą noc. Ten cholerny Jude wmawiał jej, że jest głupia, jeśli myśli, że Pete ją poślubi. Ostatnio, kiedy Pete chodził wkurzony i nie miał nawet ochoty jej całować, zaczynała wierzyć, że Jude ma rację.

- Pytałam, czemu mu nie oddałeś! - podbiegała, żeby dotrzymać kroku długonogiemu Pete'owi. Szli do miejsca, gdzie Jude zaparkował. Teraz siedział w ciężarówce, czekając na nich. Isabel z nim przyjechała do miasta. Pete przyjechał na koniu. Zwierzę to było jego radością i dumą. Jak tylko miał widownię, lubił popisywać się swoimi jeździeckimi talentami: zmuszał konia, aby ten stawał dęba i cofał się na zadnich nogach.

- Bo mi się nie chciało. A teraz zamknij się!

- Bałeś się, że nie dasz mu rady?

- Mogłem poderżnąć mu gardło, zanim wyciągnął do mnie łapy - Pete wyjął z kieszeni nóż sprężynowy i potrząsnął nim przed nosem Isabel. - Mam ważniejsze rzeczy na głowie niż dawanie wycisku jakiemuś włóczędze i ściąganie na siebie uwagi szeryfa.

- Chodzi o bimber? Pete spojrzał na nią.
- Nigdy o tym nie gadaj, słyszysz?
- Henry Ann mówiła.
- Nie jesteś Henry Ann. Nigdy o tym nie zapominaj.
- Ona ci się podoba!
- Boże drogi! Tak to jest, jak się człowiek zadaje z małolatą o ptasim mózdzku.
- Gdzie wcześniej widziałeś tą panią Dolan? Była umalowana jak dziwka.

Flirtowała zupełnie jak Dorene. Pod koniec robiła sobie coraz grubszy makijaż, żeby ukryć wiek i chorobę.

- Pete nie odpowiedział, lecz Isabel, która nigdy nie wiedziała, kiedy zamilknąć, ciągnęła dalej.

- Coś mi się widzi, że Dolan nie puści ci płazem, jeśli pieprzysz jego żonę. Nawet jeśli ona jest szurnięta. Pieprzysz ją? Powiedz. Jak ją pieprzysz, to powiem Henry Ann.

Dotarli wreszcie do miejsca, gdzie czekał Jude. Pete chwycił Isabel za ramię i pociągnął za samochód.

- Przestań bez przerwy dziamgać! Już mam cię dość. Powiedz tylko słowo Henry Ann o tym, co robisz, a mózg z ciebie wytrzęsę. Słyszysz? Bokiem mi wychodzi to twoje gadanie. Albo się zmienisz, albo wysłę cię do Grubego. Pomyśli, że umarł i trafił do nieba. Założę się, że nie wahał cipki od czasu, kiedy starą Rosie zabrali do czubków. A teraz wskakuj do samochodu i wkurzaj Jude'a.

Cały czas trzymając jej ramię w mocnym uścisku, pociągnął ją za sobą i otworzył drzwi samochodu.

- Zabierz ją do domu - warknął.

- Przyjechałem, żeby obejrzeć pokaz i jakoś nie przypominam sobie, żebym zmienił zamiar. Jak tak ci na tym zależy, to sam ją sobie stąd zabieraj - Jude nie pękał. Ani przed Pete'em, ani przed Hardym. Zwykle woleli zostawić go w spokoju.

- No to niech siedzi w samochodzie. Isabel zaczęła płakać.
- Pete, czemu się wściekasz?

- A niech to diabli! - syknął i ruszył do miejsca, gdzie przywiązał konia, wsiadł na niego i odjechał w kierunku miasta.

Isabel pociągnęła nosem. Pete na pewno inaczej by ją traktował, gdyby otrzymała swoją część farmy Henrych. Prawnik powiedział, że o ile Ed nie zostawił testamentu, istnieje szansa, że i ona coś dostanie. Oczywiście, żeby w ogóle mogła zacząć myśleć o pieniądzach, najpierw należało sprzedać farmę. Ale, jak wyjaśnił, niewielu ludzi stać dziś na kupienie

farmy, zaś banki bankrutują z dnia na dzień. Tak czy owak zobaczy, co się da zrobić.

Pete zapytał o pieniądze, które Ed trzymał w banku i czy Isabel ma prawo zabrać swoją część bydła i sprzedać ją. Prawnik pomyślał dłuższą chwilę i obiecał, że sprawdzi.

Isabel podpisała jakieś papiery i wyszli z biura.

- A nie mówiłem? - głos Jude'a wyrwał ją z zamyślenia.

- Stul pysk!

- Nie poślubi takiej siksy jak ty. On sobie upatrzył Henry Ann Henry.

- Chodzi mu o farmę?

- Nie jestem pewien. Ale jeśli dostaniesz jedną trzecią, może ożenić się z tobą, żeby Henry Ann z nim musiała się układać. On chce Henry Ann.

- Cóż niby ma takiego ta nadęta dziwka? Myśli, że jej gównno nie śmierdzi?

- Ma szacunek. Pete nie może znieść, że jest uważany za śmiecia znad Błotnistego Potoku.

- Tobie to nie przeszkadza.

- Co ty tam wiesz. Nie znasz ani mnie ani Pete'a, ani Hardy'ego. Jesteś smarkulą, której się wydaje, że jest dorosła. Gdybyś miała choć trochę oleju w głowie, zostałabyś tam, gdzie ci było lepiej.

- To znaczy gdzie? W Oklahoma City?

- Żebyś została kurwą jak twoja matka? Nie, głupia. U Henrych. Wysłaliby cię do szkoły, może wysłaliby na ludzi.

- Miałam tam zostać, żeby ona mi rozkazywała?

- Jesteś głupsza niż ustawa przewiduje. W sam raz nadałabyś się dla Grubego. Głupi jest jak but.

- Jeśli jesteś tak diabło sprytny, to czemu sam siedzisz nad Błotnistym Potokiem?

- Jeszcze nie przyszła moja godzina, mądralo. Został mi jeszcze rok w szkole. Potem wybywam. Może dostanę... stypendium na uniwersytet.

- Co to takiego?

- Czy ty o niczym nie masz pojęcia? Stypendium to pieniądze, które dają komuś, kto jest dostatecznie zdolny, żeby iść do college'u.

- Aż taki zdolny to ty na pewno nie jesteś.

- Wolno ci tak myśleć, ale mój nauczyciel uważa, że jestem. Chcę się uczyć i zostać lekarzem.

- Ha, ha, ha. Taką masz szansę zostać lekarzem jak ja, żeby polecieć na księżyc.

- Więc lepiej zacznij zapuszczać skrzydła, mądralo.
- Chcę już wracać.
- Wracaj. Ja zostaję. Jedno widowisko już widziałem. Teraz chcę zobaczyć pokaz lotniczy.

- Jakie widowisko?
- Widziałem, jak Dolan niósł kobietę do samochodu. To musiała być jego żona. Ludzie mówią, że ona ma nie po kolei w głowie. Wierzgała i wrzeszczała, jak ją niósł. A ten fa-cecik z namiotu biegł za nimi z jej kapeluszem.

- Gdzie teraz są?
- Uspokoił ją i odjechali. Ludzie mieli na co popatrzeć.
- Henry Ann zajmuje się jego dzieckiem.
- Miło z jej strony. Człowiek ma pełne ręce roboty z tą kobietą.
- On chce się dobrać do Henry Ann.
- Skąd wiesz?
- Wszyscy mężczyźni chcą.
- Wszyscy mężczyźni chcą się dobrać do Henry Ann?
- Nie, głupku. Dolan.
- I Pete.
- I ty, gdybyś tylko miał szansę.
- Tutaj się mylisz - powiedział cicho. -Ja bardzo ją szanuję.
- Co to znaczy?
- Nie będę ci tłumaczył, jeśli jesteś zbyt tępa, żeby sama to wiedzieć.
- Gówno prawda, Jude. Gówno prawda.

Samolot wystartował. Jude wyszedł z samochodu i usiadł z przodu na masce. Isabel siedziała w samochodzie gapiąc się na jego plecy i czując się jak ostatnie zero. Z Judem zawsze tak się czuła. Doskwierało jej, że ma tyle szacunku dla Henry Ann, a dla niej nie. Od pierwszej chwili jej nie lubił, uważał za śmiecia i powtarzał jej to każdego dnia, odkąd zamieszkała nad Błotnistym Potokiem.

A co ją to obchodzi? Ona go też nie lubi.

Jay był tak zmęczony po dniu pełnym wrażeń, że ledwie Henry Ann i Ciotka Dozie pozmywały po kolacji, zrobił się senny. Henry Ann umyła go, ubrała w koszulę nocną i zapakowała do łóżka.

- Dobranoc, złociutki - pocałowała go w czoło. Malec objął rączkami jej szyję.
- Dobranoc, mamó.

Henry Ann była tak zaszokowana, że zaparło jej dech w piersiach.

- Och złotko. Nie powinieneś mnie tak nazywać. Masz swoją mamę. Jest teraz bardzo chora.

- Zrobiła mi ku-ku.

- Nie wiedziała, co robi. Już tego nie robi.

- Zrobi. Nie lubi mnie.

- Jestem pewna, że lubi. A tata bardzo cię kocha.

- Kocham tatę. Jej nie lubię.

Przez dłuższą chwilę Henry Ann nie wiedziała, co odpowiedzieć. Pogłaskała go tylko po głowie, nie mogąc znaleźć właściwych słów.

- Twój tata jutro do ciebie przyjedzie.

- Zabierze mnie ze sobą?

- Nic o tym nie wiem.

- Chcę zostać z tobą... i Ciocią... i Johnnym.

- Cieszymy się, że jesteś z nami. Ale musimy poczekać, co powie tata.

- Niech tata też tu zostanie.

Błagalny wyraz na twarzy Jaya tak bardzo przypominał wyraz twarzy Toma zeszłego wieczora, że Henry Ann poczuła nagły dygot w okolicach serca. Odgarnęła ciemne włosy z twarzy malca i pogłaskała go po policzku.

Och, złotko. Z całego serca bym pragnęła, żeby twój tata mógł tutaj zostać i żebyś ty był moim maleńkim chłopcem.

Pochyliła się i znowu pocałowała go w czoło, nie wiedząc, co o tym myśleć.

- Lepiej już zaśnij. Jutro po południu zrobimy lody. Ciocia Dozie mówi, że starczy nam śmietany.

- Ja będę mieszał - sennie upewnił się Jay.

- Tak, Ciocia mówi, że jesteś jej małym pomocnikiem.

W drzwiach Henry Ann obejrzała się, żeby raz jeszcze popatrzeć na małego chłopca leżącego w jej łóżku. Ogarnęło ją poczucie dojmującej samotności. Przez całe życie marzyła, by stać się częścią rodziny, w której jest ojciec i matka, bracia i siostry. Wielu jej przyjaciół ze szkoły pochodziło z takich rodzin. To właśnie dlatego poprosiła ojca o zgodę na wyjazd do Oklahoma City po Johnny'ego. Żałowała, że ojciec nie może zobaczyć, jak bardzo Johnny się zmienił.

Na werandzie Grant grał na gitarze i śpiewał ciepłym lekko schrypniętym głosem.

„Odchodzisz już z tej doliny.

Będzie nam brak twych jasnych oczu.”

Henry Ann przeszła przez dom na ganek od podwórza. Stała tam patrząc w kierunku farmy Dolana. Wiedziała, że tego wieczora Tom nie przyjdzie. Co teraz robił? Rozmyślał? Wiedziała, jak wielką ulgą jest dla niego fakt, że Jay może zostać z nią.

„Jeśli mnie kochasz, usiądź obok mnie.”

Niektóre kobiety nie zostały stworzone, by po prostu być matkami. Na przykład jej matka. Dorene nie chciała jej w taki sam sposób, w jaki pani Dolan nie chciała Jaya. Tyle że postępowania Dorene nie tłumaczyło szaleństwo. Była po prostu samolubna. Isabel była taka sama.

„Lecz pamiętaj dolinę Rzeki Czerwonej.”

Mały Jay potrzebował matczynej miłości. Mimo że od czasu, kiedy Henry Ann była małą dziewczynką upłynęło już wiele lat, dobrze pamiętała, jak zazdrościła dzieciom, które przesiadywały na kolanach matek i przytulały się do nich. Miała co prawda ojca, ale ojciec to ojciec. Nawet najlepszy nie zastąpi matki.

Za plecami Henry Ann otworzyły się drzwi, pojawił się w nich Grant. Była tak pograżona w myślach, że nie zauważyła, kiedy przestał śpiewać ani tego, że w pokoju Ciotki Dozie zapaliło się światło.

- Ciepła noc. Z tych chmur może być burza. Zszedł z ganku.
- Przydałby nam się deszcz.
- Panno Henry, czy pozwoli pani, że wtrączę się w nie swoje sprawy?
- To zależy, w które sprawy zamierza pan się wtrącić.
- Chodzi o roszczenia pani siostry do tej farmy.
- Nie ma do niej żadnych praw. Farma jest zapisana na mnie od prawie pięciu lat. Płacę podatki. Jestem w księdze wieczystej.
- Może nie mieć praw do ziemi i zabudowań, ale są maszyny, inwentarz żywy, meble, a nawet plon, który można uznać za własność pana Henry'ego. Proszę się spotkać z dobrym prawnikiem, panno Henry.
- Chce pan powiedzieć, że może rościć sobie prawa do bydła? Samochodu? Mebli z mojej sypialni?

- Może wnieść pozew o przyznanie jej jednej trzeciej wszystkiego, co należało do pana Henry'ego w chwili jego śmierci.

- Ona ma dopiero piętnaście lat. Nie jest nawet pełnoletnia. Jak to możliwe?

- Czy ma wyznaczonego sądownie opiekuna?

- Nic o tym nie wiem. Johnny i ja jesteśmy jej jedynymi krewnymi, jeśli nie liczyć rodziny Dorene. Cała rodzina Perrych mieszka nad Błotnistym Potokiem. Co się tyczy Dorene, jej... naszej matki, to wątpię, czy Isabel wie, kto jest jej ojcem.

- W świetle prawa, panno Henry, jest córką pani ojca. Johnny powiedział mi, że jego matka i pani ojciec nigdy się nie rozwiedli. Jeśli to prawda, w świetle prawa byli małżeństwem, kiedy urodziła się Isabel.

- To prawda. Tata nigdy się z nią nie rozwiodł.

- Któryś z Perrych mógłby zostać wyznaczony na jej opiekuna i wnieść sprawę w jej imieniu.

- To by dopiero było!

- Chciałem, żeby miała pani świadomość, co może się zdarzyć.

- Skąd pan to wszystko wie?

- Cóż... - jego śmiech był ciepły jak letni wieczór. - Bywało się tu i tam, z niejednego pieca chleb jadło... Człowiek dowiedział się tego i owego.

- Ma pan zamiar zostać tu jakiś czas?

- Jeszcze nie zdecydowałem. Podoba mi się tu... w tej okolicy. W końcu i tak będę musiał gdzieś się zatrzymać.

- Sporo nauczył pan Johnny'ego. Myślę, że ma pan na niego dobry wpływ. Bardzo potrzebował kogoś takiego.

- Cieszę się, że tak pani myśli. To dobry dzieciak. To znaczy właściwie nie jest już dzieciakiem, chociaż w porównaniu ze mną jest.

- Może pan zamieszkać z Johnnym w pokoju na stryszku, jeśli to panu odpowiada.

- Dzięki. Spanie w wozie już mi trochę zbrzydło - pochylił się, by poklepać kudłaty łeb psa. - Zastanawiasz się, czemu się jeszcze nie kładę, co Shepa? - Potem wyjaśnił Henry Ann: - Przychodzi spać ze mną.

- To ty, Shepa, śpisz w nocy zamiast pilnować gospodarstwa?

- Nie dzieje się nic, o czym by nie wiedziała. Ostatnio zrywała się kilka razy w ciągu jednej nocy. Myślałem, że ktoś tu buszował, ale nikogo nie widziałem.

- To pewnie Pete Perry. Wiedział, że...

- Tak. Zauważyłem. Przyszedł tu na przeszpiegi. Widział, jak z Dolanem oddaliliście się od domu.

- Pan Dolan jest... przyjacielem - wyjaśniła. - Proponował wzajemną pomoc. Obiecałam, że będzie mógł skorzystać z mułów i że Johnny pomoże mu przez parę dni. W zamian on naprawi nam samochód, jeśli zajdzie taka potrzeba - dokończyła niepewnym głosem.

- Czy ja również mam wybrać się do niego? Nie odchrząknął bawelny. Jeśli tego szybko nie zrobi, plon będzie miał raczej kiepski.

- Czy to znaczy, że zamierza pan zostać tu aż do zbiorów?

- Chyba tak - zamilkł na dłuższą chwilę. Henry' Ann byłaby zdziwiona, gdyby wiedziała, że jego myśli powędrowały w stronę jasnowłosej dziewczyny o żywych niebieskich oczach i wesołym śmiechu.

Grant poszedł sobie, a Henry Ann stała jeszcze chwilę na ganku. Nad szczytami drzew jaśniał księżyc, a z oddali dobiegało wycie kojota.

Czy to ten sam kojot, który był zeszłej nocy, kiedy stali z Tomem pod drzewem, spowici ciemnością, a jego ciepła dłoń spoczywała na jej ramieniu?

Wpatrując się w niebo Henry Ann zdała sobie sprawę, że ten mężczyzna o gęstych, zmierzwionych włosach i ciemnych, smutnych oczach zawłaszczył jej serce. Była to tajemnica, której za nic w świecie nie mogła nikomu zdradzić.

Tom stał za domem i patrzył w kierunku farmy Henrych. Słyszał kojota wzywającego swego towarzysza i ogarnęło go uczucie samotności. Tak bardzo pragnął natychmiast ruszyć do tego miejsca, gdzie powitałby go przyjazny uśmiech, ale bał się zostawić Emmę-Jean samą. Mogłoby przyjść jej do głowy, żeby podpalić dom. Odkąd wrócili z pokazu, leżała na łóżku. Nie wyszła z pokoju, kiedy wołał ją na kolację.

Zaczął wsłuchiwać się w swoje myśli. Ten wieczór, kiedy został sam na sam z Henry Ann przy blasku księżyca, wydał mu się nagle jednym z najważniejszych momentów w jego życiu. Miał w głowie wszystkie słowa, które do siebie wypowiedzieli, pamiętał każdy ruch i każdy gest.

Henry Ann, czy to możliwe, że śnisz te same sny, co ja? Czy śnisz o tym, że obejmuję cię i całuję w łagodnym blasku księżyca? Czy potrafisz wyobrazić sobie, jak nasze nagie ciała przylegają do siebie? Czy patrzyłabyś z nienawiścią, na swój rosnący brzuch, gdyby było w nim moje dziecko? Droga, słodka kobieto, byłabyś taka piękna.

Tom spoglądał w ciemne niebo, myśląc o tym ile pustych, bezsensownych nocy

spędził, odkąd ją poznał. Nie był w stanie zagłuszyć tych wszystkich uczuć, jakie pojawiały się w nim, ilekroć o niej myślał. Co więcej: wcale nie chciał ich zagłuszać. Były zbyt świeże i zbyt cudowne. Chciał się z nią kochać, chciał żeby i ona go pokochała.

Ale - myślał z goryczą - nigdy do tego nie dojdzie. Był mężem Emmy-Jean „dopóki śmierć ich nie rozłączy”. A nigdy nie obraziłby Henry Ann wyznaniem miłości, która nie mogłaby się spełnić.

Dziesięć kilometrów na południe, niedaleko Rzeki Czerwonej, Christopher Austin szedł obok wiotkiej, ciemnowłosej dziewczyny. Trzymając ją za rękę, słyszał samotne wołanie kojota. Kilka miesięcy wcześniej w ogóle nie zwróciłby uwagi na to żalosne zawodzenie. Teraz stał się bardziej uwrażliwiony na oznaki samotności i miłości; także na śmiech. Jego życie zmieniło się raz na zawsze. Dokonała tego miłość.

- Nie chcę jeszcze jechać, ale muszę.

- Wiem.

Christopher obrócił się, objął Opal i przytulił ją mocno. Czuł jej zapach, łagodny jak ciepły wiosenny deszcz. Była słodka, kochająca i oddana. Kochał ją aż do bólu. Pragnął żyć pod jednym dachem z nią i małą Rosemary. Dziadek Opal był coraz starszy i wkrótce zostanie sama.

Niekiedy Christopher czuł, że nienawidzi swojej matki nienawiścią, od której robiło mu się niedobrze. Była kobietą ograniczoną i samolubną. Nigdy nie zaakceptowałaby Opal, gdyby sprowadził ją do domu. Nie miał pewności, jak zareagowałby ojciec. Gdyby zdecydował się na ślub z Opal, musiałby odejść z farmy. A przecież tyle się na niej naharował, żeby doprowadzić ją do rozkwitu.

Gdyby zostawił to wszystko i odszedł z domu, jak zarobiłby na utrzymanie Opal i jej dziecka? Gdyby tylko dostał pracę dającą wystarczające zarobki, nie zastanawiałby się ani chwili. Tyrałby jak wół, żeby zarobić na ich utrzymanie. Ale pracy nigdzie nie było. Nie poradziłby sobie bez pomocy rodziców.

- Kocham cię - szepnął rozpaczliwie. - To dla mnie koszmar, że nie możemy być razem.

- Wiem.

- To takie niesprawiedliwe, że to ciebie się wini za...

- Ciiii... - położyła mu palec na ustach. - Powiedziałam ci, że mimo tego, że Rosemary pojawiła się, jak się pojawiła, ja niczego nie żałuję. Oprócz ciebie ona jest

najcudowniejszą rzeczą, jaka mi się przytrafiła.

- I nadal nie chcesz mi powiedzieć... kto?
- Nie wiem, Christopher. Już ci mówiłam.
- Żaloszny sukinsyn. Zabiłbym go.
- Wiem. A ja straciłabym cię na zawsze - jej głos zaczynał się łamać. Czuł jej drżenie.

- Nigdy mnie nie stracisz - powiedział z uczuciem. - Jeszcze przez jakiś czas musi być jak jest. Nie mamy wyboru. Jesteśmy sobie przeznaczeni. Wiem to na pewno - uniósł jej brodę i czule pocałował. - Powiedziałem ci, kochana, że Rosemary będzie miała tatę. Będzie moją małą córeczką i będę ją kochał tak samo jak dzieci, które będziemy mieć razem.

- Jesteś taki dobry. Zaslugujesz na kogoś naprawdę szczególnego.
- Już mam kogoś naprawdę szczególnego - położył dłoń na jej policzku i poczuł spływającą łzę. - Pocałuj mnie kochana. Na jakiś czas to musi nam wystarczyć.

Stali tak objęci, całując się czule, a świat jakby przestał dla nich istnieć. Aż tu nagle...

- Proszę, proszę. Kogo tu widzimy. Któż to wymknął się na randkę z moją dziewczyną. - Pete Perry wyszedł z cienia i stanął o kilka kroków od nich. Ręce miał skrzyżowane na piersi. Chris obrócił się w jego stronę, ramieniem zagarniając Opal za siebie.

- A ty co tutaj robisz do diabła?
- A jak myślisz? Przyszedłem zobaczyć moją dziewczynę.
- Twoją dziewczynę? Trzymaj się z dala od Opal.
- Przyznałeś sobie jakieś prawa?
- Jeśli tak to nazywasz.
- Cóż, wydaje mi się, że mógłbym mieć tu coś do powiedzenia.
- Akurat tu nie masz nic do gadania.
- A może przychodzę zobaczyć tę drugą. Moją małą... krewną.

Z gardła Chrisa wydobył się gniewny pomruk. Uczynił krok naprzód, ale Opal pociągnęła go za ramię.

- Nie, Chris. Nie jest tego wart. Jest pijany i szuka zaczepki.
- Ty sukinsynu.
- Tak. Pewnie nim jestem - zaśmiał się Pete. - Ale zupełnie mi to nie przeszkadza.

- Już ci mówiłam, że nie chcę cię tutaj widzieć - powiedziała Opal pewnym głosem. - Zabieraj się stąd.

- Mam iść i pozwolić, żebyś się migdałiła z tym maminsynkiem? Za nic w świecie, ślicznotko. Zostaję. Przyniosłem twojemu dziadkowi słoik dobrego samogonu.

- Jemu niepotrzebny ten twój bimber.

- Nie mówię, że go potrzebuje. Mówię tylko, że go chce. Sama zapytaj.

- Niczego takiego nie zrobię. Bierz ten bimber i zabieraj się.

- Słyszałaś, co powiedziała, Peny - odezwał się Chris.

- Nie mieszaj się do tego, maminsynku.

Chris zamachnął się i jego twarda pięść wylądowała na szczęce Pete'a. Ten zachwiał się i usiadł ciężko na ziemi.

- Nigdy więcej tak do mnie nie mów - warknął Chris, gotów zaatakować znowu, gdyby Pete podniósł się z ziemi.

Pete wstał bez pośpiechu. Potarł szczękę, a potem nie wiadomo skąd w jego dłoni pojawił się nóż. Stanął na szeroko rozstawionych nogach, gotowy do skoku.

- Za chwilę flaki z ciebie wypruję, maminsynku.

- Nie! - krzyknęła Opal.

- Dostyc tego, Pete! - dziadek Hastings wyłonił się z mroku ze strzelbą w dłoniach. - Cofnij się, bo ci odstrzelę ten durny łeb.

Pete zwrócił się w jego stronę.

- Masz w tym naboje, dziadku?

- A coś ty myślał?

- Nie wierzę.

- Jest sposób, żeby się przekonać. Mam już wyżej uszu takich jak ty, co to przyłażą zawracać głowę Opal.

- Zastrzel mnie, a będziesz miał na głowie wszystkich znad Błotnistej Potoki. Zlecą się tu wściekli jak osy.

- Nie zlecą się, jeśli cię nie znajdą. Za domem mam wyschniętą studnię, którą trzeba zakopać.

Pete zaśmiał się.

- To tak się traktuje kawalera, który przychodzi do wnuczki w konkury? Przyniosłem ci słoik księżycówki.

- To zależy od Opal, kto do niej przychodzi. Teraz zabieraj się. Żeby cię tu nie widział, póki nie nauczysz się zachowywać jak człowiek.

- A może chciałem zobaczyć moją małą siostrzyczkę...

Starzec podniósł strzelbę.

- Nie! - krzyknęła Opal i ruszyła w kierunku dziadka. - On tylko tak gada.
- Czy to on, dziewczyno? Albo jego... ojciec?

Pete, choć pijany, zdał sobie sprawę, że znalazł się o krok od śmierci.

- Mówiłam ci, że było ciemno i nie wiem, kto to był.
- Ja tylko żartowałem, panie Hastings - odezwał się Pete usiłując powiedzieć to lekkim tonem.

- Nie ma z czego żartować, chłopcze. A teraz jeśli nie chcesz, żebym przygwoździł twoje flaki do tego drzewa, ruszaj w swoją stronę.

Pete spojrzał na Chrisa.

- Nie zawsze będziesz miał za sobą starego człowieka ze strzelbą. Uważaj.

Dziadek Hastings poszedł za Petem do miejsca, gdzie ten uwiązał konia.

- Zawsze cię lubiłem, Pete. Myślałem, że jesteś lepszy od tych znad Błotnistej Potoku. Teraz sam już nie wiem. Nie próbuj więcej takich numerów.

- Nie podoba mi się, że przychodzi tu ten syneczek mamusi.
- Tak jak mówiłem: to sprawa Opal. Ona cię nie chce i koniec rozmowy.
- Nie zalecam się do niej. Zarzuciłem wędkę na większą rybę niż...

Pete ugryzł się w język.

- Niż co?
- Niż taka młódka jak Opal.
- Mam nadzieję, że właśnie to chciałeś powiedzieć.

Pete wskoczył na konia. Czuł, jak gniew trawi jego trzewia. Nie mógł odjechać, nie robiąc czegoś, co ukołoby jego zranioną dumę. Z torby przy siodle wyjął słoik i z całej siły rzucił nim o pień drzewa. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i dokoła zapachniało bimbrem.

- To twoja księżycówka, starcze.
- Dzięki.

Dziadek Hastings przyglądał się, jak Pete zawrócił, spiął konia i odjechał w ciemność. Upewnił się jeszcze, że chłopak odjeżdża na dobre i ruszył do miejsca, gdzie czekali Chris i Opal.

Opal podeszła do niego od razu.

- Dziadku, słowo daję. Przeraziłeś mnie. Przecież nie masz już naboju.
- Może z jeden zachowałem.
- A może nie. Skończyły ci się z tydzień temu.
- Dobry Boże! - wykrzyknął Chris. - Ależ to był blef! Pete Perry potrafi być niebezpieczny.

- To nic takiego. Właściwie nieźle się bawiłem. Ale ty lepiej uważaj na siebie. Pete ostatnio zrobił się nieprzyjemny. Nawet na trzeźwo.

- Czemu nie powiedziałaś mi, że twojemu dziadkowi skończyły się naboje? - zapytał Chris. - Pełno włóczęgów szwenda się teraz po drogach. I mówią, że w południowej Oklahomie codziennie jest jakiś napad na bank.

- Nikt nie przyjdzie tu po pieniądze - powiedział Dziadek Hastings.

- Przyniosę wam pudełko naboí. Jutro albo pojutrze.

- Nie musisz, Chris - Opal ujęła jego ramię obiema dłońmi. - Już nam przyniosłeś mąkę, cukier i kawę.

- Przyniosę naboje, panie Hastings. Musicie mieć się czym bronić.

- Dopóki żyję, nie muszą się bać - starzec ruszył w stronę domu.

- Dziadek jest dumny. Nie znosi, kiedy ludzie myślą, że jesteśmy hołotą. Gdyby mógł, zabrałby stąd i mnie i Rosemary.

- O Boże, nie! - jęknął Chris. - Cieszę się, że nie może. Wytrzymaj jeszcze trochę, kochana. Niedługo coś się musi wydarzyć i wszystko się ułoży.

- Uważaj na Pete'a. Nigdy nie widziałam, żeby tak się wściekł.

- Często tu przychodzi?

- Niezbyt. Raz na jakiś czas zagląda do dziadka. Biorę wtedy Rosemary i wychodzę do ogrodu.

- Spróbuję wpaść jutro albo pojutrze. Pocałuj mnie, najdroższa. Tak bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham. Uważaj na siebie.

12

W poniedziałek rano Johnny i Grant zaprzęgli muły do wozu i wyruszyli na farmę Dolana. Ciotka Dozie zapakowała im drugie śniadanie do wiadra, a Henry Ann zaniósła je do wozu. Stała na podwórzu, kiedy przygotowywali się do odjazdu, a gdy ruszyli, pomachała im na pożegnanie. Kiedy wróciła do domu, Jay siedział już w kuchni z Ciotką Dozie.

- Dzień dobry, śpiochu.

- Muszę wyjść.

- Możesz użyć nocnika.

- Ale ja chcę kaku.

- W takim razie chodź do mnie. Zniosę cię. Na drodze do wychodka jest mnóstwo pokrzyw.

- Przedźwigniesz się niosąc tego brzdąca. Podam jego buty - Ciotka Dozie pospieszyła do sypialni. Henry Ann podniosła malca i posadziła na stole.

- Założyła Jayowi jeden but, Ciotka Dozie drugi, po czym postawiła dziecko na ziemi i wzięła za rękę.

- Podnieś do góry koszulkę, złotko - powiedziała Henry Ann, gdy wyszli już na dwór.

Ciotka Dozie rzuciła ciasto na posypaną mąką deskę i jęła ugniatać je swymi mocnymi dłońmi. Marszczyła przy tym brwi. Henry Ann stała się ostatnio bardzo cicha. Oznajmiła przy śniadaniu, że przejdzie się do miasta dopóki jest w miarę chłodno. Spojrzała przy tym na Granta, a ten kiwnął do niej z aprobatą. Dozie zaczęła się zastanawiać, o co tu może chodzić. Jedno było pewne: Henry Ann za bardzo przywiązywała się do dziecka innej kobiety. Co więcej, Dozie podejrzewała, że zaczyna też lubić męża tej kobiety i przeczuwała, że to nie może dobrze się skończyć.

- Powinnaś była powiedzieć, żeby Johnny cię zawiózł. Koło południa zrobi się gorąco jak w piecu - odezwała się, gdy Henry Ann wiązała wstążkę we włosach.

- Wieje lekki wiatr, wezmę jeszcze parasolkę.

- Mogę z tobą iść? - zapytał Jay.

-Jeśli ty pójdziesz ze mną, kto pomoże Cioci Dozie mieszać lody? - Henry Ann pochyliła się i pocałowała Jaya w policzek. - Wrócę tak szybko, że nawet nie zauważysz, że mnie nie było. I przyniosę ci lizaka.

- Możesz... możesz mi... przynieść żabę, która skacze?

- Nie wiem, złotko. Nie wiem czy uda mi się znaleźć taką jak ta, którą miałeś, ale spróbuję.

Henry Ann uśmiechnęła się i pomachała Jayowi i Ciotce Dozie. Kiedy znalazła się wreszcie sama, odczuła prawdziwą ulgę, że nie musi się już uśmiechać. Prawda była taka, że ostatnio nie było jej do śmiechu. Od kiedy Grant powiedział, że Isabel może rościć sobie prawa do jednej trzeciej majątku ruchomego, nie myślała o niczym innym. Spieszno jej było porozmawiać z panem Phillipsem, starym przyjacielem ojca, który nadal ostateczny kształt dokumentom, kiedy farmę przepisywano na nią.

Zadawała sobie pytanie, *jak to możliwe, by wszystko tak się popsulo w tak krótkim czasie*. Odchyliła parasolkę, aby lekki podmuch chłodził jej twarz. Tata odszedł, Isabel okazała się rozczarowaniem, a ona... zakochała się w żonatym mężczyźnie. Och, na pewno

był wdzięczny za opiekę nad dzieckiem w czasie choroby żony i za pomoc w polu, ale tak naprawdę nie patrzył na nią jak na kobietę, która marzy o kochającym mężczyźnie, co dalby jej dzieci i chciał się z nią zestarzeć. W każdym razie, gdyby był wolny, na pewno wolałby kogoś tak przyjaznego, pełnego życia jak Karen, nawet nie spojrzalby na taką starą pannę jak ona. A przecież w tę noc, kiedy razem układali Jaya do snu, w jego ciemnych oczach wyraźnie widziała tęsknotę. Rzecz jasna mogło chodzić o to, że był zdenerwowany, bo chciał ją prosić o wypożyczenie mułów.

Henry Ann była tak pogrążona w myślach, że usłyszała samochód dopiero wtedy, kiedy ten zahamował tuż przy niej.

- Witaj, moja śliczna. Wskakuj do tego gruchota, to cię podwiozę - Christopher Austin łypał na nią pożądliwie, udając, że podkręca węża niczym filmowy łotr spod ciemnej gwiazdy.

- Tata mówił, żebym nie zadawała się z nieznajomymi -odparła Henry Ann głosem malej dziewczynki.

- Bez obaw, śliczna panienko. Obiecuję, że będę się zachowywał jak dżentelmen..

- W takim razie chętnie skorzystam z zaproszenia - Henry Ann złożyła parasolkę i wsiadła do samochodu. - Co się stało, że jedziesz do miasta? Czyżbyś nadgonił z robotą?

- Na farmie nigdy nie nadgonisz. Sama wiesz o tym najlepiej, Henry Ann. Musiałem wyskoczyć po parę rzeczy.

- Jak rodzice?

- Dziękuję. Po drodze widziałem Johnny'ego i wasz zaprzęg na polu Dolana.

- Czasami trzeba sobie pomagać.

- Widziałem Dolana i jego żonę na pokazie lotniczym. Ten facet ma poważny kłopot. Ten jego mały nadal jest u was?

- Tak. Jego... żona nie czuje się najlepiej.

- Jest, no... nieco dziwna. Słyszałem, że wywołała niezgorsze widowisko w sobotę. Tom musiał siłą zabrać ją do samochodu, a ona tak kopała i wrzeszczała, aż się ludzie zbiegli. Odjechali, zanim rozpoczął się cały pokaz.

- Naprawdę?

- Pani Miller mówiła o tym mamie. Zaparkowali w pobliżu, więc wszystko widzieli.

- Jeśli widziała to pani Miller, to jakby wszyscy widzieli.

- Mówiła, że pani Dolan klęła jak szewc.

- Na pewno przesadza.
- Jej sympatia zawsze była po stronie pani Dolan. O Dolanie mówiła jak o nikczemniku, co to nie pozwolił żonie obejrzeć pokazu.

Henry Ann gwałtownie obróciła głowę.

- Dolan nikczemnikiem? To się kupy nie trzyma! To raczej ten babsztyl jest nikczemny! Jak myślisz, dlaczego Jay mieszka u nas?

- Spokojnie, Henry Ann - powiedział szybko Chris. - Ja tylko powtarzam, co pani Miller powiedziała mamie.

- To stara plotkara. Mam nadzieję, że twoja matka jej nie uwierzyła.

- Nie liczyłbym na to. Mama chłonęła każde jej słowo, jakby to była prawda objawiona - powiedział Chris bez cienia uśmiechu.

- Pani Miller była w biurze tego dnia, kiedy Tom zabrał Jaya do doktora Hendricksa. Ona... A zresztą, mniejsza z tym.

- O tym też powiedziała mamie. I że byłaś razem z nim.

- O Boże! Może chociaż tyle z tego dobrego, że jeśli moja reputacja tak bardzo została nadszarpnięta, to nie będę się już nadawać na kandydatkę do twojej ręki.

- Na to też bym nie liczył.

Oboje zamilkli do czasu, kiedy zbliżyli się do miasta.

- Długo tu będziesz? - zapytał Chris. - Chcę tylko kupić naboje do strzelby. Mogę zaczekać...

- Nie wiem, jak długo mi zejdzie. Lepiej nie czekaj.

- Myślałem, że może... może znalazłabyś trochę czasu, żeby pojechać ze mną do Opal - powiedział cicho i odwrócił twarz, żeby nie dostrzegła na niej zatroskania.

- Do Opal? Chętnie z tobą podjadę, jeśli nie zabierze to więcej jak godzinę. Po południu muszę pozrywać brzoskwinie.

- Nie zostaniemy długo. Pomyślałem tylko, że to dobry moment, żebyś poznała Opal. Widzisz, ona nie widuje zbyt wielu kobiet w swoim wieku.

- Dzięki za komplement - zaśmiała się Henry Ann. - Jestem o pięć lat starsza od Opal. Może nawet więcej.

- Ona potrzebuje przyjaciółki, Henry Ann.

Wzruszył ją smutek na twarzy Chrisa.

Ty tego nie wiesz, ale oboje mamy kłopoty sercowe. Nie jesteś jednak w tak beznadziejnej sytuacji jak ja.

- Pewnie, że pojedę. Ale najpierw muszę zobaczyć się z panem Phillipsem, a

potem zajrzeć do sklepu. To nie powinno potrwać długo - uśmiechnęła się i Chris pomyślał, że jego przyjaciółka z dzieciństwa jest nie tylko ładna, ale też bardzo miła.

- Wyobrażasz sobie, co się będzie działo w głowie pani Miller, jak zobaczy, że nie tylko razem przyjechaliśmy do miasta, ale też razem z miasta wyjedziemy? Na pewno zmontuje z tego jakąś historyjkę. Ale jeśli ty sobie z tym poradzisz to i mnie nic to nie obchodzi.

- Ja z przyjemnością dostarczę pani Miller powodów do plotek. Wysadź mnie na rogu, Chris. Najpierw pójde do pana Phillipsa.

- Zaparkuję przy sklepie.

Praktyka prawnicza pana Phillipsa nie zabierała mu wiele czasu. Jedynym powodem, dla którego miał biuro w mieście, było to, że do niego należał budynek, w którym mieściła się kancelaria. Dom z piaskowca był jednym z najstarszych w mieście. Z boku przyłączone były do niego żelazne schody, które prowadziły na pierwsze piętro.

Na ulicę wychodziły dwa przybrudzone okna, między którymi mieściły się drzwi wejściowe. Na jednym z okien widniał wyblakły złoty napis: O. B. Phillips, ADWOKAT.

Henry Ann otworzyła drzwi i stała przez chwilę pod śmigłami obracającego się z wolna wentylatora zwisającego z sufitu na długiej rurce. Pan Phillips siedział na obrotowym fotelu z nogami na biurku. Jego głowa z gęstą, siwą czupryną była przechylona na lewą stronę, usta pod sumiastym wąsem lekko otwarte.

Henry Ann zapukała w otwarte drzwi. Starszy mężczyzna obudził się z głośnym prychnięciem. Jego stopy ześlizgnęły się z biurka i spadły uderzając głośno o podłogę.

- Dzień dobry, panie Phillips. Przepraszam, że budzę.

- Nic się nie stało, Henry Ann. - Zdjął okulary i uszczypnął się w czubek nosa. - Właśnie nadrabiam zaległości z zeszłej nocy. Musiałem pofatygować się do więzienia powiatowego. Szeryf Watson zamknął jednego z moich klientów. Cholerny głupiec. Wdał się w bójkę i uderzył jednego z zastępców szeryfa.

- Postaram się nie zabrać panu zbyt wiele czasu.

- Usiądź. Usiądź, Henry Ann. O co chodzi?

Henry Ann opowiedziała mu pokrótce o ucieczce Isabel do Perrych i o tym, że mała zatrudniła prawnika.

- Nie może liczyć, że dostanie część farmy.

- A co z majątkiem ruchomym? Co z bydlęm, plonami, całą resztą? - Henry Ann aż zmarszczyła nos, kiedy starszy pan w zamyśleniu przypalił zapalką tanie cygaro i wydmuchnął dym ponad biurkiem. - Powie, że należały do taty i że ma do nich prawo.

- Hmm - zaciągnął się. - Święta racja. Dobrze główkujesz.
- Mnie nie przyszłoby to do głowy. To człowiek, który dla nas pracuje.
- Tak czy owak: święta racja - powtórzył i obrócił się w fotelu, by splunąć do spluwaczki, stojącej za nim. - Kto jest jej prawnikiem?
- Nie mówiła. Była tam z Pete'em Perrym.
- Nie sądzę, by poszli do Mendosy, bo ten już by o tym z wszystkimi gadał. Mogli wybrać się do tego kanciarza w Ringling.
- Czy może zmusić mnie, żebym wszystko sprzedała i oddała jej jedną trzecią majątku?
- A co z chłopakiem?
- On nie jest po jej stronie. Nie upominał się o nic. Wie, podobnie jak Isabel, że mój tata nie był ich ojcem.
- Nie sposób przewidzieć, ile jeszcze dzieciaków Dorene może się pojawić. Nie odmawiała sobie - prychnął z niechęcią. - W świetle prawa liczy się tylko to, że Ed był jej mężem, kiedy te dzieciaki się rodziły. Ed o tym wiedział.
- Nie słyszałam, żeby jeszcze miała jakieś dzieci. Co mogę zrobić?
- Hmm. - Zaciągnął się głęboko i wydmuchnął dym. - Będę musiał o tym pomyśleć. Mówiłem Edowi, że powinien spisać testament, ale wtedy myślał, że wystarczy zapisać farmę na ciebie. Ja zresztą też tak myślałem.

Henry Ann wstała.

- Po zapłaceniu za pogrzeb i honorarium doktora Hendricksa w banku zostało dwanaście dolarów.
 - A niech to! Jak znam starego Arnstona, nie wypłaci ich bez nakazu sądowego, więc równie dobrze możesz o nich zapomnieć. A zresztą, z tego co mówią, bank może w każdej chwili zbankrutować.
 - Nie chcę rezygnować z niczego, na cośmy z tatą pracowali. Chciałam dać Isabel dom i szansę pójścia do szkoły, ale ona to odrzuciła i odeszła do Perrych. Nie uważam, żebym musiała sprzedawać bydło i inne ruchomości po dzisiejszych cenach, żeby wypłacić jej z tego jedną trzecią.
 - Pomyślę, co możemy zrobić.
- Henry Ann ruszyła do wyjścia.
- Tylko niech pan nie myśli zbyt długo, panie Phillips. Jej prawnik może się ze mną już wkrótce skontaktować.
 - Wracaj do domu, Henry Ann. Zostaw to mnie.

Kiedy przechodziła przez ulicę idąc do sklepu, w głowie rozbrzmiewały jej jeszcze jego ostatnie słowa. *Zostaw to mnie*. Dobre sobie! Chciała usłyszeć, że Isabel nie ma żadnych praw do majątku, a nie jakieś „zostaw to mnie”. Dzięki Bogu, że ojciec wyjął pieniądze z banku i ukrył w blaszanej puszcze. Były teraz bezpiecznie zakopane w piwnicy. Nikt z Perrych nigdy ich nie dostanie.

Henry Ann dotarła do sklepu. Był to typowy małomiasteczkowy sklep, chociaż nieźle zaopatrzony. Pan Anderson miał głowę do interesów, ale miał też serce. Jeśli tylko było to możliwe, prowadził wymianę z klientami, udzielał kredytu tym, co do których był pewien, że mu zapłacą i utrzymywał możliwie niskie ceny.

Wchodząc do sklepu, Henry Ann stanęła twarzą w twarz z Karen.

- No proszę, witam. Nie widziałam twojego samochodu. Przyszłaś na piechotę?

- Podjechałam z Christopherem Austinem.

- No no! - W oczach Karen pojawiły się wesole iskierki. - Jego matka chyba podskoczy z radości.

- Mam nadzieję, że się o tym nie dowie. Muszę kupić parę rzeczy, potem wracam z Christopherem. Dzień dobry, panie Anderson - powiedziała do mężczyzny w białym fartuchu, który wyszedł zza lady.

- Witam, panno Henry.

- Proszę o trzy lizaki miętowe, torebkę goździków i puszkę tytoniu. Będziemy marynować brzoskwinie - wyjaśniła przyjaciółce. - Muszę zacząć je zrywać, jak tylko wrócę do domu.

- Zaczęłaś żuć tytoń? - zapytała Karen z uśmiechem.

- To dla Ciotki Dozie, dobrze o tym wiesz.

- Lody brzoskwiniowe, które jedliśmy w niedzielę, były naprawdę smaczne. - Karen odczekała, aż pan Anderson położy na ladzie przyprawę, puszkę tytoniu i lizaki w niewielkiej torebce.

Henry Ann pogrzebała w portmonetce i położyła na ladzie półdolarówkę. Przyjęła resztę, pomachała sklepikarzowi na pożegnanie i wyszła za Karen ze sklepu.

- Nie byłam pewna, czy w ogóle widzisz, co jesz w niedzielę - powiedziała z przekornym uśmiechem Henry Ann, stojąc z Karen przed sklepem. - Tak flirtowałaś z Grantem.

- Flirtowałam? - otworzyła usta ze zdumienia i mocno się zarumieniła.

- Tak, flirtowaliście. Uważaj, Karen. Sam powiedział, że jest włóczęgą z przekonania i to od paru ładnych lat. Dobrze pracuje i ma dobry wpływ na Johnny'ego, ale

poza tym nic o nim nie wiemy. Kiedy wstajemy rano, nigdy nie jesteśmy pewni, czy nadal jest z nami, czy aby nie powędrował dalej.

- Boże, co ty wygadujesz! Ja się po prostu... dobrze bawiłam. Jeśli nie życzysz sobie, żebym przychodziła, mogę nie przychodzić. - Usta Karen drżały. Odwróciła się i szybko ruszyła przed siebie.

Henry Ann pospieszyła za nią i chwyciła za ramię.

- Przecież wiesz, że nie o to mi chodziło. Grant jest przystojny, każdej kobiecie może zawrócić w głowie.

- Każdej prócz ciebie?

- Nie, mnie nie. Ale ma osobowość i jest bystry - ciągnęła Henry Ann. - Tyle że może też być oszustem, który ucieka przed prawem.

- Na pewno nie on. Jeśli tak myślisz, to czemu pozwoliłaś mu zostać?

- Nie powiedziałam, że tak myślę. Powiedziałam, że tak może być. Nie chcę tylko, żebyś zakochała się w Grancie. Człabyś się bardzo zraniona, gdyby nagle spakował manatki i ruszył dalej.

- Henry Ann Henry! Kto mówi o zakochiwaniu się w tym mężczyźnie? Boże drogi! Po prostu jest zabawny. Nie jest tak nadęty i poważny jak większość miejscowych mężczyzn. Jeśli myślisz, że nasze wzajemne przekomarzenia to coś więcej niż dobra zabawa, znaczy, że twój rozum jest na urlopie.

Karen, moja najdroższa przyjaciółko. Za bardzo protestujesz. Albo już się w nim zakochałaś, albo zaraz się zakochasz.

- W porządku. Mniejsza z tym. Wpadaj, kiedy tylko zechcesz. To byłoby nie do zniesienia, gdybym straciła taką przyjaciółkę.

- Nie stracisz mnie, nie tak łatwo! Zdarzało się już, że bardzo się różniłyśmy w niektórych sprawach, i jakoś nadal się przyjaźnimy - Karen objęła Henry Ann. - Czy cukierek jest dla małego Jaya?

- Prosił jeszcze o taką żabę, jaką mu dałam. Idę do sklepu Five and Dime sprawdzić, czy takiej nie mają.

- A co stało się z tą, którą mu dałaś?

- Jego matka wrzuciła ją do pieca.

- Och, nie... Biedny chłopiec. Nie sądzę, by taką mieli. Półki świecą u nich pustkami. Pewnie niebawem zlikwidują sklep.

- Naprawdę? Szkoda.

- Pan Anderson wykupił trochę ich towarów. Jadę jutro z tatą do Ardmore.

Chcesz, żebym poszukała takiej żaby?

- Mogłabyś? - Henry Ann otworzyła torebkę. - Dam ci jakieś pieniądze.

- Nie teraz - Karen przykryła dłonią dłoń Henry Ann. - Mogę jej przecież nie znaleźć.

- Dobrze. Zapłacę ci, jak znajdziesz.

- Mam nadzieję, że uda mi się pójść do kina. Będę musiała wybrać się po kryjomu. Niektórzy ludzie z otoczenia taty, uważają, że kto ogląda filmy, ten pójdzie do piekła. Nie chcę przysparzać mu kłopotów. Czy słyszałaś, co stało się na pokazie lotniczym?

- Masz na myśli tę historię z Tomem i panią Dolan? Henry Ann uniosła brwi. - O tak. Pani Miller i jej kółko już zadbają, żeby wszyscy w mieście o tym wiedzieli. Do tego opowiadają to tak, jakby Tom był jakimś potworem dla swojej żony.

- Masz rację. Właściwie niepotrzebny nam nasz miejscowy tygodnik. Ta stara plotkara przedstawia to tak, jakby Tom był bezdusznym, zazdrosnym Irlandczykiem, który za żadne skarby nie chce dopuścić, by jego żona pokazywała się gdziekolwiek.

- Naprawdę aż tak to przedstawia?

- To jeszcze nie wszystko. Ona twierdzi, że ogląda się za innymi kobietami.

- To niesprawiedliwe! - tym razem policzki Henry Ann oblał rumieniec.

- Jej nie obchodzi, czy coś jest sprawiedliwe czy nie. Chodzi tylko o to, żeby to ona była w centrum zainteresowania na tym swoim kółku robótek ręcznych.

- Ta kobieta to najgorsza plotkara w mieście! Muszę już lecieć, Karen. Chris czeka. Wpadnij, jak będziesz mogła.

- Tata i ja mielibyśmy ochotę na trochę brzoskwiń, żeby zrobić z nich placek albo dwa. Naturalnie, jeśli coś wam zostanie. Nie chcę za dużo, bo musiałabym je zamarynować.

- Ależ ty jesteś leniwa. Zepsuły cię te panie z kościoła.

- Tylko wdowy mnie psuły. Kadzą mi bez przerwy, żebym szepnęła o nich dobre słówko tacie. Jeśli chcą dla nas robić przetwory, nie mam nic przeciwko temu.

- Karen, jesteś niemożliwa - Henry Ann ścisnęła ramię przyjaciółki i ruszyła do samochodu Chrisa.

- Halo! Henry Ann!

Henry Ann odwróciła głowę i zobaczyła panią Miller w czepku uwiązanym pod podwójnym podbródkiem, zmierzającą w jej kierunku z drugiej strony ulicy. Udała, że jej nie słyszy. Szybko wsiadła do samochodu i spojrzała na Chrisa.

- Jedźmy. Ona tu idzie.

Chris uruchomił silnik i prędko odjechali od krawężnika. Henry Ann odetchnęła dopiero wtedy, gdy byli przecznicę dalej.

- Uuch - wypuściła powietrze. - Mało brakowało.
- Co zobaczyła, to jej. Całe miasto będzie wiedziało, że jechaliśmy razem.
- To nie tak źle, jak by się mogło wydawać, Chris. Dopóki będą myśleć, że jesteśmy parą, dadzą spokój tobie i Opal. Powiesz im, jak sam będziesz gotowy.
- Nie wiem, kiedy to będzie. Gdybym dostał pracę, z której mógłbym utrzymać Opal i Rosemary, zrobiłbym to bez zwłoki. - Chris skręcił w przecznicę i zajechał na stację benzynową Phillips 66 dokładnie w chwili, kiedy odjeżdżał stamtąd jakiś samochód. - Kończy mi się benzyna. To nie potrwa długo.

Niski szczupły mężczyzna w umazanym smarem kombinezonie spoglądał za odjeżdżającym samochodem. W dłoni trzymał parę banknotów. Poprawił swój znoszony filcowy kapelusz i podszedł do samochodu. Uśmiechał się od ucha do ucha, a jego spaloną słońcem, pomarszczoną twarz pokrywał trzydniowy zarost.

- Kurde bele, Chris. Przed sekundą odjechał stąd Frank Hamer.
- Kto to jest Frank Hamer? - zapytał Chris wysiadłszy z samochodu.
- Co ty, gazet nie czytasz? Frank Hamer to słynny strażnik z Teksasu. Teraz jest już z Federalnymi. To ci dopiero! Nigdy bym nie pomyślał, że zobaczę go tutaj, w Red Rock.
- Nalej mi pięć galonów, Vern.
- Frank Hamer podjechał tu i kupił benzynę. Powiedział: „Do pełna, przyjacielu”. Tak powiedział. Vern odkręcił bak. - Tak, kto by pomyślał, że tutaj zobaczę Franka Hamera. Tylko spojrzałem, od razu go poznałem. Potem pytam bez ogródek: „Czy to pan jest Frank Hamer?” A on na to: „Byłem nim, kiedy ostatnio widziałem się w lustrze”. Tak powiedział.

- Uważaj, Vern, chcę tylko pięć galonów.
- Ciekawe, czego szukają u Dolanów - Vern odciął dopływ benzyny i zakręcił bak. - Myślicie, że Dolan jest na bakier z prawem? Słyszałem, że nieźle dołożył tej swojej żonie na pokazie lotniczym, ale Frank Hamer ma co innego na głowie, niż ścigać facetów, co biją żony.

- Tom Dolan nie bije swojej żony, niezależnie od tego, co ci mówiono - Henry Ann wychyliła się z samochodu.

- Mówię tylko, co słyszałem, panno Henry.
- Słyszałeś kłamstwa złośliwej plotkary.
- Ja tylko...

- On... nie... bije... swojej... żony! - Henry Ann powtórzyła kładąc nacisk na każde słowo.

- Nie musi się pani zaraz tak denerwować. Ja tylko...

- Wiem. Powtórzyłeś plotki nie zastanawiając się, czy to prawda czy nie.

-To człowiek, który był z Hamerem, chciał wiedzieć, gdzie szukać Toma Dolana. Nie co dzień ktoś taki jak Frank Hamer przyjeżdża do Red Rock.

- Masz prawo być podekscytowany, Vern. Co mówił ten człowiek o Dolanie? - zapytał Chris, zdając sobie sprawę, że Henry Ann chciałyby wiedzieć, ale sama nie zapyta.

- Nic. Pytał tylko, jak dojechać do farmy Dolana.

- Powiedziałaś im?

- No pewnie. A czemu nie?

- Nie ma powodu.

- Myślicie, że Dolan ma powiązania z bimbrownikami? Zeszłej nocy obrabowano bank w Duncan. - Uniósł pytająco brwi.

- To nie wchodzi w rachubę, Vern. Widzę go codzień na polu - powiedział Chris rzeczowym tonem. - Gdyby zarabiał łatwą forszę na bimbrze albo napadając na banki, nie tyrałby tak codziennie na polu bawełny.

- No tak... ale wiesz, Frank Hamer nie ma czasu uganiać się za plotkami. Jakies większe rzeczy muszą tu wchodzić w grę.

- Ale na pewno nie na farmie Dolana - powiedziała oschle Henry Ann, wsiadła do samochodu i trzasnęła drzwiami.

- Co jej nie pasuje? - zapytał Vern. - Nigdy nie widziałem, żeby panna Henry była wkurzona.

- Nie znosi plotek.

- Ani ludzi, którzy je powtarzają! - Henry Ann wychyliła się przez okno od strony kierowcy. - Niech pan się wstydzi, panie Neal.

Chris wsiadł do samochodu.

-vDo zobaczenia, Vern.

- Tak, dzięki Chris. Do widzenia, panno Henry.

Henry Ann patrzyła prosto przed siebie i nie raczyła odpowiedzieć.

- Dałaś staremu Vernowi do wiwatu, Henry Ann. On jest nieszkodliwy.

- Nieszkodliwy? Powtarzania kłamstw i mieszania z błotem dobrego imienia Dolana nie nazwałabym nieszkodliwym.

- Może po prostu powinienem powiedzieć, że jest niemądry.

- Jest głupi jak większość ludzi w Red Rock. Mam dosyć tępaków, a w Red Rock jest ich pełno.

- To ciężkie czasy. Jeśli jest coś, co wydobywa z ludzi podłość, to właśnie ciężkie czasy.

Oboje pograżyli się w myślach i milczeli niemal przez kwadrans. Chris skręcił w jakąś wąską dróżkę, a po chwili zatrzymał się przed małym niemalowanym domkiem.

- Ładnie tu, co? - powiedział.

Dom, w którym nie mogło być więcej niż dwa pokoje, osadzony był na drewnianych balach. Od frontu widać było dosyć wąską werandę. Na sznurach suszyła się pościel, unoszona lekkimi podmuchami wiatru. Szczupła dziewczyna w skromnej, nieco wyblakłej sukience czekała na nich na werandzie. Miała ciemne rude włosy, a na biodrze trzymała małe dziecko.

- Wsiądź, Henry Ann. Opal jest nieśmiała jak lania, a poza tym jest wystraszona. - Chris nie odrywał wzroku od dziewczyny i dziecka.

- Przeze mnie?

- Nie *jest* pewna, czy zachowasz się przyjaźnie. - Przeszedł prędko na werandę. - Dzień dobry, kochana. Jak tam moja dziewczynka? - zwrócił się najpierw do Opal, później do dziecka. Nachylił się i pocałował dziewczynę prosto w usta. Próbowła cofnąć się, ale Chris trzymał ją blisko siebie, mocno obejmując w pasie. - Znasz chyba Henry Ann?

- Witaj, Opal. Dawno cię nie widziałam.

- Pamiętam panią.

- To Rosemary - powiedział z dumą Chris, gdy mała dłoń chwyciła go mocno za palec.

- Ależ jest piękna! - Henry Ann sięgnęła i pogłaskała małą po ciemnorudych loczkach. Dziewczynka skuliła się pod jej dotknięciem i ukryła twarz w ramieniu matki.

- Chodź tu do mnie, maleńka - Chris sięgnął po dziewczynkę, która nie protestowała, by wziął ją na ręce. - Niedługo będziesz za duża, żeby cię mama nosiła. - Dziecko włożyło kciuk do ust i zagapiło się na Henry Ann.

- Nie usiądzie pani? - zapytała Opal z wahaniem, wskazując krzesło z wysokim prostym oparciem.

- Chętnie, na parę minut - Henry Ann zastanawiała się, w jaki sposób uspokoić dziewczynę. - Chris podwiózł mnie do miasta.

- Poprosiłem Henry Ann, żeby wybrała się tu ze mną. Ona wie o nas.

- Ja... ja... - Opal z trudem oderwała oczy od Chrisa i zwróciła się w stronę

Henry Ann. - Napije się pani wody?

- Nie, dziękuję. W jakim wieku jest Rosemary?
- Ma rok.
- Piękne dziecko. Czy mogę jej dać cukierka?
- Nie musi pani tego robić.
- Mów do mnie po imieniu, Opal. Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy.
- Tak, proszę pani.

Henry Ann poszła do samochodu i wyjęła lizaka z torby z zakupami. Kiedy wróciła na werandę, Opal siedziała na jednym z krzeseł z Rosemary na kolanach. Chris minął ją w drodze do samochodu i uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

Rosemary znowu schowała twarz, kiedy Henry Ann próbowała podać jej lizaka.

- Jest nieśmiała - wyjaśniła Opal. - Nie widuje tu wielu ludzi.
- Może zjeść go później. - Henry Ann wcisnęła lizaka do ręki Opal i usiadła na jednym z krzeseł.

Chris, niosący pod ramieniem jakieś pudełko, przeszedł na drugą stronę domu. Opal odprowadziła go wzrokiem.

- Chodziłam z Chrisem do szkoły. - Kiedy Henry Ann odezwała się, Opal spojrzała szybko na nią, a potem odwróciła wzrok. - Przyjaźnimy się od lat i... ufamy sobie. Wiem, że cię kocha i chce poślubić.

- Ludzie przestaliby go szanować - w oczach Opal błysnęły łzy. - Nie mogę mu pozwolić...

- On nie dba o to, co ludzie myślą. Zależy mu na tobie. Masz szczęście. Chris to jeden z lepszych mężczyzn, jakich znam.

- Wiem o tym. Jest za dobry dla kogoś takiego jak ja. - Opal nagle wyprostowała się i przechyliła głowę, spoglądając wyzywająco na Henry Ann. - Nie wstydzę się Rosemary. To nie jej wina, że... tak się stało.

- Ani twoja, Opal w powiedziała łagodnie Henry Ann.
- Ludzie myślą, że dosyć swobodnie sobie poczynam.
- Chris tak nie myśli i tylko to się liczy.
- Nie mogłam nic poradzić na to, co mi zrobiono, ale dzięki temu mam Rosemary i... nie żałuję.

- Bóg chciał ci wynagrodzić to, co przeszłaś.

- Nigdy o tym nie pomyślałam.

Chris wrócił z domu i zatrzymał się przed werandą.

- Cieszę się, że znowu się spotkałyśmy. - Henry Ann wstała i zeszła z werandy.
- Chris, w przyszłą niedzielę po południu zrobię lody. Może wpadlibyście do nas z Opal i Rosemary.

- Och nie, proszę pani. Nie będę mogła.
- Polubiłabyś Johnny'ego, mojego brata, i moją przyjaciółkę Karen Wesson, która też przyjdzie. Ciotka Dozie rozpieszczałaby Rosemary. Przyjdź, Opal.

Henry Ann poszła do samochodu, aby na chwilę zostawić Chrisa z Opal sam na sam. W samochodzie tapicerka ze skaju parzyła ją w nogi. Czekaając na Chrisa myślała, jak samotna musi się czuć młoda dziewczyna, żyjąc na takim odludziu tylko z dziadkiem; i jakie to niesprawiedliwe, że Chris musi wymykać się ukradkiem, żeby zobaczyć swoją ukochaną.

Chris milczał w drodze powrotnej. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiał gniew.

- Gdybym wiedział, kto zgwałcił Opal, zabiłbym drania.
- To by niczego nie rozwiązało. Spędziłbyś resztę życia za kratkami, o ile by cię nie powiesili, a Opal zostałaby sama.

- Szkoda, że nie mogę zabrać jej i Rosemary i wyjechać do Kalifornii.
- Czemu nie możesz?
- Bo któregoś dnia farma przejdzie na mnie - zmarszczył posępnie czoło. - Odkąd miałem dość lat, żeby iść za pługiem, tyrałem na niej jak wół. Tata o tym wie, ale matka...

- Czy w razie czego ojciec stanąłby po twojej stronie?
- Nie wiem. W domu to ona rządzi.
- W takim razie walcz o Opal. Zaczynaj od tego, że przyrowadzisz ją do mnie w niedzielę.

- Sam nie wiem. W domu doszłoby do awantury. Być może musiałbym odejść.
- Nie sądzę. Potrzebują cię na farmie. Twój ojciec nie poradzi sobie sam z takim dużym stadem. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że gdybyście z ojcem trzymali sztamę, pani Austin musiałaby ustąpić?

- Nie bardzo potrafię sobie wyobrazić ojca stojącego okoniem.
- Pogadaj z nim. Powiedz mu, że kochasz Opal. Poproś, żeby się z tobą wybrał do niej i do jej dziadka. To dobry człowiek. Jesteś jego jedynym synem. Nie będzie chciał cię stracić.

- Pomyślę o tym. Dobra z ciebie przyjaciółka, Henry Ann. Szkoda, że nie zakochałem się w tobie.

- Nie rozumiem, czemu twoja matka tak mnie sobie upatrzyła.

- Jesteś miła i ładna, i masz ziemię, którą można by dołączyć do naszej. Poza tym wydaje się jej, że z czasem mogłaby kierować tobą tak samo jak nami.

- Musi myśleć, że jestem bardzo słaba.

- Na pewno tak postąpiłaby wobec Opal, a Opal za bardzo by się bała, żeby się nie dać.

- W takim wypadku to ty musiałbyś mieć trochę więcej ikry i dopilnować, żeby matka nie wchodziła wam na głowę. Ludzie przestaną cię szanować, Chris, jeśli pójdziesz w ślady ojca i pozwolisz się zdominować.

Chris milczał w drodze do farmy Henrych. Henry Ann nie dbała o to, czy poczuł się urażony tym, co powiedziała. Czas najwyższy, żeby wziął swoje życie w swoje ręce.

13

Kiedy gorące słońce Oklahomy stało w zenicie, Johnny zatrzymał muły w miejscu, gdzie kończyło się pole Dolana. Tom odłożył motykę i pospieszył, by pomóc je wyprząc. Zaprowadził zwierzęta do strumienia, żeby je napoić. Grant i Johnny ruszyli jego śladem, aby oplukać spocone twarze. Usiedli w cieniu przy wiadrze z drugim śniadaniem, które zrobiła dla nich Ciotka Dozie.

- Tom! Chodź do nas, zjedźmy razem! - zawołał Johnny, kiedy Tom skończył wyprzęganie zwierząt, aby mogły odpocząć i pożywić się trawą rosnącą nad 'strumieniem. - Ciotka Dozie przygotowała mnóstwo jedzenia.

- Dziękuję, ale muszę zajrzeć do domu. Powinienem sprawdzić parę rzeczy.

Johnny i Grant przyglądali się, jak Tom przecina pole i znika pośród drzew rosnących na jego skraju.

- Jego żonie palma odbiła - powiedział Johnny pociągawszy ze słoika długi łyk maślanki.

Grant kiwnął głową potakująco.

- Ten facet ma nie lada problem. Nawet nie ma czasu zjeść. Musiał iść, żeby sprawdzić, czy znowu coś nie strzeliło jej do głowy.

- Raz czy dwa widziałem ją w lesie. Kiedyś i ona mnie zobaczyła i zaczęła machać ręką, żebym pojechał. Udałem, że jej nie widzę i pojechałem w swoją stronę.

- Kobieta, która zachowuje się jak ona, nie może być zrównoważona.

- Musi z nią być coś nie tak. Inaczej nie zawiązałyby sznurka na fiutku Jaya, żeby przestał się moczyć.

- Musi w tym być coś jeszcze, coś czego nie wiemy. Dolan nie jest głupcem. Przecież musi wiedzieć, że może umieścić ją w zakładzie.

- Nie wygląda na to, żeby miał dość pieniędzy na leczenie jej. - Johnny ugryzł kawałek biszkopta z masłem i dżemem.

- Ona pochodzi z rodziny Conroyów z Teksasu, a oni są nadziani.

- Skąd wiesz?

- Zdziwiłbyś się, mój chłopcze, gdybyś wiedział, ilu rzeczy można się dowiedzieć, jak człowiek ma oczy i uszy otwarte, a gębę trzyma na kłódkę.

Tom nigdy nie wiedział, co zastanie w domu po kilkugodzinnej nieobecności. Po tym, jak znalazł wywróconą lampę naftową a na podłodze rozlaną naftę, wolał ukryć tę lampę w stodole. Bał się, że Emma-Jean podpali dom albo siebie samą. Codziennie dziękował Bogu, że nie musi martwić się o bezpieczeństwo Jaya.

Emma-Jean popadała w coraz ciemniejsze nastroje. Rzadko kiedy odzywała się do niego normalnym tonem. Najczęściej krzyczała albo piszczała, czasem syczała. Nie miał pojęcia, co z nią zrobić. Wątpił, by jej rodzina poparła umieszczenie jej w zakładzie; a gdyby nawet, na pewno spróbowaliby odebrać mu Jaya.

W domu panowała cisza. Wszedł do kuchni i zastał ją dokładnie tak, jak ją zostawił. Naczynia nadal moczyły się w misce. Zdziwiłoby go, gdyby je umyła. Tom otworzył puszkę wieprzowiny z fasolą, wyszedł na ganek od podwórza, usiadł i zaczął jeść prosto z puszki.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi do jej pokoju i domyślił się, że weszła do kuchni. Chwilę potem otwarły się drzwi tuż za nim. Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Nadal była w koszuli nocnej, a na jej posępnej twarzy widać było smugi tuszu do powiek. Usta miała umalowane jaskrawą szminką.

- Gdzie jest lampa? Chcę zakręcić włosy.

- Zabrakło nam nafty.

- Kłamiesz. Nie chcesz, żebym zakręciła włosy i ładnie wyglądała.

- Twoje włosy wyglądałyby ładnie, gdybyś je po prostu uczesała.

- Dziś rano przyszli tu jacyś mężczyźni, ale zabrałeś ich, zanim mogli mnie zobaczyć.

- Przyszli pomóc mi w polu. Jadłś coś?

- Jadę do miasta, żeby coś zjeść. Tata ma po mnie przyjechać.

Tom nie znalazł na to żadnej odpowiedzi. Obróciła się na pięcie i weszła do domu. Tom dokończył fasolę i poszedł do studni napić się wody. Unosił właśnie kubek do ust, kiedy na podwórzu zajechał czarny sedan. Zmrużył oczy, żeby zobaczyć, kto przyjechał i po chwili uśmiechnął się radośnie. Powiesił kubek na gwoździu i pospieszył w stronę samochodu, z którego wysiadło już dwóch mężczyzn. Jeden z nich był wysoki, ale nie tak mocno zbudowany jak Tom. Miał jednak takie same gęste, kruczoczarne włosy.

- Hod! Boże drogi! To ty?

- A któżby inny! Jak się miewasz, Tom?

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni i klepali się przyjaźnie po ramionach.

- Świetnie wyglądasz, Hod. Tam do diabła. Coraz bardziej przypominasz naszego starszego brata.

- Lepiej nie mów tego Mike'owi - Hod odwrócił się do drugiego mężczyzny, który z uśmiechem patrzył na spotkanie dwóch braci. - Frank, to jest mój brat, Tom. Tom poznaj Franka Hamera.

- Witam, panie Hamer. - Tom uściśnął jego dłoń. - Musi pan mieć mnóstwo cierpliwości, żeby wytrzymać z Ho-dem Dolanem. Było z niego niezłe ziółko, kiedyśmy dorastali. Mama powtarzała, że wpędzi ją do grobu.

- Że m y ją wpędzimy - poprawił Hod. - Byłeś ledwie rok starszy i też jej krwi napsuleś.

- Chodźcie tu. Nabiorę wody. To chyba najlepsza woda w powiecie.

Kiedy Tom wciągał wiadro, Hod rozglądał się dokoła.

- Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że zostaniesz farmerem. Myślałem, że będziesz projektował silniki do samochodów wyścigowych.

- W życiu zdarzają się nieoczekiwane zakręty. Nadal interesują mnie silniki, ale nie mogę powiedzieć, żebym nie lubił pracy na roli. Sprzedałem parę samochodów, żeby spłacić tę ziemię. Teraz to nic wielkiego, ale może kiedyś będzie. Co porabiasz w tych stronach?

- Jedziemy na północ przeprowadzić niewielkie dochodzenie. Frank zgodził się zboczyć trochę z drogi, żebym mógł się z tobą zobaczyć. Ile to już lat? Pięć?

- Coś koło tego. Jak mnie znalazłeś?

- Dowiedziałem się od naszej siostrzyczki. Powiedziała, że się ożeniłeś, mieszkasz w pobliżu Red Rock i masz syna.

- Tak, to prawda. A co u ciebie?

- Przenoszę się z miejsca na miejsce. Mam szczęście, jak zdążę uprać ubranie.

Tom odwrócił głowę, by przyjrzeć się człowiekowi, który stał się już legendą w Teksasie jako strażnik w słynnej formacji Teksas Rangers. Był ponoć nieugięty w ściganiu przestępców. Wyglądał jakby zbliżał się do pięćdziesiątki. Miał gęste, lekko siwiejące włosy i głębokie zmarszczki wokół ust i oczu. Tom był zażenowany, że nie może zaprosić brata i Hamera na jakiś posiłek.

- W jakim wieku jest twój chłopiec, Tom?
- Trzy lata. Mieszka teraz u sąsiadki, bo... moja żona choruje.
- Przykro to słyszeć.

Nagle Hod popatrzył Tomowi przez ramię. Tom obrócił się i niemal głośno jęknął. Emma-Jean wyszła z domu i szła w ich stronę. W pośpiechu założyła sukienkę, którą miała na sobie na pokazie lotniczym. Na jej policzkach widać było dwie czerwone plamy, usta miała umalowane jaskrawoczerwoną szminką, włosy rozczochrane. Z jednego z kapeluszy wyjęła jedwabny kwiat i zatknęła go za uchem. Potykając się szła w ich stronę w pantoflach na wysokim obcasie. Tom nawet nie spojrzał ani na brata ani na Hamera. Nie chciał widzieć wyrazu ich twarzy. Kiedy zbliżył się do niej, zauważył, że nie miała niczego pod przezroczystą sukienką. Wyraźnie było widać jej sutki i ciemne łono. Wziął ją za ramię i odezwał się spokojnie:

- Wracaj do domu, Emma-Jean. Szminka rozmazała ci się na twarzy i zapomniałaś włożyć majtek.

- I co z tego? - gwałtownie wyrwała rękę z jego uścisku, chwiejnym krokiem podeszła do Hoda i ujęła go za ramię. - Jestem Emma-Jean. A ty kim jesteś?

- Nazywam się Hod Dolan.
- Jedziesz do miasta? Mogę pojechać z tobą?

Hod zerknął na Toma i zobaczył udrękę w oczach brata.

- Nie jadę do miasta, Emma-Jean.
- A gdzie jedziesz?
- Nie jestem jeszcze pewien.
- Kiedy będziesz wiedział? Hod zignorował jej pytanie.
- Masz we włosach ładny kwiat.

- To dla ciebie - rozpromieniła się Emma-Jean. - Jego nie lubię. - Pokazała Tomowi język. - Jest podły, obrzydliwy i... nienawidzę go.

- Chodźmy na werandę, tam o tym porozmawiamy -Hod odezwał się do niej jakby była małym dzieckiem.

- Dobrze - uwiesiła się na jego ramieniu. - Podobasz mi się. Jesteś miłutki.
- Dzięki. Ty też mi się podobasz.
- Naprawdę? Będę mogła się z tobą zabrać?

Hod odprowadził Emmę-Jean na werandę i bardzo szarmancko przysunął jej krzesło, zanim sam usiadł.

- Ona nie jest pijana, prawda? - zapytał Hamer.
- Nie. Dziękowałbym Bogu, gdyby to był alkohol.
- Hod jest dobry w takich sytuacjach. Raz widziałem jak uspokoił wariata, który zabił dwóch ludzi. Byłem pewien, że będziemy musieli go zastrzelić, żeby odebrać mu pistolet.

- Od razu wyczuł, że coś z nią nie tak.
- Ma wycucie. To dlatego jest taki dobry w tym, co robi.
- Z nią jest coraz gorzej. Musiałem zostawić syna u sąsiadki. Emma-Jean zrobiła mu krzywdę. Zacząłem się obawiać, że mogłaby go zabić.

- Próbowwała zranić ciebie albo siebie?
- Jak dotąd nie. Włóczy się po lesie. Na razie wraca do domu.

Tom przyglądał się bratu.

Boże, jak dobrze widzieć Hoda.

Hod podniósł się z fotela i sięgnął po rękę Emmy-Jean. Wstała, ale on łagodnie posadził ją z powrotem na krzesło. Przykucnął przed nią i mówił coś przez chwilę, potem zszedł z werandy i zbliżył się do Toma i Franka stojących przy studni. Emma-Jean pomachała za nim, on zaś pomachał do niej.

- Musimy już lecieć, Tom.
- Wolałbym, żebyś nie mówił naszym o niej.
- Zachowam to dla siebie. Od jak dawna jest w takim stanie?
- Od początku była dziwna, ale teraz jej stan się pogarsza. I to błyskawicznie.

Pewnie zastanawiasz się, czemu ją poślubiłem. Za dużo samogonu, a ona była śliczna i chętna. Byłem zbyt pijany, by zdać sobie sprawę, że ona jest jaka jest. Wszystko poszło jak z bicza trząśł. Jej rodzina jest zamożna. Mogłeś o nich słyszeć. Conroyowie z Conroy w Teksasie.

- Martin Conroy - powiedział Frank i nie było to pytanie.
- Znasz go?
- Próbował zostać znaczącym politykiem, ale mu nie wyszło. Więcej ma dumy niż rozumu.

- To się zgadza. Emma-Jean przynosiła wstyd ich rodzinie. Myśleli, że zabiorę ją do Nebraski i w ten sposób się jej pozbędą.

- Kiepska sprawa. Przykro mi, Tom. Powiedziałem jej, że wrócę. Myślisz, że zapamięta?

- Nie jestem pewien. Chciałbym, żebyś zobaczył mojego chłopca, Hod. To dopiero jest coś! - Duma z syna usunęła zmartwienie z twarzy Toma. - Jeśli masz czas, zatrzymaj się na sąsiedniej farmie. Jest tam pod opieką panny Henry i kolorowej kobiety, Dozie Jones. To mili ludzie.

Hod i Tom uścisnęli dłonie i Hod wsiadł do samochodu. Hamer usiadł za kierownicą.

- Powodzenia bracie. Jeśli będziesz mnie potrzebował, wyślij depezę do FBI w Kansas City. Tam jest moje biuro i tam będą wiedzieli, gdzie mnie szukać. Lepiej uważaj na tę kobietę. Słyszałem, że takim jak ona odbija często w środku nocy i mogą kogoś zabić.

- Cieszę się, że wpadłeś, Hod. Miło mi było pana poznać, panie Hamer.

- Wzajemnie. Powodzenia.

Hamer uruchomił silnik.

- Wstąpimy, żeby zobaczyć twojego chłopaka, Tom. Uważaj na siebie.

- Ty też, Hod.

Tomowi chciało się wyć. Widok Hoda przypomniawszy mu dom rodzinny i chłopięce marzenia. Hod zawsze chciał być policjantem i udało mu się. Tom był pewien, że będzie budował silniki i samochody wyścigowe. Jak tu jednak myśleć o marzeniach, kiedy życie zmienia się w koszmar.

Było już południe, kiedy Chris wypuścił Henry Ann z samochodu przed jej domem.

- Chris, może zjadłbyś z nami?

- Dziękuję, ale muszę wracać.

- Wpadnicie w niedzielę?

- Sam nie wiem.

- Cóż, dziękuję za podwiezienie.

Kiedy zbliżała się do domu, Jay otworzył drzwi na oścież i wypadł na werandę.

- Heny Ann! - krzyknął.

- Cześć, mały. Uściskasz mnie? - Otworzyła ramiona, a malec podbiegł do niej. Wzięła go na ręce, pocałowała w policzek i postawiła na ziemi. - Wprawdzie nie znalazłam żaby, ale kupiłam ci lizaka. Dostaniesz go po obiedzie. - Trzymając go za rękę weszła do

domu, gdzie w powietrzu unosił się zapach świeżo pieczonego chleba.

- Wspaniale pachnie ten chleb, Ciociu Dozie - zawołała ze swego pokoju, gdzie zdjęła pantofle i pończochy. Była w trakcie zmieniania sukienki na codzienny strój, kiedy Jay zawołał, że ktoś idzie. Henry Ann wygładziła sukienkę i podeszła bosą do drzwi. Na podwórzu wjechał czarny samochód i jakiś mężczyzna zmierzał w kierunku domu. Wyszedłszy na werandę, Henry Ann rozpoznała czarnego sedana, którego widziała, kiedy odjeżdżał ze stacji benzynowej.

Czego oni tu chcą? Czy znaleźli Toma? Boże, proszę, nie dodawaj mi nowych kłopotów.

Mężczyzna zatrzymał się kilka kroków przed werandą i zdjął kapelusz. Miał na sobie ciemne spodnie, białą koszulę i krawat. Rękawy nosił zakasane do łokci, pod pachami widać było mokre plamy. Jego oczywiste podobieństwo do Toma Dolana zaszokowało Henry Ann.

- Panna Henry?
- Tak.
- Nazywam się Hod Dolan. Jestem bratem Toma.
- To widać - poczuła się, jakby z jej barków zdjęto ogromny ciężar.
- Powiedział, że jego dzieciak jest tutaj i pani nie będzie miała nic przeciwko temu, żebym go zobaczył.

- Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu. Proszę wejść. I niech pan poprosi przyjaciela, żeby wszedł. W samochodzie musi być teraz bardzo gorąco. Sama przed chwilą przyjechałam z miasta.

- Od razu widać, że pan i pan Tom jesteście rodziną -wielka postura Ciotki Dozie zablokowała drzwi. – Mamy gości na obiedzie, złotko. Właśnie nakrywałam do stołu, dołożę jeszcze dwa nakrycia.

- Dziękuję, ale nie chcielibyśmy sprawiać kłopotu.
- Żaden kłopot, chłopcze. Na pewno nie zabraknie. Czujesz, jak chleb pachnie? Wchodźcie tu zaraz.

Henry Ann zaśmiała się.

- Wszystkim tu wiadomo, że nie warto spierać się z Ciotką Dozie. Lepiej od razu dać za wygraną.

Hod machnął do Franka Hamera, by ten wszedł do domu.

- Zaproszono nas na obiad, Frank. Proszę pani, to jest Frank Hamer.
- Miło mi. - Henry Ann wyciągnęła dłoń. - Proszę wybaczyć, że jestem na bosaka, ale przez całą drogę z miasta marzyłam, żeby zdjąć pantofle i pończochy.

To jest ten gość, którym tak zachwycił się Vern. Facet jak facet.

- Proszę nie zawracać sobie tym głowy. Kusi mnie, żeby zrobić to samo.
- Usiądźmy na werandzie, a Ciotka Dozie przygotuje stół. Napijecie się czegoś zimnego?

- Dziękuję, ale piliśmy już u Toma.
- Czy to zapach świeżego chleba? - zapytał Frank.
- Dopiero co wyjętego z pieca.
- Nie jadłem takiego od czasu, gdy byłem w domu, na farmie w Nebrasce. - Hod usiadł na krześle z prostym oparciem, które pamiętało czasy, gdy Ed Henry był jeszcze małym chłopcem.

- Przyrowadzę Jaya. Chyba gdzieś się schował. Wstydzi się obcych.
Henry Ann weszła do domu i wróciła chwilę później prowadząc Jaya. W międzyczasie uczesała mu włosy i sprawdziła, czy jego buzia i ręce są czyste.

- Jay, to twój stryjek - Henry Ann zatrzymała się przed Hodem Dolanem i pochyliła nisko, aby Jay słyszał, co mówi. - Pamiętasz, jak ci mówiłam, że Johnny jest moim bratem? Ten pan jest bratem twojego taty.

- Witaj, Jay. - Hod wyciągnął rękę, ale Jay spuścił wzrok i przysunął się do Henry Ann.

- Twój tata podałyby mu rękę - szepnęła Henry Ann chłopcu do ucha.
Jay nieśmiało podał rękę Hodowi.
- Wyglądasz zupełnie jak twój tata, kiedy sam był chłopcem. Jay spojrzał mu w oczy.

- Kocham tatę.
- Cieszę się, że to słyszę. Ja też go bardzo lubię. Raz, jak byliśmy w twoim wieku, wpadłem do zbiornika na wodę. Twój tata chwycił mnie za szelki i trzymał tak, żebym głowę miał nad wodą. Zawołał o pomoc i nasz starszy brat, Mikę, wyciągnął mnie ze zbiornika.

- Jestem dużym chłopcem taty.
- Pewnie że jesteś.

Jay przysuwał się coraz bliżej, aż oparł się o kolana Ho-da. Henry Ann cofnęła się, uśmiechnęła do Franka Hamera i znikła w domu.

Zawołani na obiad, obaj mężczyźni zachowywali się przy stole zupełnie normalnie, siedząc obok Ciotki Dozie, choć Henry Ann podejrzewała, iż było to dla nich zupełnie nowe doświadczenie. Henry Ann ostrzegła Dozie, że jeśli nie siądzie do stołu, ona również tego nie

zrobi.

Jay wydawał się zauroczony swoim stryjem. Ilekroć ten coś mówił, malec nie mógł oczu oderwać od jego twarzy. Podobieństwo Hoda do Toma było niesłychane, nawet w tonie głosu i intonacji.

Jak tylko Hod i Frank Hamer weszli do kuchni, od razu zauważyli, że była nieskazitelnie czysta, bez śladu domowych much. Stół był przykryty czystą białą ceratą, a na półce stygły bochny świeżo upieczonego chleba. Zjedli po kilka plastrów smażonego boczku z młodymi kartoflami i groszkiem. Grube pajdy chleba posmarowali masłem przyniesionym z piwnicy. Po obiedzie wypili po dwie filiżanki kawy.

- Sporo czasu upłynęło, od kiedy ostatnio siedziałem przy stole jedząc tak pyszny posiłek.

- Cieszę się, że panu smakowało, panie Hamer.

- Rząd płaci nam diety na posiłki. Zapłacimy...

- To nie wchodzi w rachubę. Pan Dolan jest naszym sąsiadem i... przyjacielem. Mój brat i człowiek, którego najęłam, są dziś u niego. Pomagają w polu. On w zamian naprawi nasz samochód.

- To prawdziwa ulga, że mój brat ma w pobliżu dobrych przyjaciół, proszę pani. Są mu potrzebni - ciemne oczy Ho-da Dolana i oczy Henry Ann spotkały się na chwilę.

- Henry Ann dała mi żabę - dziecinny głos Jaya przerwał ciszę, jaka zapadła po słowach Hoda.

- Żabę? A to ci dopiero. Twój tata i ja kiedyś łapaliśmy żaby.

- Mama spaliła ją w piecu.

Hod próbował wymyślić jakąś odpowiedź. Jego ciemne oczy znów błyskawicznie przeniosły się na Henry Ann, która sięgnęła po torebkę leżącą na maszynie do szycia i wyciągnęła lizaka.

- Masz teraz swojego lizaka.

- Będzie się cały lepił - Ciotka Dozie poprawiła chłopcu śliniak.

Henry Ann aż się zaśmiała widząc zachwyty na twarzy dziecka.

- Umyje się, Ciociu Dozie.

Obaj mężczyźni wstali.

- Dziękujemy za posiłek - powiedział Hod. - Dawno już nie jedliśmy takich wspaniałości.

- Było nam bardzo miło.

- Do widzenia, Jay. Niedługo wrócę, żeby zobaczyć, co u ciebie.

- Dzenia. - Chłopiec wyjął na chwilę lizaka z ust, żeby odpowiedzieć.

Henry Ann wyszła z mężczyznami na werandę.

- Chciałabym was zapytać - zaczęła z wahaniem – czy w swojej pracy nie natknęliście się na nazwisko Grant Gifford. Człowiek, którego najęłam, zjawił się tu nie wiadomo skąd. Wiem, że to ryzykowne najmować kogoś, o kim nic się nie wie i dlatego ciekawa byłam...

Hod spojrział na Franka Hamera i zaczął aż on się odezwie.

- Mogłaby go pani opisać?

- Koło trzydziestki, wyższy ode mnie o tyle - pokazała dłonią jakieś piętnaście centymetrów - włosy blond, z wykształceniem. Gra na gitarze i śpiewa. Sporo wie o różnych rzeczach. Mówił, że dowiedział się tego włócząc się po kraju przez ostatnie dwa lata. Nie wiem, czy można mu wierzyć. Jest bardzo miły i dobrze pracuje, ale martwię się, że nic o nim nie wiem.

Martwię się, bo moja przyjaciółka, Karen, prawie się w nim zakochała.

- Nie słyszałem o żadnym przestępcy o tym nazwisku, ale jeszcze sprawdzę. Gdybym coś znalazł, dam pani znać.

- Będę wdzięczna. Grant bardzo nam pomógł i mój brat za nim przepada. Myśli o osiedleniu się w tej okolicy.

- To dobry pomysł, żeby dowiedzieć się czegoś o przeszłości mężczyzny, zanim się otworzy dla niego serce.

- Och, nie o to chodzi. Nie jestem nim zainteresowana... w taki sposób. Ani on mną. Chyba po prostu jestem przesadnie ostrożna.

- Warto dziś być ostrożnym.

- Cóż, dziękuję za radę.

- Wdzięczny jestem za pomoc, jakiej udziela pani Tomowi - powiedział Hod. - Gdyby nie obowiązki, zostałbym z nim. Parę rzeczy będzie musiało ulec zmianie... i to szybko.

- Tak, wiem o czym pan mówi. Do widzenia, panie Dolan i do widzenia panu, panie Hamer. Życzę powodzenia w łapaniu przestępców.

Samochód odjechał z ocienionego podwórza.

- To miłe miejsce - powiedział Frank.

- I miła kobieta - dorzucił Hod.

- Dziwne rzeczy się dzieją. Prawie zapomniałem o Grancie Giffordzie. Kto by pomyślał, że będzie pracował na poletku bawełny.

- To może nie być ten Gifford, którego znamy. Wielu jest Grantów Giffordów.

- Ale nie takich, którzy pasowaliby do tego opisu i nie takich, co pochodziliby z tej części kraju.

- Upłynęło już parę lat. Wygląda na to, że włączył się przez cały ten czas.

- Ciężko przeżył to, co się stało.

- Tak. Ale był cholernie dobry. Zrobił, co uważał za słuszne. - Hod zdjął kapelusz i położył obok na siedzeniu.

- Czasami nie wystarczy mieć rację.

- Niedobrze jest stracić kogoś takiego jak on. Z drugiej strony niedobrze, że Tom nie poślubił takiej kobiety jak panna Henry.

- Czasami piękna kobieta potrafi sprawić, że mężczyzna myśli przyrodzeniem, nie głową.

- Co wiesz o Martinie Conroyu? Nigdy o nim nie słyszałem.

- Niewielu spoza Teksasu o nim słyszało. To jeden z tych koleśków, którzy myślą, że są lepsi od innych, bo mają dużo szmalu.

- Jest bardzo bogaty czy dość bogaty?

- Rockefellerem nie jest, ale pieniądze ma. Próbował kandydować na gubernatora, kiedy jeszcze byłem strażnikiem w Teksasie. Myślał, że na sławie dziadka zajędzie na sam szczyt. Próbował zdobyć poparcie chłopców, którzy kręcą tą grą, ale go wyśmiali. Słyszałem, jak mówili, że prędzej poparliby rogatą ropuchę. Próbował pograć ostrzej, zaczął im grozić. To nie było właściwe posunięcie. Parę dni później

natknął się na dwóch takich w ciemnej uliczce i potem długo jeszcze wyglądał, jakby się zderzył z lokomotywą. Jego kampania nigdy nie ruszyła z miejsca.

- Kto ma pieniądze, ten rozkazuje.

- Myślę, że stary Dziadek Conroy zdawał sobie sprawę, co to za ziółka ten jego syn i wnuk. Słyszałem, że złożył cały majątek w zarząd i Martin dostaje jakąś sumę rocznie. Tak czy owak musi być tego sporo.

- Cholera! Niedobrze, że muszę zostawić Toma w tym kotle. Zasluguje na coś lepszego niż dożywocie w piekle z tą kobietą.

- Czasami los kopnie człowieka w zęby i nie można nic na to poradzić. Można najwyżej wyhodować nowe zęby i zostawić kocioł za sobą. - Frank docisnął pedał gazu i samochód przyspieszył. - Zerknij na mapę, Hod. Sprawdź, jak daleko stąd do Lawton.

CONROY, TEKSAS

Marty Conroy zatrzymał samochód przed budowlą w stylu wiktoriańskim, która od zawsze była jego domem. Zatrzasnął drzwi samochodu i wbiegł po schodach na werandę. Serce waliło mu w piersi jak młotem. Teeny, czarna pokojówka, otworzyła oszklone drzwi i Marty znalazł się w holu.

-Jak on się czuje? - Marty wcisnął jej do rąk kapelusz.

- Jest na gorze.

- Nie pytałem, do cholery, gdzie jest, tylko jak się czuje! - nie czekając na odpowiedź, przebiegł przez hol, stukając głośno obcasami. Już miał wbiec po schodach, ale zobaczył matkę schodzącą właśnie na dół.

- Musisz tak hałasować? Zupełnie jakby ktoś wpuścił tu stado krów.

- Jak on się czuje?

- Obawiam się, że nie najlepiej.

- Co się stało? Wszystko było w porządku, kiedy wyjeżdżałem parę tygodni temu.

-Jego serce odmawia współpracy. Może odejść w każdej chwili.

- Dlaczego nie jest w szpitalu?

- Kwestionujesz moją decyzję?

- Wiesz, mamó, że nie.

- Jeśli nie chcesz mówić do mnie „matko”, w ogóle nie mów.

- Przepraszam. Jestem zdenerwowany. Szkoda, że nie zatelegrafowałaś wcześniej.

- Wcześniej o niczym nie wiedziałam. Nie wiedziałam, dopóki nie stracił przytomności przedwczoraj wieczorem. Lekarz twierdzi, że już rok temu mówił Martinowi, że jego serce jest w kiepskim stanie. Powiedział też, że może umrzeć tu, w łóżku, gdzie umarł jego ojciec i dziadek, albo w szpitalu. I że przeniesienie do szpitala nie przedłuży mu życia: odejdzie, gdy nadejdzie jego czas.

- Mogę go zobaczyć?

- Teraz jest u niego pielęgniarka. Możesz wejść, kiedy ona wyjdzie. - Alice Conroy z wysoko uniesioną głową i spokojną, nieporuszoną twarzą zeszła ze schodów. -

Zdejmij te buty. Ile razy mówiłam ci, żebyś nie nosił ich w domu. - Minęła syna i weszła do jadalni. - Możesz podać mi lunch, Teeny.

Marty wspiął się na szczyt schodów, usiadł, zdjął buty i czekał, aż pielęgniarka opuści pokój ojca. Nigdy w życiu nie widział, żeby chłodne opanowanie i rezerwa opuściły Alice Conroy. Jedyny wyjątek wiązał się z zachowaniem jego siostry. Jako dziecko Emma-Jean była jej oczkiem w głowie. Matka przebierała ją jak lalkę i pokazywała gościom. Wszystko to gwałtownie się zmieniło, kiedy Emma-Jean skończyła dwanaście lat, zaczęła być krnąbrna i miewała ataki nerwowe.

Wówczas stosunek Alice Conroy do córki całkowicie się zmienił. Zerwane zostały wszelkie emocjonalne więzy między matką a dzieckiem. Jej główną troską stało się wtedy obmyślanie sposobu na jak najszybsze usunięcie Emmy z ich życia. Marty słyszał sprzeczki między rodzicami, kiedy zastanawiali się, jak to osiągnąć nie narażając swojej pozycji towarzyskiej. Myśleli, że problem został rozwiązany, kiedy Tom Dolan poślubił Emmę-Jean. On jednak nie zabrał jej do Nebraski, jak spodziewali się państwo Conroy.

Pielęgniarka w białym, wykrochmalonym fartuchu wyszła z pokoju ojca, wyrwijając go z zamyślenia. Marty wstał i podszedł do niej.

- Jak on się czuje?
- Kim pan jest?
- Jego synem, do diabła. Jak on się czuje?
- Powiedziano mi, że mam rozmawiać tylko z panią Conroy, ale... ocknął się.

Marty wszedł, mijając ją w przejściu. Stanął w drzwiach pokoju, w którym był ledwie kilka razy. Odkąd pamiętał, i jego, i Emmę-Jean obowiązywał surowy zakaz wstępu do pokoju ojca. Dziś nie widział ciężkich mebli, widział jedynie postać mężczyzny leżącego na śnieżnobiałym łóżu z rzeźbionym wezłowiem niemal sięgającym sufitu.

- Tato?

Martin Conroy podniósł dłoń na kilka centymetrów i kiwnął na syna. Marty pospieszył do niego. Ojciec oddychał z widocznym trudem. Marty klęknął przy łóżku.

- Czemu nie powiedziałeś mi, że jesteś chory?
- Jesteś... ostatnim z Conroyów. Nazwisko i majątek... przechodzą na ciebie. Chcę, żebyś... zaopiekował się Emmy-Jean. To nie jej... wina, że jest, jaka jest. Spróbuj znaleźć jej... - Martin przerwał, żeby złapać oddech.

- Tato! Możemy coś zrobić? - Marty mocno trzymał rękę ojca.
- Nic. Choć raz w życiu... słuchaj.
- Dobrze. Co chcesz, żebym zrobił?

- Spróbuj znaleźć jej dom, gdzie... będą dla niej... mili. Pracowałem już nad tym - przerwał na parę chwil. Marty nie był pewien, czy ojciec będzie w stanie coś jeszcze powiedzieć. Łapczywie chwycił powietrze otwartymi ustami.

- Mamie to się nie spodoba, tato.

-Jest... zimną suką - powiedział z trudem. - Nie powinienem był... pozwolić, żeby traktowała Emmę-Jean... w taki sposób. - Zamknął oczy, po chwili znów je otworzył.

- Odpocznij chwilę, tato.

- Nie ma czasu. Jest... takie miejsce w Dallas... Zakład. Nikt nie będzie wiedział. Na nazwisko Conroy... nie spadnie wstyd.

- Zajmę się tym. Nie musisz się już martwić.

- Alice... nie będzie... - słowa te wypowiedział tak słabym głosem, że Marty nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Słucham, tato.

- Alice... nie będzie... - jego oczy znieruchomiały na twarzy Marty'ego. Przez dłoń przebiegł krótki spazm.

- Tato! Tato!

Upłynęła minuta, potem następna. W pokoju słychać było tylko cichy świst słabnącego oddechu Martina Conroya. Marty nie wiedział, jak długo klęczał przy łóżku, trzymając dłoń ojca. Gdy się ocknął, zdał sobie sprawę, że w pokoju zapanowała martwa cisza. Oczy i usta ojca pozostały otwarte.

Skończyła się walka o oddech.

- Siostro!

Marty wybiegł z pokoju, zbiegł po schodach i wpadł na werandę. W ciągu kilku krótkich godzin, jakie upłynęły od otrzymania telegramu, jego życie uległo radykalnej zmianie. Jego ojciec odszedł.

Poczuł dreszcz podniecenia. Teraz to on był głową rodu Conroyów.

O zmierzchu Johnny i Grant wrócili z farmy Dolana. Zostali tak długo, żeby skończyć odchwaszczanie pola. Wracali przez pastwisko, na krótko zatrzymując się tylko przy strumieniu, aby się umyć.

- Dolan prosił, żeby ci przekazać, że spróbuje wpaść wieczorem do Jaya - powiedział Johnny, jak tylko stanął w drzwiach. - I wiesz co? Brat Toma i Frank Hamer, ten słynny strażnik Teksasu, byli dzisiaj u niego.

- Wpadli też tutaj, żeby zobaczyć Jaya. Zjedli z nami obiad. Od razu widać, że Hod Dolan jest bratem Toma.

- A niech to! Grant, mogliśmy jeść razem z Frankiem Hamerem!

- Zapewniam, że je jak każdy inny człowiek - powiedziała Henry Ann ze śmiechem. - Boże, z tego jak o nim mówisz, można by pomyśleć, że to sam prezydent Hoover.

- Ten stary Hoover niedługo przestanie być prezydentem. Grant uważa, że Roosevelt wygra wybory. Żałuję, że jestem za młody, żeby głosować.

- Lepiej nie żałuj.

- Umyję się i skoczę wydoić krowy - Grant wlał wodę do miednicy.

- Podejrzywałam, że możecie wrócić później i sama wydoiłam.

- Chciałbym zobaczyć Franka Hamera - powiedział Johnny biorąc pajdę chleba i nakładając na talerz fasolę ugotowaną z pomidorami i ostrą papryką.

- Boże drogi! A co się stało z tym wiadrem jedzenia, które zrobiłam dla was na lunch?

- Zjedzone. - Johnny wyszczerzył zęby. Pomiedzy nim a Ciotką Dozie wyczuwało się niekłamaną sympatię. - Ależ to pyszne, Ciociu Dozie. Nie ożenię się, dopóki nie znajdę kobiety, która tak gotuje jak ty.

- Nie znajdziesz takiej i na zawsze zostaniesz kawalerem, aż zrobisz się stary i wypadną ci zęby i będziesz mógł jeść tylko kaszkę. Hi, hi, hi! Na pewno chciałbyś, żebyś zrobiła placek ze słodkich kartofli, dlatego tak mi kadzisz.

- Skoro już o tym wspomniałaś, to istotnie nie jadłem go już dobry miesiąc.

Henry Ann patrzyła na błyszczące oczy Johnny'ego, kiedy ten przekomarzał się z Ciotką Dozie. Bardzo się zmienił od czasu, kiedy przywiozła go tu cztery lata temu. Nic nie zostało z tamtego milczącego, mrukliwego chłopaka. Tak bardzo różnił się od Isabel. Wyglądał na szczęśliwego i wiedziała, że spora w tym zasługa Grama, który zdawał się przepadać za jej bratem. Miała nadzieję, że Frank Hamer i Hod Dolan nie znajdą nic złego na jego temat.

- Założę się, że Tom nie je takiej fasoli i chleba kukurydzianego - powiedział Johnny.

- Zje, jak tu przyjdzie. Chyba że nic mu nie zostawisz.

- Ta jego kobieta to... - Johnny zerknął na Jaya i zamilkł.

Henry Ann zauważyła, że Grant nie odezwał się ani razu podczas posiłku i pomyślała, że musi być zmęczony po ciężkim dniu.

- Szkoda, że nie było tu was, kiedy przyjechał Hod i pan Hamer. Vern Neal ze stacji benzynowej mówił, że zdjęcie Hamera było niedawno w gazecie.

- To prawda. Też je widziałem - powiedział. -Johnny i ja uważamy, że trzeba napęlnić zbiornik na wodę dla bydła. Jeśli w ciągu tygodnia nie spadnie deszcz, potok wyschnie na kamień.

- Na północy widać jakieś chmury.

- Ziemia jest teraz tak twarda, że jeśli przyjdzie ulewa, to woda wymyje rośliny, zanim zdąży wsiąknąć w glebę.

- Miejmy nadzieję, że to będzie łagodny deszcz - Henry Ann przeniosła naczynia ze stołu do zlewu.

- A skoro już o tym wspomnieliśmy, miejmy nadzieję, że w kraju coś zmieni się na lepsze i pracy wystarczy dla wszystkich.

- Jak by się to miało stać?

- Należy wybrać Franklina Roosevelta. Tylko on może naprawić gospodarkę.

Po posiłku Jay wyszedł na werandę z Grantem i Johnnym, a Henry Ann i Ciotka Dozie posprzątały kuchnię.

- Ci nasi panowie na pewno najedli się do syta. Hi, hi, hi. Ten chleb, co został, włożę do pieca. Pan Tom może być głodny.

- Ciekawe, czy pani Dolan w ogóle gotuje.

- Nie wiem tego, złotko. Kobieta, która nic nie robi, nie musi jeść tyle, co pracujący mężczyzna.

Kiedy Henry Ann wyszła na werandę mały Jay spał u Johnny'ego na kolanach. Po paru minutach Johnny zaniósł go do łóżka. Henry Ann zerknęła na budzik tykający na jej biurku. Dziewiąta. Było ciemno od ponad godziny. Tom już by tu był, gdyby w ogóle miał zamiar przyjść. Henry Ann nachyliła się i pocałowała jego syna w czoło, wyłączyła światło i skierowała się do drzwi na podwórze.

Ciotka Dozie siedziała na werandzie z Johnnym i Grantem niewątpliwie spodziewając się, że i ona do nich dołączy. Przez całe życie Henry Ann spędzała wieczory siedząc z ojcem na werandzie, o ile pozwalała na to pogoda. On opowiadał jej różne historie z dawnych lat. O Alamo albo spędach bydła po szlaku Chisholma, który wiódł kilka kilometrów na zachód od ich farmy.

Opowiadał jej o boomie naftowym w Healdton w 1913 roku. Dowiadywała się od niego o namiotowym mieście, gdzie mieszkali robotnicy spółek naftowych. Nazywano je Szmacianym Miastem, bo stało się siedliskiem bimbrowników, hazardzistów i prostytutek.

Wtedy wiedziała już, czym jest prostytutka i przypuszczała, że jej matka trudniła się tym fachem, choć ojciec nigdy nie dał tego do zrozumienia.

Henry Ann została wyrwana z zamyślenia, kiedy usłyszała, jak Ciotka Dozie wchodzi z werandy do domu, by udać się do łóżka. Po cichu wyszła na ganek od podwórza i stała tam opierając się o poręcz. Zapadła ciemna noc. Tylko parę gwiazd migotało między chmurami przynoszącymi obietnicę deszczu.

Stał ledwie o krok od niej, kiedy w ciemności usłyszała jego głos.

- Henry Ann? To ja, Tom.

- O Boże! Wystraszyłeś mnie.

- Tego się obawiałem.

- Jest strasznie ciemno... dziś wieczorem - nagle dech jej zaparło, a głupie serce tłukło jak tam-tam. Widziała zarys jego sylwetki. Był bez kapelusza, miał na sobie jasną koszulę rozpiętą pod szyją.

- Kiedy się zachmurzyło, pomyślałem, że może spaść deszcz, ale niebo się przeciera.

- Jay już śpi.

- Tak myślałem. Mogę na niego spojrzeć?

- Pewnie. Wejdz. Włączę światło.

Henry Ann przez chwilę błądziła po omacku, aż znalazła żarówkę wiszącą na sznurze. Nagle zapalone światło oślepiło ją na parę sekund, potem spojrzała na Toma. Był gładko ogolony, miał wilgotne włosy. Był wysoki, silny, a jednak kiedy stał tam w drzwiach, wzrokiem szukając jej oczu, wydawał się równie niepewny jak ona. Henry Ann poczuła ucisk w żołądku, ogarnęła ją panika, że jakimś sposobem on umie czytać w jej myślach.

Przeszła do sypialni. Tom szedł tuż za nią. Nikłe światło dochodzące z kuchni nieznacznie rozjaśniało pokój.

- Nie włączaj światła. Widzę go - szepnął. Stał przy łóżku i patrzył na syna. Jay spał na boku z dłonią pod policzkiem. Tom nachylił się i pogłaskał go po głowie.

Henry Ann po cichu wyszła z pokoju. Jej stopy były jak z ołowiu. Próbowwała strząsnąć z siebie to napięcie. Boże! Zachowywała się jak sfrustrowana stara panna. Zaczekała w kuchni, aż wyjdzie.

-Jadłeś kolację? - zapytała, jak tylko pojawił się w drzwiach. - Ciotka Dozie włożyła do dochówki trochę chleba i fasoli, kiedy Johnny powiedział, że być może wpadniesz.

- Dziękuję, ale już jadłem.

- Jesteś pewien? - Uniosła pokrywkę z garnka z fasolą i w całej kuchni zapachniało cebulą, papryką i pomidorami.

- Wspaniale pachnie, ale naprawdę jestem po kolacji. Poza tym powinienem chyba już wracać - spojrzeli na siebie i czas na sekundę zatrzymał się w miejscu.

- Gdyby Ciotka Dozie tu jeszcze była, nie przyjęłaby twojej odmowy do wiadomości.

Słyszac to uśmiechnął się.

- Nie przyjęłaby, to prawda.

- Będzie rozczarowana, kiedy się dowie - nie dawała za wygraną.

- Za nic nie chciałbym rozczarować Ciotki Dozie - wyszczerzył zęby, a ona ze zdumieniem zauważyła, że w jego policzkach pojawiły się dołeczki. Nie widziała ich wcześniej. Zapatrzyła się na nie na parę sekund, przez moment nie była w stanie pozbierać myśli.

- Jeśli nie masz czasu, żeby zjeść tutaj, możesz zabrać jedzenie ze sobą.

- Czas się znajdzie, a i żołądek nigdy by mi nie wybaczył, gdybym po prostu odszedł.

Zajęła się nakładaniem jedzenia na talerz. Kiedy zaczął jeść, ona usiadła po drugiej stronie stołu.

- Był tu dziś twój brat, żeby zobaczyć Jaya.

- Cieszę się, że mógł go zobaczyć - twarz Toma pojaśniała od ojcowskiej dumy.

- Jay go polubił?

- O tak. Hod opowiadał mu różne historie z czasów, kiedy obaj byliście dziećmi. Jay w końcu przestał się go wstydzić, nawet trochę z nim rozmawiał. Powiedział mu, że jest dużym chłopcem taty.

- Tak powiedział? - Tom uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Hod jest bardzo do ciebie podobny.

- Hod potrafi budzić zaufanie.

- Nie bardziej niż ty - powiedziała z przejęciem, ale zaraz zaczęła żałować, że zabrzmiało to jakby go broniła. -Kiedy ostatnio się widzieliście? - dodała prędko.

- Pięć lat temu. Tuż przed moim wyjazdem z Nebraski. Zanim się tu osiedliłem.

- Jesteście bardzo podobni... Ale to już mówiłam, prawda? - zaśmiała się nerwowo.

- Ludzie w Nebrasce mawiali, że Dolana można poznać na kilometr. Wszyscy wyglądaliśmy jak ojciec. Czarnowłosi irlandzcy katolicy, tanecznym krokiem zmierzający wprost do piekła, jak to ujął pewien stary kaznodzieja.

-Jeśli to prawda, może powinieneś zapisać się na maraton tańca - zażartowała, nagle

czując się lekko, młodo i wesoło.

- Zgodziłabyś się zostać moją partnerką?
- Niewiele tańczyłam. Czasami chodziłam z tatą na tańce.

Mówiła przeciągając słowa z wyrazistym teksańskim akcentem. Tom mógłby słuchać tego głosu godzinami, ale ona nagle zamilkła.

Skończył jeść, wstał, zebrał naczynia i sztucce i odniósł je do zlewu.

- Dziękuję za posiłek - powiedział, spoglądając na nią wzrokiem, w którym znów pojawił się smutek.

- Cieszę się, że ci smakowało.
- Zaczynam czuć się jak żebrak.
- Niepotrzebnie. Tutaj sąsiedzi zawsze pomagali sąsiadom - czując, że zaczyna się rumienić Henry Ann ciągnęła dalej. - Grant i Johnny siedzą na werandzie. Jeśli masz jeszcze trochę czasu, możemy do nich dołączyć.

- Nie. Powinienem wracać - ruszył do drzwi kuchennych.

Henry Ann sięgnęła do żarówki, wyłączyła światło i poszła za nim na ganek. Nie chciała, żeby tak prędko odchodził... Wychodząc z jasnej kuchni na ciemne podwórko, wpadła na niego i zachwiała się. Chwycił ją za ramię, żeby nie upadła.

- Przepraszam - powiedziała łapiąc oddech. - Bardzo tu ciemno.

Czując pod dłonią jej ciepłą skórę, czując jej zapach, który w mgnieniu oka wypełnił jego zmysły, Tom zdał sobie sprawę, że znalazł się w pułapce. Jak mucha, która wylądowała na lepie na muchy. Musiał spędzić z nią jeszcze parę minut. Zapominając o ostrożności i złych przeczuciach, zacisnął palce na jej ramieniu.

- Chodźmy do dębu - szepnął ponagląco.
- Ktoś może patrzeć - odparła cicho.
- Kto?
- Pete Perry, twoja... pani Dolan.
- Sprawdziłem, czy śpi, zanim wyszedłem. A Perry dostanie wycisk, jak przyłapię go na szpiegowaniu.

Henry Ann zeszła z ganku. Dłoń Toma przesunęła się pod jej ramię. Przyciągnął ją blisko do siebie. Wokół nich zamykała się ciepła, pełna zapachów ciemność. Podeszli do drzewa rosnącego na skraju podwórza. Od kiedy zeszli z ganku, szła za nim bezwolnie, aż obrócił ją twarzą do siebie. Odzyskała rozsądek, jak tylko przed jej oczami pojawiły się guziki jego koszuli.

O mój Boże! Co ja robię? Popelniam błąd On ma żonę. Jest żonaty, jest żonaty, jest

żonaty...

- Jest tyle rzeczy, o których chciałbym ci powiedzieć. Podniosła twarz, by spojrzeć w jego ciemne oczy.

- O Jayu? Westchnął głęboko.

- Jay jest tego częścią.

- Mówiłam, żebyś się o niego nie martwił. To cudowne, że tutaj jest. To naprawdę kochany chłopczyk.

- Cudowna, słodka kobieto... - te słowa wypowiedział tak cicho, że nie była pewna, czy w ogóle je usłyszała.

Nie zdając sobie sprawy, że właśnie podjął decyzję, przybliżył usta do jej ust. Był to słodki, łagodny, niespieszny pocałunek. Miała wilgotne i lekko rozchylone ze zdziwienia wargi. Przy pierwszym delikatnym dotyku jego ust ziemia usunęła się jej spod nóg. Trzymając w dłoniach jej łokcie, łagodnie przyciągnął ją do siebie i niemal jęknął, kiedy jej miękkie piersi dotknęły jego ciała, a jej gorące dłonie objęły go w pasie. Ich usta przyłgnęły do siebie.

Ta chwila zmieniła się w wieczność.

Kiedy ich usta się rozłączyły, nabrał powietrza, jakby wynurzył się z głębin. Była to nieudana próba przyniesienia ulgi walącemu jak oszalałe sercu.

Nie oburzyła się. Nie odsunęła od niego. Zanurzył twarz w jej włosach, pocałował ją w szyję. Musnął ustami jej ucho, potem policzek, poczuł, jak jej oddech przyspiesza. Ich usta spotkały się znowu w gorącym pocałunku. Rzeczywistość zniknęła w oślepiającym błysku. Zagubił się w jej urodzie, sile i dobroci. Przywarli rozpaczliwie do siebie. Jego dłonie wędrowały w górę i w dół po jej plecach, tak bardzo pragnął poczuć każdy centymetr jej ciała.

Powinien przestać! Ale nie mógł, to było silniejsze od niego!

Tom tracił panowanie nad sobą. Ale nic go to nie obchodziło. Czuł, że wymyka się sam sobie, kiedy tak stoi obejmując tę kobietę; czuł, jak stają się jednym, bo łączą się nie tylko ich ciała, lecz także umysły i dusze... A jej było... tak dobrze! Jej dłonie przesuwały się po jego plecach, doprowadzając go do najśłodszej ze wszystkich utraty zmysłów. Pił z jej ust, jakby od tego zależało jego życie.

Czas upływał niepostrzeżenie.

To szaleństwo musiało się skończyć. Tom uniósł głowę. Jej twarz wciąż nachylona była ku jego twarzy; oczy miała zamknięte. Poczł ukłucie panicznego strachu.

Czy przez to głupie zachowanie nie straci jej teraz na zawsze?

- Nie mogę powiedzieć, że... mi przykro - rzekł. – Tak bardzo tego pragnąłem.

Nieznane jej uczucie, jakiego doznawała, kiedy jego smukłe muskularne ciało przylegało do jej ciała, było tak cudowne, że tylko objęła go jeszcze mocniej.

- To dobrze - stała w jego objęciach z opuszczoną głową. Ich serca biły teraz wspólnym rytmem, nie zgadzając się na żadną rozłąkę.

Jej słodycz i bezbronność sprawiły, że poczuł się winny.

- Nie planowałem tego. Ale Boże drogi! Myślę tylko o tobie i nie mogę nic na to poradzić.

- Nie powinniśmy byli... - wypowiedziane słowa kazały jej wrócić do rzeczywistości. Odsunęła się od niego. Jego ramiona opadły, ale dłonie wolno osuwały się po jej ramionach.

- Dziś wieczorem przyszedłbym tu, choćbym musiał przejść przez dolinę grzechotników. Powtarzałem sobie, że muszę zobaczyć Jaya, ale to ciebie musiałem zobaczyć.

- To nie jest w porządku - powiedziała z naciskiem, jakby chciała przekonać samą siebie.

- Wiem. Wiem. Emma-Jean jest bezradna i chora. Chora na taką chorobę, Z którą trudno jest się pogodzić. Zraniła Jaya i czasami przez nią i ja jestem na skraju wytrzymałości, ale trzeba jej współczuć. Poza mną nie ma nikogo. Jej rodzina odwróciła się od niej. Byliby szczęśliwi, gdyby nigdy więcej nie musieli jej oglądać.

- Nie musisz... tłumaczyć.

- Muszę! - odparł gwałtownie. - Powiedziałem ci, jak doszło do tego, że ją poślubiłem. Nigdy jej nie kochałem, ani przez chwilę, ale musiałem z nią zostać i opiekować się nią. Nic nie mogę poradzić na to, co czuję do ciebie. Próbowałem to ukryć, bo wiedziałem, że to beznadziejne. A teraz wiesz i jest jeszcze gorzej. Henry Ann, spójrz na mnie. Proszę... - palcem delikatnie uniósł jej brodę do góry i spojrzał w oczy. - Złożyłem przysięgę i muszę jej dotrzymać. Jestem jej to winien. Dala mi syna.

Twarz, która nachylała się ku niej, była tą samą twarzą, o której tak długo śniła... tylko droższą.

Proszę, powiedz, że mnie kochasz. To niewypowiedziane pragnienie wstrząsnęło nią, potem nappełniło lękiem. Droga, którą podążali, wiodła do destrukcji. Kochała go i chciała, żeby i on ją kochał. O czym właściwie teraz myślała? Ludzie powiedzą, że i ona odziedziczyła po matce tę cechę, za którą matka została przeklęta.

- Co się zmieni? - poczuła jego oddech na swoich wilgotnych ustach.

- Nie rozumiem. Co miałyby się zmienić?
- Czy Jay będzie mógł u ciebie zostać? Czy ja nadal będę mógł przychodzić?
- Czemu? Oczywiście, że tak. Jay zostanie i... chcę, żebyś przychodził.

Henry Ann czuła się nadal jak odurzona doniosłością tego, co między nimi zaszło. Dotarł do niej fakt, że jest zakochana, głęboko i na zawsze, w Tomie Dolanie, żonatym mężczyźnie. Kochała jego nieokiełznaną męskość, złożoność jego charakteru i uczucie, jakim obdarzał swoje dziecko. Kochała nawet jego lojalność wobec przysięgi małżeńskiej.

To, że mógł do niej coś czuć, wydawało się jej niemal niewiarygodne. I przyszło jej do głowy, że być może to jego uczucie wynika ze zwykłej... wdzięczności. Zauważyła, że mówił o uczuciach, które względem niej żywi, ale nie powiedział, że kocha.

- Lepiej już pójdę - powiedziała ze ściśniętym gardłem.
- Nie... mogę pozwolić ci odejść, dopóki wszystkiego nie wyjaśnię.
- Nie przejmuj się tym.
- Nie przejmuj się? - powtórzył jak echo, zaciskając dłonie na jej ramionach.

-Jak mam się nie przejmować? Jesteś dla mnie wszystkim. Ty i Jay. Nigdy dotąd nie byłem zakochany. Nigdy.

- Chcesz powiedzieć... chcesz powiedzieć, że ty... - nie była w stanie zadać tego pytania. Było dla niej zbyt ważne.

- Chcę powiedzieć, że jestem w tobie zakochany, słodka, cudowna kobieto! Jestem w tobie do szaleństwa zakochany, raz na zawsze, do śmierci.

- To niemożliwe!

- Kocham cię! Oczu nie mogę od ciebie oderwać. Nie całuję kobiet tylko dlatego, że mi się po prostu podobają. O najśłodsza! Nie wiem jeszcze, co się stało, ale wiem, że oddałbym wszystko, żeby być wolnym - w ciemności nie mógł widzieć jej łez, ale wiedział, że płacze. - Nie płacz, ukochana. Nie mówiłbym ci tego wszystkiego, gdybym wiedział, że tak to przeżyjesz. Nie czujesz się choć trochę szczęśliwsza teraz, kiedy wiesz, nawet jeśli...

- Jestem szczęśliwa, że mnie kochasz. Jestem teraz szczęśliwa, ale jutro zdam sobie sprawę, jakie to beznadziejne i będę się czuła jak głupiec, bo ważyłam się marzyć o tobie.

- A zatem zależy ci na mnie? Powiedz. Nie pozwoliłabyś się pocałować ani trzymać w objęciach, gdyby ci nie zależało.

Objął ją mocno. Wtuliła twarz w zagłębienie jego szyi. Zamknął oczy i chłonał jej zapach. Taka właśnie powinna być kobieta: dobra i piękna, mądra i czuła. Nigdy dotąd nie

kwestionował mądrości Bożej, ale jak Bóg mógł pozwolić im się odnaleźć, a z drugiej strony utrzymywać między nimi przeszkodę nie do pokonania w postaci Emmy-Jean.

- Chciałem cię pocałować od pierwszej chwili, kiedyśmy się poznali. Nosiłaś ten zabójczy kapelusz i próbowałaś nie tracić cierpliwości do Isabel. Potem na drugi dzień rano po śmierci twojego ojca, kiedy rąbałem drewno i zobaczyłem, jak idziesz przez podwórko w moją stronę, poczułem, że jesteśmy jakoś połączeni i że to los kazał nam się spotkać.

- Nigdy nie wyobrażałam sobie, że miłość może być tak skomplikowana; że kiedy pokocham wreszcie mężczyznę, on będzie już żonaty.

Tom czuł jej ciepły wilgotny oddech na szyi.

- To się nie może powtórzyć. Słyszając to westchnął ciężko.

- Nie mogę ci tego obiecać, kochana.

Uczucia, których nie była w stanie wyrazić, dławili ją i wprawiały umysł w odrętwienie. W jego ramionach bezmyślnie poddawała się jego sile, uwielbiając bliskość tego ciepłego twardego ciała. Nigdy nie czuła się tak bezpieczna, tak uwielbiana.

To wszystko, co kiedykolwiek mogę mieć. Wkrótce i to minie. Przynajmniej będzie co wspominać.

Tom odchylił się, a potem pocałował ją w czoło. Jego dłoń przesunęła się ku górze i głaskała jej kark pod linią włosów,

- Wracaj do domu, kochana. Zostanę tutaj, dopóki nie wejdiesz do środka.

- Kiedy wrócisz?

- Chcesz, żebym wrócił?

- Tak... i nie. Och tak!

- Nie wytrzymałbym z dala od ciebie.

Henry Ann wyczuwała drżenie jego ramion i intensywność uczucia w jego głosie. Niepohamowany impuls kazał jej przycisnąć usta do jego policzka. Zwrócił twarz w jej stronę i w jednej chwili jego usta znalazły się na jej ustach, próbując nasycić ich wspólny głód. Stała tam bez tchu. Teraz byli sami na całym świecie. Przywarła do niego mocniej, ich usta połączyło niecierpliwe pragnienie, przyjemność wznosiła się i opadała złocistą falą, gdy pocałunek trwał i trwał. Kiedy Tom przywarł zachłannie do jej warg, a jego język w ognistym dotyku spotkał się z jej językiem, Henry Ann zadrzała z rozkoszy. Uniósł głowę, a ona spojrzała w jego ciemne, błyszczące oczy.

- Chcę myśleć, że jesteś moją żoną, partnerką i kochanką. Proszę pozwól mi...

- To beznadziejne! Tak... nie może być - szepnęła.

- Może! W naszych sercach.

Henry Ann zamknęła oczy, czując się w jego ramionach jak w zaklętym kręgu. Nigdy dotąd nie doznała takiej magii, takiej bliskości. Kiedy uniosła twarz, jego usta już czekały na jej usta i ofiarowały im słodką pieśczęć, dając im tyle, ile od nich brały.

- Nie miałem zamiaru tak cię całować - spojrzał na nią i zobaczył jej oczy błyszczące od łez.

- Cieszę się, że... to zrobiłeś.

Znowu pochylił się ku niej. Na pożegnanie pocałował ją raz jeszcze, a był to czuły i bardzo słodki pocałunek. Wypuścił ją z objęć, ale przytrzymał jej dłoń, kiedy odsuwała się od niego z oczami znieruchomiałymi na jego twarzy. W końcu puścił jej rękę. Odwróciła się i prawie pobiegła do domu. Na ganku obejrzała się jeszcze, ale podwórze tonęło w zbyt wielkich ciemnościach, by mogła go zobaczyć. Mimo to wiedziała, że on tam stoi i pragnie jej równie mocno, jak ona pragnęła jego.

15

Wiadomość o śmierci Martina Conroya znalazła się na pierwszej stronie gazety w Conroy. Ku niezadowoleniu Alice Conroy, gazeta w Wichita Falls zamieściła tylko niewielką wzmiankę. Alice postanowiła, że ceremonia pogrzebowa, która miała odbyć się dwa dni później, otrzyma bogatą oprawę. Zdecydowała, że Emmę-Jean zawiadomi, jak będzie po wszystkim.

- Na pewno urządziłaby jakąś scenę - powiedziała do syna. - Przywiozłaby ze sobą tego wstrętnego bachora i tego przykurzonego wieśniaka, który jest jej mężem. Jej nieodpowiedzialne zachowanie mogłoby wszystko zepsuć. Wyobraź sobie, co ludzie by powiedzieli.

Dla Marty'ego, który wciąż był oszołomiony zmianą swojej pozycji w rodzinie, było jeszcze za wcześnie na przejęcie całej władzy, jaka stała się jego udziałem po śmierci ojca. Pozwalał więc matce podejmować konieczne decyzje. Ceremonia odbyła się w kościele wypełnionym żałobnikami i zwykłymi gapiami, co to nie mając nic lepszego do roboty, przyszedli posłuchać kwiecistych przemówień i śpiewaków sprowadzonych aż z Wichita Falls.

Alice Conroy, w eleganckiej czerni, z cienką woalką spływającą z kapelusza o szerokim rondzie na ramiona, wspaniale odgrywała rolę grandę damę. Zachowując królewski dystans, była uosobieniem cichej godności. Z Martinem juniorem u boku wyprowadziła procesję z kościoła na cmentarz, gdzie jej mąż został złożony obok swego ojca i dziadka w

rodzinnym grobowcu Conroyów.

Po pogrzebie dostojnicy powiatowi i stanowi oraz bliscy przyjaciele zostali zaproszeni do posiadłości Conroyów na obiad ku czci zmarłego. Marty, stojąc obok matki, witał przybyłych; kiedy wychodzili, zęgnął ich jako pan domu. Cieszył się, kiedy ostatni goście opuścili dom.

Rodziny prawnik czekał w gabinecie, by odczytać testament zmarłego.

Firma Shellenbergów, najstarsza firma prawnicza w północnym Teksasie, zarządzała majątkiem Conroyów od 1860 roku. Pradziadek Conroy był bliskim przyjacielem Stuarta Schellenberga, który ustanowił fundusz powierniczy. Obecnie firmą kierował prawnik Stuarta, Luther Schellenberg.

Luther, niski mężczyzna o wyrazistych rysach, wyjął z teczki plik papierów i położył go na biurku. Rozumiejąc wagę tej chwili, zerknął najpierw na Marty'ego, później na panią Conroy stojącą przy oknie. Nerwowo zatarł ręce.

- Nie widziałem panny Emmy-Jean na ceremonii. Jest chora?

- Tak - Alice Conroy wypowiedziała to słowo ostrym, choć cichym tonem.

- Przykro mi to słyszeć. Cóż... W takim razie zaczynamy. Wiecie państwo o funduszu powierniczym, ograniczę się więc do tego, co państwa bezpośrednio dotyczy. Przed kilku miesiącami Martin pojawił się w naszym biurze, by wprowadzić pewne zmiany do testamentu - przerwał, bo pani Conroy przeszła na środek pokoju i patrzyła na niego marszcząc brwi.

- Co zrobił? - zapytała tonem niekwestionowanej wyższości.

- Przyszedł do biura...

- Już pan to mówił. Fundusz jest wypłacalny?

- Oczywiście. Większa część dorocznej wypłaty przypadnie Marty'emu jako jedynemu męskiemu spadkobiercy, z tym jednak zastrzeżeniem, że ma troszczyć się o panią do końca pani życia.

- Tego się spodziewałam. To jeden z warunków funduszu. A co z jego osobistym majątkiem, który przecież powinien być znaczny?

- I jest. Dom przypada pani dożywotnio. Po pani przejmie go Marty. Jedną trzecią majątku otrzyma pani, wdowa po Martinie. Pozostałe dwie trzecie zostaną podzielone między jego dzieci, Martina juniora i Emmę-Jean.

- Emma-Jean? - na krótką chwilę na twarzy Alice Conroy zagościł wyraz wstrętu. Wyprostowała się, przechyliła głowę i spojrzała z góry na Luthera Schellenberga, mimo że byli tego samego wzrostu. - Czy nowy testament został spisany niedawno?

- Jak już mówiłem, parę miesięcy temu.
- Dalej. Jakie jeszcze głupstwo popełnił Martin?

Pan Schellenberg spojrział na Marty'ego. Zachowanie pani Conroy sprawiało, że czuł się zażenowany.

- Pan Conroy wprowadził do funduszu klauzulę, którą musieli zaakceptować członkowie rady nadzorczej. Zrobiłem kilka kopii testamentu i kodycyłu, żebyście państwo sami mogli się zapoznać z tym dokumentem.

- Jaki to warunek? - pani Conroy nie przyjęła dokumentu, który jej podano.
- Z dorocznej sumy dziesięciu tysięcy dolarów przypadającej z funduszu, dwa tysiące pięćset ma być przeznaczone na opiekę nad Emmą-Jean w prywatnym sanatorium, gdyby trzeba było ją tam umieścić.

Pani Conroy prychnęła z niedowierzaniem. Jej twarz poczerwieniała. Kiedy w końcu się odezwała, jej głos brzmiał piskliwie.

- To niedorzeczne! To obraza rodziny.
- Martin wyjaśnił członkom rady, że jego córka bywa niekiedy...
- Podenerwowana - przerwała Alice. - Bywa po prostu podenerwowana. Wielu kobietom to się zdarza. Jest mężatką, ma dziecko, mieszka w Oklahomie.
- Ojciec chciał mieć pewność, że Emma-Jean znajdzie się pod dobrą opieką, gdyby coś się stało, matko.

- A ty skąd możesz wiedzieć, czego chciał Martin? - Alice spojrzała na syna gniewnie marszcząc brwi. Chciała go skarcić, że w ogóle śmie zabierać głos w tej sprawie. Potem zwróciła się do młodego prawnika. - On nie miał prawa wprowadzać tych uzgodnień za moimi plecami.

- Miał takie prawo, pani Conroy - odparł Luther pewnym tonem. - Prawo i członkowie rady są po jego stronie. Wątpię, by udało się pani sędownie zmienić tę decyzję.

- A kto miałby zarządzać sprawami Emmy-Jean?
- Pan Conroy chciał, żeby zajął się tym Marty - powiedział Luther. Był zadowolony, że Conroy uprzedził ich, że jego żona może źle przyjąć jego decyzje.
- Marty? Przecież on nie poradzi sobie nawet z tym, co Martin zostawił jemu.
- Poradzę sobie, matko - zapewnił Marty. - Jeśli będzie to konieczne.
- Czy coś jeszcze, panie Schellenberg? - zapytała chłodno Alice.
- Nie, proszę pani. Kopie testamentu zostawię na biurku.
- A zatem proszę mi wybaczyć. Mam parę spraw do załatwienia.

Kiedy pani Conroy wyszła z pokoju, Luther ułożył równo dwa pliki dokumentów na

biurku i zamknął teczkę.

- Przykro mi, że się zdenerwowała, ale pan Conroy dokładnie omówił te warunki z członkami rady. Przyjęli je bez zastrzeżeń. To nie ja sugerowałem te rozwiązania.

- Z matką będzie wszystko w porządku. Utrata męża była dla niej wstrząsem.

- Cóż, pożegnaliśmy się już, chyba że ma pan jeszcze jakieś pytania.

- Jak ma wyglądać obsługa pieniędzy przeznaczonych dla Emmy-Jean?

- Pozostaną pod zarządem rady do czasu, kiedy uzna pan, że zachodzi konieczność wykorzystania ich na rzecz pańskiej siostry. Wtedy stawi się pan przed członkami rady i złoży oficjalny wniosek. Zostało to omówione w testamencie.

- A gdyby nie było konieczności wykorzystania tych pieniędzy, co się z nimi stanie?

- Pula będzie rosła. A w przyszłości, gdyby rada doszła do wniosku, że pańska siostra jest w stanie sama gospodarować tymi pieniędzmi, zostaną jej przekazane. Gdyby zmarła, dodatkowy zapis w testamencie zostanie automatycznie uchylony i będzie pan otrzymywał pełną roczną wypłatę z funduszu. Jej spadek, jedna trzecia osobistego majątku pana Conroya, zostanie umieszczony w funduszu powierniczym na jej nazwisko i zostanie wykorzystany na jej rzecz wedle pańskiego uznania. I znowu, w przypadku jej śmierci fundusz powierniczy przechodzi na jej syna i znajduje się pod pańskim zarządem. Pan Conroy nie życzył sobie, żeby jej mąż uzyskał kontrolę nad tymi pieniędzmi.

- Tata wiedział, co robi - Marty podał dłoń prawnikowi, po czym odprowadził go do drzwi.

- Proszę przyjść do biura. Powinien pan podpisać kilka dokumentów, zanim będę mógł zrealizować testament - Schellenberg starannie umieścił kapelusz na głowie, - A swoją drogą to dziwne, jak zeszyły się losy naszych pradziadków, prawda?

- Tak. Tata mówił mi o tym. Dobrze, że się wtedy nie pozabijali o tę beczkę whisky.

- Ja też się cieszę.

Schellenberg wsiadł do samochodu i ruszył. Marty stał na werandzie i patrzył, jak odjeżdża. Nie był aż tak jak matka zaszokowany faktem, że ojciec zostawił pieniądze Emmie--Jean. Nie powiedział Alice, co usłyszał od ojca, bo wiedział, że to by ją tylko dodatkowo rozgniewało.

Z niechęcią myślał o powrocie do domu i rozmowie z matką. Była wściekła na ojca, że bez jej wiedzy spotkał się z członkami rady i wyjawiał rodzinny sekret, tak wstydliwie strzeżony latami. Wścieka się, że wiedzą o chorobie Emmy--Jean. Marty jednego był pewien:

matka zrobi wszystko, żeby Emma-Jean nie zobaczyła ani centa z pieniędzy, które zostawił jej ojciec. On sam również nie był mile zaskoczony faktem, że jego szalona siostra dostała aż tyle, ale wiedział też, że da się temu jakoś zaradzić.

Gwizdząc pod nosem wrócił do gabinetu, który należał teraz do niego.

Nerwy Henry Ann miała napięte jak postronki. Minął już tydzień odkąd Tom po raz ostatni ich odwiedził. Jay stał się częścią rodziny Henrych i coraz rzadziej wspominał nawet o tacie. Johnny i Grant mówili, że widzieli panią Dolan, jak szła wzdłuż ogrodzenia w kierunku potoku. Wkrótce potem widzieli ją z Tomem: prowadził ją z powrotem do domu.

Były chwile, kiedy Henry Ann zastanawiała się, czy Tom nie żałuje, że ją całował. Czy nie żałował wyznania, że jest w niej do szaleństwa zakochany. Odtwarzała w pamięci każde słowo, które wtedy wypowiedział. Wystarczyło, że zamknęła oczy, a znowu czuła dotyk jego ust na swoich ustach. Dzięki Bogu była to pora robienia weków. Henry Ann cieszyła się, że ma tyle roboty. Dzięki temu mogła oderwać się od własnych myśli.

Słoje marynowanych brzoskwiń i gruszek zapełniały półki w piwnicy. Wekowali zieloną fasolkę umieszczając po sześć słoików na raz w gorącej kąpiel, żeby się zassały. W ten sam sposób wekowano pomidory i ziarno kukurydzy. W kuchni było gorąco jak w piecu, mimo że używali naftowej kuchenki na werandzie. W piątek rano Henry Ann skończyła zrywać fasolę. Kiedy wychodziła z ogrodu, Johnny zjechał konno na podwórze. Razem z Grantem ogradzali drutem niewielkie pole kukurydzy nad potokiem, żeby uchronić je przed pasącymi się tam wołami. Johnny zeskoczył z konia i wszedł do domu. Już po tym, jak się poruszał, widać było, że coś go rozgniewało. Henry Ann poszła za nim i natknęła się na niego w drzwiach, kiedy wychodził ze strzelbą w dłoniach.

- Co się dzieje? Po co ci ta strzelba?
- Zarżnięto nam jeszcze dwa woły. Jadę nad Błotnisty Potok.
- Skąd wiesz, że to oni?
- Jestem pewien, że to Pete i ta jego paczka. Widać ze śladów, że oprócz samochodu był tam podkuty koń. Nie ujdzie im to na sucho.
- Gdzie jest Grant?
- Grodzi kukurydzę.
- Nie chcę, żebyś jechał nad Błotnisty Potok, Johnny. Jedź do szeryfa.
- On palcem nie kiwnie.
- Czy Grant wie, co chcesz zrobić?

- Nie mówiłem mu.

-Jeśli nadal wybierasz się nad Błotnisty Potok, jadę z tobą. Wyprowadź samochód, zmienię tylko sukienkę.

- Siostrzyczko, nie chcę, żebyś się w to mieszała.

- Woły należą do nas obojga. Isabel, jeśli nadal tam jest, może twierdzić, że odbierała swoją część. Jadę z tobą.

- Zaprowadzę konia do stajni.

Piętnaście minut później przebrana Henry Ann wsiadła do samochodu. Spojrzała na zaciętą twarz brata mając nadzieję, że jego gniew ostygnie, zanim dojadą do Perrych. Kiedy mijali farmę Dolana, Henry Ann rozejrzała się za Tomem, ale nie było go nigdzie widać. Domostwo wyglądało na opuszczone.

Johnny skręcił w polną drogę, na której trawa była tak wysoka, że drapała podwozie samochodu. Henry Ann nie była nad Błotnistym Potokiem od dzieciństwa, dlatego widok śmieci porozwalanych wzdłuż drogi i na podwórzu domu, przed który zajechali, naprawdę nią wstrząsnął.

- Kto tu mieszka?

- Grubas Perry i jego matka. To łajdak i głupiec.

Kury rozbiegły się gniewnie pogdakując, kiedy Johnny zahamował przed werandą. Nacisnął klakson parę razy, zanim z domu wytoczył się otyły mężczyzna. Zatrzymał się na werandzie i podrapał obiema rękami po brzuchu, potem zszedł po schodkach i zbliżył do samochodu.

- Siemasz, Johnny.

- Przyjechałem, żeby cię ostrzec, Gruby. Jeśli dowiem się, że maczałeś palce w zarzynaniu naszych wołów, albo żeś jadł z nich mięso, to którejs nocy obudzisz się myśląc, żeś trafił wprost do piekła. Po tym, jak ta twoja chałupa spali ci się nad głową, i z ciebie nic nie zostanie. Może tylko wielka tłusta plama.

- Hola, hola! Co to za gadka w ustach czerwonoskórego! Czerwonoskórego, za którym do tego nikt nie stoi - świńskie oczka Grubego zezowały na Henry Ann.

- Nie potrzebuję wsparcia, żeby przyjść tu którejs nocy i spalić tę chałupę do szczytu.

- Tylko spróbuj, synku, a będziesz miał wszystkich Pearych na karku - Grubas nachylił się i spojrzał z góry na nogi Henry Ann. - Czy ty aby nie jesteś córką Eda Henry'ego i Dorene?

- Tak - odparła chłodno Henry Ann. - Jestem córką Eda Henry'ego. A to jest mój

brat i, jak to ująłeś, „stoję za nim” w stu procentach.

- Brat, powiadasz?

- Tak, brat. I prawdziwy mężczyzna. Dlatego uważaj, co mówisz.

- Hi, hi, hi! Ognista jesteś, co? Prawie tak ognista jak Isabel. Od razu widać, że z Perrych.

- Żałuję tego.

- Zapamiętaj moje słowa, Gruby. Trzymaj się z dala od wołowiny Henrych - Johnny nacisnął na gaz. Samochód ostro ruszył, a błotnik, ocierając się o Grubego, omal nie zwałił go z nóg. Motor zagłuszył przekleństwa, jakie posypały się za nimi.

- Co za obleśny typek!

- Jest głupi. Na własną rękę nic nie zacznie, ale gdyby Pete powiedział mu, żeby wetknął głowę do ognia, to on to zrobi. Następne obejście należy do Hardy'ego Perry'ego. Tu mieszka Pete.

Oprócz szczekania uwiązanych psów Henry Ann usłyszała muzykę. Zatrzymali się przed domem i Johnny nacisnął klakson. Muzyka ucichła, a w drzwiach stanął mężczyzna z szopą gęstych siwych włosów na głowie.

- Czego chcecie?

- Gdzie jest Pete?

- A skąd ja mam wiedzieć? Wyszedł dawno temu - mężczyzna wyszedł na werandę i popatrzył uważnie na Henry Ann. - A czegoż to Panna Bogata-Dziwka Henry tutaj szuka? Przyjechała do biednych Perrych z wizytą? Przyjechałaś potańczyć, złotko?

- Nie - Henry Ann spojrzała nad jego ramieniem w stronę drzwi, w których właśnie pojawiła się Isabel. Miała krótko obcięte włosy. Z umalowaną twarzą i ubrana w krótką sukienkę była zadziwiająco podobna do matki. Henry Ann poczuła coś w rodzaju litości dla tej głupiej dziewczuchy. - Witaj, Isabel.

- Możecie się stąd wynosić. Nie wrócę tam, chyba że po to, żeby wziąć co moje - stanęła obok Hardy'ego. Ten objął ją i przyciągnął do siebie. Przytuliła się do niego.

- Znowu ktoś zarznął dwa nasze woły, Hardy - powiedział Johnny ignorując Isabel.

- Czemu mi to mówisz?

- Mówię o tym, bo jeśli okaże się, że mieliście z tym coś wspólnego, skrzyknę wszystkich, którzy stracili woły i będziecie mieli na karku tłum, co nie zechce poczekać na szeryfa.

- On nic nie zrobi, Hardy - powiedziała Isabel. - Tylko tak gada, żeby się przed

nią popisać.

- Nie kłopotz swojej małej ślicznej główki, złotko. Wracaj do domu i wybierz płytę, to zaraz potańczymy.

Isabel przytuliła się mocniej do Hardy'ego i patrzyła zadowolona z siebie na Henry Ann.

- Dostałaś już pismo od mojego prawnika, Panno Bogata-Dziwko Henry?

- Nie. Pewnie twój prawnik dostał pismo od mojego prawnika i podwinął ogon - litość, jaką przez chwilę czuła dla Isabel, wyparowała jak kamfora.

- Powtórz Pete'owi, co powiedziałem - Johnny włączył silnik.

- Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym na chwilkę wpadł do ciebie? - rzucił Hardy w stronę Henry Ann.

- Nigdy niczego nie byłam tak pewna.

Samochód zawrócił i odjechał wznosząc obłok kurzu. Johnny zgrzytnął zębami. Gdyby nie było z nim Henry Ann, rozejrzałby się za śladami świeżego mięsa. Obiecał sobie, że wróci tu któreś nocy i sprawdzi, czy nie da się tu znaleźć jakiegoś śladu.

Minęli Jude'a, który wracał z pastwiska z warczącym psem na smyczy.

- Kto to?

- Jude Perry. Jedyne porządne Perry nad całym Błotnistym Potokiem - wycodził gniewnie Johnny.

- Brat Pete'a.

- Przestanie być taki porządny, jeśli tu zostanie.

- Lubisz go?

- On nie jest taki jak reszta. Zależy mu, żeby coś zrobić ze swoim życiem.

- Chcesz powiedzieć, że nie chce być taki jak jego starszy brat?

- Z całą pewnością nie.

- Isabel na dobre zamieszkała u Perrych.

- Mówiłem ci, że tak będzie. Jej ojciec był śmieciem - Johnny zamilkł na dłuższą chwilę. Dopiero gdy znaleźli się blisko domu, znów się odezwał. - Ed powiedział mi, że nawet jeśli mama była... tym, czym była, mam w sobie również krew ojca. Czerokezi, powiedział, to dumne plemię. I że sam mogę zdecydować, jakim chcę być człowiekiem.

- Skąd wiedział, że twój ojciec był Czerokezem?

- Byłem zbyt głupi, żeby o to pytać i żeby posłuchać jego rady.

- Chciałabym, żeby mógł cię teraz zobaczyć. Dzisiaj byłam z ciebie bardzo dumna, Johnny.

- Cóż, żałuję, że nie mogę powiedzieć Edowi, jak mi przykro, że wtedy go nie słuchałem.

Jude zaczekał, aż samochód go minie, potem ruszył do domu i wpuścił psa do klatki. Cholerna Victorla grała piosenkę, którą słyszał już ze sto razy.

Stary tańczył z Isabel. Jude prychnął z niesmakiem. Była na tyle głupia, żeby myśleć, że jej szanse u Pete'a wzrosną, jeśli najpierw ugłaska starego. Igrała z ogniem. Pete nigdy nie związałby się z taką jak ona. Jude podejrzewał, że jego brat afiszował się z młodą dziewczyną przed Hardym, wiedząc, że ten będzie chciał pójść z nią do łóżka. Trudno było przewidzieć, jak długo Hardy zachowa wstrzemięźliwość. To nie w jego stylu mieć pod ręką młodą pannę i nie dobrać się do niej.

Jude wszedł z podwórza prosto do kuchni. Dom wypełniała muzyka. Podeszedł do drzwi i zajrzał do pokoju. Isabel tańczyła z Hardym opierając głowę na jego ramieniu, jego dłoń spoczywała na jej pośladku. Jude wiedział, że niebawem przestanie to Hardy'emu wystarczać. Podeszedł do patelni stojącej na kuchni, ukroił sobie plaster pieczonej wołowiny i wyszedł z nim na schody. Pete i jego kumple bardzo się rozzuchwalili. Zabijali coraz więcej cudzych wołów i sprzedawali mięso sklepom w Wichita Falls. Dwa ostatnie niewątpliwie pochodziły z farmy Henrych. Pewnie dlatego przyjechał tu Johnny z panną Henry.

Na podwórze wjechał Pete, zsiadł z konia i przywiązał go przy zbiorniku na wodę. Najwyraźniej nie miał zamiaru zostać, bo nie wprowadził konia do zagrody i nie zdjął siodła.

- Widziałem, że Henry Ann i Johnny stąd wyjeżdżali. Czego chcieli? - zapytał idąc szybkim krokiem do domu.

Jude zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział:

- Nie wiem. Nie było mnie tu.
- Weszła do domu?
- Mówiłem ci, że mnie tu nie było. Głuchy jesteś?

Pete wskoczył na werandę i wszedł do domu. Podeszedł prosto do Victorli i zdjął igłę z płyty.

- Czemu to zrobiłeś? - warknął Hardy.
- Niedługo będziesz słuchał tych płyt, jak tak dalej pójdzie. Co Henry Ann tu robiła? Weszła do domu? Widziała ten kawał mięsa na kuchni?
- Nawet z samochodu nie wysiadła.
- Po co tu przyjechała?
- Przyjechała, bo Johnny myśli, że kradniesz ich wołowinę. Stracili dwa woły

zeszłej nocy - Hardy wciąż tańczył, choć muzyka została wyłączona.

- Dwa? Niech to szlag! Jeśli Sandy ubił coś na własną rękę, nakopię mu do dupy
- warknął Pete. - Co mówiła Henry Ann?

- Czekaj, niech no się zastanowię. Pamiętasz, co ona mówiła, złotko? - Hardy przestał tańczyć, ale nadal obejmował Isabel.

- Powiedziała „Witaj, Isabel” - Isabel zachichotała.

- Nie bądź taka mądra, kręcidupko - Pete nerwowo przeczesał palcami włosy. -
Co ona mówiła, Hardy?

- Niewiele. To Johnny mówił. Powiedział, że wie, że to ty i twoi kumple kradniecie wołowinę i że skrzyknie ludzi przeciwko wam, jeśli nie przestaniecie.

- Gówno prawda. On nic nie wie.

- Uderzasz do Henry Ann Henry, co chłopcze? A niech mnie! Ta panienka podnosi ci fiuta na baczość - klepnął się po udzie. - Lepiej uważaj, bo ci od tego jaja zamarzną.

- Lepiej się zamknij - warknął Pete.

- Chłopcze, jak mężczyźnie fiut twardnieje, mózg mu zaraz mięknie. Ta dziewczyna ma cię za nic.

- Zamknij się! I nie próbuj dobierać się do Isabel. Dmuchniesz ją, a potem będzie rzygała podczas maratonu. Jeszcze parę tygodni. Niech je dużo wołowiny i się wysypia.

- A kto dostarczy towar w czasie maratonu? Sam nie dam rady.

- Jude się tym zajmie.

- Niczym się nie zajmę - powiedział Jude stając w drzwiach.

- Zajmiesz się, jeśli ci powiem, że masz się zająć - Pete obrócił się do młodszego brata. - Zastąpisz mnie i będziesz pracował z Hardym, kiedy mnie nie będzie.

- Nie mam zamiaru dostarczać twojego bimbru. Mówiłem ci już, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- Jeszcze zobaczymy. Coś mi się wydaje, że za bardzo się stawiasz - Pete mówił nadzwyczaj cichym głosem.

Nagle jego pięść wystrzeliła z szybkością błyskawicy. Cios zwałił Jude'a na podłogę. Z jego rozciętych ust ciekła krew. Leżał tam potrząsając głową.

- Nie mów mi więcej, czego nie masz zamiaru robić - Pete stał nad nim gotów uderzyć jeszcze raz, gdyby ten próbował wstać.

- Zostaw go - zagrzmiał Hardy.

Pete obrócił się i cofnął pięść. - Chcesz się ze mną spróbować, stary człowieku?

Hardy stanął w pogotowiu.

- Jeśli będę musiał.

- Nigdy nie pozwalałeś mi odszczekiwać. Tylko spójrz na niego. Duży mięczak, synek tatusia. Nie biłby się nawet, gdyby mu kazali zjeść gówno.

- Co cię gryzie do diabła? - warknął Hardy. - Zachowujesz się jak byk z piekącym fiutem.

- Bokiem mi już wychodzi ten dom.

- Nie masz prawa tak traktować Jude'a - wrzasnęła Isabel.

- Zamknij się, kurwo! - Jude skoczył na równe nogi. - Nie potrzebuję twojej pomocy. - Ruszył w stronę drzwi.

- Czekaj no, Jude - Hardy zastąpił mu drogę. - Nie powinieneś tak się odzywać do Isabel. Nie jest kurwą.

- Jeszcze nie jest - odparł Jude, wyminął ojca i wyszedł na dwór.

- No proszę, proszę - na twarzy Pete'a pojawił się uśmiezek. - Czyżbyś miał chętkę na moją dziewczynę, tato?

Isabel patrzyła to na jednego, to na drugiego. Poczowała dreszcz podniecenia.

Zarówno ojciec jak i syn mieli na nią ochotę! Nawet mamie nie zdarzyło się coś takiego. Spojrzała na Hardy'ego. Był wściekły. Schwyciła go obiema rękami za ramię i zajrzała w oczy, jakby był dla niej kimś najważniejszym na świecie.

- Lubię z tobą tańczyć, Hardy - powiedziała lekko urażonym tonem. - Dobrze się razem bawimy. Co w tym złego?

- Nic a nic, złotko.

- Nic a nic, złotko - powtórzył jak echo Pete i lekko trącił Isabel pięścią w brodę. - Ocieraj się o mojego ojca, ile chcesz, ale uważaj, żebyś nie straciła cnoty, bo tobie tyłek skroję pasem, a starszemu panu dam sztachetą po łbie.

Johnny i Grant ukończyli wieczorne obrządki i ledwie zdążyli dotrzeć do werandy, niebo się otworzyło i spadł ulewny deszcz. Z ciemnych chmur leciały na ziemię unoszone wiatrem płachty wody, które od kilku godzin zbierały się na niebie. Shepa zaskowyczał i

przywarła do nóg Johnny'ego.

- Nareszcie pada - Henry Ann stała na werandzie i wdychała świeże od deszczu powietrze.

- Na pewno się przyda. Pastwisko wyschło na amen -Johnny wszedł do domu za Henry Ann, wpuszczając przodem Shepę, która ze strachu przed burzą wpełzła za kuchenkę.

- Po tej żarówce może przejść błyskawica - wyjaśniła Ciotka Dozie, wyłączając światło elektryczne i zapalając lampę naftową.

- Tak to właśnie jest w południowej Oklahomie - Grant powiesił ręcznik na kołku. - Nie pada przez miesiąc, a potem mamy potop.

- Ziemia jest twarda jak kamień. Obawiam się, że woda może wymyć rośliny - Henry Ann postawiła na stole miskę kartofli.

- Nie wydaje mi się, by mogła zaszkodzić bawełnie. Krzaki rosną na piaszczystej glebie. A pastwisko wchłonie całą wodę i będziemy mieli świetną trawę.

- Tata mówił, że chyba daruje sobie bawełnę i zmieni pola na pastwiska. Twierdził, że przyszłością tego regionu powinna być hodowla bydła na wołowinę.

- Prawdopodobnie miał rację.

- Na południowym zachodzie widać ciemne chmury -powiedział Johnny. - Wygląda na to, że będzie grad.

- A co... - głośnie trzaśnięcie pioruna, po którym niebo przecięła błyskawica, zagłuszyło słowa Henry Ann. Podeszła do drzwi, żeby wyjrzeć na dwór. - Myślicie, że będziemy musieli zejść do schronu przeciwburzowego?

- Jeszcze nie. Poczekamy i zobaczymy, jaki wiatr będzie z tych chmur.

- No to siadajcie i skończcie kolację. Ja pójdę po kołdry na posłanie dla tego dzieciaka, na wypadek gdybyśmy jednak musieli iść do schronu.

- Ty też siądź i coś zjedz, Ciociu Dozie - Johnny podszedł do stołu. - Będziemy mieli te chmury na oku.

- Nic mnie tak nie przeraża jak taki wiatr i błyskawice. No, może jeszcze te trąby powietrzne.

Jay podszedł do Johnny'ego i wspiał mu się na kolana. Siedział tak cicho, że Henry Ann zapomniała, że dziecko może się bać.

- Tata! - Jay spojrzał w górę na twarz Johnny'ego, a jego usta wygięły się w podkówkę, jakby miał się rozplakać. Johnny spojrzał bezradnie na Henry Ann. Ta podeszła do niego i przykucnęła. Jay natychmiast objął ją za szyję. Henry Ann wzięła małego na kolanach.

- Nie martw się o tatę. Założę się, że wygląda teraz przez drzwi i myśli o swoim małym synku. Jeśli będzie burza, to będzie mógł się schować, bo ma taki sam schron jak my.

Zanim kolacja dobiegła końca, chmury gradowe i wiatr przeszły bokiem. Na niebie widać było tylko chmury deszczowe. Deszcz padał i nic nie wskazywało na to, by miał przestać. Johnny włączył radio, by Ciotka Dozie mogła posłuchać swojej ulubionej audycji, „Amos i Andy”. Odbiornik warczał i trzeszczał, tak że nie dało się go słuchać.

- Za dużo elektryczności w powietrzu. Chyba jednak będziemy musieli posłuchać śpiewu Granta - Johnny wyłączył radio.

- Lepiej zatkaj uszy - odparł Grant biorąc gitarę i uderzając parę akordów.

- Zaśpiewaj Grant. Johnny potrafi tylko gwizdać i jodłować - zażartowała Henry Ann.

- Ktoś tu twierdzi, że nie umiem śpiewać? Po prostu nie chcę, żeby Gene Autry stracił przede mną pracę w radio.

- No dobrze, pozwól, że sami ocenimy.

*„Ramię w ramię po łące i polu,
Odprowadzam mą ukochaną do domu,
Za nami idą krowy, da-da-da...”*

Grant prychnął.

- Pies by się od tego rozchorował. On nawet nie zna słów.

Głośne pukanie do drzwi od podwórza przerwało rozmowę. Johnny zerknął na Henry Ann i wstał z krzesła. Grant postawił gitarę pod ścianą i podążył za nim. Henry Ann zaniósła śpiącego malca do sypialni, położyła do łóżka i pospieszyła do kuchni. To było niezwykle, że ktoś przyszedł o tak późnej porze.

Johnny i Grant byli na ganku, kiedy Henry Ann wróciła do kuchni. Usłyszała zmartwiony głos Toma. Serce podskoczyło jej w piersi i zaczęło bić gwałtownie.

- Strasznie mi przykro, że wyciągam was z domu w taką pogodę, ale szukałem jej wszędzie. Wyszła wczesnym popołudniem, zwykle wraca przed zmrokiem...

Tom trzymał w ręku lampę. Z jego kapelusza kapła woda. Miał na sobie kurtkę przeciwdeszczową sięgającą pasa. Jego buty były ubłocone. Henry Ann trzymała się z dala od drzwi, ale pożerała go wzrokiem.

- Tylko włożę buty i płaszcz przeciwdeszczowy - powiedział Johnny. Zdjął płaszcz z kołka na drzwiach. - Weź ten, Grant, ja wezmę drugi.

- W stodole jest jeszcze jedna lampa - Grant zarzucił płaszcz przez głowę i wyszedł na zacinający deszcz.

Kiedy Tom został sam na ganku, Henry Ann nie mogąc się oprzeć, wymknęła się na dwór, żeby побыć z nim choć przez chwilę sam na sam.

- To niedobra noc na spacer. Często to robi? - jej głos drżał ze zdenerwowania.

Tom uczynił krok w jej stronę, ale się zatrzymał. Spojrzał na nią z czułością.

- Często ucieka, ale zwykle bez trudu ją znajduję.

- Dokąd chodzi?

- Do lasu. Wymościła sobie takie niewielkie siedlisko i powoli przenosi tam swoje rzeczy. Taki dziecięcy domek. Ale nie było jej tam. U ciebie wszystko w porządku?

- Jasne. U mnie i u Jaya wszystko w porządku.

- Widziałem, jak dzisiaj przejeżdżałaś z Johnnym koło mojego domu.

- Znowu ktoś nam zarznął dwa woły! Byliśmy nad Błotnistym Potokiem.

- Nie powinnaś była tego robić!

- Wszystko dobrze poszło. Nie ma się czym martwić.

- Mnie mogliby zwinąć całe stado i nic bym o tym nie wiedział. Cały czas muszę mieć Emmę-Jean na oku.

- Jay pytał dzisiaj o ciebie. Martwił się, że coś ci się stanie podczas burzy.

- Niech to... diabli! Tęskniłem za nim. I... za tobą.

Johnny wyszedł z domu, trzymając lampę, która zwykle stała w kuchni.

- Osiodłam konia, Tom. - Ruszył pędem do stodoły. Grant wszedł na ganek. Jego lampa świeciła nikłym płomieniem.

- Powiedz, gdzie już byłeś i gdzie mamy szukać.

- Przeszedłem już w górę i w dół potoku. My moglibyśmy poszukać na pastwisku, a Johnny mógłby pojechać do lasu. Jeśli ją znajdziesz, gwizdnij dwa razy długo, raz krótko.

- Czy mogła wybrać się do miasta?

- Nigdy tam sama nie była. Boże drogi, nie przyszło mi do głowy, że mogła to zrobić. Jeśli jej nie znajdziemy, wezmę samochód i pojedę sprawdzić w mieście.

- Droga będzie teraz błotnista jak cholera. Lepiej, żeby Johnny pojechał konno.

- Spróbujmy najpierw w lesie.

Henry Ann stała na ganku, patrząc jak Tom i Grant oddalają się. Usłyszała jeszcze ich głosy, kiedy dołączył do nich Johnny na koniu.

- Ta kobieta napyta sobie biedy, jak tak się będzie szwendać.

- Powinna była wrócić, jak tylko zaczęło padać.
- Ten człowiek ma nie lada kłopot - wielkie oczy Dozie zwróciły się na Henry Ann. - Lepiej uważaj, kochana. Pamiętaj, że on ma żonę. Szaloną, bo szaloną, ale jednak żonę.

- Pamiętam.
- Coś mi się zdaje, że ona źle skończy.
- Posiedzę trochę na werandzie. Idź do łóżka, Ciociu Dozie. Zaczekam na Johnny'ego i Granta.

- Pomodłę się za tę biedną kobietę.
- Nie zapomnij o mężczyźnie, który próbuje się nią opiekować.
- Nie zapomnę, dziecko.

Henry Ann wzięła z kuchni krzesło i usiadła na ganku od podwórza. Deszcz zelżał i zmienił się w równomierny kapuśniaczek. Ciemno było jak w grobie, a ciszę przerywał jedynie odgłos kropel padających na okap. Próbowwała wyobrazić sobie, jak to jest, kiedy w deszczu zagubi się drogę. A może pani Dolan wcale się nie zgubiła. Może ukryła się gdzieś i nie chciała, by ją znaleziono.

Cóż to byłby za okrutny żart z Toma.

Johnny naciągnął wystrzępiony kapelusz na czoło, aby osłonić twarz przed wodą strząsaną przez wiatr z gałęzi. Było ciemno. Raz na jakiś czas zatrzymywał się, podnosił wysoko lampę i wołał.

- Em-ma! Em-ma-Jean!

Odpowiadała mu absolutna cisza. Ani wołania kojota, ani sowy. Koń szedł między drzewami, a oczy Johnny'ego próbowały przeniknąć ciemności poza niewielkim kręgiem światła rzucanym przez lampę. Próbował przypomnieć sobie jakieś miejsce, gdzie mogłaby się ukryć, o ile się ukrywała, albo gdzie mogła schować się przed deszczem.

Jedynym miejscem, jakie przychodziło mu do głowy, była stara, osłonięta z trzech stron buda, stojąca tam, gdzie zaczynał się las Austinów. Przechowywano w niej beczki z wodą. Przejeżdżał z Petem obok niej parę miesięcy temu. Stała opuszczona od czasu, kiedy wyschła pobliska studnia.

„Kilka lat temu przeżyłem tu parę słodkich chwil. Spotykałem się w niej z jedną panią” - przechwalał się Pete. - „Urządziliśmy sobie niezłą zabawę. Czasami

zastanawiałem się, jak długo pociągnąłby z nią jej stary, gdybym mu nie pomagał. Ostra była z niej sztuka."

„Przyłapał cię kiedyś?”

„Nie-e. Przenieśli się do Ringling" - Pete zaśmiał się głośno. - „Ma teraz kilkoro dzieciaków i słyszałem, że następane w drodze. Pewnie nadal daje na boku."

Pete lubił się przechwalać. Johnny wierzył w połowę tego, co od niego słyszał. Teraz cieszył się, że Pete opowiedział mu akurat tę historyjkę, bo bez tego nie zapamiętałby budy. Stała wprawdzie na tyle daleko od farmy Dolana, że nie było zbyt prawdopodobne, by jego żona pieszo mogła tam dotrzeć. Postanowił jednak sprawdzić,

Zawrócił konia i ruszył w tamtą stronę. Osty czepiały się jego nóg, koń z trudem znajdował drogę. Johnny był pewien, że pani Dolan sama nie zdołałaby się stąd wydostać.

Zanim dotarł do budy, deszcz zmienił się w mżawkę. Podniósł lampę i zawołał:

- Em-ma! Em-ma-Jean!
- Nienawidzę cię! - głos dobiegł z budy.

Johnny okrążył ją i poświecił lampą od wejścia. Emma--Jean siedziała w rogu z kolanami podciągniętymi pod brodę, obejmując nogi ramionami.

- Pani Dolan?
- Mówiłeś, że wrócisz.
- Proszę pani, jestem Johnny Henry. Mąż pani szuka.
- Czekałam i czekałam. Chciałam iść do domu... ale... już ciebie nie lubię! - wrzasnęła. Mokra, rozdarta sukienka kleiła się do jej ciała, mokre włosy lepiły się do policzków. Cała była w ostach. Na rękach widać było krwawiące zadrapania.

Johnny zsiadł z konia i postawił lampę na ziemi.

- Zabiorę panią do domu.
- Chcę zostać tutaj.
- Nie może pani. Musi pani wrócić do domu i zdjąć to mokre ubranie.
- Zostań tu ze mną.
- Proszę, niech pani wstanie.
- Zdejmę sukienkę.
- Nie, proszę tego nie robić - powiedział szybko Johnny. Nie wiedział, jak się ma zachować. Mówiła od rzeczy.
- Powiedziałeś, że moje cycuszki są śliczne - spojrzała na niego, jakby miała się rozpłakać. - Zrobiłam, co mi kazałeś. Dlaczego jesteś niedobry?
- Pani Dolan, to nie ja tutaj byłem. Jestem Johnny Henry.

- Co mnie to obchodzi - rozpięła stanik, ukazując piersi.
- Proszę tego nie robić. Niech pani wstanie - pociągnął ją za rękę. Podniosła się i, zanim zdążył zareagować, objęła go mocno. - Hej, chwileczkę. Niech pani przestanie.

- Nie chcesz zrobić tego jeszcze raz? - przycisnęła się do niego łonem. - Pozwolę ci to zrobić inaczej, jeśli będziesz miły.

- Proszę pani, myli mnie pani z kimś innym! - Johnny zdjął płaszcz przeciwdeszczowy i zarzucił go na jej ramiona. - Proszę włożyć tu ręce - nakazał stanowczo. Tym razem posłuchała. Zdawał sobie sprawę, że nie poradzi sobie z nią, jeśli jedną ręką będzie trzymał lampę. Zgasił więc lampę i zostawił w budzie.

- Pojedziemy do miasta?

Podniósł ją i posadził na siodle, przykazując, by trzymała się lęku. Sam wskoczył od tyłu i usadowił się za nią. Nie bardzo rozumiejąc skąd podwójny ciężar, koń zaczął tańczyć nerwowo.

- Spokojnie, spokojnie - starał się go uspokoić Johnny.

Potem, aby utrzymać Emmę-Jean w siodle, objął ją od tyłu i wreszcie zaczęli oddalać się od budy.

Siedząca bokiem Emma-Jean objęła Johnny'ego i przytuliła się mocno. Próbował nie zgubić drogi, musiał też uważać, żeby nie zsunęła się z konia. Zaczęła całować go w szyję.

- Nie powinna pani tego robić, pani Dolan! - próbował odsunąć się od niej, ale nie miał jak. - Kto był z panią w budzie?

- Mężczyzna.

- Jaki mężczyzna?

- Ty mi się bardziej podobasz. Nie uderzysz mnie, prawda?

- Czy ten mężczyzna panią bił?

- Uhm. Podciągnęłam sukienkę. On powiedział, żebym ją zdjęła. Zrobiłam to, a on szczyptał mnie w piersi, dał klapsa w pupę, a potem mi wsadził. Uderzył mnie, kiedy nie pozwoliłam mu wsadzić z drugiej strony.

Johnny był tak zszokowany, że zaczął się jąkać.

- Jjj... jak miał na imię?

- Nie wiem.

Dobry Boże! Biedny Tom. Ona jest szalona. Co on z nią pocznie?

- Czy spotkała pani... tego człowieka już wcześniej?

- W takim miejscu, do którego czasem chodzę. Wtedy był miły.

- Czy ma na imię Pete?

- Nie wiem.

Dotarli na pastwisko za farmą Henrych. Johnny włożył dwa palce do ust i zagwizdał. Odczekał trochę i zagwizdał znowu. Usłyszał odpowiedź i skierował konia w stronę nikłego światełka na skraju lasu, chcąc jak najprędzej oddać tę pomyloną kobietę jej mężowi.

Deszcz zmienił się teraz w mokrą mgłę, choć na południowym zachodzie wciąż było widać błyskawice. Zegar właśnie wybił północ. Shepa, leżąca u stóp Henry Ann, podniosła się i warknęła.

- Ktoś idzie, Shepa? - Henry Ann położyła dłoń na kudłatym łbie i jęła wpatrywać się w ciemność. Warczenie Shepy zmieniło się w powitalny skowyt, kiedy z ciemności wyłonił się Grant ze zgaszoną lampą dyndającą w dłoni.

- Grant. Znalazłeś ją?

- Johnny ją znalazł. Nic jej nie jest - Grant wszedł na werandę. - Cały się ubłociłem. Gdybyś podała mi czystą koszulę i spodnie, przebrałbym się w stodołę.

- Dam ci je i wejść do środka. Możesz przebrać się tutaj. Gdzie Johnny ją znalazł?

- W starej budzie głęboko w lesie.

- Wiem, gdzie to jest. Na ziemi Austinów. Jak ona tam trafiła?

- Może Johnny ci powie. Pomógł Tomowi odwieźć ją do domu. Lada moment powinien tu być.

Henry Ann czekała w kuchni, aż Grant przebierze się w suche ubranie. Wchodząc zostawił ubłocone buty na ganku.

- Nie ma światła - zapaliła lampę stojącą na stole.

- Na zachód stąd mogło przejść tornado.

- Idź do łóżka, Grant. Zaczekam na Johnny'ego.

- Ciężko było chodzić po błocie. Tom pewnie jest wykończony, a jeszcze musi zająć się chorą żoną.

- Myślisz, że może być... niebezpieczna?

- Trudno powiedzieć. Niektórzy zdrowi ludzie też bywają niebezpieczni. Kto wie, może bardziej niebezpieczna jest dla siebie niż dla innych. Jedno jest pewne: ten człowiek ma cholerny kłopot.

- To bardzo niedobrze - powiedziała cicho i odwróciła się, żeby nie widział jej twarzy.

- Robimy lody w niedzielę po południu. Przychodzi Karen. Zaprosiłam też Chrisa Austina z

dziewczyną - spojrzała w oczy Grantowi. – Karen jest moją najlepszą przyjaciółką.

Grant przyjrzał się jej badawczo, a w jego oczach pojawił się głęboki smutek, jaki widywała u niego już parę razy wcześniej.

- Co próbuje mi pani powiedzieć o panie Wesson?

- Nie chcę, żebyś flirtował z nią dla zabawy. Już raz się sparzyła. Musiało minąć sporo czasu zanim doszła do siebie.

- Co się stało?

- Zakochała się w pewnym mężczyźnie. Potem dowiedziała się, że on ma żonę i dwójkę dzieci.

- Był żonaty?

- Tak. Czarujący przystojniaczek, któremu wielką przyjemność sprawiało, że młode dziewczyny traciły dla niego głowę.

- Taki gość nie wart jest splunięcia.

- Też tak uważam.

- Nie jestem żonaty i nigdy nie byłem.

- Lubię cię, Grant, i to bardzo, ale... nic o tobie nie wiemy. Z tego co mówisz wynika, że masz zamiar stąd odejść.

- A gdybym chciał osiedlić się gdzieś w pobliżu, miałabyś coś przeciwko temu?

- Nic a nic. Ale... nie igraj z uczuciami Karen, proszę. Ona naprawdę jest bardzo niewinna.

- Bardziej niż ty?

- Znacznie bardziej. Moje życiowe lekcje zaczęły się, jeszcze zanim poszłam do szkoły.

- Johnny coś mi wspominał.

- On też nie miał wesołego dzieciństwa z naszą matką.

- Nie wiem, skąd to się wzięło, ale Johnny ma swoje zasady, których mocno się trzyma.

- Trudno pojąć, jak Johnny i Isabel, oboje mając za sobą tak ponure doświadczenia, mogą się tak różnić.

- Natura ludzka jest przewrotna. Znałem rabusiów i morderców, których rodzice byli poczciwymi, chodzącymi do kościoła ludźmi. - Grant potarł oczy. - Chyba muszę się położyć.

Zbyt spięta, aby pójść spać Henry Ann wyszła z powrotem na ganek, by poczekać na Johnny'ego. Odtwarzała w myślach rozmowę z Grantem. Znowu uniknęła mówienia o sobie.

Dowiedziała się jedynie, że nie jest żonaty.

Była zdumiona, jak dobrze radził sobie z życiem na farmie. Teraz uśmiechał się częściej niż na początku, ale czasami widywała w jego oczach głęboki smutek. Zastanawiała się, cóż takiego spotkało go w życiu, że znalazł się tu, gdzie się znalazł.

Tom ledwie trzymał się na nogach. Jego buty oblepione były ciężką rudą gliną, która przywarła do nich jak klej. Miał wrażenie, jakby jego stopy ważyły po kilkadziesiąt kilogramów. Człapał z trudem obok konia, który wiozł Johnny'ego i Emmę-Jean na grzbiecie.

Kiedy dotarli do domu, Johnny zaczekał na zewnątrz. Tom wszedł do środka i zapalił lampę. Zrzucił swą nieprzemakalną kurtkę i zmienił buty, potem wyszedł i wziął na ręce śpiącą Emmę-Jean, żeby wnieść ją do domu.

- Dziękuję ci, Johnny.
- Mogę jeszcze w czymś pomóc?
- Dziękuję, już i tak wiele zrobiłeś. Umyję ją trochę i położę do łóżka. Dziękuję

za pomoc.

Tom przeniósł Emmę-Jean przez kuchnię do sypialni i ułożył na łóżku. Nawet przy tak słabym świetle widział, że jej ramiona i nogi są podrapane do krwi, jej krótkie włosy - mokre i ubłocone, a jedna strona jej twarzy posiniaczona i spuchnięta.

Wiele dni temu Tom odkrył miejsce nad potokiem, wnękę w wysokim brzegu, gdzie umościła sobie schronienie. Często ją tam znajdował. Zwykle siedziała na kołdrze, którą przyniosła z domu, przeglądała się w małym lusterku, czesała włosy albo podśpiewywała sobie coś. Kiedy rano budził się, a jej nie było w domu, szedł nad brzeg potoku. Wydawało mu się, że w tej kryjówce Emmie-Jean nic nie grozi. Dziś jednak przestraszył się, kiedy zamiast Emmy-Jean znalazł tam parę spalonych zapalek i jakieś niedopałki po skrętach.

Tom wyszedł do kuchni i wrócił z miską ciepłej wody i lampą. Emma-Jean nie obudziła się, kiedy zdejmował z niej mokrą sukienkę. Niczego więcej na sobie nie miała. Zażenowany widokiem jej nagiego ciała Tom *przykrył* ją prześcieradłem i umył jej twarz i ramiona. Dotąd nie zdawał sobie sprawy jak szczupła jest jego żona. Ramiona miała cienkie jak patyki. Choć było to dla niego krępujące, umył jej łydki i uda. Na udach widać było ślady krwi i spermy, co wskazywało na to, że odbyła stosunek z mężczyzną. Jakiś drań okrutnie ją potraktował.

Johnny bez owijania w bawełnę opowiedział, jak zachowywała się i co mówiła, kiedy ją znalazł. Tom wciągnął gniewnie powietrze. Mężczyzna, który wykorzystał kobietę tak

upośledzoną psychicznie, zachował się jak zwykłe zwierzę. Gdyby wiedział, kto to zrobił, sprząłby go na kwaśne jabłko.

Do głowy przychodziły mu różne imiona. Pierwsi na liście znaleźliby się Pete Perry i jacyś jego krewniacy. Zaraz potem ten wydrwigrosz, z którym pracował Marty. Tom był szczerze zażenowany reakcją tego człowieka na awanse Emmy-Jean. Kto wie, do czego by doszło, gdyby nie zaniósł jej do samochodu.

Poza tym był jeszcze Chris Austin. To na jego ziemi stała owa buda. Emma-Jean widziała Chrisa na pokazie lotniczym. Wydawał się miłym facetem, ale jeśli kobieta zachowuje się tak prowokująco jak Emma-Jean, mężczyzna naprawdę może stracić głowę.

Mogła szwendać się po okolicy i dotrzeć do tej budy przypadkiem. Mógł sypiać w niej jakiś włóczęga. Mogła też spotkać kogoś, kto zabrał ją tam ze sobą.

Grant nie wydawał się typem mężczyzny, który mógłby zgwałcić kobietę, o ile to w ogóle był gwałt. Tak czy inaczej Tom chciałby wiedzieć, gdzie Grant spędził popołudnie. Johnny, wiedział to na pewno, cały czas był z Henry Ann. Tom zamknął oczy i wrzucił szmatkę do miednicy.

Henry Ann. O Henry Ann, moja kochana.

17

Deszcz nie tylko nawodnił pola, ale też zmienił drogi w błotniste grzęzawiska. Mimo to do niedzieli gorące czerwcowe słońce osuszyło je do tego stopnia, że Grant mógł zawieźć Henry Ann i Ciotkę Dozie do ich kościołów. Johnny został w domu z Jayem. Henry Ann nie miała pojęcia, co robił Grant podczas nabożeństwa, ale czekał na nią, gdy wychodziła z kościoła. Chciała zaczekać przy samochodzie na Karen, która miała zabrać się z nimi na farmę. Jęknęła, gdy z kościoła wyszła pani Austin i natychmiast ruszyła w ich stronę.

- Henry Ann - pani Austin spojrzała kwaśno na Granta siedzącego za kierownicą, potem uśmiechnęła się słodko do Henry Ann. - Możemy zabierać cię do kościoła, kiedy tylko zechcesz, kochanie. Johnny nie będzie musiał się tłuc, a ty zaoszczędzisz na benzynie. Wiesz, jaka jest droga. Wielu przyjaciół musiało zrezygnować z samochodów z powodu ceny benzyny.

- Dziękuję za tę propozycję, ale jak dotąd stać nas na benzynę. A Johnny czy Grant musiałby jechać tak czy owak, żeby podwieźć Ciotkę Dozie do jej kościoła. O, idzie

Karen - pomachała do przyjaciółki. - Ma wracać z nami. Miło było zamienić z panią tych kilka słów.

- Czy nadal zajmujesz się tym biednym synkiem Dolana?
- Czemu pani pyta? - Henry Ann zapytała lodowatym tonem.
- Po prostu zastanawiałam się, kochanie, czy pani Dolan nie potrzebuje pomocy.

Mogłabym wpaść do niej. Jest przecież chora, prawda?

- Czy gdyby było inaczej, musiałabym zajmować się jej dzieckiem? Karen, możemy już jechać?

Henry Ann i Karen wsiadły do samochodu. Grant natychmiast ruszył, zostawiając panią Austin przy krawężniku.

- Nie lubię być niegrzeczna, ale ta kobieta działa mi na nerwy.
- Nadal próbuje zrobić z ciebie synową? - zapytała Karen. - A gdzie Joliny?
- W domu, pilnuje Jaya. Właśnie postanowiłam, że w przyszłą niedzielę zabiorę go do szkoły niedzielnej.

- No, no. Odważna jesteś. Wezmą cię na języki.

- Co mi tam.

- Dzień dobry, Karen - Grant zatrzymał się przy składzie lodu. Wychylił się, żeby lepiej ją zobaczyć.

- Dzień dobry, panie Gifford.

- A to co? Czyżbyś już zapomniała, jak mam na imię? -zapytał, potem odwrócił się do człowieka ze składu. - Dwadzieścia kilo, proszę.

- Nie zapomniałam, George - policzki Karen zaróżowiły się, oczy zabłyśły.

- George? Tak się nazywał mój pies.

- Mój też. Wielki, brzydki pies.

Lodziarz wyszedł z chłodziarni niosąc kawał lodu. -Gdzie to położyć?

- Z tyłu. Za mną.

-Ja płacę - powiedział Grant, widząc, że Henry Ann szuka w torebce monety.

- Nie musiałeś tego robić.

- Ale zrobiłem. Mam nadzieję na sporą porcję lodów.

Ciotka Dozie z Biblią w dłoni czekała przed swoim kościołem, energicznie wachlując się wachlarzem.

- Zmiłuj się Boże! W tym słońcu mózg się ścina. Tak sobie myślę, że do zimy nie przyjdę tu więcej. - Usadowiła się na tylnym siedzeniu.

- A co będzie z twoimi grzechami, Ciociu Dozie? - zażartował Grant. - Do zimy

będziesz ciągnąć bimber całymi ćwiartkami.

- Będziesz ty cicho. Nic takiego robić nie będę i ty o tym wiesz.
- Nie zwracaj na niego uwagi, Ciociu - powiedziała ze śmiechem Henry Ann. - 2

każdym dniem staje się coraz bardziej pyskatty.

Lody własnej roboty były jedną ze specjalności Ciotki Dozie. Czasem zamawiano je u niej na kościelne wieczorki i na przyjęcia ślubne. Przed pójściem do kościoła przegotowała mleko, a Henry Ann ubiła jaja z cukrem i paroma łyżkami mąki. Ciotka Dozie zalała to gorącym mlekiem i gotowała aż zgęstniało, potem odstawiła do wystygnięcia. Teraz dodała śmietankę i smak.

Na ganku od podwórza Johnny i Grant rozdrobnili lód i pomykali go wokół baterii w drewnianej dwugalonowej zamrażarce. Kręcili na zmianę jej korba, aż zaczęła stawiać opór. Potem wyjęli tłuczek, podnieśli pokrywę i dołożyli więcej skruszonego lodu. Wreszcie przykryli zamrażarkę kołdrami, żeby lód się nie rozpuścił, zanim zgęstnieją lody.

- Myślisz, że Chris przyjdzie z Opal? - Karen i Henry Ann siedziały na werandzie. Wyszły po drugim śniadaniu na dwór, aby odetchnąć świeżym powietrzem.

- Zaprosiłam ich. Chris nie odmówił.

- Szkoda, że nie umie być twardszy - Karen przyglądała się Johnny'emu i Grantowi, idącym w kierunku studni i Jayowi, który siedział na barana u Johnny'ego. - Wygląda na to, że malec dobrze się tu czuje. Nie będzie chciał wrócić do domu.

- Myślę, że nie będzie z tym problemu. Jest bardzo przywiązany do Toma - mruknęła Henry Ann.

- Tom jest przystojny na swój nieuładzony, męski sposób. Założę się, że sporo kobiet ostrzyło sobie na niego pazurki, kiedy był wolny - mówiąc to Karen obserwowała Henry Ann i nie uszedł jej uwagi rumieniec, jaki pojawił się na jej policzkach.

- Pewnie tak.

- W mieście mówi się, że jego żona jest szalona i włóczy się po lesie... czasami nawet w nocy.

- Kto puścił tę plotkę?

- Na pewno któryś z Perrych.

- A pani Miller powtarza ją jak najęta?

- To przecież jej jedyny cel w życiu. Powtarzać i upiększać.

- To stara wścibska kura.

Kiedy później siedzieli na werandzie, Henry Ann zauważyła, że Karen i Grant stali się dziwnie sobą onieśmieleni. Karen nie reagowała już tak spontanicznie na powiedzonka Granta. Henry Ann doszła do wniosku, że wzięła sobie do serca jej ostrzeżenia. Kiedy Jay, który cały czas siedział u niej na kolanach, szepnął Henry Ann do ucha, że musi się załatwić, razem zeszli z werandy i poszli do wychodka.

Johnny również postanowił się oddalić, bo na werandzie zapadło przedłużające się, kłopotliwe milczenie. Przeprosił twierdząc, że musi sprawdzić zamrażarkę,

- To było miłe ze strony Johnny'ego - Grant przesiadł się bliżej Karen.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dał mi szansę, żebym mógł z tobą porozmawiać.

- Przecież rozmawialiśmy - odparła nawet na niego nie patrząc.

- Ale nie sam na sam.

- Więc o czym chcesz rozmawiać? - Karen wzięła głęboki oddech i czuła, jak serce tłucze jej w piersi. Jej kremowo niebieska sukienka, którą uszyła specjalnie na dzisiejszą okazję, znakomicie harmonizowała z blond włosami i podkreślała intensywny błękit jej oczu.

- Czy wybrałabyś się ze mną do kina? Jestem pewien, że będę mógł pożyczyć samochód.

- Nie ma kina w Red Rock.

- Jest w Ringling.

- To ponad czterdzieści kilometrów.

- Jeśli wolisz, możemy wybrać się na przejażdżkę.

- Kiedy? Po co?

- W przyszłą niedzielę po południu. Żeby, no cóż... Chciałbym cię lepiej poznać.

Myślę, że moglibyśmy zostać... przyjaciółmi.

- Po co całe to zamieszanie? Przecież niedługo wyjeżdżasz.

- Może nie.

- Chyba nie powinnam...

- Boisz się, że naobiecuję ci różnych rzeczy, a potem wyjadę?

- Możliwe - odparła, a po chwili zapytała: - To możliwe, prawda?

- Wszystko jest możliwe - twarz Granta przybrała posępny wyraz. - Ale mało prawdopodobne. Staram się dotrzymywać słowa.

- To niemądra rozmowa. Nie oczekuję od ciebie żadnych obietnic, więc czemu o tym rozmawiamy?

- Nie jestem zwykłym włóczęgą, jeśli tak o mnie myślisz - spojrzął w dal, a

potem prosto w jej niebieskie oczy.

Karen odwróciła się, żeby nie widzieć smutku na jego twarzy. Wsluchując się w odgłosy ptaków i przyglądając chrapączczowi krążącemu nad klombem czekała, aż powie coś więcej. W powietrzu zawisła niemal dotykalna cisza.

- Kim zatem jesteś? - zapytała Karen, nie będąc w stanie dłużej wytrzymać milczenia.

- Człowiekiem, który próbuje sam siebie odnaleźć.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś zagubiony?

- Byłem. Już nie jestem. Mniej więcej w przyszłą niedzielę...

- Pomyślę o tym.

- Umowa stoi - powiedział Grant i spojrzał na drogę, bo na podwórze wjeżdżał właśnie jakiś samochód.

- Proszę, proszę - powiedziała z ożywieniem Karen. - To Christopher. I przywiózł ze sobą Opal. Jego szczęście!

Chris wszedł na werandę, niosąc Rosemary i lekko popychając przed sobą Opal. Henry Ann wyszła z domu, aby ich powitać.

- Opal! Tak się cieszę, że przyszliście.

- Dzień dobry.

- Znasz Karen?

- Pewnie, że mnie zna. Tata chrzczył Rosemary. Witaj, Opal. Ty też witaj, ślicznotko. No proszę, wstydzi się jeszcze - powiedziała Karen, kiedy dziecko ukryło twarz pod ramieniem Chrisa.

Henry Ann przedstawiła Granta, a potem Johnny'ego, kiedy ten wyszedł z domu. Opal wyszeptała coś grzecznie odpowiadając, ale nie odezwała się więcej. Siadła w bujanym fotelu i sięgnęła po córeczkę. Chris posadził Rosemary na jej kolanach, po czym usiadł tuż obok, na schodach. Widać było, że chce, aby Opal czuła się swobodnie. Wiedział, że ta wizyta u jego przyjaciół jest dla niej ciężką próbą.

- Przydałaby się nam jakaś rozrywka, jak będziemy czekać, aż lody stwardnieją - Henry Ann spojrzała na Chrisa. - Pamiętasz, jak przychodziłeś do nas, żeby pośpiewać razem z tatą? Szkoda, że nie powiedziałam ci wcześniej, żebyś zabrał gitarę. Mogę przynieść gitarę ojca, jeśli zgodzisz się dla nas zagrać.

-Słyszałem, że Grant nieźle gra i śpiewa.

- Śpiewa? - Johnny prychnął z niesmakiem. - Wolałbym słuchać knura ryjącego w błocie.

- Powiem ci, co zrobimy, Johnny. Ja będę grał, a ty zaśpiewasz. Pamiętasz, Henry Ann, jak nam śpiewał przed burzą?

- Mam wątpliwości, czy była to piosenka - powiedziała z powagą Henry Ann. - To było coś o odprowadzaniu ukochanej do domu, może więc Johnny zdradził nam tylko swoje marzenia.

- Wszyscy zawsze są przeciwko mnie - Johnny poskarżył się Karen.

- Weź gitarę to zaśpiewamy razem. Znam tę piosenkę o odprowadzaniu ukochanej - zaśmiała się Karen.

Zanim Johnny zdołał cokolwiek odpowiedzieć, usłyszeli głośnie rżenie konia. Chwilę potem z drugiego końca werandy dobiegł ich czyjś głos:

- Zdążyliśmy na przyjęcie, złotko! - to Pete Perry na koniu z Isabel siedzącą tuż za nim, zatrzymali się na grządce kwiatów przy frontowych schodach. - Dzięki za zaproszenie, kuzynko Henry Ann.

- Nie jesteś zaproszony! Zabieraj się z tym koniem z mojego podwórka! - Pete uśmiechnął się do niej od ucha do ucha, ale ani drgnął. Henry Ann zerwała się na równe nogi.

- Zabieraj się z tym koniem z mojego klombu - powtórzyła gniewnie.

- Wiem, że się cieszysz na mój widok, słodka istoto, ale nie musisz tego tak głośno okazywać. Przestraszysz małą Rosie - spojrzał uważnie na Opal i siedzącą na jej kolanach Rosemary.

- Zabieraj tego konia...

Henry Ann zamilkła, bo Johnny zerwał z głowy kapelusz i trzasnął nim konia prosto w nozdrza. Zdumione zwierzę cofnęło się i stanęło dęba. Isabel krzyknęła i schwyciła Pe-te'a w pasie. Ten zaklął i próbował opanować zwierzę. Jay kucnął za Henry Ann i schował twarz w jej spódnicy.

- Zabieraj tego cholernego konia z jej kwiatów - krzyknął Johnny.

- Nie wydzieraj się tak, chłopcze - odpowiedział chłodno Pete. Odprowadził konia i za rogiem rozsiodłał go. Zsa-dził Isabel, po czym bez pośpiechu zaprowadził zwierzę do zagrody i przywiązał do ogrodzenia. Potem objął Isabel i ruszyli z powrotem. - O ile się nie mylę, na ganku od podwórza stoją lody - Pete uśmiechnął się lekceważąco.

- Nie zostałeś zaproszony.

- Oczywiście, że tak, maleńka. Ja i ten włóczęga mamy rachunki do wyrównania - wskazał głową na Grama, potem zignorował go i przeszedł, by stanąć przed Opal. - Nie wiedziałem, że zobaczę tu małą Rosie. - Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać dziecko po główce, ale Opal gwałtownie odtrąciła jego dłoń.

- Wynoś się!

- Ona jest z Perrych. Założę się o dyszkę, że ona jest z Perrych.

- Pete, w tej chwili masz ją zostawić! - Chris zerwał się na równe nogi, a jego twarz poczerwieniała.

- A jakże, pamiętam. Tobie też jestem coś dłużny - powiedział Pete do Chrisa, nie odwracając wzroku od Opal. Potem rzeki do niej: - Robisz się coraz ładniejsza, śliczna ptaszynko.

- Chodź, Pete, wracajmy - Isabel spoglądała z obawą na Johnny'ego, który przez cały czas stał z boku z rękami skrzyżowanymi na piersi i spod przymrużonych powiek obserwował Pete'a.

- Najpierw załatwię, co tu mam do załatwienia - odpowiedział Pete tonem reprimendy. Nagle obrócił się i zaatakował Granta, stojącego kilka kroków dalej.

Pete pochylił się lekko i zaatakował Granta poniżej pasa, ale jednocześnie wziął wysoki zamach pięścią. Trafił Granta w lewe ramię z siłą rzuconej cegły. Grant dał się zaskoczyć i upadł. Błyskawicznie przetoczył się po ziemi, ale nie udało mu się uniknąć bolesnego kopniaka w zębra.

Johnny i Chris ruszyli jednocześnie. Skoczyli Pete'owi na plecy i przycisnęli go do ziemi. Grant wstał.

- Puście go. Jeśli chce się bić, będziemy się bili. Ale za domem. Nie w obecności dzieci.

- Zabierajcie łapy - warknął Pete. Chris i Johnny cofnęli się, a Pete wstał.

- Chodźmy na tył domu - rzucił Grant. - O ile, oczywiście, nie boisz się uczciwej walki.

- O to się nie martw, włóczęgo.

- Nie bij się, Pete - błagała Isabel. - Będzie trzech na jednego.

- Zamknij się i zejź mi z drogi.

- To wszystko twoja wina! - Isabel zwróciła się do Henry Ann. - Tak bardzo chciałaś faceta, że wzięłaś sobie tego... włóczęgę! Jesteś śmieciem, słyszysz?!

- Masz czelność mnie nazywać śmieciem?! - odparła gniewnie Henry Ann.

Johnny chwycił Isabel za ramię, popchnął ją za dom i posadził na ziemi.

- Masz się stąd nie ruszać! I stul pysk! Powiedz jeszcze słowo o Henry Ann, a ja już zadbam, żebyś nigdy więcej się nie odezwała. W całym twoim chudym ciele nie ma jednej uczciwej kostki. Jesteś zwykłą... kurewką.

- Nie zostanę tutaj! - Isabel próbowała wstać, ale Johnny popchnął ją tak, że

znowu wylądowała na tyłku. Tym razem wybuchnęła płaczem.

- Zostań tu, kochanie - powiedział Chris do Opal.
- Nie powinnam była przychodzić.
- Przecież nie poszło o ciebie - Chris obdarzył ją przelotnym pocałunkiem i pospieszył na drugą stronę domu.

Ciotka Dozie wyszła na werandę i wzięła Jaya na ręce.

- Ja i panna Opal zostaniemy tu z maluchami. Wy idźcie i uważajcie, żeby panu Grantowi nie stała się jakaś krzywda. Te śmiecie znad Błotnistej Potoki gorsze są od grzechotników.

- Jesteś okrutna, Ciociu.
- To prawda. Jest okrutna.

Kiedy Henry Ann i Karen mijaly Isabel siedzącą pod domem z brodą opartą o kolana. Henry Ann zatrzymała się na chwilę.

- Ty dziwko! Przekłeta dziwko! Załatwię, że będziesz miała wszystkich Perrych na karku! - zawyła Isabel i spróbowała kopnąć Henry Ann.

Henry Ann cofnęła się o krok, potrząsnęła głową i ruszyła za Karen do dębu, gdzie czekał Grant. Zdjął koszulę i założył skórzane rękawiczki, których używał przy cięciu drewna. Koszula Pete'a leżała na siodle jego konia; on sam poszedł do zbiornika z wodą, aby ochłodzić głowę.

- Grant? - Karen była wyraźnie przygnębiona.
- Chciałaś, żebym wybił mu parę zębów wtedy na pokazie. Teraz jestem do usług - stalowoniebieskie oczy Granta zatrzymały się na chwilę na jej twarzy, potem przeniosły na Pete'a.

- Ja żartowałam. Nie musisz tego robić.
- Muszę. Wszystko będzie dobrze. Uwierz mi.
- Nie chodzi o to, ale... - Chris położył jej rękę na ramieniu i odciągnął od

Granta. - Chodź, Karen.

- Słyszałam, że Pete walczy nieczysto, Chris. Chcę ostrzec Granta.

- Przecież Grant o tym wie. Jeśli ty i Henry Ann chcecie się przyglądać, musicie się cofnąć i stanąć przy domu. John-ny i ja dopilnujemy, żeby to była uczciwa walka.

- Uważajcie na siebie - zawołała Karen. Czowała się tak, jakby jej serce miało za chwilę wyskoczyć z piersi. Cofnęła się, aby stać przy Henry Ann.

Grant wiedział od razu, że czego by nie mówić na temat Pete'a, na pewno nie jest on tchórzem. Z doświadczenia wiedział też, że przewagę uzyska ten, który pierwszy zada celny cios. Pete miał potężne bicepsy i ramiona. Od początku walki za wszelką cenę dążył do zwania, ruszył na Granta z wysuniętą do przodu głową. Grant zdołał wprowadzić mu silny cios w żebra, zanim go odepchnął, ale nie miał wątpliwości, że w ten sposób nie wygra.

Pete zaatakował znowu. Z furją zadawał ciosy, parł do przodu, dążąc do ostatecznego zwania. Początkowo Grant zlekceważył fakt, że Pete nabrał doświadczenia w knajpiach i że zaślepiła go gniew. Zadał kilka siarczystych sierpów i zrewanżował się Pete'owi, podstępnie uderzając go łokciem w policzek z taką siłą, że rozciął mu skórę aż do kości. Kiedy Pete zauważył, że z jego głowy sączy się krew, wpadł w szal. Jego pięści zaczęły pracować niczym tłoki. Każdy kolejny cios oznaczał dla Granta potworny ból. Postanowił lekko się przycisnąć, aby wybrać najlepszy moment do ataku. Miał szczęście, bo w pewnej chwili Pete odsłonił się nieco. W tej samej sekundzie prawy hak Granta wylądował na jego uzębieniu. Cios był tak skuteczny, że Pete zachwiał się oszołomiony. Chwilę później Grant poprawił lewym i jeszcze raz prawym sierpowym, który spadł na rozcięty wcześniej policzek. Pete chwycił Granta za ramię, aby rzucić go na ziemię, ale Grant chwycił go równie mocno, więc runęli razem.

Pete ciężko upadł na twarz z Grantem na plecach. Ten wcisnął jego głowę w piach. O mało go nie udusił, ale po chwili opanował się i pozwolił Pete'owi wstać. Przecież chciał go tylko sprać, nie zabić.

Karen oburącz chwyciła Henry Ann za ramię. Łzy płynęły jej po policzkach. Jakże teraz żałowała, że strofowała Granta za to, że nie przyłożył mocniej Pete'owi na pokazie lotniczym. Czowała, że w jakiś sposób to jej wina i jeśli Grantowi coś by się stało, nigdy by sobie tego nie wybaczyła.

Henry Ann wydawała się spokojna, ale wszystko w niej kipiało. Tak pochłonęło ją to, co się działo, że zupełnie nie zauważyła obecności Toma. Dopiero kiedy dotknął jej ramienia, spojrzała na niego.

- O co poszło? - zapytał.
- Pete zaczął. A... co z nią?
- Jest w tym miejscu, do którego czasem chodzi. Przez jakiś czas może tam zostać - jego dłoń delikatnie głaskała ją po plecach, jakby nie mógł przestać jej dotykać.
- Boję się... - Henry Ann oparła się o rękę Toma, jakby szukając pocieszenia w jego dotyku.
- Grant wygląda, jakby wiedział, co robi.

Podniósłszy się z ziemi Pete zachwiał się, wytarł kurz z oczu, zlokalizował Granta i ruszył na niego z furią. Grant wyrznął go sierpowym w szczękę, dołożył jeszcze jeden, z lewej, po którym Pete runął jak długi. A jednak znów podniósł się na kolana, i znów rzucił na nogi Granta. Otrzymał miazdzący cios kolanem w twarz. Upadł boleśnie, mimo to przekręcił się i z widocznym wysiłkiem wstał.

- Dobrze walczysz, Pete! Nie sądzisz, że starczy już tego? Jesteś w takim stanie, że bez trudu mógłbym zrobić ci krzywdę. A wolałbym nie - twarz Granta była posiniaczona, ale udało mu się uniknąć rozcięć. Żebra bolały go jak wszyscy diabli w miejscu, gdzie wylądował kopniak Pete'a.

Pete próbował wytrzeć krew z twarzy mokrym od potu przedramieniem. Miał rozdarty policzek i zakrwawione usta. Jedno oko ginęło w opuchliznie, ale stał o własnych siłach i patrzył na Granta z nienawiścią.

- Jeśli chcesz bić się dalej, jestem do usług - Grant czekał, co zrobi jego przeciwnik. - Możemy teraz przerwać i wrócić do tego kiedy indziej. Może następnym razem pójdzie ci lepiej.

- Następnym razem - warknął Pete - na pewno będzie inaczej.

Pete został powstrzymany, ale nie pobity. Był bardzo przywiązany do swojej reputacji twardego faceta. Zżył się z poczuciem własnej siły i podobało mu się, że ludzie schodzili mu z drogi, kiedy przyjeżdżał do miasta. Nie zamierzał się tego wyrzec tylko dlatego, że przegrał w bójce z jakimś włóczęgą. Najbardziej bolało go, że dostał baty na oczach Henry Ann. Spojrzał w jej kierunku i zobaczył, że tuż obok niej stoi Tom Dolan. Wiedział już jak odpłacić mu pięknym za nadobne. Patrzyli na niego jak na zdechłego skunksa. Jeszcze im wszystkim odpłaci.

- To jeszcze nie koniec - rzucił do Granta.

- Jeśli chodzi o mnie, to już koniec.

- I jeszcze ty - niezapuchłe oko Pete'a spoczęło na Chrisie. Najwyraźniej przed odejściem chciał dopiec każdemu, komu tylko zdoła. - Z tobą jeszcze nie skończyłem. Trzymaj się z dala od Opal. Ona nie jest dla maminsynka.

- A niech cię szlag! - wybuchnął Chris. - Gdyby nie to, że już dostałeś wycisk, spralbym cię na kwaśne jabłko.

- Nie byłbyś w stanie sprać nawet chorej kurwy z jedną ręką przewiazaną za plecami - Pete splunął krwią. - A co się tyczy ciebie - zwrócił się do Johnny'ego - to wiedz, że nie ma nic gorszego niż krewny zwracający się przeciw krewnemu.

- Przykro mi, ale nie ja wybierałem sobie krewniaków. Gdyby to ode mnie

zależało, na pewno nie byłbyś jednym z nich. Trzymaj się z dala od naszego domu, bo którejś ciemnej nocy jakiś dziki Indianin wystrzeli ognistą strzałę w twój dach.

Pete spojrział zdziwiony na młodego chłopaka. W milczeniu odszedł w kierunku zbiornika na wodę. Musiał szeroko rozstawiać nogi, aby nie stracić równowagi. Zanurzył głowę w zimnej wodzie, potem odwiązał i osiodłał konia.

Kiedy Isabel zdała sobie sprawę, że Pete ma zamiar odjechać bez niej, pobiegła za nim.

- Pete! Pete! Zaczekaj!

Karen weszła do domu, po chwili znów się pojawiła z ręcznikiem w dłoniach. Ruszyła do studni, gdzie Johnny wylewał wiadro wody na głowę Granta.

Henry Ann poczuła, że Tom zdejmuje rękę z jej pleców i obróciła się, by na niego spojrzeć.

- Nie widziałem cię prawie tydzień - dostrzegła tęsknotę w jego oczach.

- Jay ucieszy się na twój widok.

- A ty, Henry Ann?

Zarumieniła się i opuściła wzrok. Przez chwilę trwała w bezruchu, bo zdała sobie sprawę, że najbardziej pragnęłaby przytulić się do niego. Spojrzała mu w oczy, nie będąc w stanie ukryć swoich uczuć i kiwnęła głową.

- Henry Ann. Wszystko, co mówiłem tamtej nocy, mówiłem poważnie. Jesteś dla mnie wszystkim.

- Nic nie możemy z tym zrobić.

- Patrzę na tę drogę nocą i... chciałbym tu być.

- Też bym tego chciała.

- Po prostu boję się zostawić ją samą. Tamtej nocy, kiedy nie mogłem jej znaleźć, była z jakimś mężczyzną. Nie wiem kto to był, ale ją pobił. Ona naprawdę jest w oplakany stanie, Henry Ann.

- Wiem.

- Nie mogę w tym samym czasie pilnować jej i pracować. Nie zamontowałem silnika w ciężarówce właściciela sklepu spożywczego i znalazł sobie kogoś innego do tej roboty. Jak tylko będę mógł, pojedę do Conroy, żeby rozmówić się z jej rodziną. Powiedzieli mi kiedyś, że jeśli ja z nią nie zostanę, wystąpią z pozwem do sądu o odebranie mi opieki nad Jayem. Jeśli by do tego doszło, nie mam pieniędzy na prawnika. Nie miałbym wyboru: musiałbym wziąć małego i wyjechać stąd.

- Nieee... - Henry Ann podniosła rękę do ust.

Tom spojrział jej przez ramię i zobaczył, że cała reszta idzie w ich stronę.

- Wyjdiesz do mnie dziś w nocy? Spotkamy się przy drzewie? - zapytał szeptem. Zauważył, że się waha, dodał więc szybko: - Proszę, kochana.

Skinęła głową, a potem zwróciła się do Granta: - Wszystko w porządku?

- W jak najlepszym. Gdybym wiedział, że skupię na sobie tyle uwagi, już dawno bym się z nim pobił - uśmiechnął się szelmowsko i zerknął na Karen.

- Musisz tyle gadać? - zganiała go Karen. By odwrócić uwagę wszystkich od siebie i Granta powiedziała do Toma: - Zdążył pan na lody.

- Och, rzeczywiście. Powinny być już gotowe - w głosie Henry Ann słychać było nerwowe drżenie, które nie uszło uwagi Granta i Karen. - Jay będzie miał prawdziwą niespodziankę, jak cię zobaczy.

Henry Ann i Karen poszły do kuchni po miseczki i łyżeczki. Tom i Johnny wnieśli zamrażarkę na werandę.

- Grant dał niezły wycisk Perry'emu - powiedziała Karen z uśmiechem.

- Może był zawodowym bokserem, zanim zaczął się włóczyć po kraju - Henry Ann ustawiła miseczki na drewnianej tacy.

- Zaprosił mnie do kina, ale się nie zgodziłam. Obiecałam za to, że zastanowię się, czy zechcę wybrać się z nim na przejażdżkę w przyszłą niedzielę. Powiedział, że spróbuje pożyczyć samochód. Myślę jednak, że wezmę swój i to ja zabiorę go na przejażdżkę - zachichotała radośnie.

- Mam nadzieję, że wiesz co robisz.

- A ja mam nadzieję, że i ty wiesz, Henry Ann - powiedziała poważnie Karen.

- O co ci chodzi?

- No wiesz. Ten facet jest żonaty, nawet jeśli jego żona jest... pomyłona. Plotkary z miasta rozerwą cię na strzępy.

- Wiem.

Jay był szczęśliwy, że widzi tatę. Jak tylko dostał swoją porcję lodów, powędrował na schody, by usiąść obok niego. Spojrzenie Henry Ann zatrzymało się na dwóch ciemnych głowach, kiedy Tom nachylił się, by coś powiedzieć synowi.

Opal rozluźniła się trochę, nawet zaśmiała parę razy. Chris trzymał Rosemary na kolanach i karmił lodami ze swojej miseczki. Oczywiście było, że kocha te dwie kobiety i że one kochają jego. Henry Ann nigdy nie widziała go tak szczęśliwym.

- Poproszę o dokładkę - Johnny wręczył swoją miseczkę Ciotce Dozie, która siedziała na krześle obok zamrażarki i napełniała naczynka. - Muszę zjeść swoją porcję, zanim dotrze tu Grant - powiedział cicho do Ciotki Dozie. - Miałem nadzieję, że Pete wybije mu zęby i nie będzie mógł jeść.

- To niegrzecznie mówić takie rzeczy. Poza tym do jedzenia lodów zęby nie są potrzebne.

Henry Ann słuchała tej wymiany zdań i z uśmiechem przyglądała się bratu, kiedy przed domem zatrzymał się jakiś samochód, cofnął trochę i wjechał na podwórze.

- O nie - mruknęła, kiedy wysiadła z niego pani Miller i zdecydowanym krokiem ruszyła prosto do nich. Henry Ann wstała i wyszła jej na spotkanie.

- Jakieś spotkanie towarzyskie, Henry Ann?

- Można tak to nazwać.

- Jechaliśmy właśnie do Austinów. A ponieważ zobaczyliśmy tu ich samochód, powiedziałam mojemu Wilburowi, żeby się zatrzymał - jej małe, jasne oczka wpiły się w Chri-stophera i siedzącą mu na kolanach Rosemary. - Myślałam, że Austinowie tu są.

- Przypuszczam, że rodzice są w domu, pani Miller - odezwał się Chris, potem wytarł usta Rosemary śliniakiem. Po tym gościu nie można było mieć cienia wątpliwości, że Opal i Rosemary przyjechały tu razem z nim.

Henry Ann przyklasnęła mu w duchu.

- No cóż... Witaj, Karen. Twój ojciec miał dzisiaj wspaniałe kazanie.

- Powtórzę mu, że się pani podobało.

- Dzień dobry, panie Dolan.

- Dzień dobry.

- Czy jest tu pani Dolan? Nie poznałam jej jeszcze.

- Nie, proszę pani.

- Podobno choruje, czy to prawda? Chciałabym wpaść do niej po drodze. Potrzebujemy ludzi w naszych komitetach, bo czas ucieka, a mamy tyle projektów do zrealizowania.

- Tak, proszę pani.

- To szczęście, że ma pan taką sąsiadkę jak Henry Ann, która może zająć się pańskim dzieckiem.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Zanim zapomnę, Henry Ann. W przyszłą środę będzie spotkanie komitetu do spraw budżetu kościelnego.

Nie jestem w tym Komitecie, proszę pani.

- Twój ojciec w nim był. Myśleliśmy...

- Nie. Żałuję, ale nie jestem w tym Komitecie - powtórzyła.

Nigdy w życiu Henry Ann nie była niegrzeczna dla kogoś, kto był gościem w jej domu. Nie zaprosiła jednak ani pani Miller ani jej męża, który czekał w samochodzie. Nie zaproponowała im lodów.

"Wydawało się jej, że wszystko stanęło w miejscu, kiedy ta kobieta chłonęła scenę na werandzie: Rosemary na kolanach u Chrisa, Karen siedząca na huśtawce z mężczyzną o posiniaczonej twarzy, a w dodatku Dozie Jones, kolorowa kobieta, która jakby nigdy nie siedziała razem z nimi i razem z nimi jadła lody z miseczki. Nietrudno było wyobrazić sobie, co musiało dziać się w głowie pani Miller.

To skandal! Co się stało z tą Henry Ann? Czyżby coś zaszło między nią a panem Dolanem? Ed Henry na pewno przewraca się w grobie. Zaraz powiem biednej Pernie Austin, że jej Chris siedzi tu z tą dziwką znad rzeki. I Boże! Jeszcze Karen! Nasza słodka, niewinna Karen. Co ona robi w środku tego wszystkiego?

- Proszę powiedzieć rodzicom, że dzisiaj później wrócę do domu, pani Miller. I że umówiłem się z chłopakiem Whalenów, żeby przyszedł pomóc przy obrządkach.

- Powiem im. Do widzenia, Henry Ann. Do widzenia, Karen! - zignorowała pozostałych i ruszyła w stronę samochodu.

- Do widzenia pani.

Wszyscy milczeli, dopóki wiatr nie rozwiął obłoku kurzu wzniesionego przez odjeżdżający wóz pani Miller.

- To woda na jej młyn - mruknęła Karen. - Całe miasto będzie wiedziało, że Grant się bił, Chris był tu z Opal, a pan Dolan przyszedł bez żony.

- To prawdziwe siedlisko zepsucia i wszelakiego bezceństwa - zaśmiała się nerwowo Henry Ann.

Tom szybko wstał i zwrócił się do niej:

- Nie chcę, żeby przeze mnie brano cię na języki.

- Najbardziej będą gadać o mnie i Opal - powiedział Chris. - Nic mnie to nie obchodzi. A ciebie, kochanie?

Opal wzruszyła ramionami.

- Zdążyłam się do tego przyzwycząić, ale ty...

- Ja też mogę się przyzwycząić.

Do zmierzchu została ledwie godzina, kiedy Johnny wszedł do kuchni, gdzie Henry Ann oddzielała śmietankę od mleka, a Ciotka Dozie zmywała naczynia.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Grant odwiezie Karen do miasta.
- To pomysł Grant'a?
- Nie, mój.
- Sama nie wiem...
- Nie ufasz mu, prawda?
- Tak naprawdę nic o nim nie wiemy.
- O mnie też nic nie wiedziałas.
- To co innego. Ty jesteś moim bratem.
- Jak sobie życzysz. Po prostu lubią się, więc pomyślałem, że pewnie ucieszyliby się mogąc spędzić ze sobą trochę czasu.

-Johnny! Zachowujesz się jak swat - Henry Ann uśmiechnęła się do brata, odkrywając w nim zupełnie nowy wymiar.

- No więc? Mam wsiąść na konia i sprawdzić, co z bydłem, czy odwieźć Karen do miasta?

- Sprawdź, co z bydłem. - A kiedy Johnny wyszedł z kuchni zapytała: - Ciociu Dozie, dobrze zrobiłam?

- Oni rzeczywiście jakby mają się ku sobie. To jasne jak słońce. Nie sądzę, by komukolwiek stała się krzywda. Panna Karen dawno przestała być małą dziewczynką. Jest w twoim wieku.

Do kuchni weszła Karen, a za nią Grant.

- Wracam już, Henry Ann. Przyszłam się pożegnać.

- Johnny jedzie na południowe pastwisko. Odwieszysz ze mną Karen? - zapytał Grant.

- Raczej nie. Jedźcie beze mnie. Karen, zobaczymy się jeszcze w tym tygodniu.

Karen poszła do sypialni po torebkę i kapelusz. Grant czekał w drzwiach.

- Rozumiem twoje obawy. Dziękuję za zaufanie.

Kiedy Ciotka Dozie poszła do swego pokoju, Henry Ann wyszła na werandę i siadła na huśtawce, by napawać się cichymi odgłosami wieczoru i łagodnym powiewem z południa. Mogła teraz w spokoju przemyśleć wszystko, co wydarzyło się tego dnia.

Nikt nie może powiedzieć, że życie na farmie Henrych jest nudne.

Grant zachował się należycie podczas walki z Pete'em. Przyszło jej do głowy, że gdyby był okrutny, mógłby dotkliwie okaleczyć Pete'a, kiedy ten nie był już w stanie walczyć. Właściwie nie sposób było zarzucić Grantowi czegokolwiek prócz tego, że niewiele mówi o sobie.

Gdyby był poszukiwanym przestępcą, pan Hamer i brat Toma wiedzieliby o tym. Oczywiście pod warunkiem, że Grant Gifford to jego prawdziwe nazwisko. Johnny mówił, że prawdziwe, bo znalazł list adresowany do Granta, który wypadł z jego torby. Było jasne, że podoba się Karen. W jego obecności stawała się jeszcze bardziej błyskotliwa niż zwykle. Henry Ann miała szczerą nadzieję, że tym razem jej przyjaciółki nie spotka zawód.

Żeby nie myśleć o umówionym spotkaniu z Tomem, Henry Ann skupiła się na Chrisie i Opal. Dziś była z niego naprawdę dumna, kiedy ujawnił się przed panią Miller, wiedząc że ta kobieta o wszystkim powie jego matce. Dla pani Miller to musiał być niezwykle podniecający dzień. Odkryła tu prawdziwą kopalnię: mnóstwo rzeczy, o których można plotkować. Czy było tak, że kpiny Pete'a tak bardzo zawstydziły Chrisa, że postanowił okazać więcej zdecydowania i twardości? Na pewno nie będzie mógł zabrać Opal i Rosemary do siebie i żyć pod jednym dachem z matką. Tego jednego Henry Ann była pewna. Biedny Chris. Jeśli pragnie Opal, będzie musiał opuścić dom i wszystko, co tak dobrze zna.

Kiedy w powietrzu pojawiły się robaczki świętojańskie, Henry Ann weszła do zaciemnionego domu. Na górze paliło się światło. Johnny już wrócił. Kiedy przemywała twarz mokrą szmatką i czesała włosy, zaczęła się zastanawiać, co Johnny powiedziałby na wiadomość, że ona wymyka się ukradkiem na spotkanie z Tomem. Czy straciłby dla niej szacunek? Czy mógłby pomyśleć, że jest kobietą lekkich obyczajów jak ich matka? Przy odrobinie szczęścia, Johnny nigdy się o rym nie dowie.

Kocham Toma! Z całego serca pragnęła móc wykrzyczeć te słowa na całe gardło.

Niecierpliwie i z sercem bijącym jak oszalałe, wyśliznęła się przez tylne drzwi i omal nie nadepnęła na Shepę, leżącą na ganku. Zdziwione zwierzę wstało i ruszyło jej śladem przez podwórze.

- Och, Shepa. I bez ciebie wiem, że nie powinnam tego robić - mruknęła pod nosem.

Kiedy zbliżały się do głębokiego cienia pod drzewem, Shepa zawarczała. Henry Ann zatrzymała się, położyła rękę na szyi zwierzęcia i próbowała wypatrzeć, czy ktoś tam jest. Shepa nie przestawała warczeć.

- Jestem tu, Henry Ann - szept Toma w ciemności przyspieszył bicie jej serca.

- W porządku, Shepa.

Klepnęła sukę po łbie i ruszyła w kierunku mężczyzny, który wyszedł zza drzewa i wyciągnął do niej rękę. Bezwolnie podała mu swoją i pozwoliła wciągnąć się głębiej w cień. Shepa ruszyła tuż za nimi. Kiedy się zatrzymali i stanęli twarzą w twarz, zwierzę spojrzało na swoją panią i widząc, że nie dzieje się nic złego, położyło na ziemi.

- Bałem się, że nie przyjdiesz - powiedział Tom z niepokojem w głosie.
- Powinnam była zostać w domu. Jak ci się udało wyjść?
- Emma-Jean przeziębila się, więc sporo śpi od czasu, kiedy Johnny znalazł ją w budzie. - Tom nie wypuścił ręki Henry Ann ze swojej dłoni. - Muszę porozmawiać z doktorem Hendricksem. Poproszę go, żeby pomógł mi umieścić ją w jakimś zakładzie, gdzie nie będzie zagrożeniem ani dla siebie ani dla innych. Nie mam pojęcia, co jeszcze mógłbym zrobić.
- Czy dowiedziałeś się, w jaki sposób dotarła do budy Austinów? Kto ją tam zaprowadził?
- Nie. Nie powiedziała nic, co by się jakoś trzymało kupy. Powtarza tylko, że przyjedzie jej ojciec, żeby zabrać ją na przyjęcie.
- Nie możesz pozwalać, żeby się tak włóczyła nie wiadomo gdzie. Jakiś łotr znów może ją wykorzystać.
- Też się tym zamartwiam, ale przecież nie sposób cały czas mieć jej na oku.
- Jay nigdy o niej nie wspomina. To smutne.
- Raz zapytała mnie, gdzie on jest. Powiedziałem, że u przyjaciół i więcej nie pytała. Nigdy go nie chciała.
- Przeżył dziś bardzo zajmujący dzień. Był tak zmęczony, że wcześniej chciał iść spać - jej słowa ucichły.

Tom spoglądał na nią. Odczuwała coś w rodzaju paniki, jakby jej ciało, umysł i dusza stapiały się z nim w jedno. Chwile upływały, a ona czuła, jak jej nogi słabną, coś ściska ją w gardle, a oczy nie mogą się skupić na niczym prócz jego twarzy. Jej oddech był przyspieszony. Była nieznośnie świadoma jego siły.

- Nigdy dotąd nie kochałem kobiety. Myślę o tobie całymi dniami. Nie wiedziałem, że tak będzie. Z jednej strony to cudowne, z drugiej jak nóż w sercu - jego głos brzmiał w jej uszach jakby dobiegał z bardzo daleka.

Nagle Tom przygarnął ją mocno do siebie. Jego usta odszukały jej usta, zanim zdążyła zwrócić ku niemu głowę. Poczula jego dotyk. Otworzyła usta dla jego ust i cudowna bliskość pocałunku trwała i z każdą chwilą stawała się tak intensywna, że Henry Ann poczuła dziwną, słodką niemoc w całym ciele, jakby całując ją, ten mężczyzna wchłaniał całe jej istnienie i

całą jej wolę. Po jej ciele przebiegł dreszcz zmysłowej przyjemności. Był tak silny, tak nieznany i... tak cudowny, że zauważyła ze strachem, że nogi się pod nią uginają.

- Kochana, jakież to cudowne uczucie. Nie mogłem się doczekać, kiedy wezmę cię w ramiona - szeptał. Potem całował delikatnie jej brwi, skronie i szyję.

W końcu, kiedy myślała, że już ani chwili dłużej nie znieśie tej tęsknoty, zwróciła się ku niemu i raz jeszcze ich usta spotkały się w pocałunku, od którego zajmowały się ogniem ich ciała i dusze. Jego usta coraz mocniej domagały się jej ust, a jej usta pod t3k słodkim naporem stawały się coraz bardziej uległe. Delikatnie dotknęła jego ust czubkiem języka i poczuła, jak wstrząsnął nim dreszcz. Obejmując go mocno za szyję, przywarła doń całym ciałem.

- Kocham cię, najdroższa. Tak bardzo kocham - wymruczał te słowa, gardłowym szeptem wyjęczał jej do ucha, całując ciepłe wgłębienie jej szyi, jej ucho i znowu szyję.

- Czuję się winny. Obarczyłem cię moją miłością. Przepraszam moja słodka, cudowna kobieto - wziął w palce kosmyk jej włosów za uchem.

- Nie przepraszaj... ukochany. Twoja miłość będzie dla mnie najdroższym skarbem do końca życia. Jak to możliwe, by to było... niedobre? - Jej usta dotykały jego sz)'i, a słowa wyplłynęły z najgłębszego zakątka serca.

- Jestem nim? Naprawdę jestem twoim... ukochanym? -jego głos zmienił się w chrapliwy szept.

- Tak. Niech Bóg mi wybaczy. Kocham cię, ale ty należysz do innej - westchnęła głęboko i ukryła twarz w jego ramieniu.

- Nie należę do niej - odparł szybko. - Nigdy nie należałem, kochana. Ale jestem z nią związany. Proszę, pozwól mi spotykać się ze sobą raz na jakiś czas. Tylko ty utrzymujesz mnie przy zdrowych zmysłach.

Światła samochodu omiotły podwórze. To Grant skręcił z drogi i wjechał do szopy. Henry Ann wycofała się z objęć Toma.

- Grant wrócił po odwiezieniu Karen. Będzie się zastanawiał, gdzie jest Shepa. Zawsze leży na ganku.

- Wydawało mi się, że coś między nimi iskrzy. Cieszę się z tego. Martwiłem się, że Grant jest tu dzień w dzień. Czasami miałem koszmary, że się w nim zakochujesz.

Przeglądali się, jak Grant wychodzi z szopy, gdzie zostawił samochód, przechodzi przez podwórko, wchodzi na ganek. Zatrzymał się na chwilę, rozejrzał dokoła i wszedł do domu.

- Myślisz, że wie, że tu jestem... z tobą? - szepnęła.
 - Nie wiem, kochanie - dotknął jej policzka dłonią.
 - Zabija mnie, że musimy się ukrywać z tym, co do siebie czujemy.
 - Johnny właśnie zaczyna mnie lubić i szanować. Gdyby pomyślał, że próbuję... odebrać męża innej kobiecie, doszedłby do wniosku, że jestem taka jak nasza matka.
 - Porozmawiam z nim. Powiem mu, że to ja uganiam się za tobą, żeby wiedział, że nie zrobiłaś nic złego. Wszystko będzie dobrze. Johnny jest rozsądnym chłopakiem.
 - Wiele widział przez pierwsze czternaście lat życia. Nie byłam pewna czy wyrośnie na porządnego człowieka.
 - To łebski chłopak. Prędko się uczy i nie boi się pracy. Byłbym zadowolony, gdyby Jay stał się kiedyś taki jak on. Nie martw się o Johnny'ego, kochana. Jeśli dowie się o nas, wytłumaczę mu, że zakochaliśmy się w sobie. I że też zdajemy sobie sprawę, w jak beznadziejnej sytuacji się znaleźliśmy.
 - Jest beznadziejna, prawda?
 - Widzę tylko jedno wyjście. Jeśli zdołam umieścić ją w zakładzie, może zdołam uzyskać rozwód. Ale wiem, że jej rodzina będzie ze mną walczyć do końca. - Jęknął ze szczęścia, kiedy przyciągnęła go ku sobie. - Powinienem już iść, ale Bóg mi świadkiem, nie mam ochoty cię zostawiać. - Ich usta spotkały się i łączywie próbowały nasycić pocałunkami. Czują ciężkie bicie jego serca.
 - Chcę, żebyś była tylko moja - szepnął jej do ucha.
 - Jestem twoja! - Jej ręce gwałtownie przesuwają się po jego plecach, karku i włosach. - Będę na ciebie czekała. Tak długo, jak długo będzie to konieczne.
 - Czy będę mógł tu wrócić? - wyszeptał to rozpaczliwe pytanie dotykając ustami jej policzka.
 - Oczywiście. Przecież jest tu Jay.
 - Żeby zobaczyć ciebie... i Jaya. Kochana, cały czas czekam na te chwile, kiedy możemy zostać sami.
 - Znajdziemy jakiś sposób.
 - Zawsze będę miał nadzieję, że resztę życia spędzimy razem.
- Henry Ann musiała użyć całej siły woli, żeby wycofać się z jego objęć.
- Muszę już iść.
 - Odprowadzę cię do ganku.
 - Nie. Jest ze mną Shepa.
 - . Udało jej się zebrać dość sił, by się oddalić. Przeszła przez podwórze w blasku

księżycą, nie przejmując się wcale, że Johnny albo Grant mogą zobaczyć ją z okna.

Chris Austin zaparkował samochód w otwartej szopie. Chwilę siedział bez ruchu, przygotowując się na bitwę. Światło w kuchni wskazywało, że matka i ojciec czekają na niego. Pani Miller bez wątpienia wypełniła swoją misję bez zarzutu. Wiedział, że tak będzie już w chwili, gdy zobaczyła go z Opal u Henry Ann.

Otworzył drzwi i wszedł do jasno oświetlonej kuchni. Przymrużył oczy. Dopiero po kilku sekundach dojrzał rodziców, siedzących przy kuchennym stole.

- A co wy tu robicie o tej porze? - zapytał, dobrze wiedząc, czemu na niego czekają.

- Myślę, że wiesz - odparła pani Austin. - Czy twój ojciec w ogóle cię już nie obchodzi? Pracuje ciężko i potrzebuje odpoczynku. Mógłbyś przynajmniej wracać do domu o przyzwoitej porze.

- Dopiero dziesiąta. - Chris obrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem, opierając ramiona o oparcie. - Pani Miller, największa plotkara w mieście, widziała mnie u Henry Ann z Opal Hastings i jej córeczką. Tym razem nie kłamała stara kwoka. To dlatego na mnie czekaliście. To dlatego jesteście wściekli jak stado os. No więc mówcie, co macie do powiedzenia, bo idę spać.

- Jak mogłeś? Przyniosłeś wstyd rodzinie, która dotąd nie musiała się niczego wstydzić.

Chris prychnął.

Oczy pani Austin napęłniły się łzami, a usta zaczęły drżeć w ten szczególny sposób, który jak dotąd zawsze okazywał się niezawodnym środkiem nacisku na jej męża i syna.

- Rozniesie się po całym mieście, co ja mówię: po całym powiecie, że widziano cię z tą dziewczuchą i jej bękartem. Nie po to cię wychowywaliśmy, żebyś zadawał się z... hołotą!

- Skąd wiesz, że to hołota? - Chris poczuł przyływ gniewu, ale starał się zachować spokój. - Za bardzo przejmujesz się tym, co mówi ta stara plotkara, pani Miller.

- Nie wiń pani Miller, że widzi coś, co i tak widać jak na dłoni. Ta dziewczyna ma bękarta, może nie? Jakoś nie słyszałam, żeby była zamężna! Co tu jeszcze wyjaśniać!

- Nigdy nie przyszło ci do głowy, że może Opal została zgwałcona?

- Ha! A więc taką historyjkę opowiada? Zgwałcona! Nigdy nie słyszałam, żeby

zgwalciono dziwkę. Nie waż się odchodzić, kiedy mówię do ciebie! - powiedziała gniewnie, kiedy Chris zerwał się na równe nogi. - A wiązałam z tobą takie nadzieje. Jest mnóstwo porządnych dziewcząt, które mogłeś mieć.

Chris spojrział na ojca. Ten wpatrywał się w na wpół opróżnioną filiżankę kawy. Od niego nie mógł oczekiwać pomocy.

- Od kiedy byłem w szkole średniej, zrobiłaś absolutnie wszystko, by popchnąć mnie w stronę Henry Ann. Nigdy nie byłaś w stanie zrozumieć, że jesteśmy przyjaciółmi i niczym więcej.

- Nie ma czegoś takiego jak przyjaźń między zdrowym mężczyzną a młodą kobietą,

- A niech to wszyscy diabli!

- Nie waż się przeklinać w moim domu!

- W tym problem, mamó. To zawsze był twój, nie nasz dom. - Chris wyrzucił w górę rękę. Dojrzał dziś w matce coś, czego dotąd nie widział. Zawsze była apodyktyczna i lubiła manipulować innymi, ale teraz zdał sobie sprawę, że jest po prostu podła.

- Przyznaję, że myliłam się co do Henry Ann. Bądź co bądź to córka Dorene Perry. Nigdy nie pozwolono by jej zadawać się z żonatym mężczyzną, gdyby żył Ed Henry. Rozbijanie małżeństwa tej biednej kobiety, kiedy ona leży chora, to zwykle bezeceństwo, ot co.

- O czym ty na Boga mówisz? - zapytał Chris, trzymając się oparcia krzesła i nachylając się nad stołem, by spojrzeć w zagniewaną twarz matki.

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Już ponad miesiąc trzyma u siebie synka Toma Dolana. Każdy wie, że on przychodzi tam po nocach i... zachowuje się jak u siebie.

- Tom Dolan przychodzi zobaczyć się ze swoim synkiem. Pani Dolan jest zbyt chora, żeby się nim zajmować. Zamiast chwalić Henry Ann za dobry uczynek, za udzielenie pomocy sąsiadowi, ty oskarżasz ją, że zadaje się z żonatym mężczyzną.

- To nie wszystko. Ojciec mówi, że ktoś był w tej starej budzie w lesie. Znalazł tam damskie majtki. To wygodne miejsce dla Henry Ann, by spotykać się ze swoim kochankiem - powiedziała z pogardą pani Austin. - Poczekaj, niech no się ludzie z kościoła dowiedzą, że Karen brała udział w tym wszystkim, co tam się dzieje.

- A co jeszcze tam się dzieje? - zapytał spokojnie Chris.

- Ten brat Henry Ann to nic niewarty nicpoń. Wszyscy mieszkańcy są tacy. Poza tym w pobliżu kręci się tam Pete Peny, a wszyscy wiedzą co to za jeden. Poza tym wzięła sobie włóczkę prosto z drogi, prawda? Ciekawa jestem po co. Proponowałam jej, że podeślę

ciebie do pomocy. I nigdy bym nie pomyślała, że Henry Ann weźmie do domu kolorową i będzie ją traktować jak członka rodziny. Jak mogłeś siedzieć tam na werandzie i jeść razem z tą czarną?

- To było całkiem łatwe, jeśli to cię interesuje. - Chris zerknął na ojca. Ten jednak cały czas siedział ze spuszczoną głową.

No więc zaproponowałaś, że podeślesz mnie, żebyś pomógł Henry Ann. Bardzo to hojne z twojej strony, mamó. Co o tym sądzisz, tato?

- Nie zastanawiałem się nad tym, synu. - Pan Austin wyglądał na złośliwego.

- Nigdy nie wybaczę Henry Ann, że zniszczyła twoją reputację, zapraszając cię do siebie z tą kobietą i nie wyjaśniając pani Miller, że to przypadkowe spotkanie.

- Dlaczego miałyby coś takiego robić? Zaprosiła mnie na lody, a ja zabrałem ze sobą Opal. Nie miała obowiązku niczego wyjaśniać tej starej plotkarze.

- Zabrałeś ją naszym samochodem! - matka wciągnęła ze świstem powietrze i wyglądała, jakby miała zemdleć.

- Tak, mamó. Być może to cię zszokuje, ale uważam, że samochód należy w tej samej mierze do mnie, co do ciebie czy ojca. Pieniądze na jego zakup pochodziły z tej farmy, na której pracuję jak wół, od kiedy urosłem na tyle, by chodzić za pługiem.

- Karmiono cię tutaj, ubierano i...

- Kłótnia z tobą to strata czasu. Już wyrobiłaś sobie zdanie na temat Henry Ann i Opal, i nie mogę zrobić nic, abyś je zmieniła. Idę do łóżka.

Kiedy Chris wyszedł z kuchni, jego matka wybuchła niepoohamowanym płaczem.

Nad Błotnistym Potokiem Pete Perry siedział przy kuchennym stole i siorbał bimber ze słoika. Jego oczy były podpuchnięte i otoczone ciemnymi sińcami. Przecięcie na kości policzkowej przestało już krwawić. Hardy założył mu opatrunek z taśmy klejącej.

- Facet musiał być dobry - zauważył Hardy.

- To była nieuczciwa walka. Ten włóczęga założył skórzane rękawice - wtrąciła Isabel. Siedziała przy stole nani-zując na nitkę korale, które wzięła z pokoju Henry Ann.

- Przestań chrzanić - uciął Pete. - Było uczciwie, a ja dostałem wycisk. Nie mam zamiaru zaprzeczać.

- Ale on... założył rękawiczki.

-Ja też bym mógł założyć, gdybym miał. - Wyprężył palce prawej ręki. - Skombinuję sobie parę.

- Nadal chcesz ze mną tańczyć w maratonie?
- Rusz mózgowicą. Oczywiście, że będziemy tańczyć w maratonie.
- Nie ma powodu, żebyś tak obcinał tę dziewczynę. -Hardy nasypał tytoniu na

bibułkę. Potem zwrócił się do Isabel: - Podaj mi paczkę zapalek, złotko.

Pete prychnął z niesmakiem.

- „Złotko"! Masz na nią chrapkę, Hardy? Nie jest ciut za młoda nawet jak na ciebie?

- Twoja matka miała czternaście lat, jak się rodziłeś, a nie byłem wcale pierwszym, co się do niej dobrał. Issy jest już starsza od niej.

- Taak? A ile lat miała matka Jude'a?

- Już nie pamiętam. Też coś koło tego.

- Amator kwaśnych jabłuszek, co? - zapytał złośliwie Pete.

Hardy wiedział, że jego syn jest w nastroju do bitki. Jego duma została zraniona, bo w obecności Henry Ann dostał wycisk, a przy tym był mężczyzną na tyle honorowym, żeby przyznać, że walka była uczciwa. Hardy wiedział, kiedy lepiej powściągnąć nerwy i uczynił to właśnie teraz.

- Issy mówi, że Opal i jej mała były u Henry Ann z Austinem.

- Tak? I co z tego?

- Czy on ci przypadkiem nie lezie w szkodę, chłopcze?

- Martwi cię, że Opal ma faceta?

- Gównu mnie obchodzi, czy ma faceta, czy nawet stu facetów! - Hardy stracił panowanie nad sobą i zaczął krzyczeć tak głośno, że psy zaczęły szczekać. - Nie jest jedyną chętną kobietą nad Błotnistym Potokiem.

- Nie jest chętna! Niech cię szlag trafi! Mówiłem ci już! - odkrzyknął Pete aż go zabolęła szczeka. - Trzymaj się od niej z daleka!

- Co, u diabła, się z tobą dzieje, chłopcze? Nie masz monopolu na wszystkie kobiety w powiecie tylko dlatego, że większość z nich się przed tobą rozkłada.

- Nie na wszystkie. Tylko na kilka. Ale co moje to moje, staruszk. Po maratonie możesz wziąć sobie Issy.

- To ja nie mam już nic do powiedzenia? - wpadła im w słowo Isabel. Mężczyźni puścili to mimo uszu.

- Kuzyn Wally spotkał ładną kobietę nad potokiem koło farmy Henrych - odezwał się Hardy po krótkiej chwili milczenia. - Siedziała na kołdrze i czesała włosy. Wally mówił, że była bardzo przyjazna.

- To pewnie żona Toma Dolana. Jest ładna, ale coś jej się w głowie popieprzyło. Nigdy nie widziałem kobiety, która by miała taką ochotę na faceta. Chyba tylko kurwy, a i to tylko te, co zalegają z czynszem.

- Kuzyn Wally nie dba o to, czy babka ma po kolei w głowie, jeśli od drugiej strony jest w porządku.

Otworzyły się drzwi i wszedł Jude. Przez chwilę stał w drzwiach przyglądając się ojcu i bratu. .

- Gdzie byłeś? - warknął Hardy.

- Niech no pomyślę. Gubernator zaprosił mnie na bankiet. Nie widziałem cię tam, braciszku. Sądząc po twojej ślicznej buźce, byłeś zajęty gdzie indziej. Nosił wilk razy kilka?

- A co cię to obchodzi?

- Nic a nic. Żałuję tylko, że nie widziałem, jak dostajesz manto.

- Jak będziesz tak pyskował, to sam dostaniesz - zagroził Pete.

- Taak? No cóż, nie pierwszy raz - Jude wziął nóż i odkroił sobie kawał mięsa z patelni na kuchni. - Już tylko wołowinę jemy. Czemu nie jadamy kartofli, chleba i jakichś warzyw?

- Kartofle są w piwnicy. Obierz i ugotuj, kiedy tylko zechcesz.

- Czemu nie każecie czegoś ugotować pannie Belissimie? - Jude wskazał Isabel nożem. Ta pokazała mu język. - Powinna do czegoś się nadać oprócz kurestwa i tańca.

- Uważaj, co mówisz - warknął Hardy.

- Mam już dosyć spania na werandzie. Chcę wrócić do swojego łóżka. Niech ona śpi z Petem. Przecież po to tu przyszła - powiedział ignorując ostrzeżenie Hardy'ego.

- Dostaniesz swoje łóżko, jak tylko ona i Pete pójdą na maraton.

- A kiedy to będzie?

- W przyszłym tygodniu, mądralo - powiedziała Isabel. - Cieszę się, że potem nie będę musiała cię oglądać.

- Chcesz powiedzieć, że tu nie wracasz? To najlepsza wiadomość od czasu, kiedy Hardy'emu pękła sprężyna w Victorli. Co masz zamiar zrobić? Założyć własny dom z czerwoną lampką od frontu? Umrzesz z głodu. Komu by się chciało obijać o twój kościsty tyłek?

- Dosyć! - Hardy krzyknął tak głośno, że Isabel aż podskoczyła. - Okaż choć trochę szacunku.

- Szacunku? - Jude wetknął nóż z powrotem w wołowinę na patelni i oparł ręce

na biodrach.

- Słyszałeś?!
- Czy ty aby nie chcesz zrobić z tej wierzcipiętki mojej macochy, Hardy? Co? Nie doczekawszy się odpowiedzi, Jude wyszedł z domu.

19

Deszcz tchnął w pastwiska i pole bawełny nowe życie. Potokiem płynęła teraz woda tak samo ruda jak jego gliniaste brzegi.

Red Rock przygotowywało się na obchody Dnia Niepodległości i start maratonu tańca. Ci, którzy mieli radio, słuchali wiadomości i cieszyli się, że kontrkandydatem Hoovera będzie Franklin Roosevelt. Choć większość mieszkańców Oklahomy nie rozumiała, na czym miałyby polegać „New Deal” (Nowy układ), z kandydaturą Roosevelta powszechnie wiązano wielkie nadzieje.

W środku tygodnia Johnny zawiózł Henry Ann do miasta. Miała zamiar odwiedzić mecenasa Phillipsa, aby sprawdzić, czy kontaktował się z nim prawnik Isabel. Na drzwiach biura zastała jednak informację, że Phillips wyjechał i wróci dopiero czwartego lipca. Planowała również odwiedzić Karen, ale ta wyjechała z ojcem do Ardmore.

W sklepie spożywczym natknęła się na Myrtle Overton, która tylko chrząknęła na powitanie i nie odzywając się przeszła obok. Pan Anderson zachowywał się wobec niej jak zawsze. Pewnie zapomniałaby o afronie, jaki spotkał ją ze strony pani Overton, gdyby nie to, że sytuacja się powtórzyła. Johnny zaparkował przed składnicą lodu. Spotkali tam państwa Potterów, właścicieli sklepu, w którym Henry Ann, jeszcze jako uczennica szkoły średniej, pracowała w soboty. Pani Potter nawet skinieniem nie odpowiedziała na powitanie Henry Ann.

Ta nieuprzejmość bardzo ją zabolęła. Zrozumiała, że pani Miller nie traciła czasu. W drodze do domu Johnny zaskoczył ją mówiąc:

- Nie zwracaj uwagi na te stare kwoki, siostrzyczko.
- Czy one myślą, że skoro trzymam Jaya, to ja i Tom...
- Obchodzi cię, co one myślą?
- Obchodzi, Johnny. Większość tych ludzi znam od dziecka.

Na farmie Henrych zaczęły się sianokosy. Ponieważ do zżęcia było wszystkiego sześćdziesiąt akrów, w gruncie rzeczy była to praca dla dwóch osób. Kiedy Johnny kosił, Grant zgrabiał, potem obaj wrzucali siano widłami na wóz i wieźli do stodoły. Od pracy na słońcu włosy Granta pojaśniały, a jego skóra opaliła się tak, że stała się niemal tak ciemna jak Johnny'ego. Od tamtej nocy, kiedy odwiózł Karen do domu, nie napomykał już o osiedleniu się tutaj, ani nie wymawiał jej imienia.

Henry Ann i Ciotka Dozie robiły marynaty z dyni, pomidorów i ostatnich brzoskwiń. W tym czasie kilku nietutejszych zachodziło do domu i prosiło o coś do jedzenia. Zawsze dostawali jeść na podwórzu i większość z nich proponowała w zamian swoją pracę. Henry Ann zwykle pozwalała im napępniać zbiorniki.

Któregoś popołudnia Henry Ann bujała Jaya na huśtawce zawieszanej na gałęzi orzechowca, kiedy drogą przejechał szykowny czarny sportowy wóz. Henry Ann nigdy wcześniej nie widziała takiego w okolicy i zaczęła się zastanawiać, czy jedzie do Toma, czy może do Austinów.

W chwili, kiedy samochód mijał farmę Henrych, Tom szedł z Emmą-Jean przez pole, mocno trzymając ją za rękę. Pozwolił jej pobyc w jej „domku” do czasu, kiedy ukończył obrządki i okopał rząd kartofli. Przygotował kolację i poszedł po nią. Miał nadzieję, że uda mu się namówić ją, żeby coś zjadła. Była bardzo szczupła, miała wystające kości policzkowe i szczęki, jej oczy wydawały się wielkie i zapadnięte. Miał zamiar zabrać ją do doktora Hendricksa, jak tylko jej samopoczucie na to pozwoli.

Wchodzili właśnie na podwórze za domem, kiedy z drogi skręcił samochód i zatrzymał się koło studni. Wsiadł z niego Marty Conroy i czekał, żeby do niego podeszli. Tom jednak skierował się w stronę werandy. Łagodnie popchnął Emmę-Jean na krzesło.

- Kto to jest? - zapytała ostrym tonem. - Jadę samochodem? Jak się nazywa ten człowiek? - Podskoczyła. - Pójdę założyć moją różową suknię.

- Zaczekaj chwilę - Tom wziął ją za ramię i posadził z powrotem na krześle.

Marty podeszedł do schodów na werandę. Zdjął kapelusz i wytarł twarz białą chusteczką.

- Witaj, Emma-Jean. Witaj, Tom. Jezu Chryste, ależ tu gorąco.

- Nazywam się Emma-Jean. A ty kim jesteś?

Zdumiony Marty zmarszczył brwi i spojrział na swoją siostrę, potem na Toma.

- Nazywam się Emma-Jean - powtórzyła. - A ty kim jesteś? Chcesz, żebym zdjęła sukienkę?

- Nie - powiedział szybko Marty. A potem pod nosem:

- Co u diabła?

- Zabierzesz mnie samochodem? Zaraz zdejmę sukienkę.

- Emma-Jean sięgnęła, usiłując chwycić Marty'ego za rękę, ale ten cofnął się o krok.

- Emma, to ja, Marty, twój brat.

- Bardzo mi miło. - Skoczyła na równe nogi, zanim Tom zdołał ją zatrzymać i chwyciła za dół sukienki. Zanim ją powstrzymał, podciągnęła sukienkę do połowy ud.

- Nie rób tego teraz - powiedział łagodnie Tom. - Możesz ją zdjąć później.

- Kiedy?

- Później. Jak już zjesz.

- Nie chcę jeść.

Zanim Tom wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać, zeskoczyła z werandy i pobiegła do samochodu. Ruszył za nią i ledwie zdążył złapać za rękę, kiedy otwierała drzwiczki.

- Nigdzie nie pojedziesz, dopóki nie zjesz.

- Zostaw! Zostaw! - krzyknęła piskliwie i spróbowała wyrwać się z jego uścisku. Kiedy się nie udało, napluła na niego. A gdy ciągnął ją w stronę werandy, obrzucała go wszystkimi przekleństwami, jakie tylko przyszły jej do głowy. Przy schodach wziął ją za ramiona i łagodnie potrząsnął.

- Emma! Emma-Jean! - powtarzał jej imię dopóki na niego nie spojrzała. - Idź do domu i umyj twarz. Załóż różową suknię i zrób się na bóstwo. Zawiąz wstążkę we włosach.

- Zawiązać wstążkę?

- Tak. Żebyś naprawdę pięknie wyglądała.

- Dobrze - uśmiechnęła się do niego, potem do Marty'ego. - Idę na przyjęcie.

- Dobry Boże - powiedział Marty, kiedy jego siostra zniknęła za drzwiami do domu. - Od jak dawna jest w takim stanie?

- To jej najlepszy dzień od paru tygodni - wyjaśnił sucho Tom. - Od pokazu lotniczego z dnia na dzień jest coraz gorzej.

- Czy kiedykolwiek można się z nią porozumieć?

- W ostatnim czasie to w ogóle niemożliwe. Miałem nadzieję, że dziś uda mi się zabrać ją do doktora Hendricksa. Nie mogę dłużej jej tu trzymać. Powiedz ojcu Emmy, że powinien przyjechać i sam ją zobaczyć. Nawet nie będę próbował wieźć jej do Conroy, bo mogłaby wyskoczyć z samochodu.

Marty myślał gorączkowo. *Czy to możliwe, by Tom nie słyszał, że ich ojciec nie żyje?*

- Chcesz, żeby... ojciec tu przyjechał?

- I to jak najszybciej.

- Czemu chcesz, żeby ją zobaczył?

- Na rany Chrystusa! Czy to nie oczywiste? - odparł Tom z irytacją. - Trzeba umieścić ją w jakimś zakładzie, gdzie choćby dla siebie nie będzie zagrożeniem. Bez przerwy muszę mieć ją na oku. Sąsiedzi pomogli mi przy bawelnie, a teraz zajmują się bydłem i moim synem. Nie mogę ich tym dłużej obarczać. Jej rodzina powinna wziąć na siebie chociaż część odpowiedzialności. Przecież wiedzieliście o jej zaburzeniach, zanim mnie poślubiła.

- Powiem... mu - Marty odwrócił wzrok. - Gdzie chciałbyś ją umieścić?

- Porozmawiam z doktorem Hendricksem. Myślałem o jakimś zakładzie stanowym. Nie stać mnie na prywatny. Jeśli w najbliższym czasie nie znajdzie dla niej miejsca, może chociaż da jej jakieś pigułki. Może jak się trochę uspokoi, zacznie chociaż jeść, bo teraz okropnie się głodzi.

- Gdzie jest chłopiec?

- U przyjaciół. Czemu?

- Czy jej stan nie pogorszył się po tym, jak zabrałeś stąd dziecko?

- Mało go nie zabiła - rzucił gniewnie Tom. - Musiałem go zabrać. Tylko raz o niego zapytała. Ta kobieta nie ma za grosz instynktu macierzyńskiego. Nigdy nie miała. Nienawidzi naszego syna.

- Porozmawiam z... tatą. On i matka wspominali o zabraniu chłopca.

- Wybij to sobie z głowy - powiedział szybko Tom. - To mój syn i zostanie ze mną.

- Porozmawiam... Zobaczę, co da się zrobić. Nie rób nic, dopóki się nie odezwę.

- Zaczekam parę dni, ani godziny dłużej.

- Rozumiem twój problem, Tom. Skontaktuję się z tobą. Marty nie mógł się już doczekać, kiedy odjedzie i będzie mógł pomyśleć w spokoju. Cofnął samochód na drogę i odjechał zostawiając za sobą obłok kurzu.

- Niech to szlag! - zaklął i uderzył pięścią w kierownicę.

Przecież nie będzie stał i patrzył, jak dwa tysiące pięćset dolarów rocznie idzie na tę wariatkę. Zawsze brakowało jej piątej klepki, ale teraz ewidentnie była stuknięta.

- Niech to szlag!

Nagle zaczął się śmiać. Przyszło mu do głowy, że Tom mógłby przywieźć ją do Conroy i tam zostawić.

Kochana matka padłaby trupem na jej widok! Gdy by w grę nie wchodziło aż tyle pieniędzy, sam by go namawiał, żeby ją przywiózł. Choćby po to, żeby zobaczyć minę matki.

Marty zwolnił. Musiał starannie przemyśleć, *co* zrobić z Emmą-Jean. Umieszczenie jej w jakimś stanowym zakładzie nie rozwiązywało problemu. Chyba że gdzieś daleko. Jeden czy dwóch członków rady funduszu miało jakieś kontakty w Oklahomie. Nie potrafiłby wytłumaczyć radzie, dlaczego nie zawiadomił siostry i jej męża o śmierci ojca i testamentie.

Teraz jeszcze mógłby zaprzeczyć, że w ogóle był na farmie i przysiąc, że nie zdawał sobie sprawy, w jak złym stanie jest jego siostra. Byłoby tylko jego słowo przeciwko słowu Toma. Komu by uwierzyli? Na pewno Conroyowi!

Zaszokował go widok Emmy-Jean. Wyglądała jak ktoś na progu śmierci głodowej. Kto wie, gdyby zdołał opóźnić działania Toma o parę tygodni, może nawet by umarła. Rozwiązałyby w ten sposób wszystkie jego problemy. To niesprawiedliwe, żeby pieniądze, które powinny przypaść jemu, miały pójść na utrzymanie tej wariatki.

Tuż przed Red Rock Marty skręcił w kierunku domu w Conroy. Najwyraźniej w tej okolicy nie wiadano jeszcze o śmierci jego ojca, ani o tym, że to on jest teraz głową rodu Conroyów. Marty'emu odpowiadał ten stan rzeczy i pragnął go utrzymać jeszcze przez jakiś czas. Miał pokusę, żeby zatrzymać się przy biurze Waltera Harrisona, pochwalić nowym wozem i pokazać, że już nie musi pracować.

- Sukinsyn - wycedził przez zęby Marty. Całymi tygodniami Harrison odnosił się do niego z aroganckim lekceważeniem. Jeszcze zdąży pokazać mu, gdzie jego miejsce. Teraz ma na głowie znacznie ważniejszą sprawę. Chodzi przecież o dwa tysiące pięćset dolarów rocznie.

Tom siedział na schodach od podwórza i obserwował zachód słońca. Zastanawiało go, dlaczego Marty tak odwracał wzrok, przyrzekając, że powiadomi ojca o stanie Emmy--Jean. Ta mała kanalia pewnie pojedzie swoim nowym szykownym wozem do Dallas albo Oklahoma City i nigdy nie przekaze wiadomości.

Dzień, który zaczął się jako jeden z lepszych dni Emmy--Jean, szybko zmienił się w jeden z najgorszych. Tom miał nadzieję, że kiedy Emma wejdzie do domu, zapomni o Martym. Nic z tego.

Wyszła w momencie, kiedy Marty wyjeżdżał z podwórza i próbowała go gonić. Tom musiał przytrzymać ją siłą. Wierzgającą i miotającą przekleństwa zaniósł z powrotem do domu. Walczyła, póki nie opuściły ją siły. Wyczerpana położyła się na łóżku i płacząc zasnęła. Kiedy upewnił się, że może ją bezpiecznie zostawić, przeszedł przez pole do miejsca, gdzie Johnny i Grant kosili siano. Poprosił, aby jeden z nich zawiadomił doktora Hendricksa,

że potrzebna jest jego pomoc.

Johnny wyruszył natychmiast. Wrócił z wiadomością, że doktor Hendricks zabrał jakiegoś pacjenta do szpitala w Wichita Falls i nie będzie go do późna. Jego żona prosiła o przekazanie, że dopiero rano doktor będzie mógł przyjechać na farmę Toma.

Pogrążony w myślach Tom nie zauważył konia i jeźdźca zbliżających się wzdłuż płotu od strony farmy Henrych. Dopiero kiedy byli blisko, rozpoznał kuca Johnny'ego. Na siodle przed Johnnym siedział jego syn, Jay. Uśmiech szczęścia rozjaśnił twarz Toma.

- Tato! Tato! Zobacz! Jadę.

- Pewnie, że jedziesz - Tom zdjął syna z siodła i przycisnął go do piersi. Jay objął go za szyję. - Tęskniłem za tobą, mały.

- Jestem duży.

- Pewnie, że tak - potwierdził Tom. Wydawało się, że nie jest w stanie wykrztusić ani słowa więcej.

- Henry Ann poprosiła, żebym go zabrał. Dawnoście się nie widzieli.

- Pięć dni. Liczyłem każdą godzinę.

- Ciotka Dozie przysłała ci słoik knedli i trochę placuszków z brzoskwiniami. -

Johnny zszedł z kuca i odczepił torbę od siodła.

- Boże błogosław Ciotkę Dozie.

- Henry Ann zatrzymała mnie, żeby trochę podstygły. -Johnny zawiesił torbę na płocie.

Tom usiadł na pniaku i wziął Jaya na kolana.

- Johnny mi robi huśtawkę.

- Wysoko się huśtasz?

- Johnny huśta wysoko. Henry Ann boi, że spadnę. Ja nie spadnę. Jestem duży.

- Trzymaj się mocno, jak się huśtasz, dobrze?

-Johnny Trzymaj się mocno, kowboju"! - Jay za-

chichotał i pokazał Johnny'ego palcem.

- Co jeszcze porabiasz?

Malec przechylił głowę i zacisnął usta.

- Łuszczę fasole z Ciocią Dozie.

- To dużo robisz.

- Jestem duży.

Czas mijał prędko i gdy nadeszła pora, żeby wracać, Tom posadził Jaya na siodle przed Johnnym.

- Do widzenia, synku. Niedługo przyjdę do ciebie. Dzięki, żeś go zabrał, Johnny.

- Drobiazg. Już trochę jeździliśmy razem po podwórzu. Henry Ann wiedziała, że pewnie chciałbyś go zobaczyć. - Ciemne oczy Johnny'ego wychwyciły zmianę wyrazu jego twarzy na dźwięk imienia Henry Ann. Obaj z Grantem zauważyli, że gdy przychodził na farmę Henrych, oczu od niej nie mógł oderwać. *Ten facet zakochany jest w niej do szaleństwa.* Pocziwy gość z tego Toma, ale wpakował się w niezły kocioł.

- Bądź grzeczny, Jay. Słuchaj Henry Ann.

- Kocham Henry Ann.

Ja też, synu. Ja też.

- Cieszę się. Niedługo do ciebie przyjdę.

Kiedy Tom patrzył, jak jego syn oddala się od domu, w którym nie mógł czuć się bezpiecznie, jego ciemne oczy wyraźnie pojaśniały.

Doktor Hendricks przybył w chwili, kiedy Tom palował krowę obok przydrożnej kępy trawy przed domem. Ledwo zdążył wysiąść z samochodu, a Emma-Jean zerwała się z krzesła na werandzie, gdzie posadził ją Tom i podbiegła do niego.

- Witaj. Jak się nazywasz? Chcesz, żebym zdjęła sukienkę?

Tom podszedł do niej i położył jej rękę na ramienia. Wcześniej upewnił się, czy jest ubrana, ale odmówiła, jak uparte dziecko, umycia twarzy umazanej grubą warstwą różu i szminki.

- Dzień dobry, doktorze. Dziękuję, że pan przyszedł.

Doktor Hendricks skinął głową i całą swoją uwagę skierował na Emmę-Jean.

- Jak się pani miewa, pani Dolan?

- Chcesz zobaczyć moje cycuszki? - Tom wziął ją za rękę, bo zamierzała właśnie rozpiąć górę sukienki.

- Nie, Emma-Jean. Nie rób tego,

- Chcesz zobaczyć moje cycuszki?

- Później. Możesz pokazać mi je później. Idę na przyjęcie! - zamachnęła się i jej pięść wylądowała na policzku Toma.

- Przestań - powiedział łagodnie i chwycił jej nadgarstek. - Chodź, usiądziemy na werandzie.

- Nie!

- Niech pan idzie, doktorze. Ona zaraz pójdzie za panem.

Doktor Hendricks wszedł na werandę, a Emma-Jean podążyła za nim. Usiadł na krześle. Ona próbowała usiąść mu na kolanach, ale łagodnie posadził ją na krześle stojącym obok.

- Możemy rozmawiać, Tom?

- Z nią jest coraz gorzej, doktorze. Dziś rano nie wiedziała jak się nazywa. Myślę, że czego byśmy nic powiedzieli, do niej to nie dociera. Potrzebuję rady, doktorze. I... pomocy.

- Nie jestem przygotowany do leczenia demencji.

- A co to takiego, do diabła?

- Chory umysł.

- Ale wie pan dosyć, żeby stwierdzić chorobę.

- Absolutnie. Czy ma wahnięcia nastroju?

- Jeśli pyta pan o to, czy jej zachowanie zmienia się co chwilę, to owszem.

Nigdy nie wiem, czego się spodziewać.

- Chcesz, żebym zdjęła sukienkę? - Emma-Jean zaczęła głaskać doktora po kolanie.

- Nie, nie teraz. - Poklepał ją po dłoni.

- Uciekła z domu w tę noc, kiedy padał deszcz. Musiałem poprosić Johnny'ego i człowieka, którego wynajęli, żeby pomogli mi jej szukać. Johnny znalazł ją w tej budzie, w lesie Austinów. Była z jakimś mężczyzną. Miała siniaki na twarzy i krew na udach.

- Została zgwałcona?

- Nie sądzę, by to był gwałt, doktorze. Ona gotowa jest to zrobić z każdym i... w każdej chwili. Jeśli dowiem się, kto ją wykorzystał, trudno mi będzie go nie zabić.

- Chcesz zobaczyć moje cycuszki? Chcesz zobaczyć moje cycuszki? Chcesz, żebym zdjęła...

- Nie, nie teraz. - Doktor Hendricks ujął jej dłoń oburącz.

- Czy coś takiego zdarzyło się pierwszy raz?

- Nawet nie wiem, doktorze.

- Czy mogła zająć w ciążę?

- Następnego dnia rano czuła się dobrze, nie tak jak to było z Jayem. Ale ostatnio nie widziałem nic, co by wskazywało, że miała okres. Jezu! Nie pomyślałem o tym. Nigdy nie była zbyt dyskretna i często zostawiała zużyte szmatki rozrzucone w różnych miejscach. Musiałem ją nakłaniać, żeby je zbierała i prała.

- Z tego co widzę jest tak wyczerpana, że okres mógł się w ogóle nie pojawić.

Bardzo schudła od czasu, kiedy ją ostatnio widziałem.

- Z trudem udaje mi się ją namówić, żeby coś zjadła.

- Wysłanie jej do stanowego szpitala dla umysłowo chorych, o ile zdecyduje się pan to zrobić, będzie wymagało decyzji sądowej co do jej stanu psychicznego. Zostanie zatrzymana do dyspozycji sądu w celu poddania jej badaniom przez jednego lub więcej lekarzy. Sędzia wysłucha zeznań świadków. Jeśli uzna ją za chorą psychicznie, zostanie umieszczona w zakładzie stanowym.

- Wolałbym tego nie robić, chyba że nie będzie innego wyjścia. Słyszałem, że chorych po prostu zamykają, a potem o nich zapominają.

- Zgadzam się, że są to okropne, choć z drugiej strony niezbędne, miejsca. Nikogo nie wysyła się tam, licząc na to, że jego stan się poprawi.

- Wczoraj był tu jej brat. Pojedzie zawiadomić jej rodziców. A tymczasem, czy jest cokolwiek... Nie, Emma-Jean. Nie rób tego. - Emma-Jean wyjęła dłoń z rąk doktora i wcisnęła ją sobie pod spódnicę.

- Nie ma się czego wstydzić, Tom. Ona nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi. Osoby z zaburzeniami psychicznymi czasem wykazują silne skłonności seksualne.

- Wygląda na to, że cały czas... tylko o tym myśli.

- Chciałeś zapytać, czy mógłbym dać jej coś na uspokojenie. Nie mam do tego odpowiednich kwalifikacji, Tom. W szpitalu wiedzieliby, co jej dać. Teraz możesz jedynie przygotować dla niej jakieś specjalne miejsce. Tak żebyś mógł trochę odpocząć. Wyglądasz na strasznie zmęczonego.

- Myślałem o tym, żeby zamykać ją w jej pokoju. Ale byłoby jej zbyt gorąco. A gdybym otworzył okno, na pewno by przez nie wyszła.

- Zadrutuj gęsto okna i drzwi cienkim drutem. Ty będziesz mógł do niej zaglądać, a ona nie będzie mogła wyjść. Powinno wystarczyć na kilka dni, zanim coś zdecydujesz. Przykro mi, że nie mogę ci pomóc. Jeśli zdecydujesz się na państwowy zakład, daj mi znać. Pomogę.

- Zaczekam, co na to powiedzą jej rodzice. Chcę, żeby przyjechali i zobaczyli, w jakim jest stanie. Bądź co bądź to ich jedyna córka. Mogliby pozwolić sobie na umieszczenie jej w prywatnym sanatorium.

Doktor zszedł z werandy. Emma-Jean uczepliła się jego ramienia. Kiedy doszli do samochodu, doktor Hendricks sięgnął do środka i wyciągnął czerwonego lizaka.

- To za to, że jesteś grzeczną dziewczynką, Emma-Jean - odezwał się do niej jakby była dzieckiem. - Przyjdę cię odwiedzić za parę dni.

Emma-Jean wzięła lizaka, obejrzała go i rzuciła na ziemię. Wykrzyknęła przekleństwo i uderzyła doktora. Potem przebiegła obok Toma i spróbowała dostać się do samochodu. Chwycił ją w pasie i podniósł do góry.

- Przepraszam doktorze.

Tom zaniósł ją do domu. Kiedy się obejrzał, doktor Hendricks wyjeżdżał właśnie z podwórza. W pokoju delikatnie upuścił Emmę-Jean na jej łóżko. Ku jego zaskoczeniu spokojnie na nim została. Odczekał, aby się przekonać, czy minie jej napad złości. Potem poszedł do kuchni i opłukał twarz wodą, jakby w ten sposób chciał pozbyć się frustracji.

Tom wątpił, czy Marty przekaze wiadomość Conroyowi. Nie powinien więc oczekiwać z jego strony żadnej pomocy, chyba że zdołałby powiadomić go telefonicznie. Był również zawiedziony, że doktor Hendricks nie był w stanie przepisać Emmie-Jean środków uspokajających. Głowa bolała go z braku snu. Serce - bo nie mógł być z kobietą, którą kochał.

Jeszcze tego samego dnia w zachowaniu Emmy-Jean nastąpiła drastyczna zmiana. Pogrzeżyła się w głębokiej depresji i stała się tak posłuszna, że jadła, kiedy Tom kazał jej jeść, siadała, kiedy Tom kazał jej usiąść, umyła twarz i ręce, kiedy Tom jej powiedział, żeby to zrobiła. Milczała jak zaklęta. Zmiana była tak dziwna i zaskakująca, że aż straszna.

Tom zabrał ją ze sobą do obrządków i posadził na skrzynce w miejscu, gdzie mógł cały czas mieć ją na oku. Siedziała tam dopóki nie skończył, potem wrócił z nim do domu.

Zachowanie to, choć dawało mu większą swobodę ruchów, było równie przerażające jak jej wcześniejsze pobudzenie z wszystkimi tymi seksualnymi akcentami. Wtedy przynajmniej wiedział, czego się spodziewać.

W milczeniu siedziała na werandzie aż do zmierzchu. Kiedy nadeszła pora, żeby pójść do łóżka, zdjęła sukienkę i naciągnęła przez głowę koszulę nocną.

- Napijesz się wody, Emma-Jean?

Nie otrzymał odpowiedzi, posadził ją więc na brzegu łóżka i poszedł do kuchni po kubek wody. Kiedy wrócił, siedziała dokładnie tak, jak ją zostawił. Napła się, bo prosił, żeby się napła. Położyła się na boku, wkładając obie dłonie pod policzek. Tom bacznie się jej przyjrzał. Wyglądała jak bezbronne dziecko. Głęboko współczuł tej chorej kobiecie, której rodzina gardziła nią za coś, czemu nie ona była winna.

Tom położył się na swoim pościeliu w kuchni i zaczął przypominać sobie te szczęśliwe chwile, kiedy trzymał Henry Ann w ramionach. Czas szybko mijał. Był już środek lata. Nazajutrz Czwarty Lipca. On jednak nie będzie świętował. Jeśli Emma-Jean będzie w takim

jak dziś nastroju, może zdoła ją umyć.

Już dawno pochował wszystkie noże i inne przedmioty, których mogłaby użyć. Mimo to od dawna nie przespał nocy. Ledwie pozwalał sobie na drzemkę. Tym razem zasnął twardym snem. Tylko od czasu do czasu budził się i szedł do pokoju Emmy-Jean, by sprawdzić, czy nadal jest w łóżku.

20

Henry Ann nie opuściła obchodów Dnia Niepodległości od czasu, kiedy jako ośmioletnia dziewczynka zachorowała na szkarlatynę. Miała jednak wątpliwości, czy pójść w tym roku. Po przykrościach, jakie spotkały ją podczas ostatniego pobytu w mieście, obawiała się, że podobne sytuacje mogłyby się powtórzyć. Postanowiła poprosić o radę Ciotkę Dozie.

- Idź, tylko głowę trzymaj wysoko. Nie zrobiłaś nic takiego, żeby cię mieli wytykać palcami.

Właśnie, że zrobiłam, Ciociu Dozie! Ale wiem, że Tom mnie kocha, a to warte jest tysiąca afrontów.

Uroczystości zaczęły się od przemarszu grupy weteranów wojennych główną ulicą miasta. Za nimi kroczyła orkiestra szkoły średniej, dalej ciągnął sznur samochodów z wizerunkami kandydatów na różne polityczne urzędy.

Na licznych stoiskach i z wózków sprzedawano hot-dogi i kruszony lód z gęstym słodkim syropem w papierowych stożkach. Wzdłuż całej ulicy co krok można było kupić popcorn i orzeszki, jak również kolorowe balony na sznurkach. Na jednym ze skrzyżowań ustawiono niewielką, sześciokonną karuzelę, wokół której biegała rozkrzyczana dzieciarnia. Tłumy przechadzały się po ulicy, oczekując na największą atrakcję dnia - rozpoczęcie maratonu tańca.

W latach poprzednich Henry Ann i Karen sprzedawały rozmaite drobiazgi wykonywane na zajęciach w kółkach parafialnych. Tego roku Henry Ann już wczesną wiosną uprzedziła, że rezygnuje. Dzisiaj, kiedy przybyła do miasta w towarzystwie Johnny'ego, Granta i Jaya, bardzo była zadowolona ze swojej wiosennej decyzji. Zostawili Ciotkę Dozie w jej kościele, aby mogła wziąć udział w „obiedzie na trawie” i spotkać się ze swymi krewnymi.

Nad miastem górował wielki pasiasty namiot rozstawiony nad platformą taneczną. Henry Ann i jej towarzysze podjechali tam boczną alejką. Johnny zaparkował pod liściastym

drzewem w uliczce opodal kościoła. Po tej stronie ulicy, na którą padał cień kościelnych zabudowań rozstawiono stoły z wyrobami na sprzedaż i stolik z banią lemoniady. Na widok Henry Ann prowadzącej Jaya, zza jednego ze stoisk wyszła Karen.

- Ciekawa byłam, czy przyjdiesz - rzuciła szybkie spojrzenie przez ramię przyjaciółki na Johnny'ego i Granta, którzy stali oparci o samochód. Palcem lekko uniosła buzię Jaya do góry. - Dzień dobry, Jay.

- Mało brakowało, a nie przyszedłbym.

- Więc słyszałaś. O, Henry Ann, to takie niesprawiedliwe. Ta stara jędza! Gdzie tylko się dało powtarzałam, że ona wygaduje same bzdury. Ale niektórzy wolą w to wierzyć.

- A co takiego rozpowiada?

- Cóż... że... masz romans z... no wiesz.

- Tylko tyle?

- Nie. Wini cię też za to, że Chris zszedł na złą drogę. Że niby to przez ciebie jest z Opal.

- O mój Boże.

- To jeszcze nie wszystko - Karen zachichotała.

- Nie wszystko? Może być coś jeszcze?

- Wini cię za mój upadek.

- A kiedy... upadłaś? - uśmiech Henry Ann był nieco wymuszony.

Ktoś wyjął rączkę Jaya z dłoni Henry Ann. Obejrzała się i zobaczyła, że Grant zdjął swój sfatygowany kapelusz i bierze malca na barana.

- Witaj, Karen.

- Witaj.

Henry Ann zauważyła, że policzki jej przyjaciółki powleka rumieniec i że oczu nie może oderwać od twarzy Granta.

- Johnny i ja zabierzemy Jaya na chwilę. Wrócimy tak, żebyśmy zdążyli obejrzeć początek maratonu. Będziesz mogła pójść z nami, Karen?

- Tak myślę. Umawiałam się, że zostanę tu nie dłużej jak godzinę. Mniej więcej tyle już tu jestem.

Upłynęło parę chwil, zanim wróciły do przerwanej rozmowy. Odprowadzały wzrokiem Granta z Jayem siedzącym mu na barana i Johnnym idącym wolno tuż obok.

Dwie kobiety przechodziły chodnikiem i zatrzymały się przed stoiskiem.

- Witam panie - Karen powitała je beztroskim tonem. - Czy mogę coś zaproponować? Może zechcą panie coś kupić?

- Raczej nie.

Ta, która odpowiedziała, odwróciła oczy. Nie chciała spotkać wzroku Henry Ann, choć znała ją od dziecka.

Henry Ann wyprostowała ramiona. Oto spotykał ją kolejny afront. Postanowiła, że zmusi tę kobietę, by jednak na nią spojrzała.

- Dzień dobry, pani Oden. Jak się miewa Marie? Nie widziałam jej, odkąd przeniosła się do Duncan.

- Wszystko u niej w porządku - odpowiedziała pani Oden, nie odwracając głowy. Dłonią popychała swoją towarzyszkę w kierunku ulicy.

Gniew i uraza skłoniły Henry Ann do zapytania panią Oden o syna, który odsiadywał wyrok w więzieniu w Ardmore za kradzież benzyny.

- A jak tam Melvin? Tak dawno go nie widziałam. - A kiedy nie otrzymała odpowiedzi, dodała: - No cóż, do widzenia. Proszę pozdrowić Marie i Melvina, kiedy już wyjdzie.

Henry Ann była zbyt rozgniewana, żeby się rozplakać.

- Ograniczona stara kwoka! Odwraca się ode mnie, ponieważ wydaje jej się, że rozbijam cudzą rodzinę, a jej własny syn siedzi za kratkami za kradzież!

- Dobrze jej tak. Dobrze zrobiłaś, że zapytałaś o Melvina.

- Czy ktoś mówił twojemu tacie, że byłaś u mnie w niedzielę?

- O tak! Pani Miller powiedziała mu, że Tom tam był, mimo że jego biedna żona leży chora w łóżku i o tym, że Chris był z Opal i jak to aż serce rozboleło biedną panią Austin na wieść, że jej syn zadaje się z kobietą o takiej reputacji. Dała do zrozumienia, że jestem zbyt niewinna, by zdawać sobie sprawę z tego, co dzieje się między tobą a Tomem w tym nieprzyzwoitym miejscu. Powiedziała mu również, że po śmierci taty straciłaś rozsądek i najmujesz włóczągów.

- Boże drogi! A co on na to?

- Nic. Zna panią Miller. Poznał Granta i chyba go polubił. - W oczach Karen widać było wesołe isierki. - Zaproponował, żebym zaprosiła go na kolację w tym tygodniu.

- Poważnie?

- No jasne. Tata jest znawcą charakterów. Lubi też Toma - Karen uśmiechała się coraz szerzej. - Mimo że Tom jest katolikiem.

Pojawiła się wreszcie kobieta, która miała zastąpić Karen przy stoisku. Wraz z Henry Ann skierowały się do miejsca, w którym próbowali sił miejscowi siłacze. Jeżeli uderzenie młotem w podstawę pionowo ustawionej miarki było wystarczająco silne, na jej szczycie

odzywał się dzwonek. Akurat kiedy nadchodziły, Grant płacił człowiekowi obsługującemu urządzenie. Johnny siedział na stopniu zaparkowanego opodal samochodu. Jay stał między jego kolanami jedząc loda w waflowym rożku.

- Spójrz na Jaya. - W oczach Henry Ann pojawił się uśmiech. - Cały przód ogrodników ma upakowany w tych lodach. Czy Johnny nie jest cudowny? Kto by uwierzył...

Urwała w pół słowa, kiedy zdała sobie sprawę, że cała uwaga Karen skupia się na Grancie, który właśnie zamachnął się młotem. Do dzwonka zabrakło mu mniej więcej trzydziestu centymetrów.

- Coś nie słyhać dzwonka - zawołała Karen, a Grant brał już powtórny zamach.

DONG!!!

- Co mówiłaś? - Grant obrócił w stronę Karen swą opaloną twarz i wyszczerzył zęby.

- Jaką nagrodę dostaniesz, panie Mięśniaku?

- Chcesz ją? - zapytał Grant i podszedł do człowieka obsługującego urządzenie, aby wybrać jedną z nagród.

- No pewnie.

- Czy obiecasz, że zachowasz ją na zawsze? - Grant zwrócił się w stronę Karen, chowając jedną rękę za plecami.

- Jeżeli to się je, to nie obiecuję.

- Obawiam się, że to zbyt ciężkostrawne - przez głowę przełożył jej srebrny łańcuszek ze szklanym serduszkim. - To nagroda specjalna. Musiałem dosięgnąć dzwonka cztery razy, żeby to zdobyć. Zaznaczam, że mogłem wybrać cztery cygara.

- No proszę. Co za poświęcenie - w głosie Karen dało się słyszeć lekkie podenerwowanie.

Wybuch fajerwerków oznajmił początek ceremonii poprzedzającej maraton tańca. Wszyscy spacerowicze tłumnie ruszyli w stronę namiotu w paski. Henry Ann wytarła Jayowi twarz i ręce chusteczką i pozwoliła mu iść przed sobą i Johnnym. Grant i Karen szli za nimi. Zatrzymali się w pewnej odległości od platformy tanecznej i słuchali głosu konferansjera dobywającego się z megafonu.

- Pa-nie i pa-no-wie! Za chwilę rozpocznie się pierwszy doroczny maraton tańca w Red Rock! - Tłum odpowiedział brawami.

- Dwadzieścia pięć par, które zgłosiły się do udziału w maratonie, prosimy na parkiet. Para, która zejdzie jako ostatnia, zabierze ze sobą PIĘĆSET DOLARÓW! Dzisiaj wszyscy są mile widziani. Począwszy od jutra platformę otoczy płócienna zasłona, a cena za

wstęp wyniesie piętnaście centów! Ale dziś każdy kto chce, może wejść i zostać cały dzień, a nawet całą noc. Teraz przedstawimy uczestników maratonu.

- Widzę tu tych, co przyszli kibicować Pete'owi - mruknął Johnny. - Jest dumą klanu Perrych.

- Rzeczywiście, jest tu jego ojciec i młodszy brat. Reszty Perrych nie znam.

- Każda para dostanie opiekuna, który będzie podawał jej wodę i jedzenie - oznajmił konferansjer. - Tancerze będą mieli dziesięć minut na godzinę, żeby odpocząć albo...

- Albo skorzystać z toalety - mruknął Johnny. - Postawili ją tu obok.

- Skąd tyle o tym wiesz?

- Pete nawijał o tym całymi miesiącami.

- Ciekawe, kto im będzie pomagał.

- Na pewno któryś z Perrych. Widziałem tu Sandy'ego. To daleki kuzyn. Zjechał się cały Błotnisty Potok. Nieczęsto widuje się w mieście Hardy'ego. Nawet Grubas Peny przyjechał.

- O, są! Mój Boże. Isabel szczęśliwa jak dziecko. Jeszcze nie wie, co ją czeka.

Henry Ann zdała sobie sprawę, że za nimi zebrał się spory tłumek, kiedy zza pleców dobiegł ją kobiecy głos:

- No proszę, kto by pomyślał! Jak ona może pokazywać się na oczy przyzwoitym ludziom?

Henry Ann odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z panią Austin. Ich oczy stoczyły cichą bitwę. Pan Austin, stojący za plecami żony, opuścił głowę.

- Dzień dobry, pani Austin.

-Jak śmiesz zwracać się do mnie po tym, co zrobiłaś biednej pani Dolan i po tym, jak popchnęłaś mojego syna w stronę tej kurwy i jej bękarta i obróciłaś go przeciwko jego własnym rodzicom! Każda przyzwoita kobieta w tym mieście wie już, co z ciebie za jedna! - Podniosła dłoń, jakby chciała spoliczkować Henry Ann, ale pan Austin chwycił ją za nadgarstek. Wyrwała rękę, po czym zaczęła się wycofywać, przepychając przez tłum.

Henry Ann, gdyby mogła, zapadłaby się pod ziemię. Zbierało się jej na płacz. Tylko dzięki swojej dumie zdołała zapanować nad emocjami. Wyprostowała się i uniosła głowę. Zabrakło jej odwagi, żeby sprawdzić, jakie wrażenie na stojących w pobliżu zrobiły słowa pani Austin.

- Wolałabyś stąd iść, siostrzyczko?

- Wolałabym, ale nie chcę, żeby zobaczyła, jak bardzo mi dopiekła.

- Niech sobie to stare próchno myśli, co mu się żywnie podoba. Idź z Jayem. Ja

powiem Grantowi i Karen, że spotkamy się przy samochodzie.

Trzymając Jaya za rękę, szła z podniesioną głową, patrząc ludziom prosto w oczy, kłaniając się znajomym. Paru mężczyzn uniosło kapelusze, ale większość kobiet udawała, że jej nie widzi. Johnny dogonił ją, gdy znalazła się na prawie pustej ulicy. Przechodzili koło nieruchomej karuzeli, kiedy Henry Ann zatrzymała się.

- Niech Jay się przejedzie. Będziesz musiał go przytrzymać.

-Jechałem na karuzeli tylko raz czy dwa. Raz jeden z facetów mamy chciał jej zaimponować i dał mi dyszkę. Frajer. Nawet tego nie zauważyła.

- Ja stawiam. Wsiadaj, Jay. Johnny pojedzie z tobą.

Johnny posadził Jaya na drewnianym, pomalowanym jaskrawa farbą koniu i usiadł za nim. Zaczęła grać muzyka, a koń poruszał się w górę i w dół. Henry Ann machała im za każdym razem, kiedy ją mijali. Widząc szeroki uśmiech na twarzy dziecka, na chwilę zapomniała, jak potraktowali ją ludzie, których uważała za przyjaciół.

- Podobało ci się, brzdącu? - Henry Ann wzięła Jaya za rękę, gdy podbiegł do niej po skończonej przejażdżce.

- Nie bałem się - krzyknął chłopiec. - Johnny mnie tsymał.

- Robi się z ciebie duży chłopak.

- Jestem duży - przyznał Jay.

- Jay i ja wrócimy teraz do samochodu, Johnny. Idź, rozerwij się trochę. Nie musisz zostawać z nami.

- Czyżby? - Johnny pogrzebał w kieszeni i wydobyl dyszkę, za którą kupił Jayowi wielki czerwony balon.

- Jeśli nie będziesz uważał, pokocham cię bez pamięci.

- Naprawdę? Nikt mnie jeszcze nie kochał. Jak to jest?

Łzy, które napłynęły Henry Ann do oczu, omal nie spłynęły jej po policzkach. Jej emocje i tak były już wystarczająco rozchwiane, słowa Johnny'ego stały się więc niczym kropla przepelniająca kielich. Zawstydzona zamrugala oczami i pociagnęła nosem.

- No dobrze. Chodźmy. Serce rośnie, jak się widzi, że ten mały jest naprawdę szczęśliwy. Czy tobie ktoś kiedyś kupił balona? - zapytała Johny'ego.

- Zdarzyło się parę razy.

- To ja kupię ci hot-doga - uśmiechnęła się przez łzy. -Chodźmy do samochodu.

Minęli biuro mecenasa Phillipsa. Na drzwiach wciąż wisiał napis ZAMKNIĘTE. Henry Ann nie miała od niego żadnych wiadomości od czasu ich rozmowy o roszczeniach Isabel. Obiecał, że zajmie się tym. Będzie musiała mu zaufać.

Jay bawił się balonem. Henry Ann siedziała wraz z Johnnym na stopniach samochodu, kiedy oboje zauważyli Karen i Granta zmierzających powoli w ich stronę.

- Zrobił na Karen wrażenie - powiedziała.

- Ona też mu się podoba.

- Jeśli zdecyduje się osiedzić tutaj na stałe, ciekawe czym zamierza się zająć? Po zbiorze bawełny nie będzie u nas aż tyle pracy, żebyśmy potrzebowali jego pomocy.

- Mam nadzieję, że zamieszka w pobliżu. On jest w porządku, siostrzyczko. Postawiłbym na niego własne życie.

- Nie rób tego, Johnny. - Henry Ann chwyciła go za ramię. - Nie żartuj z własnego życia. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Karen paplała jak najęta, a oczy Granta śmiały się, kiedy patrzył na nią. Dla Henry Ann było jasne jak słońce, że są zakochani. Próbowwała cieszyć się szczęściem przyjaciółki i nie zazdrościć jej, że tak swobodnie może spotykać się ze swoim mężczyzną.

- Zgadnij, kogośmy widzieli - zapytała Karen, gdy już podeszli. - Chrisa. Uśmiechnięty od ucha do ucha przyglądał się, jak Opal i Rosemary jeżdżą na karuzeli.

- Jestem dumna z Chrisa - powiedziała Henry Ann. - Na pewno jest mu trudno, bo robi to wszystko wbrew woli rodziców. Mam nadzieję, że on i Opal nie natkną się na panią Austin. Na pewno zepsułaby im cały dzień.

- Widziałaś ją?

- O tak - odpowiedział Johnny. - Gdyby była facetem, oberwałaby po nosie.

- To nieważne - powiedziała Henry Ann, chcąc zmienić temat.

- Już zaczęli tańczyć - oznajmiła Karen po chwili milczenia. - Pete i Isabel mają numer szósty. Pete się odpicował jak nigdy. Prawdziwy z niego przystojniak. Szkoda tylko, że rozum nie idzie u niego w parze z wyglądem. Kto wie, może gdyby nie wychowywał się nad Błotnistym Potokiem, wyszedłby na ludzi.

- Przystojniak? - prychnął Grant. - Szkoda, że nie wiedziałem, że tak uważasz. Trochę bym mu przefasonował facjatę, skoro już miałem okazję.

- Nic się nie martw - powiedziała Karen kojącym tonem, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Załatwię ci jeszcze jedną szansę.

- Nie zwracaj tym sobie ślicznej główki - Grant położył dłoń na ręce Karen.

Muzyka, która przez cały czas grała głośno, jak przystało na pierwszy dzień maratonu, nagle ucichła. Upłynęła długa chwila, zanim ktokolwiek to zauważył. Potem rozległ się donośny głos konferansjera.

- Proszę tańczyć! Proszę dalej tańczyć, albo zostanieie zdyskwalifikowani.

Mamy pewien problem. Szeryf mówi, że jedna z uczestniczek jest niepełnoletnia i podała nieprawdziwe dane na zgłoszeniu. Para numer sześć zostaje zdyskwalifikowana! -Po tych słowach rozległy się gniewne okrzyki dezaprobaty.

- To Pete i Isabel! - wykrzyknęła Karen.

- A to ci dopiero! Dobrze jej tak. Myśli, że jest taka sprytna! - Henry Ann natychmiast pożałowała, że powiedziała coś tak małostkowego.

- Pete będzie wściekły jak nadepnięta żmija - rzucił Johnny. - Liczył, że ten maraton podniesie jego notowania w mieście. Myślał, że jeśli wygra, ludzie będą patrzeć na niego z podziwem.

- Coś mi się wydaje, że uczciwa praca i przyzwoite traktowanie innych prędzej zapewniłyby mu szacunek niż zwycięstwo w maratonie - powiedziała Karen.

Chwilę później samochód ze złotą gwiazdą na drzwiach przejechał ulicą i zatrzymał się tuż obok samochodu Henry Ann. W środku między szeryfem a mecenasem Phillipsem siedziała Isabel. Prawnik wysiadł.

- Dzień dobry paniom - powiedział, unosząc swój wiekowy kapelusz. - Możemy chwilę porozmawiać, Henry Ann?

- Może pan mówić przy moim bracie i przyjaciółach, panie mecenasie. Wiedzą o moich kłopotach z Isabel.

- Załatwiłem, że dziewczyna znajdzie się pod opieką państwa. Szeryf zabierze ją do Oklahoma City, gdzie zajmą się nią do czasu, kiedy stanie się pełnoletnia. Chyba że ty, jako najbliższy znany krewny, weźmiesz ją do siebie na własną odpowiedzialność.

- Nie mogę tego zrobić, panie mecenasie - Henry Ann potrząsnęła głową. - Próbowałam z nią po dobroci, próbowałam być stanowcza: wszystko na nic. Ona nie ma zamiaru podjąć najmniejszego wysiłku. Nie chce nawet chodzić do szkoły.

- A zatem zostanie umieszczona w zakładzie dla krnąbrnych dziewcząt i posiedzi tam aż do ukończenia osiemnastego roku życia. Potem odzyska wolność.

- Będzie musiała chodzić do szkoły?

- Tak. I pracować.

- Johnny, co o tym myślisz?

- Myślę, że jeśli ją zatrzymasz, to w ciągu tygodnia pożałujesz, żeś to zrobiła. Będziesz miała z tego same kłopoty.

- Johnny! Johnny! - zawołała Isabel z samochodu. - Proszę, nie pozwól im mnie zabrać. Johnny, chodź tutaj. Proszę powiedz im, że zrobię wszystko, co ona mi każe, jeśli pozwolą mi zostać.

Johnny podszedł do samochodu i nachylił się, żeby jej odpowiedzieć.

- Teraz tak mówisz, ale potem i tak zrobisz co będziesz chciała. Już to przerabialiśmy. Poszłabyś prosto do Perrych. Jak tylko się tu zjawiłaś, mówiłem ci, że masz szansę się uczyć, że jeszcze możesz wyjść na ludzi, Ale ty wypięłaś się na to.

- Zrobię wszystko, co mi każesz. Proszę, Johnny. Jesteś moim bratem.

- Bratem przyrodnim. Dziękuję Bogu, że twój ojciec nie był moim.

- Ja też się cieszę ty cholerny czerwonodupy Indiańcu! -w jednej chwili zachowanie Isabel zmieniło się, a gniew wykrzywił jej twarz. - Czemu z nią trzymasz? Tak samo jestem twoją siostrą jak ona.

- Ale nie jesteś taka jak ona i nigdy taka nie będziesz -Johnny odsunął się od samochodu i stanął przy Henry Ann.

- Siedz spokojnie! - Szeryf chwycił Isabel za ramię, kiedy szarpnęła się, jakby chciała wybiec za Johnnym.

- Obliczyłem, że Ed miał mniej więcej sześćset dolarów w ruchomościach, kiedy umarł - powiedział mecenas Phillips do Henry Ann. - W znacznej części stanowi je inwentarz żywy. Bawełna dopiero wychodziła z ziemi, więc prawie jej nie wliczałem. Ziemia i dom należą do ciebie, więc zasugeruję sądowi, żeby dziewczynie i chłopakowi przyznał po dwieście dolarów. Zwrócę się do sądu, żeby powierzył mi pieniądze tej dziewczyny. Przechowam je do dnia, w którym będzie mogła opuścić zakład, to znaczy po ukończeniu osiemnastego roku życia. Jakies pytania?

- Ja nie biorę żadnych pieniędzy po Edzie - powiedział szybko Johnny. - On nie był moim ojcem.

- W świetle prawa był. Prawo mówi, że należy ci się jedna trzecia tego, co posiadał.

- Nie chcę ani centa - powtórzył z uporem Johnny.

- Rzecz jest do uzgodnienia między tobą i Henry Ann. Kiedy sprzedacie bawełnę i bydło, przynieś mi pieniądze dla dziewczyny, Henry Ann. Przechowam je dla niej. Dostanie je jak będzie pełnoletnia i podpisze oświadczenie, że zrzeka się ewentualnych dodatkowych roszczeń. Będziesz miała ją z głowy raz na zawsze. .

- Dziękuję panu, mecenasie. - Henry Ann podeszła do samochodu. - Żegnaj, Isabel. Przykro mi, że się nam nie ułożyło.

- Suka! - krzyknęła Isabel. - Chcesz się mnie pozbyć, żeby mieć Pete'a dla siebie. Wszyscy wiedzą, że pieprzysz się z Tomem Dolanem. I co? Nie starczy mu już dla ciebie jak zaczniesz posuwać tę swoją pomyloną żonkę.

- Zamknij się! - warknął szeryf.
- Pete ci dopiero pokaże za to, co zrobiłaś! Jesteś gównianą, sztywniaką dziwką.
- Zamknij się, ale już! - szeryf stracił cierpliwość.
- Hardy też się z tobą policzy. Pete miał nadzieję, że wygra te pieniądze! - Isabel koniecznie chciała mieć ostatnie słowo. - Wiedzą, że zadajesz się z żonatym mężczyzną i wiedzą, jak przez Dolana wyrównać z tobą rachunki. Nie będą się długo zastanawiać, czy to zrobić.
- Mecenasiu - odezwał się szeryf - zabieram tę pyską sikse. Każę mojemu zastępcy zawieźć ją *do* Ardmore, a potem wsadzić do pociągu do Oklahoma City. Ktoś z nią pojedzie, żeby na pewno tam dotarła. Dokumenty wypełnię później. - Szeryf dotknął kapelusza na pożegnanie i jego samochód ruszył.
- Poszło lepiej niż myślałem. Ta dziewczyna nie będzie miała lekko, jeśli się nie zmieni. Tyle dobrego, że będzie musiała się *uczyć*. Tylko od niej *zależy*, czy to jej coś da - mecenas Phillips mówił do wszystkich, ale teraz zwrócił się do Granta: -Czy planuje pan dłużej zabawić w tej okolicy, panie Gifford?
- Mam taki zamiar.
- Wszystkich zaskoczyło, że mecenas Phillips zna Granta. Dopiero gdy prawnik oddalił się do swego biura, Henry Ann zapytała o to.
- Nie wiedziałam, że znasz mecenasa Phillipsa, Grant.
- Tak naprawdę to go nie znam. Tej nocy, kiedy odwoziłem Karen do domu, zobaczyłem, że w jego biurze pali się światło. Zaszedłem, żeby zapytać czy to legalne, że piętnastoletnia dziewczyna bierze udział w maratonie bez pozwolenia rodziców lub opiekuna. To wszystko.
- Czemu to zrobiłaś?
- To jeszcze podfruwajka. Kto wie, może za trzy lata jeszcze coś z niej będzie. A gdyby została z tą paczką nad Błotnistym Potokiem, stałaby się taka jak oni. Pomyślałem, że należy jej się jeszcze jedna szansa.
- Nie sądzę, by mogła się zmienić - powiedział Johnny.
- Johnny, czy mógłbyś odwieźć mnie i Jaya do domu? Potem możesz wrócić i zostać jak długo zechcesz. Sama wydoję krowy. - Henry Ann zrobiła kilka szybkich kroków, żeby uratować balon Jaya przed kolcami na ciernistym krzewie.
- Chciałbym zostać, jeśli to w porządku - powiedział Grant.
- Oczywiście, że tak. Mamy przecież święto. - Henry Ann pomogła Jayowi

wsiąść do samochodu. - Trzymaj się, Karen. Do zobaczenia.

Kiedy powoli odjeżdżali, Henry Ann obejrzała się i zobaczyła, jak Grant podaje ramię Karen, ona zaś obraca ku niemu uśmiechniętą twarz idąc niespiesznie opustoszałą ulicą.

21

Zanim Hardy dotarł z powrotem nad Błotnisty Potok, Pete był już pijany jak bela. Sandy Perry zatrzymał samochód pełen krewnych tuż przed werandą. Rozgniewany klan Perrych wysypał się na podwórze.

Po tym jak szeryf zatrzymał Isabel za to, że była niepełnoletnia i zabrał ją prosto z parkietu, samogon popłynął szerokim strumieniem w alei za opustoszałym sklepem. Cała rodzina Perrych była już więc nieźle zawiana. Przybyli do Red Rock, żeby zobaczyć, jak ich chłopak, Pete, startuje w maratonie tańca. Teraz zgromadzili się wokół niego, aby mówić o tym, jak wielka niesprawiedliwość spotkała jego i Isabel. Nie żalowali sobie racząc się bimbrem.

Niektórzy krewni Pete'a winili mecenasa Phillipsa za to, że wezwał szeryfa. Inni uważali, że to sprawka Henry Ann lub Johnny'ego. Jeszcze inni sądzili, że musi stać za tym któryś z uczestników maratonu, ktoś kto uznał, że dyskwalifikacja Pete'a zwiększy jego szansę na zwycięstwo.

Pete był wściekły na siebie, że uwierzył Isabel. Wmówiła mu, że jej matka urodziła ją w małej miejscinie pod Oklahoma City i że nie istnieje żaden dokument, na którym widniałaby jej data urodzenia. Twierdziła, że nie jest pewna, ile właściwie ma lat i że teraz, kiedy jej matka nie żyje, nikt tego tak naprawdę nie może wiedzieć.

Ta pyskata dziewczucha miała odpowiedź na wszystko.

Najbardziej zabolął Pete'a fakt, że stracił szansę bycia „kimś”, okazania się kimś więcej niż tylko jednym z Perrych znad Błotnistej Potoku. No i że stracił w oczach Henry Ann. Drażniło go, że tak zależy mu na zdaniu Henry Ann Henry. A przecież pragnął jej szacunku bardziej niż czegokolwiek innego.

Czemuż to? Czemu?

Isabel przysięgała, że coś się dzieje między Dolanem a Henry Ann. Pete miał farmę na oku od czasu, kiedy wynajęła tego włóczęgę i jednej nocy widział ją z Dolanem. Stali pod drzewem. Pete był pewien, że nic wtedy między nimi nie zaszło. Gdybym się mylił, musieliby

to robić na stojąco - myślał sobie.

Istniały sposoby na wyrównanie rachunków z Dolanem za to, że startuje do tak przyzwoitej kobiety jak Henry Ann, mimo że ma już żonę. W przeciwieństwie do większości kobiet, które Pete znał, Henry Ann - a był tego absolutnie pewien - nigdy nie była z mężczyzną. Dlatego tak go denerwowało, że taki facet jak Dolan niszczy jej reputację. Bimber podrzucony do stodoły Dolana i telefon do tego zastępcy szeryfa, którego klan Perrych opłacał, powinien załatwić sprawę.

Pomysł ten przyszedł Pete'owi do głowy w chwili, gdy rodzina Perrych gromadziła się wokół Hardy'ego na werandzie. Rozmowa przeniosła się na żonę Dolana. Kuzyn Wally zaczął się przechwalać, że już z nią „tego popróbował”.

- Przecież ona jest pomyłona! - Zaskoczyło Perrych, że Pete się tym przejmuje. - Do diabła, Wally, musisz mieć niezłą chćicę - dodał gniewnie.

- Chćicę! Hi, hi, hi. Dobre sobie, Pete. Pewnie, że miałem chćicę. Nazywała się Emma-Jean i nic mnie nie obchodzi, czy była stuknięta. Ja tylko dałem jej to, czego sama chciała.

- A co? Dziewczyny nad Błotnistym Potokiem przestały ci dawać? - zapytał złośliwie Pete.

- Widziałem raz czy dwa jak tańczyła w lesie. Jakby coś miała nie po kolei pod sufitem - Grubas Perry włączył się do rozmowy. Miał na sobie swoje wyjściowe ogrodniczki i cieszył się, że może posiedzieć pośród tyłu swoich.

Z domu dobiegł ich śpiew Rudy'ego Valee.

- Hardy znowu zaczyna - rzucił Sandy, wychodząc na werandę ze słoikiem bimbru. Nalał trochę do szklanki Pete'a. -Najwyraźniej doszedł do wniosku, że twoja mała, Oskar, osiągnęła stosowny wiek. Ile ona ma lat? Skończyła trzynaście?

- Jeśli naprawdę z nią zaczyna, nakopię mu do dupy -Oskar ruszył w stronę drzwi.

- On się do niej nie dobiera - powiedział szybko Sandy. - On z nią tańczy.

- Tańczenie z Hardym nieuchronnie prowadzi do pieprzenia się z Hardym, a ona jest jeszcze za młoda - Oskar wszedł do domu.

- Co ty tu robisz, Cella? - zapytał gniewnie.

- Tata! Popatrz! Wujek Hardy pokazuje mi, jak się tańczy.

- Lepiej, żeby nie pokazywał ci nic więcej - warknął Oskar.

Pogrążony w myślach Pete niemal nie słyszał rozmów swoich krewnych. Uświadomił sobie, że Henry Ann zawsze będzie w nim widziała tylko egzemplarz hołoty znad Błotnistej

Potoku. Powinien był już dawno to zrozumieć. Ale on był zbyt dumny i uparty, by się do tego przed sobą przyznać. Kiedyś podkochiwał się w Opal Hastings, ale tylko dlatego, że była jedną z nielicznych kobiet nad Błotnistym Potokiem, które nie chciały go widzieć. Był taki czas, kiedy gotów był zabić tego, kto ją zgwałcił - bez względu na to, czy okazałby się nim jego krewniak czy ktokolwiek inny. Niebawem jednak zauroczenie minęło, dał więc spokój. Do dziś jednak lubił myśleć, że ma ją pod swoją opieką. Teraz był zadowolony, że opiekował się nią Chris Austin. Może okaże się, że ten Austin ma jednak w sobie dość stanowczości i odwagi, by ją w końcu poślubić.

Pete zdał sobie sprawę, że nie ma tu już niczego, czego chciałby się trzymać. W ciągu zaledwie kilku minut zdecydował, że opuści Błotnisty Potok. Postanowił wyjechać z Oklahomy i ruszyć do Kalifornii.

Ale miał tu jeszcze coś do zrobienia.

To był długi dzień dla Toma. Emma-Jean nadal pozostawała w stanie zubożenia. Choć go to martwiło, musiał przyznać, że to spora ulga. Przynajmniej mógł być pewien, że Emma nie ruszy się z werandy przez cały ten czas, kiedy on pierze ich ubrania w cieniu drzewa, ani potem, gdy rozwiesza je na sznurze, aby wyschły.

Do południa wysprzątał dom, zabił i oprawił kurczaka, a potem ugotował go z kluskami. Emma-Jean zjadła, kiedy postawił przed nią talerz. Przez cały dzień słyszał wybuchy fajerwerków w mieście i żałował, że nie może tam być z Jayem i Henry Ann.

Spoglądał na ten strzęp kobiety, która siedziała na werandzie i nuciła coś cicho sama do siebie. Gdzieś zniknęła uraza, jaką żywił do niej w ciągu ostatnich tygodni, miesięcy i lat. Dziś czuł do niej wyłącznie litość.

Późnym popołudniem, mając nadzieję, że może zdoła wyrwać ją z marazmu, zaproponował spacer nad potok. Wziął ją za rękę i przeszli razem przez pole do jej ulubionego miejsca na brzegu. Przedmioty, które tam zabrała, grzebień, lusterko, szklane korale, podwiązka i mały niebieski flakonik perfum „Wieczór w Paryżu”, nadal tam były. Skarby te leżały zawinięte w brudną koldrę.

Usiadła na kocu i próbowała przyciągnąć Toma do siebie. Kiedy wyczuła, że ten się opiera, wzięła grzebień i uczesała włosy. Tom bacznie się jej przyglądał. Dziwiło go, że z jej zachowania właściwie zniknęły oznaki szaleństwa. Nuciła coś pod nosem i patrzyła przez niego, jakby go tam w ogóle nie było.

Kiedy przykucnęła obok niej, zauważył wielkie ślady stóp odcisnięte w sybkim piasku.

Wokół walało się około tuzina skrętów. Tomowi przyszło do głowy, że być może zostawił je ten sam człowiek, który był z nią w budzie Austina.

Nagle zdał sobie sprawę, że nie powinien był tu przychodzić. Przecież w każdej chwili mógł przyjechać Conroy, żeby sprawdzić co z jego córką.

- Wracajmy do domu, Emma-Jean.

Wstała i posłusznie ruszyła za nim do domu.

Conroy nie przyjechał. Nikt nie przyjechał. Parę samochodów przemknęło drogą, ale żaden się nie zatrzymał. Tom zjadł na kolację kurczaka z kluskami i nałożył porcję dla Emmy-Jean.

Usiedli na werandzie. Kiedy zrobiło się ciemno, Tom zabrał ją do kuchni, gdzie umył jej twarz i ręce. Zaprowadził ją do sypialni i wyciągnął spod łóżka nocnik. Kiedy już z niego skorzystała, zdjął z niej jej ubrudzone ziemią majtki i podał czystą bieliznę.

Czy tak miało wyglądać jego życie? Czy już zawsze ma doglądać tej biednej, chorej na umyśle kobiety? Czy już zawsze ma tęsknić do chwili, kiedy wreszcie będzie mógł ukradkiem przebiec pole, by spotkać się z ukochaną? Wystarczyło, że opuścił powieki, od razu widział Henry Ann, jej ciepłe piwne oczy, jej uśmiech, prawie czuł, jak jej palce dotykają jego twarzy.

Spojrzał na szczupłą postać na łóżku. Dzisiaj nie okazała ani odrobiny tego gniewu, który w niej kipiał w ciągu ostatniego roku. Z jednej strony zgadzała się na wszystko, co zaproponował, z drugiej nie odzywała się prawie wcale i nie robiła nic z własnej woli. Rano leżała w łóżku tak długo, dopóki nie wziął jej za rękę i nie postawił na nogach. Czy nic by się jej nie stało, gdyby zostawił ją na godzinę? Czy nie wstałaby z łóżka, żeby zaraz powędrować nie wiadomo dokąd?

Pokusa, by ją zostawić i pospieszyć na farmę Henrych, była ogromna. Tom wyszedł na werandę, oparł się o poręcz i spojrzał w gwiazdy. Nie wiedział, co ma robić. Nie był w stanie podjąć żadnej decyzji.

Po przywiezieniu Henry Ann i Jaya do domu Johnny nie chciał już wracać do miasta, mimo że Henry Ann go namawiała.

- Wracaj tam, Johnny, i baw się dobrze. Nie codziennie odbywają się takie jarmarki.

- To nie dla mnie, siostrzyczko. Poza tym nie zostawię cię samej, kiedy w pobliżu może krążyć Pete.

- Nie pomyślałam o tym, ale po co właściwie miałby tu przychodzić? Nie miałam nic wspólnego z pojawieniem się szeryfa na maratonie.

- On o tym nie może wiedzieć.

- Powinien był lepiej pomyśleć, zanim z nią wystartował. Przecież sama mu mówiłam, że ona ma dopiero piętnaście lat.

- Musiała go jakoś przekonać. Coś mi się zdaje, że tak naprawdę chodzi o to, że Pete w tobie się zakochał.

- Co? - Henry Ann nie byłaby bardziej zdumiona, gdyby na czole Johnny'ego wyrósł nagle róg. - Co? - powtórzyła jeszcze raz. - Dawno nic mnie tak nie ubawiło, Johnny. Całymi latami Pete nie przepuszczał najmniejszej okazji, żeby mnie wkurzyć. Ciebie chciał sprowadzić na złą drogę, a jak to mu się nie udało, zabrał się za Isabel.

- Moim zdaniem robi wszystko, żebyś go zauważyła. Woli, żebyś była na niego wściekła, niż żebyś nie zwracała na niego uwagi.

- O tak, to mu się udało. Zauważyłam go aż za bardzo. Do głowy by mi nie przyszło, że z ciebie taki mądrała, Johnny.

Wyszczrzył zęby.

- Nie trzeba być wielkim mądrałą, żeby do tego dojść. Ta paczka znad Błotnistego Potoku nie dorasta mu do pięt, nawet jeśli czasami Pete zachowuje się jak ostatni głupiec.

- Moim zdaniem jego zachowanie całkowicie mieści się w normie obowiązującej nad Błotnistym Potokiem. Myślisz, że to on zgwałcił Opal?

- Lubi przechwalać się, ile to on nie miał kobiet, ale nie wydaje mi się, aby mógł którąś zgwałcić. Lubi, jak kobieta sama do niego przychodzi.

- To chyba jedyna rzecz, która przemawia na jego korzyść.

Przed zachodem słońca Johnny pojechał do miasta po Ciotkę Dozie. Henry Ann przygotowała kolację dla Jaya. Sama miała zamiar zjeść razem z Johnnym po jego powrocie. Kiedy chłopiec zjadł, Henry Ann wykąpała go. Miał za sobą podniecający dzień, zasnął więc jak tylko znalazł się w łóżku. Siedziała przy nim przez chwilę, trzymając w dłoni jego małą rączkę. Zdała sobie sprawę, że nie mogłaby kochać go bardziej, gdyby nawet był jej własnym dzieckiem. Johnny wrócił nie tylko z Ciotką Dozie, przywiózł również Karen i Granta,

- Niespodzianka! - zawołała Karen, wysiadając z samochodu. - Tata nie chciał, żebym brała nasz samochód. Może go jeszcze potrzebować, żeby dojechać do Hudsonów. Dziadek Hudson marnie się czuje. Umyśliłam więc sobie, że zostanę tu na noc i przywiozłam jedzenie.

Przez całą szkołę średnią i w późniejszych latach żadna z dziewcząt nie musiała czekać na zaproszenie, jeśli chciała wybrać się do drugiej i zostać na noc.

- Takich gości to ja lubię! Żeby tak wszyscy przynosili ze sobą jedzenie - przebywanie z Karen zawsze podnosiło Henry Ann na duchu. - Postaw ten koszyk na stole, Grant. Dobrze się dzisiaj bawiłaś, Ciociu Dozie?

- Całkiem, całkiem. A teraz jestem wykończona. Idę prosto do łóżka.

- Zjedz najpierw kolację, Ciociu - powiedziała Karen. -Przyniosłam pieczoną szynkę, słodkie kartofle, jajka faszerowane i sama nie wiem co jeszcze. Panie, które rozstawiają sidła na tatę - zachichotała Karen - naznosiły mnóstwo pyszności na to święto.

- Złotko, dzisiaj tak się najadłam, że chyba pęknę. Lecę z nóg, dobranoc.

- Ciekawe, co Tom dzisiaj jadł. - Henry Ann i Karen wyładowywały jedzenie z koszyka. Słowa te Henry Ann wypowiedziała w tej samej chwili, w której je pomyślała. W jej głosie była tak wielka tęsknota, że Karen milczała parę sekund, zanim się odezwała.

- Może wyślemy Johnny'ego i Granta, żeby zobaczyli co i jak. Może przyszedłby na kolację. To znaczy jeśli będzie mógł.

- Och nie. Nie mogę ich prosić, żeby tam szli i...

- Ja mogę. Johnny, Grant! - zawołała Karen wychodząc na werandę.

Henry Ann poprawiła włosy i poczuła, że na samą myśl, iż być może go zobaczy, ogarnia ją radosne uniesienie. Jakimś zakamarkiem umysłu zdawała sobie sprawę, że to niebezpieczne, ale przyjemność, jaką niosła możliwość ujżenia go, zagłuszała głos rozsądku.

Karen odgadła jej sekret. Czy rozmawiała o tym z Grantem?

- Pojadą i sprawdzą, czy może przyjechać – powiedziała Karen, wracając do kuchni. Zabrała się do krojenia szynki, którą wyjęła z koszyka. - Mam ochotę na marynowane buraczki Ciotki Dozie.

Jak tylko Johnny wjechał na podwórze Dolana, Tom zeskoczył z werandy i podbiegł do niego.

- Coś nie tak? - krzyknął zbliżając się do samochodu.

- Wszystko w porządku. Karen i Henry Ann wysłały nas, żebyśmy przywieźli cię na kolację. To znaczy, jeśli możesz - Johnny wyłączył silnik.

- Wystraszyłem się, że coś się stało, kiedyście wjechali -Tom przeczesał palcami włosy.

- Myślały, że może będziesz mógł się na chwilę wyrwać - powiedział Grant.

- Miałbym wielką ochotę, ale sam nie wiem...

- Muszę dolać trochę wody do chłodnicy, a ty się przez ten czas zastanów -

Johny przeszedł górą przez zamknięte drzwi Forda Model T.

- Dobra. Przy studni wisi wiadro. Będziesz potrzebował światła?

- Wystarczą mi światła samochodu.

-Jak się miewa pani Dolan? - zapytał Grant.

- Bez zmian. Wiesz może coś o deniencji? Doktor Hendricks tak nazywa chorobę Emmy-Jean.

- Niewiele. Większość chorych umysłowo, jakich spotykałem, siedziała w więzieniu. Niektórzy byli agresywni, inni zdawali się pogrążeni w głębokim transie.

- Wydaje mi się, że ona przechodzi od jednego stanu do tego drugiego. Jednego dnia jest cała podminowana, a następnego porusza się jak we śnie.

- Czy doktor ją widział?

- Parę dni temu. Mówił, że niewiele można zrobić, chyba że zechcę oddać ją do zakładu. Wysłałem wiadomość do jej rodziców... Przez tego wymoczkę, jej brata. Jeśli przekazał wiadomość, powinni tu się zjawić za dzień lub dwa.

Johnny napełnił chłodnicę i powiesił wiadro na powrót przy studni.

- Rzucę na nią okiem - powiedział Tom. - Parę ostatnich nocy przespalała jak zabita.

Wziął lampę, którą trzymał na werandzie i wszedł do domu. Emma-Jean leżała na boku z dłońmi pod policzkiem. Oczy miała zamknięte. Tom cofnął się. Nie mógł widzieć, że kiedy łóżko znalazło się w cieniu, Emma-Jean otworzyła na chwilę oczy. Potem znów je zamknęła.

Pokusa, żeby udać się do Henry Ann była tak ogromna, że Tom nie mógł się jej oprzeć. Zdmuchnął lampę, zostawił ją na werandzie przy drzwiach i poszedł do samochodu.

- Bez zmian. Powinna jeszcze pospać dwie albo trzy godziny. Myślę, że nic się nie stanie, jeśli dam się zaprosić.

Henry Ann nasłuchiwała, czy nie nadjeżdża samochód. Kiedy wjechał na podwórze, zajęła się kawałkowaniem lodu i wsypywaniem go do szklanek. Mężczyźni prowadzeni przez Johnny'ego weszli przez drzwi od frontu. Tom i Grant śmiali się.

- Tylko nie obudźcie Jaya - napomniała ich Henry Ann zadowolona, że w ogóle jest w stanie cokolwiek powiedzieć, widząc w drzwiach barczystą sylwetkę Toma. Oczy, których od niej nie odrywał, były jak głębokie, czarne studnie ze światełkami na powierzchni wody.

- Witaj, Tom. Cieszę się, że mogłeś nas odwiedzić - serce podchodziło jej do

gardła, kiedy mówiła te słowa.

- Dziękuję za zaproszenie.
- Dziś częstuje Karen.
- Niezupełnie, ale blisko - wtrąciła szybko Karen.
- Siadajcie wszyscy, proszę.

Henry Ann dziękowała w myślach Karen za podtrzymanie rozmowy. Rozmawiali o wydarzeniu dnia, to znaczy o tym, jak to szeryf zabrał Isabel z tanecznego parkietu.

- Już dawno w Red Rock nie wydarzyło się nic równie podniecającego - powiedziała Henry Ann czując, że musi wnieść jakiś wkład do rozmowy.

- Miasto będzie o tym mówiło miesiącami - Karen podała sałatkę ziemniaczaną.
- Częstuj się, Tom. Bo jak Grant się do tego dorwie, nic nie zostanie.

- Czemu mnie zaczepiasz? - na twarzy Granta malowało się szczęście. Wyglądał na odprężonego, wydawał się jakiś młodszy. Nie mógł oczu od Karen oderwać. - Zapomniałaś chyba o młodym? Dzieciak je jak koń.

Tom słuchał tych dobrodusznych przekomarzanek rad, że może spędzić tu parę chwil. Próbował nie przyglądać się cały czas pięknej, spokojnej twarzy Henry Ann, ale wystarczyło, że unosił oczy znad talerza, a wzrok sam wędrował w jej stronę. Czy inni to zauważyli?

- Jay jeździł na karuzeli - powiedziała Henry Ann, kiedy rozmowa utknęła w martwym punkcie. - Johnny go ubezpieczał.

- Szkoda, że nie mogłem tego widzieć. - Tom spojrzał jej prosto w oczy, jakby byli całkiem sami.

- Może w przyszłym roku. Pewnie będzie jeszcze niejeden taki jarmark.

Kiedy posiłek dobiegł końca, Henry Ann zapytała Toma, czy chciałby zobaczyć syna. Skinął głową. Zaprowadziła go do sypialni i otworzyła drzwi. Kiedy odsunęła się na bok, żeby mógł wejść, Tom wziął ją za rękę i wciągnął za sobą do przyciemnionego pokoju. Gdy stali razem przy łóżku, sięgnął, aby pogłaskać ciemne, gęste włosy synka.

- Cieszę się, że ma ciebie - wyszeptał.
- Ma także ciebie.

Tom przeniósł spojrzenie na nią. - Będę musiał umieścić jego matkę w zakładzie.

- Och, nie!
- Nie mam wyboru.
- O Jaya się nie martw.
- Nie martwię się. Zazdroszczę mu. To samolubne, prawda?
- Nie ma w tobie nic samolubnego.

- Muszę przez chwilę pobyć z tobą sam na sam.
- Jesteśmy sami.
- Wyjdiesz ze mną... później?
- Nie powinniśmy.
- Wiem. Ale wyjdiesz?
- Tak - wyszeptała. Zabrakło jej siły, żeby odmówić.

Zanim wrócili do kuchni, Grant i Karen uprzątnęli stół i włożyli naczynia do miski z wodą. Henry Ann stanęła w drzwiach, czując na plecach dotyk Toma.

- To najbardziej apodyktyczna kobieta, jaką kiedykolwiek poznałem - poskarżył się Grant rozkładając serwetę na stole. - Zapędziła mnie do kobiecych zajęć.

- Przechwalałeś się, żeś posiadał wszelkie umiejętności.
- Mycie naczyń nie wymaga żadnych umiejętności. To zwykła harówka.
- Może teraz zrozumiesz, co czuje kobieta - odparła Karen.
- Dobrze, już dobrze. - Grant zczekał, aż Karen powiesi szmatkę na haku. -

Obiecałaś, że dziś wieczorem będziesz mnie zabawiać. Ciekawe, co miałaś na myśli? Będziesz śpiewać czy tańczyć?

- Nie bądź taki zadowolony z siebie. Potrafię tańczyć, a i śpiewam całkiem nieźle. Będziemy na werandzie - powiedziała Karen do Henry Ann, po czym wyszli z Grantem z kuchni.

Tom wyłączył żarówkę wiszącą nad stołem i Henry Ann poczuła, jak obejmuje ją i kieruje w stronę drzwi.

Księżyc wspiął się już ponad wierzchołki orzechowców. W jego świetle Tom poprowadził ją przez podwórze. Zatrzymali się dopiero w cieniu rozłożystego dębu,

- Nie powinniśmy...
- Cichosza. Nie myśl o tym. Chcę cię tylko na chwilę przytulić i pocałować, zanim sobie pójdę - poczuła na plecach jego dłoń, która stanowczo przyciągała ją do niego.

Pragnęła przycisnąć usta do jego ust. Wszystkie jej zmysły wypełniło wszechogarniające poczucie męskiej obecności. Czowała jego wargi na swojej szyi i zapach dymu w jego włosach.

- Henry Ann, kochana! Nie potrafię bez ciebie żyć! - czuła na brodzie jego szybkie pocałunki.

Położyła dłoń na jego policzku i zwróciła jego usta ku swoim. Objął ją gwałtownie, ale w sposobie, w jaki całował, nie było nic gwałtownego. Całował ją czule, a w jej sercu rozbrzmiewała dzika, słodka melodia. Jego język wnikał między jej rozchylone usta, a ręka

przesuwała się od bioder ku jej miękkim, krągłym piersiom.

- Każ mi przestać!

Otworzyła usta, aby wyszeptać swe lęki, ale było już za późno. Okrył pocałunkami jej otwarte usta, a jej ramiona objęły go ciaśniej. Całowała go gorączkowo, jakby porwała ją dzika siła, której nie była już w stanie kontrolować.

- Pragnę cię... aż do bólu. - Tom opadł na ziemię pod drzewem i pociągnął ją za sobą. Na wpół leżała opierając się biodrem o jego uda, a jego ręka powędrowała w górę pod rozchyloną sukienką i przesuwiała się teraz po jej nagich piersiach. Delikatnie wziął w zęby koniuszek jej ucha i jęknął: - Myślę o tobie bez przerwy.

Zadrżała pod dotykiem jego palców. Znalazła się w bez-czasowej niszy, w której istniały tylko ręce Toma, usta Toma i słowa, które Tom szeptał.

- To mały skrawek nieba, moja piękna, skarbie mój... - szorstkie opuszki jego palców pieściły jej sutek, który stwardniał pod upragnionym dotykiem, a ona drżała na całym ciele od pragnienia, by wypełnił sobą bolesną pustkę w niej.

Zarzuciła mu ręce na szyję i obsypała jego twarz pocałunkami. Gdzieś z tyłu głowy zachowała świadomość, że zachowuje się niestosownie, ale tego właśnie chciała, chciała tego od czasu, kiedy ją pierwszy raz pocałował. Było tak, jakby to musiało się wydarzyć właśnie teraz. Jakby na niego czekała całe swoje życie.

Teraz miała się dowiedzieć, na co czekała tak długo. Z tym nieokiełznanym, cudownym mężczyzną pozna wreszcie wszystkie tajemnice, o których istnieniu tylko czytała. I które niekiedy próbowała sobie wyobrażać. Wszelkie nauki moralne, jakie latami jej wpajano, w jednej chwili straciły znaczenie. Kochała Toma Dolana, chciała go i potrzebowała.

- Chcę, żebyś mnie kochał tak, jakbyśmy mogli... spędzić resztę życia razem. - Potężna, wszechogarniająca fala miłości przepłynęła przez nią, sprawiając, że poczuła się silniejsza od tego barczystego mężczyzny, który mocno trzymał ją w ramionach.

Było zbyt ciemno, aby mogła dojrzeć jego oczy, ale wiedziała, że szukają jej oczu. Całe jej ciało poddawało się nieznanemu wcześniej, wewnętrznemu rytmowi. Miała wrażenie, jakby niezależnie od niej przeczuwało sekwencję mających nastąpić zdarzeń.

- Pragnę cię bardziej niż czegokolwiek - szepnął chrapliwie i pocałował jej rozchyłone usta. Świat zdawał się znikać.

Jego dłonie przesuwwały się po jej ciele, jakby pragnęły zaspokoić wieloletni głód dotyku. - Boże! Tak chciałbym zapaść się w ciebie, ale nie mogę tego zrobić. Nie mogę pozostawić ci wspomnienia, że podarowałaś swój cenny dar tutaj w trawie. Chcę trzymać

twoje nagie ciało w ramionach przez całą noc.

Wiedziała, że powinna być zaszokowana tą sugestią, ale nie była. Jego chrypliwe szepty docierały do niej w jakimś instynktownym rejestrze. Uniesiona falą podniecenia chciała tylko kochać się z tym cudownym mężczyzną o zmartwionej twarzy pod strzechą czarnych niesfornych włosów.

- Nie ma lepszego miejsca, ukochany. To tutaj pierwszy raz wyznaliśmy sobie miłość - szepnęła, zdumiona swoją bezpośredniością i odwagą. Skoro już powiedziała mu, co czuje, reszta przyszła dużo łatwiej.

- Chcę, żebyś mnie wziął. To może być wszystko, co będzie nam dane...

- Kochana! Nie kuś mnie! - westchnął głęboko. - Te ostatnie tygodnie to było prawdziwe piekło. Muszę być tam, gdzie ty. Inaczej nie ma dla mnie życia.

- Kocham cię.

Nagle Henry Ann poczuła chłód trawy pod plecami. Leżeli na boku, a on trzymał ją mocno w ramionach. Potem odchylił bardziej górę jej sukienki i jego dłonie dotknęły jej nagich piersi, a palce pieściły różowe sutki.

- Jesteś piękna - wyszeptał zanurzając twarz między miękkimi wzgórkami. Jego usta przecierały gorącą ścieżkę między jej szyją a piersiami. Dotknął sutka koniuszkiem języka, wprawiając jej ciało w rozkoszne drżenie.

- Proszę... proszę... - złapała go za zmierzwione włosy, aby przyciągnąć jego usta do swoich.

- Nawet nie wiesz, jak tęskniłem za twoim smakiem, twoim zapachem. Słodka kobieto, nie masz pojęcia, jak za tym tęskniłem - jego dłonie wędrowały pod jej sukienką, przesuwały się po udach ku górze, dotykały bioder, ściągnęły majteczki, na które w tej wędrowce musiały się natknąć. I oto leżała, przyjmując zapierającą dech w piersi pieczętę jego palców.

- Kochana... chcę się z tobą kochać, być w tobie. Powiedz... że mogę.

Jego palce pieściły ją, potem wsunęły się do środka. To było oszołamiające uczucie. Jęknęła i wygięła się w łuk pod jego dotykiem.

- Tak, tak! Proszę...

Półprzytomna z rozkoszy i niedowierzania poczuła twarde szczyt jego męskości w samym środku swego ciała. Zaczął w niej migotać wąski płomyk nieznaney dotąd przyjemności. To migotanie trwało i trwało. Potem poczuła ukłucie bólu, który tak podobny był do przyjemności, że nie zwróciła na niego uwagi. Wkrótce ból zniknął, a zastąpiła go rozkosz tak dogłębna, że myślała, iż się w niej rozpuści.

- Słodka, cudowna kobieto - wymamrotał Tom z głębi swego pozbawionego równowagi świata. Znajdował się na skraju najdzikszej namiętności, jakiej kiedykolwiek zaznał. Łagodnie, z wielką delikatnością poszerzył magiczny krąg rozkoszy, zatapiając się w niej raz za razem. Henry Ann poczuła, że i ją ogarnia niepoohamowana, najdziksza rozkosz.

Nagle jego twarde, muskularne ciało zatrzymało się i drgnęło. Usłyszała jęknięcie, które wydarło się z jego piersi i zaczęła go głaskać. Czowała, jak jego ciało przeszywa silny dreszcz. I usłyszała, jak nie mogąc jeszcze złapać oddechu, powtarza jej imię. Potem uniósł się na drżących jeszcze ramionach i położył obok.

Obejmując ją mocno, Tom zdał sobie sprawę, że tylko ciepło jej ciała i znajomy cytrynowy zapach jej włosów upewniają go, że to nie sen. Nie mógł przecież żywić nadziei, że odda mu się tak szybko i całkowicie, z taką bezpośredniością. Trzymał ją w ramionach, całował jej twarz i usta, czekając aż ich serca i oddechy odzyskają normalny rytm.

Nagle od strony domu rozległ się krzyk.

- Pożar! POŻAR! Tom, twój dom się pali!

22

- POŻAR!

Henry Ann i Tom zerwali się na równe nogi. Tom wybiegł na środek podwórza, skąd dojrzał różową lunę rozświetlającą niebo.

Emma-Jean!

- O Boże! Nie pozwól, by zginęła w ogniu!

- Tom, jedziemy! Ładujemy na samochód wiadra i łopaty, szybko! - wrzasnął Johnny.

Tom nie słyszał ani Johnny'ego ani Henry Ann, która go popędzała. Biegiem puścił się przed siebie, przeskoczył rów oddzielający las od pola bawełny. Biegł ile sił, a serce tłuło w nim jak tam-tam. Czuł się tak, jakby każda jego stopa ważyła sto kilo. Ciężar ten był jednak niczym wobec poczucia winy, że zostawił tę nieszczęsną kobietę samą.

Przebiegł pastwisko, przeskoczył ogrodzenie, okrążył stodołę i stanął jak wryty. Jego oczom ukazał się przerażający widok. Płomienie trawiące front domu wściekle skakały w niebo. Suche drewno, z którego zbudowany był dom, pękało i wyrzucało w górę tysiące iskier. Poczuł nowy przyływ nadziei, kiedy zdał sobie sprawę, że pokoje od strony podwórza

jeszcze się nie zajęły, choć z ich okien dobywał się gęsty dym.

Zerwał z siebie koszulę i zanurzył ją w zbiorniku z wodą. Następnie zawinął ją wokół głowy i wbiegł do środka przez drzwi od podwórza. Zatrzymała go ściana przeraźliwie syczących płomieni. Od dymu piekły go oczy. Jak tylko dostrzegł w ogniu wąską szczelinę, bez zastanowienia przebiegł przez nią i wpadł do pokoju przylegającego do kuchni.

- Emma! Emma-Jean! - krzyknął przez mokrą szmatkę, którą zakrył całą twarz, zostawiając tylko oczy.

Pokój oświetlały płomienie, ale dym był tak gęsty, że nie sposób było niczego zobaczyć. Opadł na kolana i podczołgał się do łóżka. Kiedy do niego dotarł, przeszukał je po omacku. Nie było jej!

- Emma-Jean!

Zdrowy rozsądek podpowiedział mu, że mogła stoczyć się z łóżka. Obszedł je na kolanach, ale i na podłodze jej nie znalazł. Czując żar ognia na plecach, obejrzał się i zobaczył języki ognia ścigające się po suficie.

Boże, pomóż mi ją znaleźć.

Nagle łóżko stanęło w płomieniach, zmuszając go, by się wycofał. Przeczłógał się więc przez drzwi do kuchni i wstał. Również tu podłoga zaczynała się palić. Żeby się wydostać, musiałby przebiec przez litą ścianę ognia, innego wyjścia już nie było. Ruszył w kierunku drzwi i skoczył, mając nadzieję, że podłoga go utrzyma. Ogień przypalił mu rękę, ramiona i gołe plecy. Niejako siłą bezwładu przedostał się przez drzwi na ganek, potknął na schodach i runął na ziemię.

- Tutaj jest! - krzyknął ktoś, a chwilę później wylał nań wiadro wody.

- Tom! Tom! Nie mogliśmy cię znaleźć! - Henry Ann klęczała przy nim. - Bardzo się poparzyłeś?

- Nie znalazłem jej! - powiedział chrypliwie, bo gardło piekło go od dymu i żaru. - Nie mogłem jej znaleźć! - powtarzał.

- Cofnijmy się od domu - ponagliła Henry Ann.

- Kiedy wstał, chciała go podeprzeć, ale nie wiedziała, w którym miejscu można go dotknąć, by nie sprawić bólu.

- Johnny i Grant polewają wodą miejsca, na które mógłby się rozszerzyć pożar. Grant przestawił swój samochód. Dzięki Bogu nie ma wiatru.

Tom próbował założyć mokrą koszulę.

- Nie mogłem jej znaleźć! - jęknął. - Czy ktoś już próbował szukać jej na zewnątrz?

- Ja jej poszukam. Ale najpierw pokaż mi ręce.

- Nic mi nie jest.

- Daj, zobaczę. - Aż jęknęła na widok jego poparzonych dłoni. - Karen! - krzyknęła. - Potrzebuję jakichś szmatek!

- Nie ma na to czasu. Muszę znaleźć Emmę-Jean.

- To zajmie chwilę.

Karen przyniosła dwie chustki. Henry Ann zanurzyła je w wodzie i zawięła nimi obie dłonie Toma.

Starszy pan Austin wraz z parobkiem przyjechali wozem. Zaprzęg zostawili przy drodze i od razu zabrali się za gaszenie iskier, padających na suchą trawę.

Tom, Henry Ann i Karen na próżno szukali Emmy-Jean, a pozostała czwórka robiła wszystko, żeby ogień się nie rozprzestrzenił. Do północy dom zmienił się w stertę dymiących żagwi.

Toma piekły poparzone dłonie i ramiona, ale nie mógł usiedzieć w jednym miejscu, do czego wszyscy go namawiali.

- Może być wystraszona i gdzieś się ukrywać.

- Mówiłeś, Tom. że dawno nie była tak spokojna. Może zdążyła się obudzić i wybiegła z domu.

A może siedziała od frontu i zadusiła się dymem. Grant wiedział to i owo o poczuciu winy, które teraz nie dawało spokoju Tomowi. Wiedział też, że Tom będzie musiał sam sobie z tym poradzić.

- Nie powinienem był zostawiać jej samej. Przecież wiedziałem, że nie powinienem!

- Skąd mogłeś przypuszczać, że zdarzy się coś takiego? - starała się uspokoić go Karen. - Jak to się mogło stać? Masz jakiś pomysł?

- Nie mam pojęcia. Może od kuchenki?

- Gdyby tak było, kuchnia spaliłaby się pierwsza. Jak tu przyjechaliśmy, największy ogień był od frontu. Co pan o tym sądzi, panie Austin? - zapytał Grant.

- Chyba ma pan rację. Jeśli mówicie, że pożar zaczął się od frontu, to najprawdopodobniej ktoś musiał podłożyć ogień.

- Zostawiłem lampę na werandzie... ale była zgaszona. - Tom chodził niespokojnie tam i z powrotem.

- Ja mogę to potwierdzić. Była zgaszona już wtedy, kiedy podszedłeś do samochodu - włączył się Johnny.

- Tom, chodź z nami do domu. Ciotka Dozie zajmie się twoimi poparzeniami.

Wrócisz za dnia. Wtedy będzie większa szansa na znalezienie jej.

Bardziej niż czegokolwiek na świecie Henry Ann pragnęła objąć go i pocieszyć. Wiedziała, że ją kocha, ale też zdawała sobie sprawę, że jako człowiek honoru musi czuć się odpowiedzialny za to żalosne stworzenie, które jest jego żoną i matką jego dziecka.

-Ja tu zostanę, Tom - powiedział Johnny. - Niech Grant zabierze was do domu.

- Jak najszybciej trzeba opatrzyć te poparzenia - ponagliła Karen.

Tom w końcu się zgodził.

- Dziękuję panu za pomoc - odezwał się do Austina.

- Sąsiadka powinność. Jeśli mógłbym coś jeszcze dla pana zrobić, proszę dać mi znać.

Kiedy wrócili do domu, Ciotka Dozie była już na nogach i piekła chleb.

- Ciociu Dozie - powiedziała Henry Ann - toż to dopiero druga w nocy.

- Wiem o tym. Po prostu nie mogłam tak siedzieć i czekać. Musiałam w coś ręce włożyć. Ogień już zgaszony?

- Dom spalił się do szczytu. Tom ma poparzone ręce.

Dozie spojrzała na rosłego mężczyznę, stojącego niepewnie w drzwiach.

- Boziu! Wygląda na to, że nie tylko ręce. Niechże pan wejdzie i tu usiądzie. Zaraz się wszystkim zajmiemy.

Karen poszła z Grantem do samochodu. Grant dokądś się wybierał.

- Myślisz, że ona nie żyje, prawda? - wydawało się całkiem naturalne, że stoi tak blisko niego i opiera głowę na jego ramieniu.

- Tak. Mówił, że przez parę ostatnich dni niczego nie kojarzyła. Wahał się, czy zostawić ją samą. Jest zakochany w Henry Ann. Biedny skurczybyk. Świetnie rozumiem, że chciał ją zobaczyć. Sam ledwie mogłem się doczekać spotkania z tobą.

- Ależ proszę pana...

- Przestań się mądrzyć. Mam zamiar cię pocałować.

- Najwyższa pora.

- Czekałem na to cały dzień.

- Lepiej, żebyś dłużej nie czekał. Za jakieś trzy godziny zacznie świtać.

Łagodnie przyciągnął ją do siebie. Kiedy ją objął, całe jej ciało stało się bezwolne. Uniosła głowę i rozchyliła usta do pocałunku. Jego usta były ciepłe i łagodne. Pozostawił jej wolne miejsce, gdyby chciała się odsunąć. Jego ręce przesuwwały się uwodzicielsko po jej biodrach i plecach, delikatnie ją przyciągając.

Ale chwilę później Grant odsunął się nieco i uważnie spojrzał jej w oczy.

- Nie powinieneś mnie tak całować... no, chyba że naprawdę tego chcesz - powiedziała, z trudem łapiąc oddech.

- Naprawdę tego chcę. - Podniósł jedną jej rękę, potem drugą i położył je sobie na ramionach. - Zrób mi frajdę. Chcę cię całować, jak ty obejmujesz mnie za szyję.

- Czy było tak dobrze, jak myślałeś, że będzie?

- Lepiej. Żałuję, że muszę jechać, ale trzeba zawiadomić szeryfa. Lepiej będzie dla Toma, jeśli zrobi się to od razu.

- Czemu? Przecież nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, że to on mógł podpalić własny dom.

- Mogą pomyśleć, że próbował pozbyć się żony, bo... bo wolałby być z Henry Ann.

- Przecież był z nami, gdy wybuchł pożar.

- To prawda. Ale ludzie zaczną snuć domysły. Szeryf będzie chciał znaleźć ciało, albo przynajmniej to, co z niego zostało. Ciała nie ulegają całkowitemu spaleniu.

- To jedź. Ale... zaraz wróc.

- Wrócę. Nic mnie nie zatrzyma. - Pocałował ją znowu. Tym razem dłużej, mocniej, namiętniej. - Nie sądziłem, że spotkam kogoś takiego jak ty.

- To dobrze czy źle?

- A jak myślisz? - wziął ją za rękę i umieścił jej dłoń na swym sercu. - To dla mnie nowy początek. Muszę opowiedzieć o tym, co było i o tym, co mam nadzieję, że będzie.

- Nie interesuje mnie twoja przyszłość, jeśli chcesz znowu wyruszyć w drogę.

- Na pewno już nie sam.

- Cieszę się, Grancie Gifford, że twoja włóczęga przywiodła cię aż tu.

- Ja też się cieszę, Karen Wesson.

Tom chodził tam i z powrotem po werandzie. Powoli zaczynało świtać. Zatrzymał się przed Henry Ann, która przez cały czas siedziała na bujanym fotelu.

- Jeśli żyje, mogła pójść do tej swojej kryjówki nad potokiem. Zanim tam dotrę, zrobi się jasno.

- Wezmę lampę i pójdę z tobą.

- To daleko stąd, a ty w ogóle nie spałaś.

- Ty też nie. O, zaczekaj, słyszę samochód. Może John-ny i Grant wracają.

Model T zajechał na podwórze i zatrzymał się. Johnny wyskoczył z samochodu.

- Gdzie jest Grant? Znalazłeś ją? - zawołała Henry Ann zanim jeszcze Johnny wszedł na werandę.

- Grant jest na farmie Toma. Owszem znaleźliśmy ją.

- Boże, co za ulga - powiedział Tom. - Wszystko z nią dobrze, prawda?

- Nie, Tom. Emma nie żyje.

- Nie żyje?

- Chciałem, żeby Grant przyjechał i powiedział ci o tym, ale on jest teraz z szeryfem Watsonem. Szeryf przyjechał, jak tylko Grant go zawiadomił.

- Widzieliśmy, jak przejeżdżał samochód.

- Chcą, żebyś jak najszybciej do nich dołączył.

- Czy była...? Jak ją znaleźli?

- Pomyśleliśmy z Grantem, że jeśli się wydostała, mogła pójść do tego miejsca nad potokiem, gdzie czasem chodziła. Wzięliśmy lampy i poszliśmy tam. I rzeczywiście tam była. Kiedy wróciliśmy do twojego domu, zastaliśmy szeryfa. Grant zabrał go nad potok, a ja przyjechałem po ciebie.

- Nie spaliła się w ogniu? - zapytała Henry Ann.

Tom nie był w stanie wymówić nawet słowa.

- Nie. Była... była... Poderżnięto jej gardło. - Johnny powiedział te słowa i odwrócił głowę.

- Ktoś ją zabił? - zapytał głośno Tom. - Ktoś ją zabił? -powtórzył. - Nie musieli jej, na Boga, zabijać.

- No właśnie.

- O mój Boże! O mój Boże!

- Zabiorę cię tam. Grant zrobił nosze z pary drągów i płachty, którą znalazł w stodole. Przyniosą ją z szeryfem.

- Pójdę z wami. - Henry Ann położyła rękę na ramieniu Toma.

- Lepiej zostań, siostrzyczko.

- Ma rację. Zostań w domu - Tom spojrzał na nią nieobecny wzrokiem. Podszedł do samochodu. Wyglądał jakby na jego barkach spoczął ogromny ciężar.

- Johnny! - zawołała Karen od drzwi. - Zaczekaj sekundę! -po chwili wyszła z koszem. - Masz tu gorącą kawę i kilka kubków. Ciotka Dozie włożyła też kilka kromek chleba z dżemem.

- Na pewno się przydadzą. -Johnny zaniósł koszyk do samochodu i włożył za siedzenie. Tom siedział już w środku.

Henry Ann patrzyła za nimi póki nie zniknęli za zakrętem. Kiedy się odwróciła, zauważyła że Karen stoi tuż obok.

- Słyszałam. To okropne. Nie mogę uwierzyć... morderstwo. Już sama nie wiem, od jak dawna nie było tu morderstwa. To znaczy... kobiety. Kto mógł coś takiego zrobić?

- Dzięki Bogu nie mogą o to winić Toma. Cały czas był z nami.

Johnny zatrzymał się za samochodem szeryfa, stojącym na drodze obok wozu Toma. W powietrzu wciąż unosił się jeszcze gryzący zapach spalonych sprzętów domowych. Tom wysiadł z samochodu i popatrzył na resztki tego, co do niedawna było jego domem. Jediną rzeczą, którą dawało się jeszcze rozpoznać, była żelazna kuchenka stojąca pośród zgliszczy.

Co tu się właściwie stało? Czy to możliwe, żeby Emma--Jean podłożyła ogień, a potem uciekła?

Wokół panowała cisza. Ze stodoły wyszedł Austin, niosąc wiadro.

- Wydoilem twoją krowę, Dolan. Chcesz, żebym mleko wlał świniom do koryta?

- Tak, chyba że panu do czegoś się przyda.

- Trzeba karmić świnię. - Austin skierował się do chlewu. Po powrocie opłukał wiadro przy studni i postawił na ziemi. - Będę wracał, Dolan. Jeśli jeszcze na coś się przydam, daj znać.

- Dziękuję za to, co już pan zrobił. Jestem naprawdę wdzięczny.

Wóz Austina wyjechał na drogę i zniknął za zakrętem.

- O, już idą! - Johnny ruszył w kierunku nadchodzących mężczyzn. Szli przez pole, dźwigając nosze. Tom dojrzał niewielki kształt zawinięty w starą kołdrę. To było jak cios w samo serce. Emma-Jean nie żyła. Biedna dziewczyna. W swoim krótkim, straszliwie pogmatwanym życiu ani przez chwilę nie była szczęśliwa.

Tom i Johnny przejęli nosze nad ogrodzeniem. Zanieśli je w cień pod wielkim drzewem, rosnącym obok stodoły i delikatnie złożyli na ziemi. Spod nasiąkniętej krwią kołdry wystawały jej blond włosy. Tom ukląkł obok niej, zamknął oczy i przeżegnał się. Kiedy wstał, stanął twarzą w twarz z szeryfem.

- Współczuję panu, Dolan.

- Dziękuję. Lepiej, żeby pan wiedział od razu: jeśli pierwszy go znajdę, zabiję.

- Lepiej, żebyś i ty wiedział od razu: jeśli to zrobisz, to osobiście przyjdę po ciebie - odparł szeryf spokojnie.

- Jakiś zgniły sukinsyn kręcił się tam w pobliżu. Parę razy widziałem ślady butów w piasku i niedopałki po skrętach.

- Nie ma w tym nic niezwykłego. Większość mężczyzn pali.

- Ale nie tuzin papierosów w jednym miejscu.

- Czemu więc pozwoliłeś, żeby tam chodziła, skoro wiedziałeś, że ktoś się tam kręci?

- Miałem ją na oku prawie bez przerwy... przez cały zeszły tydzień... aż do zeszłej nocy. Myślałem, że śpi.

- Teraz nie ma tam papierosów, a ślady ktoś zatarł.

- Czy ją... zgwałcono?

- Nie jestem pewien. Nie było krwi... tam niżej. Została pobita i zmlaltretowana. Ma pękniętą wargę i jedna jej pierś jest pokaleczona. Łobuz prawdopodobnie tak ją okaleczył, że zaczęła krzyczeć. To zabił, żeby była cicho.

- Boże drogi! Biedna dziewczyna. - Tom usiadł na pniaku i pochylił głowę. - Zabrała kołdrę i parę rzeczy do tego dołka nad potokiem. To było coś jakby dziecienny domek. Chodziłem tam za nią wiele razy. Siedziała na kołdrze i cesała włosy patrząc w lusterko. Myślałem, że to takie niewinne. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby ją skrzywdzić. Dopiero po tym, jak nie wróciła do domu, a Johnny znalazł ją w budzie Austina.

- Co trzymała nad potokiem?

- Różowy grzebień, małe okrągłe lusterko, jakieś kokardy i sznur koralii. Miała też niebieski flakonik z perfumami. Jak stamtąd odchodziła, zawijała to wszystko w tę starą kołdrę.

- Hmm.

- Była chora umysłowo, szeryfie.

- Gifford mi mówił. Powiadasz, że trzymała tam swoje skarby?

- Jeszcze wczoraj tam były.

Tom przyklęknął i uniósł kołdrę z twarzy Emmy-Jean. Jej głowa była przechylona pod nienaturalnym kątem, a twarz pokryta krwią i kurzem. Zamknął jej oczy i na powrót przykrył kołdrą.

- Czy zwykle chodziła tam w koszuli nocnej? - zapytał szeryf.

- Poszłaby i nago, gdybym nic dopilnował, żeby się ubrała. Miała na sobie nocną koszulę i majtki, kiedy kładłem ją do łóżka.

- W tej chwili ma na sobie tylko koszulę nocną. Gifford mi mówi, że byłeś u Henrych.

- Emma-Jean spała, gdy wychodziłem.
- Kto oprócz ciebie ją widział?
- Dobry Boże, człowieku! Czy pan myśli, że mogłem ją zabić?
- Nikogo nie wykluczam. Mogłeś ją zabić i pójść do Henrych, żeby mieć alibi.
- A niech cię wszyscy diabli! Nie poszedłbym do Henrych, gdyby Johnny i Grant nie przyjechali po mnie.

O, Boże! Może i bym poszedł. Ciągnęło mnie jak cholera.

- Chwila, szeryfie - odezwał się Grant. - Tom wszedł do domu na niecałą minutę. Przez okno widziałem jak wchodzi do pokoju i zaraz wraca na werandę. Zgasił lampę i przyszedł do samochodu. Nie miał kiedy podpalić domu. Poza tym musiałby mieć nie po kolei w głowie, żeby pchać się do płonącego domu i szukać w nim kogoś, o kim wiedział, że już nie żyje. Niech pan spojrzy na jego ręce.

- A kim ty do diabła jesteś? Jego adwokatem?

- Tom jest niewinny. Nie potrzebuje adwokata. Ale jeśli zajdzie potrzeba, to wiem, gdzie go szukać.

- W tym powiecie nie zamordowano kobiety od czasu, kiedy byli tu Indianie. Ta sprawa narobi niezłego smrodu.

- Nie interesuje mnie, ile smrodu narobi ta sprawa - powiedział gniewnie Tom. - Chcę, żeby ten, kto to zrobił, został ujęty i powieszony. Była tak pomyłona, że rozłożyłaby nogi przed każdym. Nikt nie musiał jej zabijać.

- Mógłbym przysłać El mera z domu pogrzebowego, żeby zabrał ciało - powiedział cicho szeryf, ignorując gniew Toma. - Ale szybciej będzie, jeśli sam ją zabiorę i poproszę doktora Hendricksa, żeby ją obejrzał. Najbliższa kostnica jest w Ardmore.

- Mój brat jest federalnym oficerem śledczym w Kansas City. Szkoda, że go tu nie ma.

- Ta sprawa nie podlega federalnym. Załatwimy ją na miejscu. Sami. Niech pan nie wyjeżdża poza granice powiatu, Dolan.

- Czemu miałbym wyjeżdżać? Mój syn tu jest.

- A tak, racja. Ta pyskata małolata mówiła, że twój syn mieszka z panną Henry. Twierdziła, że między wami coś jest. Mniejsza o to. Uspokój się - powiedział, gdy Tom gniewnie wciągnął powietrze. - Powiedziała też, że Pete Peny chce wyrównać rachunki z tym draniem, co go załatwił w maratonie.

- Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Zemsta chadza krętymi ścieżkami. Wygląda na to, że mam paru poważnych

podejrzanych. Nie wykluczając młodego Austina. Mówiłeś, że kiedyś znalazłeś panią Dolan w budzie Austinów? Samą?

- Miała z kimś stosunek. Ten ktoś uderzył ją w twarz i zostawił na jej ciele sińce.

- Podejrzewasz kogoś?

- Gdybym podejrzewał, ten ktoś już dawno miałby mnie na karku. To nie był Chris. Jestem na sto procent pewien, że nie miał z tym nic wspólnego.

- Cóż, zobaczymy. Czy ktoś mógłby mi pomóc wnieść ją do samochodu?

- Ja to zrobię. - Tom przyklęknął i z pomocą Granta delikatnie podniósł owinięte w kołdrę i płachtę ciało i zaniósł do samochodu. Szeryf otworzył tylne drzwi. Tom umieścił ciało swojej martwej żony na siedzeniu.

Emma-Jean uwielbiała jeździć do miasta... to był jej ostatni raz.

- Szeryfie, czy mógłby pan zawiadomić jej rodziców w Conroy? Spodziewałem się, że tu przyjadą. Nie chciałem, żeby... dopiero po przyjeździe dowiedzieli się, co zaszło.

- Pod jakie nazwisko przekazać wiadomość?

- Martin Conroy.

- Czy była jakoś spokrewniona z tym Conroyem, który sprzedawał tu dzierżawy pod wydobycie ropy?

- To jej brat. Martin to jej ojciec.

- Wydawało mi się, że słyszałem coś o jego śmierci.

- To raczej niemożliwe. Chyba że umarł w ciągu paru ostatnich dni. Jej brat był tu w zeszłym tygodniu. Przekazałem przez niego wiadomość, żeby Martin przyjechał tu i pomógł mi podjąć jakąś decyzję w sprawie Emmy-Jean.

- Hmm... Powiem Flossie, żeby mnie z nim połączyła. Nie powinno wiele kosztować.

- Dziękuję.

Szeryf Watson odjechał w zadumie z farmy Dolana. To było coś więcej niż pędzenie bimbru czy napad na bank. To była naprawdę DUŻA SPRAWA. Morderstwo kobiety, prawdopodobnie również gwałt... Bez wątplenia znajdzie się na pierwszych stronach wszystkich gazet w całej Oklahomie. Jeśli nie uda mu się aresztować mordercy, na pewno będzie musiał pożegnać się z posadą. i

Skłonny był uwierzyć, że to nie Dolan zabił, ale przecież z mordercami nigdy nie wiadomo. Siedem czy osiem lat temu dwóch młodych gości zabiło w Chicago dzieciaka o nazwisku Bobby Frank. Mieli po dziewiętnaście lat, z pozoru grzeczne chłopaki z college'u.

Jeden z nich był ponoć geniuszem władającym czternastoma językami. Ludziom trudno było uwierzyć, że to oni zabili. Obaj w końcu się przyznali. Twierdzili, że chcieli sprawdzić, czy uda im się popełnić zbrodnię doskonałą.

Szeryf minął gospodarstwo Henrych. Isabel mówiła, że Dolan kręci się przy pannie Henry. Żonaty mężczyzna, nawet jeśli z jego żoną nie wszystko jest w porządku, nie powinien zaczynać z inną kobietą. Czyżby więc Dolan chciał pozbyć się żony, żeby mieć wolną rękę z Henr)' Ann? Dobrze sytuowana kobieta z niezadłużonym gospodarstwem stanowiła pokusę dla każdego mężczyzny.

No i jest jeszcze Pete Peny. Na pewno nie obejdzie się bez rozmowy i z nim. Nigdy nie słyszał, żeby Pete maczał palce w czymś poza sprzedażą bimbrowa, a i to od czasu do czasu. Zastępca szeryfa, Orlan Nelson, miał go na oku i gotów był przysiąc, że Pete nie ma nic wspólnego z ubojem cudzych wołów. Zostaje jeszcze dzieciak Austinów. Wygląda na to, że wcale już nie jest dzieciakiem. Orlan mówił, że często jeździ do domu starego Hastingsa, żeby odwiedzać Opal. Może u Opal nie znajdował tego, czego mu było trzeba i postanowił popробować z szaloną żoną Dolana.

Szeryfa Watsona zdumiewał także Gifford. Phillips niewiele o nim mówił. Tylko tyle, że zaczął pracować u Henrych niedługo po śmierci Eda. Ten facet sprawiał wrażenie, jakby dobrze wiedział, co robi. Wydawało się, że zna wszystkie procedury, jakich należy przestrzegać na miejscu przestępstwa. Przy dołku nad potokiem, gdzie razem z Johnnym znaleźli ciało, wiedział, że należy uważać, żeby nie narobić dodatkowych śladów.

A jednak były tam wyłącznie ślady Granta i Johnny'ego. Wcześniej ktoś pozacierał wszystkie inne. Nie było ani niedopałków ani żadnej z tych rzeczy, które według Dolana jego żona miała przy sobie. Zabójca zadbał, żeby nie było łatwo wpaść na jego trop.

Było jeszcze coś, co zastanawiało szeryfa. Dlaczego mianowicie Dolan nie wiedział o śmierci Martina Conroya? Pamiętał dobrze nekrolog w jednej z gazet z Wichita Falls. Zastanawiał się, czy zmarły Martin Conroy, jest jakoś spokrewniony z tym Conroyem, co sprzedawał dzierżawy na wydobycie ropy w Red Rock. A jeśli to wszystko prawda, musi dziwić, że córka Conroya nie została zawiadomiona o śmierci ojca.

Słońce już wschodziło, kiedy szeryf dotarł do Red Rock. Postanowił, że najpierw zatrzyma się przy gabinecie doktora Hendricksa. Poprosi go o oględziny zwłok w zakładzie pogrzebowym. Potem pojedzie do centrali telefonicznej. Po załatwieniu tych dwu spraw, szeryf zamierzał wstąpić do baru Millie's Diner, wypić galon kawy i zjeść porządne śniadanie.

- Po prostu nie mogę uwierzyć, że ta biedna kobieta nie żyje. Po prostu nie mogę w to uwierzyć! Biedactwo. - Per-nie Austin siedziała przy stole kuchennym w towarzystwie męża i szeryfa. - Powinnam była coś zrobić. Powinnam była pójść prosto do niego i powiedzieć, że jeśli nie zachowa się jak należy i nie zabierze jej do lekarza, pójde na policję. Jeszcze kawy, szeryfie?

- Nie, dziękuję. Co pani ma na myśli, mówiąc „jak należy”?

- No, wie pan. Żeby przestał zalecać się do Henry Ann i zajął swoją chorą żoną. Każdy wie, że zabrał chłopca od matki i oddał go Henry Ann. To prawie stara panna. Zdaje się, że bardzo potrzebowała chłopca.

- Pernie, czy aby nie pozwalasz sobie za dużo? - przerwał pan Austin.

- Wielkie mi co! Każdy wie, że kręcą ze sobą. Szeryf też powinien wiedzieć. Żonaty mężczyzna, któremu w głowie inna kobieta, podczas gdy jego własna żona wymaga opieki, może zrobić wszystko... nawet... nawet może chcieć pozbyć się żony. Od razu wiedziałam, co z niego za ziółko.

- Czy Chris jest w domu?

Pytanie padło tak niespodzianie, że żadne z państwa Austinów nie zdążyło się na nie przygotować.

- Czemu... pan pyta? - zająknęła się zaskoczona pani Austin.

- Mam zamiar porozmawiać ze wszystkimi mężczyznami w tej okolicy. No więc jest w domu?

- Pojechał do Ardmore... w odwiedziny... do mojej siostry.

- Pernie, nie możesz wiedzieć, czy to zrobił - odezwał się pan Austin. - Lepiej powiedz szeryfowi prawdę. Chris nie wrócił na noc do domu. Nie wiemy, dokąd pojechał.

- Chris-to-pher często jeździ do Ardmore - nie dawała za wygraną pani Austin.

- Muszę już jechać. Kiedy indziej porozmawiam z Chrisem. - Szeryf odsunął się z krzesłem od stołu i wstał. - Powiadacie, że pożar u Dolanów wybuchł koło dziesiątej?

- Nic wiem, kiedy się zaczął, ale było już po, gdy obudził mnie nasz parobek. Zobaczył ogień ze stryszku, gdzie śpi.

- Tom Dolan podpalił swój dom, żeby ukryć zbrodnię. To jasne jak słońce - upierała się pani Austin. Wyszła za mężem i za szeryfem na werandę. - Miał lepsze rzeczy na oku, a Henry Ann nie mogła się już obejść bez chłopca.

- Pernie, ucisz się!

Z ustami otwartymi, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, pani Austin spojrzała oszołomiona na swego męża i zamilkła. Od kiedy byli małżeństwem, nigdy nie odezwał się

do niej w ten sposób. Jej zdziwione spojrzenie nagle przeniosło się z twarzy męża na samochód, który właśnie wjeżdżał na podwórze.

- Chris-to-pher wrócił. Kto tam... z nim jest? Nie... nie. Nie przywiózłby jej tutaj.

Chris wysiadł z samochodu, nachylił się, żeby coś powiedzieć dziewczynie siedzącej z przodu, potem podszedł do grupy na werandzie.

- Dzień dobry, szeryfie. Coś się stało?

- Dzień dobry, Chris. Nie tutaj. Byłeś w Ardmore?

- Nie ostatnio - Chris dojrzał złowrogi grymas na twarzy matki. - Wezwałaś szeryfa, bo nie wróciłem na noc do domu. Boże, mam, jestem dorosłym mężczyzną. Mam dwadzieścia pięć lat.

- A zachowujesz się jakbyś nic nie miał w tej głowie - odparła matka.

- Gdzie byłeś, Austin?

- Pojechałem do Wichita Falls i wziąłem ślub - wyciągnął z kieszeni dokument i wręczył szeryfowi. - Świadek ślubu, szeryfie. Pastor zarejestruje je w urzędzie dziś rano. Wyjechaliśmy z Red Rock koło szóstej, wzięliśmy ślub koło dziewiątej i spędziliśmy noc w hotelu Alamo. Oto rachunek. Wygrzebał kwit z kieszeni na piersi. - Kosztowało dwa dolary.

- Nie! Nie zrobiłeś tego! Poślubiłeś tę... dziwkę?

- Poślubiłem dobrą, cudowną dziewczynę, którą bardzo kocham. Nigdy więcej nie waż się jej tak nazywać. - Chris oparł zaciśnięte w pięści dłonie na biodrach.

- Gratuluję, Austin. - Szeryf wyciągnął rękę. - Wygląda na to, że masz żelazne alibi. Jadę więc dalej - skinął głową pani Austin i pospieszył do samochodu.

- Co miał na myśli mówiąc, że mam żelazne alibi? - Ponieważ pani Austin nie odpowiedziała, odpowiedział pan Austin:

- Zeszłej nocy zamordowano żonę Toma Dolana. To w tej sprawie przyjechał szeryf.

- Wielki Boże! Zamordowano?! Wiadomo już, kto?

- Jej mąż, ten nic nie wart dzikooki katolik to zrobił! -pani Austin mówiła nienaturalnie głośno.

- Szeryf nie wie, kto to zrobił - poprawił żonę pan Austin marszcząc brwi. Potarł zapalną o podeszwę i przystawił płomień do cybucha fajki.

- Nie myśl sobie, że ta dziewczyna będzie tu mieszkała. Nie chcę oglądać ani jej, ani jej bękarta w moim domu.

- Nie przyjechaliśmy tu z takim zamiarem. Przyjechałem zabrać trochę swoich rzeczy i żeby powiedzieć wam, że biorę samochód i wyjeżdżam do Kaliforni - minął matkę i

wszedł do domu. Ruszyła za nim.

- Do Kaliforni? Wyjeżdżasz? Więc dobrze! Jedź sobie! Ale na pewno nie naszym samochodem!

- Ucisze się, Pernie!

- Nie mów mi, żebym się uciszyła! - Pani Austin zwróciła się do męża. - Jeśli nie masz dość jaj, żeby mu się przeciwstawić, ja to zrobię. Karmiliśmy go i ubierali przez wszystkie te lata, a ten odwraca się od nas, żeby żyć z flądą, którą obracał każdy chłop nad Błotnistym Potokiem.

Pan Austin puścił słowa żony mimo uszu.

- W szopie jest dodatkowy galon benzyny, synu.

- Czyś ty zwariował? - Pani Austin była zbyt rozgniewana, by mówić normalnym głosem. Jak zawsze, gdy nerwy ją ponosiły, popiskiwała.

- Mamo, nie chcę, żebyś się na mnie wściekała teraz, kiedy wyjeżdżam. Pracowałem tu całe życie i naprawdę wolałbym zostać. Ale kocham Opal i jak długo będziesz myślała o nas tak, jak myślisz, nie mam wyboru. Muszę ją stąd zabrać. Muszę zacząć nowe życie gdzie indziej.

- To Henry Ann cię do tego namówiła. Tego można się było spodziewać po cudzołożnicy!

Chris opróżnił szuflady biurka, wcisnął swoje ubrania do poszwy na poduszkę i wyniósł na werandę. Wrócił po pistolet, szachownicę i płaszcz z baraniej skóry, który kupił zeszłej zimy. Pani Austin stała na werandzie, kiedy prznosił swoje rzeczy do samochodu.

- Zabierz ze sobą tę skrzynkę z narzędziami, którą trzymamy w szopie, synu - poradził pan Austin, kiedy Chris niósł benzynę i worek z rzeczami do samochodu.

- Dziękuję, tato. Dziadek Opal jedzie z nami. Potrafi naprawiać różne rzeczy. Nie masz mi za złe, że biorę samochód?

- Nie. Pomogłeś mi go spłacić. Chciałbym, żebyś odezwał się do mnie od czasu do czasu. Dobry z ciebie chłopak i umiesz dobrze pracować. Poradzisz sobie.

- Wiele to dla mnie znaczy, że tak myślisz.

- Zaczekaj chwilę. Nie odjeżdżaj, zanim nie wrócę.

Chris stał przy samochodzie, a pan Austin wszedł do domu. Po chwili dały się słyszeć piski pani Austin, potem zawodzenia, a na koniec trzaśnięcie drzwiami.

- Oto pięćset dolarów synu. Zarobiłeś te pieniądze. - Wręczył synowi szmacianą sakiewkę. - Pracowałeś jak mężczyzna, od kiedy ukończyłeś dwanaście lat. To mniej niż pięćdziesiąt dolarów rocznie.

- Ależ... nie spodziewałem się... nie chciałem, żebyś został bez...
- Mamy jeszcze parę setek. Jesteśmy w lepszej sytuacji niż większość ludzi.
- Ale... mama...
- Jakoś to przeboleje. Już dawno powinienem był ją powściągnąć. Po prostu jakoś łatwiej było machnąć ręką.
- Dzięki, tato. To naprawdę się przyda. Nie byłem aż tak pewny swego, jak udawałem. - Chris objął ojca za szyję i uściskał, pierwszy raz od czasu, kiedy był chłopcem.
- Dam ci znać, gdzie jestem. A jeśli będziesz mnie potrzebował, przyjadę.
- Cieszę się, że zobaczysz coś więcej niż Red Rock i Błotnisty Potok.
- Poznaj Opal, tato. Nie jest taka, jak mama o niej mówi.

Kiedy samochód odjeżdżał, pan Austin pomachał ręką, po czym poszedł do szopy, by otrzeć łzę, zanim wróci do domu.

23

- Henry Ann, Grant zabierze mnie do miasta, ale jeśli tata nie będzie potrzebował samochodu, to wrócę. - Karen weszła w cień drzewa, gdzie Henry Ann huśtała Jaya na huśtawce.
- Podejrzewam, że całe miasto już wie o... Emmie-Jean.
- Jestem tego pewna. Jeśli nie szeryf Watson, to Elmer z zakładu pogrzebowego na pewno się wygadał.

-Jak myślisz, kto mógł zrobić coś tak okropnego? - Henry Ann bez przerwy zadawała sobie to pytanie.

- To musiał być jakiś włóczęga. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek, kogo znam, był zdolny do tak wielkiego okrucieństwa. Nawet Pete Perry nie mógłby tego zrobić.

Henry Ann trudno było sobie wyobrazić, że dopiero minęło południe. Tyle niespodziewanych zdarzeń miało miejsce w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin! Do tego Chris wpadł na chwilę, żeby powiedzieć, że wzięli z Opal ślub i wyjeżdżają do Kalifornii.

- Wiemy na pewno, że to nie mógł być ani Grant, ani Tom, ani Chris, ani Johnny. Chris brał ślub w Wichita Falls. Musiał się zakochać, żeby postawić się matce.
- Cieszę się, że jest z Opal. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się odezwą. Tom ma niedługo wrócić?

- Przyjdzie na kolację. Johnny poszedł zobaczyć co z jego bydłem. Próbowałam namówić go, żeby pojechał z Johnnym do doktora Hendricksa, ale nie chciał o tym słyszeć.

Z domu wyszedł Grant.

- Nie jadę na długo. Chcesz czegoś z miasta, Henry Ann?

- Tom będzie potrzebował koszuli i spodni. - Sięgnęła do kieszeni w sukience, wyjęła parę banknotów i wcisnęła je Grantowi. - I, jeśli możesz, wstąp do doktora Hendricksa i weź jakąś maść na poparzenia. Dłonie Toma nie wyglądają dobrze.

- Jasne. Zajrzę jeszcze do mecenasa Phillipsa. Powinien dowiedzieć się czegoś z pierwszej ręki o tym, co zaszło.

- Przywieź też blok lodu. A ty, Karen, jeśli będziesz mogła, to wróć. Dobrze mieć cię przy sobie.

- Gdzie moglibyśmy porozmawiać, ale tak żeby nie być na widoku? - Grant jedną ręką trzymając kierownicę, drugą sięgnął po dłoń Karen.

- Za tymi drzewami jest alejka. Okrąża zakręt i wiedzie wzdłuż strumienia, ale mostek jest zniszczony.

- Byłaś tam już kiedyś?

- W każdym razie nie po to, co tobie chodzi po głowie.

- A skąd wiesz, co mi chodzi po głowie, panno Mądra-lińska?

- Bo mnie też to chodzi po głowie, panie Przemądrzały - jej błyszczące oczy wpatrywały się w jego twarz. Poczuł, że ścisnęła jego dłoń.

Grant zaśmiał się. Uwielbiał tę jej bezpośredniość, poczucie humoru i to, że czuł się przy niej cudownie. Kiedy minęli zakręt, zatrzymał samochód w cieniu żywopłotu, objął ją i przysunął ku sobie jej twarz.

- Odkąd pierwszy raz cię zobaczyłem, każdej nocy widziałem twoją twarz pod powiekami. Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

- Tylko w bardzo szczęśliwych przypadkach - jej głos drżał, kiedy to mówiła.

Zamknął jej oczy pocałunkami. Wyraźnie słyszał jak bije jej serce. Jego usta spoczęły na jej ustach i obdarzyły je długim, słodkim pocałunkiem.

- Nic nie mów - szepnął jej do ucha, a jego ciepły oddech delikatnie pieścił jej szyję. Jego zapach wypełniał jej nozdrza. Ponownie odnalazł jej usta, a gdy westchnęła z rozkoszy, zapieczętował je długim namiętym pocałunkiem. -Szaleję za tobą.

- Ja też cię lubię.

- Lubisz? - delikatnie otarł się ustami o jej usta. - Stać cię chyba na coś więcej. Podobało jej się, że w jego głosie wyraźnie słychać było, że jest szczęśliwy.
- Też za tobą szalęję.
- To już lepiej. Dużo lepiej. - Obejmując ją ramieniem, przysunął bliżej do siebie i pocałował wewnątrz jej dłoni. - Chcę, żebyś wiedziała o mnie wszystko, zanim poproszę, żebyś dzieliła ze mną życie.
- Masz zamiar... poprosić mnie...?
- Dopiero po tym jak ci opowiem, jak to włączyłem się po kraju przez parę lat, bo przez moją nieudolność zginął człowiek. Czuję się tak winny, że czasem biorę nogi za pas, żeby przed tym uciec. Zmęczony już jestem tym uciekaniem. Zdałem sobie sprawę, że muszę to jakoś zaakceptować, nauczyć się z tym żyć.
- Opowiedz mi o tym. - Podniosła dłoń do jego policzka. - Powiedz wszystko.
- Urodziłem się i wychowałem w Tulsa. Mój ojciec był nieźle sytuowany i mógł sobie pozwolić na wysłanie mnie na Uniwersytet Harvarda. Skończyłem prawo, a potem przyjęto mnie jako młodszego wspólnika do jednej z lepszych firm adwokackich w Bostonie.
- Wiedziałam, że nie jesteś zwykłym włączęgą.
- Jaką część działalności firmy stanowiły bezpłatne porady i sprawy z urzędu. Poświęciłem im całkiem sporo czasu. Tak naprawdę wolałem prawo karne od cywilnego. -Grant chciał już zakończyć opowiadanie, żeby móc znów ją pocałować. - Wyznaczono mnie do obrony młodego człowieka, któremu zarzucano, że zamordował własną matkę.
- Matkę? To okropne!
- Sądziłem, że jest godny pogardy. Wszyscy mówili, że sprawa jest oczywista. I że jedyne, co można zrobić, to zastosować standardowe posunięcia prawne. Ale im dłużej z nim rozmawiałem, tym bardziej byłem przekonany, że jest niewinny. Cały materiał dowodowy miał charakter wyłącznie poszlakowy. Że niby tylko on miał klucz do domu, tylko on wiedział, kiedy matka zostanie sama i w końcu tylko on mógł mieć jakieś korzyści z jej śmierci. Chciał zeznawać w charakterze świadka. Ja jednak przestraszyłem się, że jest za młody, że jako dziewiętnastolatek z łatwością da się pogrążyć prokuratorowi okręgowemu, który nie dość że był dobrym aktorem to jeszcze był dobrym aktorem z nie byle jakimi ambicjami politycznymi. Chłopak miał jednak niepodważalne alibi: całą noc spędził z... innym mężczyzną. Ten człowiek gotów był zeznawać, gdyby to miało uratować chłopca. Zgodził się, nie zważając na to, że ryzykuje utratą przyjaciół i prawdopodobnie rodziny.
- A to czemu, skoro powiedziałby prawdę?
- Byli kochankami. Sypiali ze sobą od ponad roku.

- Uch! - wyraz jej twarzy i ton świadczyły o obrzydzeniu.

- Taka też była reakcja ławy przysięgłych na jego zeznanie. Był jednym z tych. Ciotą, pedziem. W ich umysłach mężczyzna, który uprawiał seks z innym mężczyzną, nie zasługiwał na miano człowieka i w ogóle zdolny był do wszystkiego. Bez zbędnych ceregieli uznali go winnym. Dwa miesiące później, kiedy próbowałem wnieść rewizję, chłopca powieszono. Przekopałem się przez wszystkie poszlaki w tej sprawie, zbadalem wszystkie ślady i w końcu znalazłem winnego. To cioteczna siostra chłopaka zabiła jego matkę. Następna w kolejce do pieniędzy. Zabijając kobietę i zrzucając winę na jej syna, upiekła dwie pieczenie na jednym ogniu. Ufne oczy tego chłopca będą mnie prześladować do końca życia. Nie powinienem był pozwolić, żeby jego przyjaciel przychodził do sądu. Nie tylko zawiodłem chłopaka, ale też zrujnowałem życie człowieka, który go kochał. Jego rodzina go odrzuciła. Popelnił samobójstwo niedługo po egzekucji.

- To kobieta ją zabiła?

- Można spotkać zabójców w każdym wieku, kształcie i rozmiarze, kochanie. - Grant odetchnął. - Potem wziąłem się za prokuratora okręgowego. Kiedy z nim skończyłem, mógł już liczyć jedynie na posadę hycła. Mnie wyrzucono z firmy za nieprofesjonalne zachowanie. Żadna firma w Bostonie nie zatrudniłaby mnie po czymś takim. Ale mnie to nie przeszkadzało. Doszedłem do wniosku, że nie chcę mieć nic wspólnego z salą sądową, ławami przysięgłych i ambicjami politycznymi. Zostałem włóczęgą. To była jedna z najmądrzejszych decyzji w moim życiu. Spotykałem bardzo różnych ludzi, robiłem najróżniejsze rzeczy. W ciągu ostatnich dwóch lat nauczyłem się więcej niż przez poprzednie dwadzieścia sześć. No i spotkałem ciebie. To, jak dotychczas, moje największe osiągnięcie. Wątpię, czy uda mi się to czymś przebić. Chciałbym, żebyśmy razem zamieszkali, chciałbym też otworzyć małą kancelarię prawną. Czuję, że muszę powiedzieć ci o tym wszystkim. Może się zdarzyć, że pomogę mecenasowi Phillipsowi, o ile Tom będzie potrzebował obrony.

- Phillips wiedział o tobie, prawda?

- Tak. To stary wyga. Ma pamięć jak słoń. Od razu zapytał, czy jestem tym Grantem Giffordem. Moje bostońskie wyczyny znalazły się na pierwszych stronach gazet w Tulsie i Oklahoma City,

- Znokautowałeś tego faceta?

- Powiedziałbym raczej, że facet nie ma już wielu powodów, żeby się tak uśmiechać jak kiedyś.

- Świetnie!

- No proszę. Czy to znaczy, że nie boisz się związać z prawnikiem włóczęgą,

który będzie musiał zaczynać od zera?

- Pomyślę. Nieźle całujesz. To przemawia na twoją korzyść.
- Tato! Tato!

Henry Ann mylą weki w wannie na ganku od podwórza, kiedy usłyszała pisk Jaya. Przeszła szybko przez dom i zobaczyła Johnny'ego za kierownicą samochodu Toma. Tom wysiadł z drugiej strony.

Zauważył biegnącego Jaya, zatrzymał się i uśmiechnięty zaczekał na synka. Potem nachylił się, by objąć go, mocno przytulić i wziąć na ręce. Oczy Toma odszukały Henry Ann. Zarost na jego twarzy tylko podkreślał, jak bardzo jest zmęczony. Miał na sobie wymiętą koszulę, a przez dziury wypalone w spodniach prześwitywało gołe ciało. Zauważyła, że dłonie trzyma odwrócone ku górze.

- Chyba kiepsko wyglądam - rzucił wchodząc na werandę.
- Na moje oko wyglądasz świetnie. - Miał przekrwione białka i pachniał dymem. - Pozwól, że wezmę Jaya. Chodź, złotko. Tatuś jest bardzo zmęczony.

Tom postawił syna na ziemi.

- Ciocia piecze placek - oznajmił Jay i objął Henry Ann za nogi.
- Kocha cię - powiedział cicho Tom, patrząc jej w oczy.
- Ja też go kocham. Jak twoje ręce?
- Będzie dobrze.
- Zaraz wróci Grant. Powiedziałam mu, żeby się zatrzymał u doktora Hendricksa i wziął jakąś maść.

- Muszę się umyć, zanim pojedę do miasta. Trzeba powziąć jakieś... decyzje. Miałem nadzieję, że pojawią się rodzice Emmy-Jean.

- Grant przywiezie ci świeżą koszulę i spodnie. Przygotowałam przybory do golenia taty.

- Dziękuję. Zwrócę ci za to.
- Nie zgadzam się na to, by między nami była jakakolwiek rozmowa o zwracaniu czegokolwiek. Chyba że... coś się zmieniło od zeszłej nocy?

- Nic się nie zmieniło. Poza tym, że nad moją głową zawisła ciężka chmura.

- Rozwiemy ją... wspólnie, jeśli też tego chcesz.

- Wiesz że tak, ale nie darowałbym sobie, gdyby stała ci się przez to jakaś krzywda,

- Masz na myśli moją reputację? - uśmiechnęła się, patrząc mu prosto w oczy.
- Nie zdawałem sobie sprawy, że ludzie o nas gadają, dopóki szeryf dziś o tym

nie wspomniał.

- Zaczęło się od tej starej plotkary, która widziała nas razem w poczekalni doktora. Wtedy, kiedyśmy zawieźli Jaya. Potem widziała cię tu w tamto niedzielne popołudnie. Nie przejmuj się tym, nie ma sensu.

- Muszę się przejmować! Wszystko, co dotyczy ciebie, jest dla mnie ważne.

- Teraz się ogól. W stodole stoi duża wanna. Przyniosę ci trochę podgrzanej wody.

- Nie musisz tego robić.

- Zrobię, zrobię. Będziesz musiał pozwolić, żeby inni ci pomagali, dopóki ręce ci się nie wygoją.

- Dobrze, szępani - uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia.

Wrócił Grant, a z nim Karen. Przywiózł ubrania i maść, o którą prosiła Henry Ann.

- Doktor Hendricks mówi, że okład z sody, który przyłożyła Ciotka Dozie, jest tak samo dobry na poparzenia jak maść. - Karen promieniała bardziej niż zwykle. Jej roześmiane oczy stale spoglądały na Granta, on też nie spuszczał z niej wzroku.

- Tom myje się w stodole. Grant, może położyłbyś mu trochę tej maści na plecy, jak zdejmie koszulę.

- Wstąpiliśmy do domu i tata znalazł dla niego trochę skarpet i bielizny - powiedziała Karen.

- Na pewno się ucieszy. Wszystko stracił w ogniu.

Jak tylko Grant wyszedł z domu, Karen podbiegła do Henry Ann i objęła ją.

- Grant poprosił, żebym za niego wyszła. O, Henry Ann, taka jestem szczęśliwa.

- Karen...

- Nic się nie martw. Opowiedział mi o sobie wszystko - przerwała jej prędko. - Jest dobrym człowiekiem. I godnym szacunku. Rozmawialiśmy z tatą, dał nam swoje błogosławieństwo.

- W takim razie się cieszę. Lubię Granta i miałam nadzieję, że istnieje jakieś sensowne wytłumaczenie tego, że... że...

- Ze został włóczęgą - Karen zaśmiała się radośnie. - Miał swoje powody, ale powie ci o nich w swoim czasie. Gdzie jest Jay?

- W stodole z Tomem. Co ludzie mówią w mieście?

- Na pewno chcesz wiedzieć?

- Nie mówią niczego, o czym byśmy nie wiedzieli, że zaczną mówić. A więc, że Tom zakochał się w tobie, zabił swoją żonę i podpalił dom, żeby to ukryć.

- Boże drogi! Przecież Tom był tutaj, kiedy wybuchł pożar! A niby po co miałyby rzucać się w ogień, chcąc ją ratować? Zresztą i tak niepotrzebnie się narażał, bo przecież nie było jej w domu.

- Plotkującym nie zależy na prawdzie. Ciekawiej jest myśleć, że Tom zrobił to z miłości do innej kobiety. Taka historia bardzo ożywia to ich nudne życie.

- Czy wszyscy myślą, że Tom to zrobił?

- Oczywiście, że nie wszyscy. Tata, mecenas Phillips i doktor Hendricks są po jego stronie. Nie martw się Henry Henry - nazwała ją żartobliwie imieniem, którego używała, kiedy były w szkole średniej. - Grant będzie wiedział, co robić.

- Mam nadzieję, że znajdą prawdziwego mordercę.

Grant i Tom byli jeszcze w stodole, kiedy nadjechał szeryf wraz ze swoim zastępcą. Zaraz za nimi wjechał na podwórze błyszczący sportowy packard.

- A to kto? - wykrzyknęła Henry Ann.

- Wiem, kto to jest. Widziałam go w mieście. Nazywa się Conroy. Skupował dzierżawy na wydobycie ropy.

- Brat Emmy-Jean.

Szeryf i jego zastępca wysiedli z samochodu w tej samej chwili, kiedy Grant i Tom wychodzili ze stodoły. Obok nich dumnie maszerował Jay. Tom nachylił się, żeby powiedzieć coś swojemu synkowi, chwilę później Jay ruszył biegiem do domu.

Henry Ann nigdy nie lubiła zastępcy szeryfa. Był w porządku, gdy chodzili do szkoły, ale kiedy został zastępcą, woda sodowa uderzyła mu do głowy. Henry Ann zeszła z werandy.

- Szeryfie! - zawołała. - Na werandzie jest więcej cienia. Zaraz przyniosę trochę mrożonej herbaty.

- Będę bardzo wdzięczny, panno Henry.

-Ja się tym zajmę - powiedziała Karen i zniknęła w domu.

- Witaj, Henry Ann. - Zastępca szeryfa, Orlan Nelson, był niskim mężczyzną z brzuszkiem. - Ślicznie wyglądasz. Dawno cię nie widziałem. Byłem zbyt zajęty, żeby mieć czas nawet na tak miłe odwiedziny.

Henry Ann wydało się, że usłyszała prychnięcie szeryfa.

- Witaj, Orlan.

- Panno Henry, oto Marty Conroy, brat Emmy-Jean -przedstawił Tom.

Marty Conroy, w białej koszuli i czarnych spodniach, skinął zdawkowo głową, jakby

przyjechał z wizytą do jakiegoś dygnitarza, a Henry Ann była jedynie służącą.

- Proszę usiąść. Zaraz napijemy się czegoś zimnego. - Henry Ann weszła do domu, ale stanęła tuż przy drzwiach, żeby słyszeć o czym mowa. Szeryf zaczął bez owijania w bawełnę.

- Mamy problem, Dolan. Conroy twierdzi, że był tu w zeszłym tygodniu, żeby powiadomić pana o śmierci ojca pańskiej żony. I że ojciec zapisał jej coś w testamencie. Krótko mówiąc uważa, że zabił pan jego siostrę dla pieniędzy, które odziedziczyła.

Tom spojrzął na Marty ego z niedowierzaniem. Na jego twarzy, zaczerwienionej od ognia, przez cały czas malował się spokój. Jednak gdy dotarło do niego znaczenie słów szeryfa, oczy Toma rozbliły się gniewem.

- Co?! Nigdy mi nie mówiłeś, że Martin nie żyje. Obiecałeś nawet, że przekażesz mu, żeby przyjechał do mnie i pomógł zdecydować co dalej z Emmą-Jean.

- Nic podobnego, nigdy niczego takiego nie obiecywałem - odparł Marty z przekonaniem.

- Ty cholerny kłamco! Mówiłeś, że przekażesz mu wiadomość. Wiesz dobrze, że nawet nie zająknąłeś się o śmierci Martina!

- To po co miałbym pokonywać całą tę drogę? Chyba to logiczne, że jechałem taki kawał, żeby powiedzieć siostrze o śmierci ojca. Na pewno nie wybrałem się do niej z wizytą. Była przecież pomyłona.

- Czemu więc nie powiedziałeś jej o tym na tyle wcześniej, żeby mogła zdążyć na pogrzeb? Szalona czy nie, Martin był również jej ojcem.

- Sam wiesz najlepiej dlaczego. Już raz zrobiła coś bardzo głupiego i przyniosła wstyd nam wszystkim. Matka uważała, że najlepiej będzie zawiadomić ją po fakcie.

- Tak czy inaczej miała prawo wiedzieć!

- Powiedziałem tobie, że tata nie żyje i że przepisał jej jedną trzecią majątku. Nie licząc funduszu powierniczego -dodał pospiesznie. - Myślałeś, że tobie to przypadnie po jej śmierci? Czy dlatego zabiłeś moją biedną siostrę?

- Ty załgany sukinsynu! - Tom zerwał się na równe nogi. - Powinienem rozdrzeć cię jak śledzia!

- Lepiej usiądź! - Orlan podniósł się z krzesła. Głową ledwie sięgał Tomowi pod brodę. Kiedy zrobił gest, jakby chciał chwycić Toma, ten podniósł pięść.

- Lepiej mnie nie ruszaj, kurdupłu.

- Straszysz mnie? - najeżył się Orlan.

- Uspokójże się, Orlan - uciał stanowczo, choć z niejakim zniecierpliwieniem

szeryf Watson.

Henry Ann przytrzymała drzwi, aby Karen mogła wejść na werandę ze szklankami mrożonej herbaty. Henry Ann została przy drzwiach. Szukała wzrokiem oczu Toma.

Czemu brat Emmy-Jean mówi takie rzeczy. Oskarża Toma, że zabił jego siostrę dla pieniędzy, które dostała w spadku. Szeryf na pewno w to nie uwierzy.

Wszyscy mężczyźni, prócz Toma, poczęstowali się mrożoną herbatą. Minęło kilka minut i stało się jasne, że nie będzie żadnej rozmowy tak długo, jak długo na werandzie zostaną z nimi kobiety. Karen i Henry Ann weszły więc z powrotem do domu. Stały tuż przy drzwiach, by nie uronić ani słowa.

- Dziś rano zadzwoniłem do Conroy - powiedział szeryf Watson, wycierając usta wierzchem dłoni - ale poinformowano mnie, że pani Conroy jest w Dallas, a pan Marty Conroy wyjechał z miasta. To Orlan zauważył go w Red Rock i przekazał, co się stało.

- Trudno przegapić tego nowego packarda - Orlan wyszczerzył zęby.

- Nie miałem zamiaru wślizgiwać się do miasta cichaczem - powiedział Marty. - Przyjechałem, aby porozmawiać z szeryfem.

- On ma dokument, Dolan. Od sędziego powiatu Colby w Teksasie. Wynika z niego, że Jay Conroy Dolan ma znaleźć się pod opieką Martina Conroya Juniora do czasu dalszych ustaleń sądowych.

Tom przestał chodzić i obrócił się gwałtownie.

- Co ty wygadujesz, do diabła?

- Mówię, że tamtejszy sędzia chce odebrać ci chłopca i oddać go pod opiekę Martina Conroya Juniora. Jest tu napisane, że stan psychiczny pani Dolan uniemożliwia jej opiekę nad dzieckiem i że znalazła się w tym stanie po tym, jak oddałaś dziecko innej kobiecie. I dalej, że jesteś nieodpowiedzialnym rodzicem i do tego katolikiem, a dziecko powinno zostać wychowane na protestanta.

Zdumiony Tom nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Potem rycząc z gniewu, skoczył ku Marty'emu. Johnny i Grant rzucili się na niego niemal w tej samej chwili i zdążyli go powstrzymać. Marty ze strachu schował się za zastępcą szeryfa.

- Ty obmierzły sukinsynu! Zabiję cię, jeśli spróbujesz odebrać mi syna!

- Tak jak zabiłeś Emmę-Jean, jak już doprowadziłeś ją do szaleństwa? - warknął Marty.

- Szeryfie, czy mogę zobaczyć ten dokument? - zapytał Grant.

- Czy to aby nie ty jesteś tym włóczęgą, który kręcił się po okolicy?

Grant puścił to mimo uszu.

- Szeryfie, jestem prawnikiem Toma. Wynajął mnie dziś rano. - Grant porozumiewawczo ścisnął Toma za ramię.

- Prawnikiem - prychnął Orlan, patrząc na znoszone buty i połataną koszulę Granta. - Taki z niego prawnik, jak i ze mnie.

Grant wyjął portfel. Z portfela wyciągnął jakąś kartę i wręczył szeryfowi.

- Oto licencja. Mam pozwolenie na praktykowanie w stanie Oklahoma.

- Gówno prawda! Każdy może sobie załatwić taką karteczkę, jaką tylko zechce.

- Orlan, stulże wreszcie pysk! - uciszył go szeryf Watson i oddał kartę Grantowi.

Następnie podał mu złożony dokument. - Niech pan rzuci okiem.

Grant przeczytał dokument z uwagą, złożył go i oddał szeryfowi.

- Sędzia, który wydał coś takiego, jest niekompetentnym głupcem. Co masz na niego, Conroy, że wydał ci taki świstek? To nie jest warte papieru, na którym zostało napisane. - Marty zaczął coś bełkotać, Grant ciągnął więc dalej. - Pierwszy lepszy student prawa, nie mówiąc już o sędzim, od razu ci powie, że to pismo nic nie jest warte.

- Szeryfie, wierzy pan włóczędze tylko dlatego, że twierdzi, że jest prawnikiem? - próbował odmienić sytuację na swoją korzyść Marty.

- Mogę być tylko małomiasteczkowym szeryfem, Conroy, ale nawet ja wiem, że Oklahoma nie podlega jurysdykcji sędziego z Teksasu. Co ty mi tu kombinujesz?

- Chcę zająć się synkiem mojej zmarłej siostry.

- Nie wiedziałeś, że nie żyje, dopóki tu nie przyjechałeś. A może było inaczej?

- Nie... tego... wiedziałem, że jest szalona. To chyba wystarczy.

- Czy testament pana Conroya został już ogłoszony? -zapytał Grant.

- Tak, ale to nie pańska sprawa.

- Do dziś istotnie, to nie była moja sprawa. Zażądam, żeby przysłano mi kopię testamentu. Mój klient ma prawo wiedzieć, co jest w testamencie.

- Nie obchodzi mnie, co było w tym cholernym testamencie - wtrącił się Tom.

- Szeryfie, wydaje mi się, że pan Conroy przyjechał po dziecko, bo wiedział, że jego siostra nie żyje i że jej część spadku po ojcu przechodzi na jej męża i dziecko. Wiedział też, że gdyby w związku z jej śmiercią oskarżono i skazano jej męża, to on przejąłby kontrolę nad majątkiem. Nie mam wątpliwości, że ma pan tu podejrzanego z nie byle jakim motywem.

- Może ma pan rację. Gdzie byłeś zeszłej nocy, Conroy?

- Niech to szlag! Czyżbyś mnie oskarżał?

- Pytam, gdzie byłeś zeszłej nocy?

- Byłem w Wichita Falls.

- Potrafisz to udowodnić?
- Jestem pewien, że słyszał pan o firmie prawniczej Schellenberger & Schellenberger.
- Przykro mi, nie słyszałem - odparł chłodno szeryf.
- No to pan usłyszysz. Conroyowie są klientami tej firmy od ponad pięćdziesięciu lat. Pod zarządem tej właśnie firmy znajduje się fundusz powierniczy Conroyów. Niech więc pan uważa, bo może się okazać, że ma pan przeciwko sobie firmę, która zje pana żywcem.
- Czyżby, wielmożny panie Conroy? Skoro mowa o zjadaniu żywcem, to proszę uważać na słowa, bo wylądujesz człowieku na zapchlonej pryczy u mnie w celi.
- Będzie pan honorował nakaz sędziego i pozwoli mi zabrać siostrzeńca?
- Nie, do diabła. Coś pan, głuchy?
- Moja matka nie podda się tak łatwo. Dostaniemy chłopca, jak tylko ten morderca zawiśnie za zabójstwo mojej siostry.
- Wynoś się stąd, Conroy. Masz szczęście, że pozwalam ci odjechać. Musiałbyś tu zostać, gdybym nie wiedział, gdzie w razie czego cię szukać.
- Nabożeństwo żałobne odbędzie się jutro - powiedział Tom. -Jeżeli twoja matka zechce przyjechać, możemy przelożyć je o jeden dzień, żeby zdążyła.
- Nie przyjedzie - powiedział szeryf Watson, kiedy Marty odszedł. - Dzwoniłem wczoraj do niej do Dallas. Odpowiedziała, że nigdy nie miała córki. I tyle.
- Boże drogi! - wykrzyknął Tom.

24

Henry Ann nie poszła na pogrzeb Emmy-Jean. Nie chciała niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi ze względu plotki o jej związku z Tomem. Karen, Grant, Johnny, Jay i Tom zastali na cmentarzu ponad pięćdziesięcioro ciekawskich. Wielebny Wesson odprawił krótkie nabożeństwo, a Karen zaśpiewała hymn. Kiedy nadeszła pora, by opuścić trumnę do grobu, pan Austin pomógł Grantowi, Johnny'emu i wielebnemu Wessonowi trzymać liny. Jay, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje, na wszelki wypadek trzymał się spódnicy Karen. Nabożeństwo przebiegło bardzo sprawnie.

Karen i Grant opuścili cmentarz w towarzystwie Wielebnego. Johnny odwiózł Toma i Jaya. Tłumek ciekawskich zachował spokój, ale tylko do czasu, kiedy Tom nie znalazł się w samochodzie. Wtedy ktoś wrzasnął:

- Morderca!
- Dlaczego ją zabiłeś? - natychmiast podchwycili inni. Johnny przejechał wolno wzdłuż tłumu, który ustawił się szpalerem przy drodze.
- Coś mi się wydaje, że tym krzykaczom ktoś zapłacił za miotanie obelg - Johnny wskazał na zaparkowanego opodal Packarda.
- Ktoś, kto nie przychodzi na pogrzeb własnej siostry, to zwykła kanalia - powiedział Tom, kiedy wyjeżdżali z miasta. -Ale matka, która wyrzeka się chorej córki, jest jeszcze gorsza.
- Henry Ann zrobiła mi nową koszulę - powiedział Jay, próbując wreszcie zwrócić na siebie uwagę ojca.

- Ładnie wyglądasz, synku.

Tom zastanawiał się, z czego opłaci grabarza i miejsce na cmentarzu. Będzie musiał sprzedać samochód albo krowy. Gdyby nie Henry Ann zabrałby syna i wyjechał jak najdalej stąd. Grant zapewnił go, że Conroyowie nie mają szans dostać Jaya. Przynajmniej tak długo, jak długo Tom będzie trzymał się z dala od Teksasu oraz ich nieuczciwego sędziego.

O, Henry Ann, kocham cię. Nie mógłbym cię opuścić, jak nie mogę przestać oddychać. Nigdy nawet nie marzyłem, że mógłbym czuć coś takiego. Boże, jak to boli wiedzieć, że przeze mnie ludzie wytykają cię palcami. Modłę się, by miłość moja i Jaya zdołała ci to wynagrodzić.

Szeryf Watson przyglądał się ceremonii pogrzebowej z pewnego oddalenia. Niewesołe refleksje snuły mu się po głowie. Myślał o głupocie zgromadzonych wokół grobu gapiów. Co też trzeba mieć w głowie, żeby w taki upał z pustej ciekawości przylecieć aż na cmentarz? I to po co? Tylko po to, żeby na własne oczy zobaczyć jak chowają zamordowaną kobietę. Ten jej brat też pokazał co jest wart, nie przychodząc na cmentarz. Nawet ślepiec zauważyłby tę jego limuzynę ukrytą w krzakach.

Zeszłej nocy szeryf Watson uciął sobie dłuższą pogawędkę ze starym przyjacielem, mecenasem Phillipsem. Spotkali się w domu Phillipa i sporo czasu przegadali nad całkiem okazałym kawałkiem ciasta orzechowego, jakie przygotowała pani Phillips. Mecenas opowiedział mu historię Gran-ta Gifforda. Młody prawnik zdążył zrobić na szeryfie ogromne wrażenie. Skłonny był nawet przytaknąć Grantowi, kiedy ten przekonywał o niewinności Toma. Trudno było zaprzeczyć, że Tom Dolan nie miał jak ani kiedy zamordować żony i podpalić domu.

Phillips zainteresował się szczegółami testamentu Conroya seniora. Teraz gotów był

przyznać, że młody Conroy miał poważny motyw, aby zabić swoją siostrę. Dwa tysiące pięćset dolarów rocznie to bardzo poważny motyw. Słyszał o firmie Schellenberger & Schellenberger. Nie chciało mu się wierzyć, by któryś z zatrudnionych w niej prawników miał udział w krętaństwach Marty'ego Conroya. Było dla niego oczywiste, że Marty na własną rękę próbował odebrać syna Tomowi.

Szeryf zaczekał aż cmentarz opuścili ostatni uczestnicy pogrzebu. Potem wsiadł do samochodu i odjechał w kierunku Błotnistej Potoku.

Pete z daleka rozpoznał samochód szeryfa stojący na podwórzu. Nie był zdziwiony tą wizytą. Orlan Nelson wpadł zeszłego wieczora, aby uprzedzić, że nazajutrz szeryf zamierza przesłuchać Pete'a. Hardy Perry opłacał Orlana już prawie rok. Dzięki temu mógł spać spokojnie: wiedział, że nikt nie będzie mu przeszkadzał w interesach.

Pete wracał właśnie z gospodarstwa Hastingsów. Zaskoczyło go to, co tam zastał. Całe domostwo opustoszało. Ani śladu Opal, dziecka, czy choćby starego. Zniknęły nawet kury, krowa i pies. To nagłe zniknięcie zastanowiło go. Postanowił, że jeśli okaże się, że ktoś ich wystraszył, z nim będzie miał do czynienia.

Pete zdjął siodło i starannie wytarł konia, po czym odprowadził go do zagrody. Zanim ruszył do domu, nabrał jeszcze wiadro wody ze studni i postawił za ogrodzeniem. Szeryf siedział na werandzie w towarzystwie Hardy'ego i Jude'a.

- Witam, szeryfie.
- Witaj, Pete.
- Co pana sprowadza?
- Myślę, że dobrze wiesz.
- Tak, wiem. Złe wieści szybko się roznoszą. Fatalna historia z tą żoną Dolana - mówiąc to Pete zdjął kapelusz, z wiadra stojącego na werandzie nabrał kubkiem wody i wylał ją sobie na głowę. - Umarła w okropny sposób.
- Twój mówią, że tamtej nocy mieliście tu przyjęcie.
- Bardziej to była stypa niż przyjęcie.
- Słyszałem też, że byłeś naprawdę wściekły, że cię wyrzucono z maratonu.
- Rzeczywiście, byłem wściekły. Też byłby pan wściekły, gdyby planował pan coś miesiącami, a potem został zdyskwalifikowany przed upływem godziny.
- Podobno wygrażałeś, że odpłacisz panie Henry pięknym za nadobne. Musiałeś pewnie myśleć, że to ona doniosła, że twoja partnerka nie ma jeszcze osiemnastu lat.

- To prawda, szeryfie. Jak się wściekam, wygaduję różne głupstwa. Może pan zapytać Hardy'ego.

- Już to zrobiłem.

- No to sprawa załatwiona.

- Niezupełnie. Tego wieczora, kiedy zabrałem Isabel, ta mała powiedziała mi, że miałaś zamiar wyrównać rachunki z Tomem Dolanem. Za to, że kręci się przy pannie Henry'. Twierdziłaś ponoć, że żonaty mężczyzna nie ma prawa mącić w głowie takiej kobiecie jak Henry Ann, a choćby dlatego, że jest jeszcze dziewicą.

- Bardzo możliwe, nie przeczę. Mogłem powiedzieć coś takiego. Jest żonaty, więc nie powinien był zawracać głowy Henry Ann i narażać jej na utratę dobrego imienia.

- Jakbyś sam nigdy nie zawracał głowy mężatkom - skomentował chłodno szeryf.

- Nie takim, które cieszyłyby się dobrą sławą. W każdym razie nie takim, które same by nie chciały, żebym trochę po-zawracał im głowę - Pete wyszczerzył zęby.

- Czemu pyta pan Pete'a o te wszystkie rzeczy? - Hardy obserwował szeryfa cały czas. Obawiał się, że ten ma w zanadrzu coś bardzo nieprzyjemnego.

- Moja praca polega na zadawaniu pytań. Gdzie byłeś tamtej nocy, Pete?

- Tutaj. Na stypie - uśmiechnął się znowu.

- Całą noc?

- Tak myślę. Byłem pijany jak stodoła.

- Niektórzy z twoich krewniaków mówią, że jak się ściemniło, osiodłałeś konia i gdzieś zniknąłeś.

- Kto tak mówił? - głos Hardy'ego zagrzmiał tak głośno, że psy zaczęły ujadać. - Kto do wszystkich diabłów śmie gadać, że Pete'a tu nie było?

- Parę osób. Nie wiedzieli, czemu pytam o to wszystko.

- Więc ja mówię, że cały czas był tutaj. Do diabła! Był tutaj! Prawda, Jude?

- Nie wiem, Hardy. To mnie tu nie było. Wróciłem dopiero o północy. Do tego czasu wszyscy sobie poszli.

- Gdzie byłeś? - szeryf obrócił wzrok na Jude'a, który siedział na skraju werandy, strugając kij.

- Pojechałem do pani Powell. Razem z panem Powellem udzielają mi korepetycji. Chcę zdać egzamin do college'u.

- To łatwo będzie sprawdzić. Wracając do ciebie, Pete. Dokąd pojechałeś?

- Na farmę Hastingsa.

- Kogo tam zastałeś?
- Starego. Opal wyjechała gdzieś z Chrisem Austinem.
- Wiesz, gdzie pojechali? -Nie.
- Pojechali do Wichita Falls. Wzięli ślub.

Pete milczał przez parę sekund. Potem jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- Czy to nie piękne? Kto by pomyślał, że będzie miał dość oleju w głowie, no i że starczy mu jaj, żeby poślubić Opal! To dlatego ich dom sprawia wrażenie opustoszałego. Wzięli ślub, wyjechali znad Błotnistego Potoku i zabrali ze sobą starego.

- Cóż to, czyżby nie była jedną z twoich kobiet?
- Nie powiem, że nie próbowałem - Pete znowu się uśmiechnął.
- Wszyscy myślą, że to twoje dziecko.
- Nie moje. Przysięgała, że nie wie, kto ją zgwałcił. Myślę, że to musiał być

któryś z Perrych. Gdyby tylko powiedziała który, sam bym go zabił. Ona wie o tym najlepiej.

Pete wyciągnął grzebień z kieszeni na piersi i przeciągnął nim po mokrych włosach.

- Niewiele widziałem różowych grzebieni - zauważył szeryf Watson, kiedy Pete włożył go z powrotem do kieszonki. - Właściwie nie widziałem żadnego innego.

- Ja też nigdy takiego nie widziałem. Przeważnie robią czarne. - Pete ponownie wyjął grzebień. - Ma wszystkie zęby.

- Skąd go masz?

- Znalazłem go na ganku od podwórza. Pewnie ktoś z rodziny zgubił go tamtej nocy - zaśmiał się. - Na pewno będzie próbował odzyskać takie cacko.

Szeryf wstał powoli. Jedną ręką wyciągnął pistolet, drugą kajdanki.

- Jesteś aresztowany, Pete. Odwróć się.
- Co u diabła... - Hardy zszedł z werandy.
- Cofnij się, Hardy.

- Pete powiedział przecież, że był zobaczyć starego Hastingsa. Możesz go odnaleźć i spytać...

- Hastings wyjechał. Jego dom jest zamknięty na cztery spusty. Byłem tam, zanim tu przyjechałem.

- Dobry Boże, człowieku. Znajdźże go! - Pete spojrzał na szeryfa przez ramię. - Aresztujesz mnie, bo stary Hastings wyjechał, więc nie mogę udowodnić, że u niego byłem?

- Nie. Aresztuję cię, bo masz w kieszeni grzebień pani Dolan. Zostawiła go w swojej kryjówce nad potokiem, gdzie ją zamordowano.

- Znalazłem go, na Boga! Znalazłem go z tyłu, na ganku.

- Do diabła! - wykrzyknął Hardy. - Połowa ludzi znad Błotnistego Potoku wiedziała o jej kryjówce. Była zupełnie pomyłona.

- Może i tak, ale to jeszcze nie powód, żeby ją zabijać. - Szeryf zatrzasnął kajdanki na nadgarstkach Pete'a.

- Nigdy nie posunąłem tej kobiety. Jeszcze nie muszę zadawać się z pomyłonymi - powiedział z naciskiem Pete.

- Kuzyn Wally chwalił się, że się do niej dobrał - przypomniał sobie Hardy. - Mówił, że go zachęcała. Więcej niż zachęcała: błagała o to.

- W tej chwili interesuje mnie Pete. To on ma grzebień. Lepiej rusz się, Hardy, i sprzedaj trochę księżycówki. Pete'owi potrzebny jest adwokat.

Jude i Hardy stali na podwórzu patrząc, jak szeryf odprowadza Pete'a do samochodu.

- Zajmij się moim koniem, Jude - krzyknął Pete.

- Nie martw się o niego! - Chłopak i mężczyzna stali jak wryci, obaj tak samo bezradni wobec zdecydowania szeryfa. Przyglądali się, jak samochód wykręca z podwórza i znika zostawiając za sobą tumany kurzu.

- Hardy, on tego nie zrobił - powiedział Jude drżącym głosem. - Pete lubi się przechwalać, to prawda. Plecie różne rzeczy o kobietach, ale nikogo by nie zabił. On tylko chciał być kimś więcej, niż jest.

- To kim jest całkiem wystarczy - odparł gniewnie Hardy. - Nie ma kobiety nad Błotnistym Potokiem, która by mu odmówiła.

- Nie powtarzaj tego jak nakręcony. Opal Hastings mu odmówiła. Pete nie chce, żeby ktokolwiek o tym wiedział, ale on kocha się w Henry Ann Henry.

- Przecież ona ma go za nic! Niech ją szlag! Jestem pewien, że Pete nie zabił tej kobiety. Gdybym dowiedział się, kto to zrobił.... kto tak podle zrzucił winę na Pete'a, gołymi rękami kark bym skręcił draniowi!

- Zabicie kogoś innego nie pomoże Pete'owi. Daj mi pomyśleć, Hardy. Ty też się zastanów. Spróbuj przypomnieć sobie czy ktoś jeszcze przechwalał się, że się dobierze do żony Dolana. Ktoś podłożył na ganku jej grzebień, żeby wyglądało, że to Pete albo któryś z nas. Nie pamiętasz dokładnie kto się tu kręcił tamtej nocy?

- Kurde, zabij, ale nie pamiętam.

- Jeśli mamy pomóc Pete'owi, lepiej sobie przypomnij. Hardy spojrzał na swego młodszego syna z szacunkiem.

- Ile ty masz lat, Jude?

- Osiemnaście.

- Nie zauważyłem, kiedy stałeś się mężczyzną.

- Nikt palcem nie kiwnie, żeby pomóc Perry'emu. Sami musimy dać szeryfowi dobry powód, żeby zaczął wąpić, że to Pete ją zabił.

Po odwiezieniu Karen Grant wrócił z nowiną, że szeryf aresztował Pete'a Perry'ego za zabójstwo Emmy-Jean Dolan.

- No no - pokręciła głową Henry Ann. - Szeryf musiał mieć jakiś powód, żeby go aresztować. Ale nie wierzę, żeby Pete to zrobił.

- Ojciec Pete'a przyszedł porozmawiać z mecenasem Phillipsem. Próbował namówić go na obronę Pete'a. Mecenas Phillips długo musiał mu tłumaczyć, że do tej sprawy powiat powołał go na oskarżyciela. Facet gotów był przyłożyć Phillipsowi i pewnie by to zrobił, gdyby nie chłopak, który z nim przyszedł. Skończyło się na tym, że chcieli wiedzieć, kto poza Phillipsem jest najlepszym prawnikiem w powiecie.

- To musiał być Jude, młodszy brat. Pete'a - wyjaśnił John-ny. - Jest naprawdę niegłupi i chce pójść do college'u. Pete czasami traktuje go jak śmiecia, ale myślę, że jest z niego dumny.

Tuż po zmroku, jak tylko pojawiły się robaczki świętojańskie, Henry Ann złapała jednego i włożyła do słoika. Chciała, żeby Jay mógł go obejrzeć. Z malcem na kolanach siedziała na fotelu bujanym, Tom przysiadł na schodach, Grant i Johnny usadowili się na krzesłach. Wszyscy pograżyli się we własnych myślach.

Ciotka Dozie została w saloniku, gdzie słuchała radia. Henry Ann słyszała, jak co jakiś czas wybucha śmiechem. Był to miły dźwięk, zaskakujący swą normalnością po tych kilku ostatnich dniach pełnych potwornego napięcia.

Czekała niecierpliwie na chwilę, kiedy zostanie z Tomem sama. Miała nadzieję, że to nastąpi zanim uda się on na spoczynek do swojej stodoły. Johnny zaniósł mu tam świeżego siana i przygotował posłanie, ręczniki i mydło. Henry Ann podesłała mu też przybory do golenia po ojcu i niewielkie lusterko. Wiedziała, że Tom musi tam wrócić, żeby przypilnować zwierząt. Jego obecność odstraszy ewentualnych złodziejasków, którzy mogliby pomyśleć, że gospodarstwo jest opuszczone.

Ciotka Dozie wyłączyła radio. Henry Ann delikatnie potrząsnęła Jayem, który wtulił się w nią i drzemał oparty o jej ramię.

- Czas do łóżka, kochanie.

- Czy mogę zabrać mojego robaczka świętojańskiego?

- A może go wypuścimy, żeby fruwał z innymi? Jutro złapiemy drugiego.
- Branoc, robaczku - powiedział sennie Jay.

Henry Ann świadoma, że patrzy na nią Tom, zabrała słoik z rąk Jaya i przechyliła go tak, żeby żuczek mógł wyfrunąć w ciemność. Wzięła malca za rękę i weszli do domu.

Kiedy skończył się rytuał mycia i rozbierania, Tom wszedł do sypialni i zabrał syna na siusiu. Ustawił go na skraju ganku, żeby mały nie pobrudził nóg. Kiedy wrócił z malcem do sypialni, popatrzył Henry Ann prosto w oczy. Pod jej spojrzeniem dreszcz przeszedł po całym jego ciele.

- Dobranoc, kochanie - Henry Ann nachyliła się, aby pocałować malca w policzek.

- Branoc, mamó. Branoc, tato.
- Do jutra, synu.

Henry Ann wstrzymała oddech i spojrzała szybko na Toma. Jedną dłonią wzięła ją za rękę, drugą sięgnęła do żarówki, by zgasić światło. W całym domu było ciemno, jeśli nie liczyć światła sączącego się spod drzwi pokoju Ciotki Dozie. Poprowadził Henry Ann na opustoszałą już werandę i mocno przytulił.

- Ach, kochana. Najśłodsza - westchnął i pocałował ją czule.
- Tom! - Henry Ann odsunęła się nieco. - Powiedziałam Jayowi, żeby nazywał mnie Henry Ann. Nie zachęcałam go, żeby nazywał mnie... w ten sposób.
- Przeszkadza ci to, kochana? On potrzebuje mamy. Nigdy jej tak naprawdę nie miał.
- Uwielbiam to. Zawsze chciałam mieć dzieci i miałam nadzieję, że będę ich mieć więcej niż jedno. Czułam się samotna, dorastając jako jedynaczka. Ale nie chcę zajmować miejsca jego matki. Chcę mieć własne miejsce w jego sercu.
- Kochanie, ona nie miała żadnego miejsca. Jesteś jedyną mamą, jaką Jay zna.
- Czasami czuję się tak, jakby był moim dzieckiem. Bardzo go kocham. Trudno by mi było pogodzić się z jego utratą.
- Nie stracisz go. Grant mnie o tym zapewnił.
- Zaskoczyło mnie, że jest prawnikiem.
- O Grancie możemy porozmawiać później - Tom wzięła ją znowu w ramiona i pocałował.
- Kochasz mnie? Naprawdę mnie kochasz? - szeptał dotykając ustami jej ust.
- Tak, tak i jeszcze raz tak.
- Jedź ze mną.

"Wyprowadził ją na podwórze, gdzie zostawił samochód. Kiedy wsiadła, obszedł wóz dookoła i wślizgnął się za kierownicę. Wycofał na drogę. Przy blasku księżycy światła nie były potrzebne. Jechał powoli, ramieniem obejmując Henry Ann. Nie padło żadne słowo. Cieszyli się, że są tak blisko siebie. Oparła głowę na jego ramieniu. Pocałował ją w czoło.

Dotarli do farmy Dolana. Tom wjechał na podwórze, wyłączył silnik i obiema rękami objął Henry' Ann. Kiedy ją całował, ona głaskała go po szyi.

- Większość ludzi by tego nie zrozumiała, ale ja nigdy nie czułem się mężem Emmy-Jean. Współczułem jej i zostałem z nią, bo była matką Jaya. Tak naprawdę, w głębi serca, czuję się twoim mężem, ukochana.

- Czy dlatego, że nie wzięliście ślubu w kościele katolickim?

- Nie w tym rzecz. Ale kiedy przyjdzie pora na nasz ślub, ceremonia odbędzie się w obu kościołach. Mam nadzieję, że się na to zgodzisz. Nigdy nie poproszę cię, abys dla mnie zrezygnowała ze swojej religii.

- Ja też nie będę nalegała. - Wszystkimi jej zmysłami zawładnęła jego obecność. Jego usta muskały delikatnie jej policzek, czuła wyraźnie zapach dymu w jego włosach.

Odwrócił jej twarz ku swojej. W ciemnościach nie mogła widzieć jego oczu, ale czuła, że wpatruje się w nią intensywnie. Dotknęła dłonią jego twarzy. Cała jej miłość, tęsknota i ciepło były w tym dotyku.

- Kocham cię tak bardzo. - Mówiąc to czuła, jak jej ciało znów zaczyna delikatnie drżeć.

- To właśnie pragnąłem usłyszeć, kochana. - Całował jej oczy, policzki, usta. - Czułem się winny za tamtą noc. Twój pierwszy raz powinien się zdarzyć w miękkim łóżku, gdzie nie musielibyśmy się spieszyć, gdzie mógłbym cię kochać długo, długo.

- Cicho, kochany. - Położyła palec na jego ustach. - Ta krótka chwila, którą spędziliśmy razem, była doskonała.

- Nie żałujesz, że nie zaczekaliśmy?

- Nie. Przykro mi tylko, że kiedy my... kiedy myśmy...

- Wiem. Będę dźwigał tę winę do końca życia.

Milczeli przez dłuższą chwilę trzymając się w objęciach, szczęśliwi, że są razem. Dopiero po serii długich namiętnych pocałunków Tom przerwał milczenie.

- Niewiele ci mogę zaoferować, kochana. Ale któregoś dnia to się zmieni. Będę pracował na tej farmie, postawię tu warsztat samochodowy. Mam wreszcie po co robić to wszystko. Nie będę szczędził sił. Chcę, żebyśmy we trójkę: ty, Jay i ja, zamieszkali we własnym domu.

- Jak długo mam czekać?
- Nie jestem pewien. Postaram się, żeby nie za długo.
- Po co czekać? Mój dom mógłby być naszym domem... Twoim i moim, Jaya i

Johnny'ego.

Cofnął się nieco.

- Nie mogę się zgodzić, aby ludzie myśleli, że poślubiłem cię dla twojego majątku. Chcę, żeby wiedzieli, że kocham cię całym sercem.

- Nie dbam o to, co ludzie pomyślą. - Odchyliła się, żeby mu się przyjrzeć. - Czy pozwolimy, żeby rzeczy nas rozdzielały? To niesprawiedliwe, że każesz mi czekać, aż uzbierasz tyle, ile ja mam. Chcę, żeby to, co ja posiadam, było nasze wspólne.

- Nie bardzo mam czym się z tobą dzielić. Nawet rolnikiem jestem raczej marnym.

- Dla mnie mógłbyś być nawet zwykłym włóczęgą. A masz przecież ziemię, którą możemy połączyć z moją. Wtedy to będzie nasze. Potrafisz naprawiać różne rzeczy. Któregoś dnia Johnny odejdzie, by znaleźć własną drogę...

- Kochana, nie możemy snuć żadnych planów, dopóki nie wyjaśni się ta sprawa ze śmiercią Emmy-Jean. Nie mówmy teraz o tym. Teraz chcę trzymać cię w ramionach, całować i powtarzać, ile to dla mnie znaczy, że mnie kochasz. Dałaś mi najcenniejszy dar, jaki może dać kobieta... - jego głos był przyciszony, lekko schrypnięty. Jego usta pokrywały jej usta długimi, wilgotnymi pocałunkami. Zabandażowana dłoń powędrowała w okolice piersi. - Chcę znowu całą cię dotykać, całować, chcę pieścić każdy fragment twojego ciała - szeptał.

Henry Ann wydało się, że nie są już dwojgiem osobnych ludzi, lecz za sprawą jakiejś czarodziejskiej różdżki złączyli się w jedno. Wsunęła dłoń pod jego koszulę i przeciągnęła paznokciami po owłosionej piersi.

- Lubię cię dotykać - szepnęła.

- Ja też to lubię. O Boże, jak ja to lubię. - A potem, kiedy jej dłoń kontynuowała pieśczętę, dodał: - Lepiej przestań, kochana. Mogę nie wytrzymać, mogę wziąć cię jak tu siedzimy.

- Czy to byłoby takie złe?

- Następny raz będzie dopiero, kiedy będziemy już mężem i żoną. To musi być doskonale. Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Lepiej zabiorę cię do domu, nim stracę panowanie nad sobą. Cofnął ramię, którym ją obejmował. Uruchomił silnik. - Poczekaj dziewczyno, jeszcze się policzymy za to, coś mi dzisiaj zrobiła.

- A cóż takiego zrobiłam? Słyszałam to i owo o motylkach i pszczołkach -

przekomarzała się z nim.

Dotknął ręką uda, aby przesunąć twardy kształt między nogami.

- Motylek ani pszczołka nie ma... tego.
- Muszą mieć, bo inaczej nie byłoby małych pszczołek ani motylków.
- Nie muszą jednak wylewać sobie wiadra wody ze studni na głowę, żeby ochłonić przed zaśnięciem.

- Masz zamiar to zrobić?

- Niewiele to pomoże. Byłem w tym stanie co noc, od kiedy cię poznałem.

- Biedny Tom. Wiem jak położyć kres tej... męce. - Jej szept był cichy i uwodzicielski.

Tom nacisnął hamulec i zatrzymał samochód na środku drogi.

- Chodź tu, kobieto. Musisz się nauczyć, że takie zaczepki nie ujdą ci na sucho. -
Całował ją długo, bardzo długo.

25

Johnny usłyszał, jak Tom odjeżdża. Wiedział, że Henry Ann jest z nim. Zszedł ze stryszku i wyszedł tylnymi drzwiami na podwórze.

- Pst! Pst!

Johnny skulił się i spojrzał za siebie w ciemność.

- Johnny! To ja, Jude. - Chłopak wyszedł zza krzaków zasłaniających wychodek, - Właśnie miałem zamiar zapukać do drzwi. Dzięki Bogu, że wyszedłeś.

- Jude! Jezu! Ale mnie wystraszyłeś. Jak się tu dostałeś?

- Na koniu Pete'a. Potrzebuję twojej pomocy, Johnny. Nie wierzysz chyba, że to Pete zabił tę kobietę, co?

- Nie sądzę, żeby to był Pete. Ale też nie jestem szeryfem.

- Znalazł grzebień pani Dolan na naszej werandzie. Muszę dowiedzieć się, kto ją zabił, bo gotowi są powiesić Pete'a tylko dlatego, że nazywa się Perry.

- Szeryf to porządny facet. Nie mogę tego powiedzieć o jego zastępcy.

Jude prychnął z niesmakiem.

- Hardy opłaca Orlana, żeby przymknął oko na interes z bimbrem. Pete nie jest niewiniątkiem, ale nie zabiłby kobiety.

- Nie bardzo wiem, jak mogę ci pomóc, Jude.
- Czy ta kobieta miała coś jeszcze w tym swoim gniazdku nad potokiem? Miała tam może lusterko i długi sznur koralu z zielonych szkiełek?
- Tak. Tom mówił szeryfowi o tych rzeczach. Poza tym jakieś wstążki i podwiązki. A, mówił też, że miała niebieski flakonik perfum.
- A co z majtkami?
- Majtki? Nie słyszałem nic o majtkach.
- No dobra. Dzięki, Johnny.
- Jude! Zaczekaj! Co wiesz o tych rzeczach?
- Chciałem tylko wiedzieć, czy nad potok zabrała coś jeszcze oprócz różowego grzebienia. Muszę wracać do Hardy'ego. Zamartwia się o Pete'a. Trzymaj się, Johnny.

Jude zniknął w ciemnościach. Chwilę później Johnny usłyszał tętent kopyt. Stał bez ruchu dopóki nie ucichły. Potem poszedł do wychodka.

Już wkrótce po całym mieście rozniosła się wieść, że córka wielbnego Wessona ma zamiar zostać żoną włóczęgi. Tego samego, który pracuje na gospodarstwie Henrych. Wściekłość pomieszana z pogardą i rozczarowaniem, której wyraz dawały panie z kółka kościelnego, zniknęła bez śladu, gdy okazało się, że włóczęga jest nie tylko znanym, ale nawet sławnym prawnikiem.

Wysuwano rozmaite przypuszczenia co do okoliczności, które sprawiły, że musiał najmować się jako parobek. Ktoś podobno słyszał z pewnego źródła, że Grant czasowo utracił pamięć. Inni powiadali, że zbierał materiały do jakiejś książki.

Karen znowu stała się ulubienicą kongregacji. Panny i wdowy nachodziły ją, oferując pomoc w przygotowaniach do zamążpójścia.

Z Henry Ann los nie obszedł się równie łaskawie: nadal była przedmiotem złośliwych plotek z lubością rozpuszczanych przez panie Austin i Miller. Tak więc to była wyłącznie jej wina, że Chris Austin uciekł z tą dziwką znad Błotnistej Potoku. I to przez nią biedna pani Dolan postradała zmysły. Bo przecież żadna wrażliwa kobieta nie zachowa zdrowych zmysłów, kiedy mąż zabiera jej dziecko i oddaje innej kobiecie, z którą następnie zaczyna romansować. Marty Conroy bez trudu znalazł takich, co choćby z nudów gotowi byli zgodzić się z nim w ocenie byłego szwagra i kobiety, która ukradła męża jego siostrze.

Ciężkie czasy i całkowity brak nadziei na to, by wkrótce miało się coś zmienić, zjednoczył} społeczność Red Rock. Henry Ann wiedziała doskonale, że nic tak skutecznie nie jednoczy ludzi, jak możliwość wspólnego wystąpienia przeciwko komuś. Obecnie wszyscy byli przeciwko niej i Tomowi Dolanowi.

Po kilku dniach skończyły się rozmowy na temat Pete'a Perry'ego. Bądź co bądź siedział w areszcie. Maraton dobiegał właśnie końca. Na parkiecie pozostały tylko trzy pary. Pojawiły się plotki, że nagroda zostanie wypłacona w ratach, bo nie zebrano dość pieniędzy za bilety.

Szczęście, jakie Henry Ann znalazła z Tomem, pozwalało jej przetrwać trudne chwile. Jak dawniej jeździła do miasta, chodziła do kościoła. Udawała, że nic sobie nie robi z faktu, że jej dawni znajomi tak ostentacyjnie zdają się jej nie zauważać. Trudno jej było to znosić, choć wiedziała, że wszystko pójdzie w zapomnienie, jak tylko znajdzie się nowy temat do plotek.

Grant nawiązał kontakt z adwokatami rodziny Conroyów i otrzymał od nich kopię testamentu Martina Conroya. Spadek Emmy-Jean przechodził na Jaya i w jego imieniu miał nim zarządzać fundusz powierniczy. Nieetyczna próba przejęcia przez Marty'ego opieki nad Jayem spowodowała, że pozbawiono go przywileju zarządzania funduszem Jaya. Bardzo to odpowiadało Tomowi. Sam nie chciał ani grosza z tych pieniędzy.

Minęło parę tygodni. Szeryf od czasu do czasu wpadał na farmę. Wszystko wskazywało na to, że zaniechał szukania podejrzanych. Sprawiał wrażenie, jakby był całkowicie pewien, że morderca siedzi już w areszcie.

Od trzech dni wiał silny gorący wiatr z zachodu. Mocne podmuchy unosiły tumany kurzu nad całą okolicą. Wszystkie okna w domu Henrych zostały szczelnie zamknięte. W środku zrobiło się więc gorąco i duszno. Na parapetach od zachodniej strony Ciotka Dozie ułożyła mokre szmaty, żeby wyłapywały kurz. Weranda pokryta była grubą warstwą rudego pyłu.

Szeryf Watson pojawił się tuż przed południem. Akurat trafił na posiłek, więc zaproszono go do stołu. W kuchni zastał Toma i Johnny'ego. Granta nie było na farmie od paru już dni. Wyjechał do Tulsy, aby zobaczyć się z matką i siostrą. Chciał im powiedzieć, że zamierza poślubić Karen Wesson.

Posiłek okazał się dokładnie tak smaczny, jak się tego szeryf spodziewał. Poprosił więc o dodatkową porcję placka ze słodkich kartofli. Wychwalał przy tym gospodynie pod niebiosa. Dopiero potem, niejako mimochodem, powiedział:

- Pomyślałem sobie, że wpadnę dowiedzieć się, czy nie ma przypadkiem jakichś nowych wieści.

- Myśli pan o czymś, co dodatkowo potwierdziłoby, że Pete jest mordercą? -

zapytał Johnny.

- Myślę o każdej dodatkowej informacji. Myślałem, że może Dolan znalazł jeszcze coś w domu.

- Grzebałem trochę w popiołach i znalazłem parę rzeczy. Sprzączkę pasa mojego dziadka z Wojny Secesyjnej i żelazny rondel. Myślę, że ktoś zapalił lampę naftową, którą zostawiłem na werandzie i wrzucił do domu. To by wyjaśniało, dlaczego dom zajął się od frontu.

- Brzmi logicznie.

- Emma-Jean wyszłaby tylnymi drzwiami... gdyby to ona miała podpalić dom, podpaliłaby od tyłu. Pete Perry, o ile to on podłożył ogień, nie wysilił się za bardzo.

- Moim zdaniem Pete zadbałby, żeby dom szybciej się zajął.

- Myślisz, że to nie on? Cóż, jeśli chodzi o mnie, mogę wnioskować jedynie na podstawie poszlak. A te, jak na razie, jednoznacznie wskazują na niego.

Jeszcze przed południem wiatr zaczął cichnąć. Zanim wstali od stołu, ucichł zupełnie. W powietrzu nadal unosił się jednak rudawy pył. Ciotka Dozie zaczęła powoli otwierać okna i wycierać kurz naniesiony przez wiatr. Pozostali zgromadzili się na werandzie, aby pożegnać szeryfa.

- Wyznaczono już termin rozprawy? - zapytała Henry Ann.

- Za pięć tygodni. Sędzia Foster nie lubi zwlekać. Phillips przygotowuje akt oskarżenia przeciwko Pete'owi. Zostaniesz wezwany na świadka, Dolan. Prawdopodobnie ty też, Johnny.

- W tej sprawie nie mam nic do powiedzenia przeciwko Pete'owi - uprzedził szybko Johnny.

- Nikt nie będzie cię nakłaniał, abyś zeznawał przeciwko niemu. Powiesz tylko, co wiesz.

- A co się stanie, jeśli się nie pojawię?

- Pójdiesz do więzienia.

Szeryf szedł właśnie przez podwórze, kiedy drogą nadjechały dwa zdezelowane i zardzewiałe samochody bez dachów. Jeden nie miał przedniego błotnika, drugiemu brakowało drzwi. Oba minęły farmę Henry Ann. Nieopodal zahamowały jednak i zawróciły.

- A to kto, na Boga? - wykrzyknęła Henry Ann.

- Chyba cały Błotnisty Potok tu zajechał - rzucił Johnny. - No, może połowa...

Pierwszy samochód zaparkował tuż za wozem szeryfa, blokując mu wyjazd.

- Szeryfie! - zawołał Jude Perry. - Jechaliśmy właśnie do pana!

Tom, Henry Ann i Johnny wyszli na podwórze, przyglądając się pasażerom samochodów. Szeryf zbliżał się do samochodu, kiedy Hardy Perry wstał.

- Oto ten, który zabił tę kobietę. Musi pan wypuścić Pete'a.

- Co u wszystkich diabłów... - Szeryf spojrział na Grubasa Perry'ego, związanego jak wieprzek prowadzony na ubój. Wcisnęli go między przednie i tylne siedzenia. Starsza kobieta siedząca z przodu zaczęła lamentować.

- Grubas to zrobił. Mamy dowód, szeryfie - Jude był spokojniejszy niż jego ojciec. Wskazał na kobietę w samochodzie. Za kierownicą siedział kuzyn Wally. Oboje wysiedli. - Dał lustro Sudie Howell, to cioteczna siostra kuzyna Wally'ego. - Sudie kiwała potakująco głową.

- Kokardy podarował Betty Joy, a szklane korale dał Peggy. Wszystkie tak obdarował za obietnicę, że się z nim zabawią. Żadna tego jeszcze nie zrobiła, prócz Peggy. Powiedziała, że zawiązała mu wstążkę wokół jaj i fiuta. Co pan na to, szeryfie? Słyszał pan o czymś takim? Aż chce się rzygać.

- Najważniejsze, że się przyznał! - zagrmiał gniewnie Hardy. - Gotów był pozwolić, żeby skazano Pete'a.

- Z tego, jak wygląda - powiedział szeryf, przyglądając się opuchniętej twarzy Grubego i jego pękniętej wardze -ktoś mocno go namawiał, żeby się przyznał.

- Pewnie że tak. Ma szczęście, że go nie zabiłem. Podłożył grzebień na ganku, żeby zwalić winę na Pete'a.

- Któregoś dnia przyszedł taki pachnący jak ogród różany! Aż ciekaw byłem, skąd wytrzasnął te perfumy. - Jude wyjął niebieski flakon i parę majtek z kieszeni. Podał je szeryfowi. -Poszedłem za nim. Wszedł do szopy. Widziałem, jak wyjmuje parę kobiecych majtek, wacha je i pociera nimi twarz. Potem ukrył je razem z tym flakonem. Jak tylko dowiedziałem się, że inne rzeczy rozdał dziewczynom, zabrałem to z szopy.

- Dobry z ciebie detektyw, Jude.

- Wiem, że Pete tego nie zrobił.

- Dobra, Hardy, zabieraj stąd tego tłustego pierdziucha.

- Oooo, mój chłopiec! Mój biedny chłopiec!

- Kto to?

- Matka Grubego. Uważa, że go krzywdzimy.

- Od czego ma się matkę.

Hardy wywlókł Grubego z samochodu i pchnął na ziemię. Jego stopy były związane. Podobnie ręce. Do ust wetknięto mu szmatę. Szeryf wyjął szmatę z ust Grubego i pomógł mu

wstać. Tuścioch zaczął płakać.

- Co masz do powiedzenia, Gruby?
- Zmuszali mnie, żebym mówił, że to ja.
- Ale zabiłeś tę kobietę? - Ja... ja...

Tom uczynił krok i wyjął z kieszeni Grubego miszek z tytoniem i bibułki.

- Niedopałki, które tam znalazłem, były z takich właśnie bibulek i tego gatunku tytoniu. To ty zabrałeś ją do tej budy na ziemi Austinów, prawda? Zgwałciłeś ją wtedy i uderzyłeś. Żałuję, że Hardy nie zatłukł cię na śmierć. Należałoby ci się za wykorzystanie chorej umysłowo kobiety.

- Wcale jej nie zgwałciłem! Prosiła, żebym to zrobił! Sama podciągnęła sukienkę i rozchyliła nogi.

- Była chora na głowę, ty sukinsynu!

- Nie chciałem jej skrzywdzić. Każdy z Błotnistej Potoki miał kobietę, a ja nie. Żadna mnie nie chciała. Jak prosiłem, to tylko śmiały się ze mnie - mówiąc to Gruby zaczął łkać. - Była ładniejsza od wszystkich kobiet, jakie tamci kiedykolwiek będą mieli! No, może oprócz Pete'a. Nie chciałem zrobić jej krzywdy - powtórzył. - Krzyczała i krzyczała. Prosiłem, żeby się uciszyła, ale ona nie chciała... to sam musiałem ją uciszyć.

- Powinienem cię zabić!

- To już nie twoja powinność, Dolan.

- Ale po co spaliłeś dom? Bo nie chciała z tobą iść?

- Nie spaliłem żadnego domu! Przysięgam. Zaczekałem, żeby wyszła. Zawsze w nocy tak robiła. I poszedłem za nią. Myślałem, że idzie spotkać się z facetem w tym szykownym aucie...

- Jakim szykownym aucie?

- Tym zaparkowanym w lesie Austinów. Ale nic poszła tam. Poszła nad potok, tam gdzie zawsze.

- Chryste! Myśli pan, że Marty Conroy próbował spalić mnie i Emmę-Jean? Cholerna kanalia! Jeśli dowiem się, że to on podpalił dom, zapamięta mnie do końca życia!

- Uspokój się, Dolan. Nie mamy żadnych dowodów.

- Mógłbym je z niego wytłuc.

- Co by to dało? Hardy, rozwiąż Grubemu nogi i pomóż mi wsadzić go do samochodu. Za duży jest, żeby go nieść. A wy jedźcie za mną. Będziecie musieli przekonać sędziego Fostera, że to Gruby zabił panią Dolan. Dopiero wtedy wypuści Pete'a.

- Chce pan, szeryfie, żebym pojechał z panem i miał na oku tę kupę gówna?

- Dobry pomysł, Hardy. Wsiadaj. Jude się uśmiechał.
- Mówiłem ci, Johnny, że to nie Pete.
- Dobrze się spisałeś, Jude. Naprawdę dobrze.

- Ale to Hardy zmusił Grubego, żeby się przyznał. Boże, ależ był wściekły. Gdyby nie to, że musiał oddać go szeryfowi, żeby wydostać Pete'a, skopałby go na śmierć. Uwielbia Pete'a - Jude wzruszył ramionami. - Nie dziwota. Ludzie mówią, że Pete jest kubek w kubek taki sam jak Hardy w jego wieku.

Był późny wieczór. Jay już spał, Ciotka Dozie słuchała radia, a Johnny wziął samochód i pojechał do miasta. Jedynym dźwiękiem było skrzypienie podłogi pod fotelem na biegunach.

- Czy w Nebrasce też wieje taki wiatr?
- Czasami - mruknął Tom. - Nie pamiętam jednak, żeby było tyle pyłu.

Na chwilę zapadło milczenie, potem Henry Ann powiedziała:

- Cieszę się, że to nie Pete zabił Emmę-Jean.
- Czemu? Zaczyna ci się podobać?
- Nie, głupi. Tylko ty mi się podobasz.
- Jestem zazdrosny o każdego mężczyznę, na którego spojrzysz. Przez moment nienawidziłem Granta za to, że tu był.

- Co ty! Chyba będę musiała kupić ci klapki na oczy, takie jak dla koni.

- Kocham cię - Tom przysunął się bliżej. - Kocham cię z każdym dniem coraz bardziej i będę cię kochał, jak już będziesz kołysała do snu nasze prawniki.

- Ale... już nie będę miała zębów.
- Będziesz piękna nawet bez zębów.

Zawsze gdy Henry Ann była z tym cudownym, podniecającym mężczyzną, traciła głowę.

- Tom, kiedy tak siedzimy sami w ciemnościach, świat zaczyna się kurczyć.

Zdaje się nie większy niż ty i ja razem. Jest tak cicho i spokojnie.

- Też coś takiego czuję. Z tobą czuję taki spokój, jakiego nie zaznałem od lat. Już nie jestem taki samotny.

Szczerść w jego głosie poruszyła ją znacznie bardziej, niż kiedykolwiek mogły uczynić to słowa. Pamiętała ból, jaki dostrzegła w jego oczach tego dnia, kiedy podwiózł ją i Isabel do domu. Nie odgadła wtedy, ile dobroci kryje się w tym człowieku o szorstkim głosie

i ciemnych, wypełnionych cierpieniem oczach.

Siedzieli teraz w zamyśleniu, w ciszy napawając się wzajemną bliskością.

- Nie chcę, żebyś tam wracał. - Odpięła guzik jego koszuli i wsunęła pod nią dłoń. Jego skóra była ciepła. Henry Ann wyczuwała drzenie jego ciała pod dotykiem. - Czemu nie przeniesiesz się tu z rzeczami?

- Złotko, ludzie i bez tego gadają.

- Co mnie to obchodzi. Niech gadają.

- Gdybyśmy mieli się stąd wynieść, nie miałyby to znaczenia.

- Bylibyśmy głupi, gdybyśmy chcieli zostawić wszystko, co mamy. Nie dostalibyśmy nawet połowy tego, co te gospodarstwa są warte.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Podoba mi się tu, ale nie chcę, żeby cię ludzie obgadywali.

- Jakie to ma znaczenie. Chcę tu żyć z tobą i Jayem. Chcę urodzić ci jeszcze kilkoro dzieci.

Tom pocałował ją, a jej się zdawało, że trwa to wieczność całą. Kiedy odchylił się, żeby na nią spojrzeć, w jego oczach dostrzegła uśmiech.

- A gdybyśmy tak wzięli ślub już jutro? Chcę spędzać z tobą i dni, i noce. Zmęczyły mnie już te długie, samotne noce. Kocham cię, kocham, kocham! Co nas może obchodzić, że ludzie pomyślą, że poślubiłem cię dla twojej farmy? My wiemy, że to nieprawda.

Henry Ann roześmiała się radośnie.

- Wnosisz znacznie więcej do tego związku niż ja. Wnosisz Jaya - najśłodszego, najcudowniejszego małego chłopca na świecie.

- Myślałem, że to ja jestem najśłodszym chłopcem na świecie.

- Ty jesteś najśłodszym dużym chłopcem.

- O Boże! Przeraza mnie myśl, że mogłem cię nigdy nie spotkać. - Po następnym tuzinie pocałunków powiedział: -Kocham cię! - Z jego gardła dobył się jęk żalu. - Pocałuj mnie jeszcze raz, Henry Ann Henry. Już jutro staniesz się Henry Ann Dolan!

Ciotka Dozie wyszła z pokoju po pudełko z tytoniem i zatrzymała się przy drzwiach, by popatrzeć przez chwilę na zakochaną parę szepczącą słodkie słówka.

Zaśmiała się cicho, aż brzuch zaczął jej podrygiwać pod nocną koszulą.

Pan Tom to mężczyzna z krwi i kości. Da mojej Henry Ann wiele miłości. Będą z tego dzieci, dzięki Bogu. Taką miałam nadzieję.

EPILOG

LATO 1934

Kiedy Franklin Roosevelt został wybrany na prezydenta, wśród mieszkańców Red Rock pojawiła się nadzieja na lepsze czasy. Zainicjowano rozmaite programy ożywienia gospodarki. Ich celem była stabilizacja cen, poprawa sytuacji przedsiębiorstw i polepszenie sytuacji w rolnictwie. W radiowym orędziu prezydent Roosevelt nakłaniał Amerykanów, by znów uwierzyli swoim bankom, uzbroili się w cierpliwość, popierali „New Deal” i nie porzucali nadziei.

Henry Ann i Tom Dolanowie byli w lepszej sytuacji niż większość ludzi w ich okolicy. Henry Ann nalegała, by ich połączone farmy nazwać RANCZEM DOLANA. W 1932 roku po raz czwarty z rzędu mieli bardzo złe zbiory bawełny. Tamtej jesieni, po zebraniu niewielkiego plonu, Tom i Johnny postanowili wysiać pola trawą pod wypas bydła. Okazało się, że Johnny Henry stanowczo woli wypasanie bydła od zbierania bawełny.

Johnny miał już dwadzieścia lat i myślał o zaciągnięciu się do marynarki. Pete Perry zrobił to zaraz po wyjściu z aresztu szeryfa Watsona. Jego listy rozbudziły apetyt Johnny'ego na dalekie podróże. Ku zdziwieniu wszystkich Pete znalazł w końcu miejsce, gdzie był szanowany za swoje zdolności, a nie piętnowany jako „egzemplarz hołoty znad Błotnistego Potoku”.

Po ślubie z Karen i otwarciu własnej praktyki adwokackiej w Oklahoma City, Grant zainteresował się losem Jude'a. Pomógł mu w rozpoczęciu studiów na Uniwersytecie Stanu Oklahoma. Po paru rozmowach z Grantem Jude postanowił, że zostanie prawnikiem.

Hardy Perry poślubił młodą dziewczynę z Ringling, która lubiła tańczyć i niewiele poza tym umiała. Zniesiono prohibicję, więc Hardy stracił najważniejsze źródło dochodów. Jakoś jednak wiązał koniec z końcem, choć nic nie wskazywało na to, by za bardzo się przemęczał.

Wszyscy byli szczerze zdziwieni na wieść, że Grubas Perry zmarł w areszcie szeryfa Watsona, zanim doszło do procesu. Jego śmierć oszczędziła klanowi Perrych przykrości zeznawania przeciwko niemu.

Wielkim wydarzeniem na Ranczo Dolana miało stać się w najbliższych dniach przyjście na świat pierwszego dziecka Dolanów. Tom wychodził z siebie. Nie ruszał się z domu na dłużej niż godzinę. Podobnie było z Johnnym. Zaczynał się sezon robienia weków. Tom na ochotnika zabrał się za mycie słoików. Johnny uparł się, że wykopie i umyje buraki.

- Hi, hi, hi - któregoś popołudnia śmiała się Ciotka Dozie." - Pomagają nam, bo masz wielki brzuch. Postaraj się, żeby tak było co roku o tej porze.

W nocy, leżąc już w łóżku, Henry Ann powtórzyła Tomowi słowa Ciotki Dozie.

- A co ty na to? - podniósł jej koszulę nocną, żeby pomasować jej plecy. - Nie wiem po co to nosisz. Tylko przeszkadza.

Uśmiechnęła się słysząc skargę, którą powtarzał już tyle razy.

- Powiedziałam, że jesienią nie wpuszczę cię do łóżka, żeby w lipcu nie chodzić z takim brzuchem.

- Naprawdę uważasz, że byłabyś w stanie powstrzymać mnie przed wejściem do twojego łóżka? - zaśmiał się zachwycony swoją żoną. Musnął ustami jej szyję. - Jay nie może już doczekać się brata... albo siostry.

Henry Ann uwielbiała te chwile, kiedy leżeli z Tomem w łóżku. Nic ich nie dzieliło, nic nie przeszkadzało, szeptali sobie o różnych ważnych lub błahych sprawach. Odwróciła się teraz do niego, przyciągnęła jego głowę do swego ramienia i oparła o niego wystający brzuch. Jego wielka dłoń głaskała go delikatnie.

- Poczulem go - szepnął zachwycony. - Dobija się, żeby wyjść i zobaczyć swoją piękną mamę.

- Najwyższa pora. Auć! Poczuleś to? Ten brzdąc kopie jak muł.

- Moja krew. Silny jak tata - Tom powoli przesunął dłoń po jej brzuchu, próbując wyobrazić sobie dziecko, które rosło w ciele jego ukochanej.

- Także uparty jak tata. Jak go - lub ją - nazwiemy?

- Wiem! Jeśli to będzie chłopak, nazwiemy go Dolan Dolan, a jeśli dziewczynka - Dolan Ann Dolan.

- Ani mi się waż! - Henry Ann czuła, jak jej mąż trzęsie się od hamowanego śmiechu. Zaczęła chichotać. - Ostrzegam cię. Ostatnio nie mogę polegać na moim pęcherzu. Rozśmieszysz mnie, to będziesz musiał poszukać suchych prześcieradeł.

Pieszczotliwie przesunął ustami po jej twarzy. Pocałował ją szybko, gwałtownie. Nie wiedział, czym jest szczęście, dopóki ona nie weszła w jego życie.

- Brakowało mi ciebie przez kilka ostatnich tygodni. Planuję nadrobić wszystkie zaległości, jak tylko nasz syn opuści swój kokon. Zazdroszczę mu, że ma cię tylko dla siebie.

Serce Henry Ann uderzyło mocniej. Był dla niej wszystkim: mężem, kochankiem, przyjacielem. Kochała go tak żarliwie, że czasami ją samą to zdumiewało.

Zanim minie godzina będzie musiała poprosić, żeby wyprowadził samochód i pojechał po doktora Hendricksa. Ale miała jeszcze trochę czasu, aby spokojnie poleżeć z jego

zarośniętą głową na ramieniu.